

Kufer babki Alicji



WBliskie

Danuta Noszczyńska

Kufer babki Alicji



Danuta Noszczyńska

Wydawnictwo SOL



Copyright © by Danuta Noszczyńska, 2009

Projekt okładki:

Anna Lenartowicz

Redakcja:

Dorota Majeńczyk, Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-62405-56-5

Wydawnictwo SOL

Monika Szwaja • Mariusz Krzyżanowski

05-600 Grójec, Duży Dół 2a

wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

ePub créé par l'Atelier Du Châteaux

atelier@duchateaux.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

1. Dyslajfia - specyficzne trudności w radzeniu sobie ze sobą

2. Pod ostrzałem realiów

3. Co, komu i z jakiej parafii?

4. Jeszcze jeden pazur na gardle

5. Kufer

6. Higieniczno-humanitarna metamorfoza Piotrka

7. Święta męczennica i umęczona jawnogrzesznica

8. Elektryczne dreszcze czy boczuś na cebulce?

9. Frau Kler

10. A jednak prawo pierwokupu

11. Mama mówi...

12. Nie ma zwłok... nie ma sprawy?

13. Sekret Trusiowej

14. Goła, bosa i o głodzie

Epilog

1. Dyslajfia – *specyficzne trudności* *w radzeniu sobie ze sobą*

Nie spałam już właściwie od dłuższej chwili, ale, próbując oszukać samą siebie, nadal tkwiłam w mojej ulubionej sennej pozycji, nie otwierając oczu. Wtulona w poduszkę, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę, na siłę próbowałam zatrzymać sen. Ten dziwny stan bytu-niebytu, w którym nic nie było naprawdę, a najgorszy nawet koszmar zawsze kończył się ulgą przebudzenia. W moim przypadku było jednak inaczej: od pewnego czasu każde przebudzenie stawało się koszmarem. Wraz z odzyskiwaniem czucia w ciele, powolnym stwierdzaniem swojego jestestwa, formatowaniem się na nowo mojego miejsca w realnym świecie, przychodziła świadomość... I kiedy On cichutko wysunął się z pościeli, skupiłam się na miarowym oddychaniu i unieruchomieniu skrytych pod powiekami oczu. Bo czułam, że patrzy na mnie. Wsłuchuje się w mój oddech, bacznie obserwuje moją twarz. Widać niczego z niej nie wyczytał, bo zaraz potem usłyszałam cichą krzątanie w kuchni, szum wody w łazience i wreszcie – zgrzyt klucza w zamku. Wtedy dopiero dopuściłam do siebie nachalnie dobijający się ze wszech stron stan jawy. Znowu pozwoliłam zawładnąć sobą upiorom przeszłości i zaraz po Jego wyjściu pobiegłam do kufra... Od pewnego czasu zamiast parzącej uszakawy i pośpiesznej kąpieli miejsce moich porannych rytuałów zajął bezdenny jak piekielna czeluść, ciężki jak czyścicowe męki, stary dębowy kufer... Bywało, że bezpośrednio po przebudzeniu siadałam przy nim w kucki, upychając między nogami płaczące się fałdy koszuli nocnej i z niezmiennym łomotem w klatce piersiowej uchylałam skrzypiące wieko. W tym kufrze było wszystko. Ja, On. Moje dotychczasowe życie, o ironio, teraz, z perspektywy ostatniego półrocza, takie... uporządkowane i proste. I jakkolwiek stosunkowo niedawno jeszcze wydawało mi się, że nie można pogmatwać sobie życia bardziej, niż ja pogmatwałam

swoje, teraz okazało się, że można. I to jak! A wszystko tkwiło w kufrze i ja musiałam się z tym uporać. Walczyłam z nim co dnia, krok po kroku... On mówił, że to niepotrzebne. Powtarzał wielokrotnie, że będzie dobrze, a kufer trzeba z naszego życia wyrzucić, spalić, unicestwić... Ale On nie wie, nie chce wiedzieć, że to nic nie da. Że kufer jest niezniszczalny i nawet bez swoich dębowych ścian, mosiężnych okuć, skrzypiącego wieka, bez swojej upiornej zawartości będzie za mną szedł, podążał jak duch, jak cień... W jednym tylko ma rację: że to, co chore, trzeba uleczyć. Ale najpierw zdiagnozować, zrozumieć... Inaczej nigdy nie będę mogła cieszyć się naszym szczęściem o gorzkim posmaku niepewności, podszytym lękiem i tym irracjonalnym poczuciem winy... Dziś rano wyjechał z Krakowa, beze mnie, bez kufra, bez niekończących się rozmów, mglistych domniemań i uporczywych prób zrozumienia. I bez pożegnania... W jednym krótkim i cichym muśnięciu policzka zawarł wszystkie dotychczasowe obietnice...

Tym razem wieko nie zaskrzypiało... Kufer nie skrywał już swoich sekretów przed oczami niewtajemniczonych, całkiem jawnie i jakby wręcz ekshibicjonistycznie ukazując je światu... Wzięłam ostrożnie do ręki starą fotografię, która, mimo iż była oprawiona w ramkę, nigdy nie zawisała na żadnej ścianie. Dzisiaj z zupełnie innej perspektywy niż dotychczas czytałam zapiski, kartki, analizowałam rachunki, odcyfrowywałam niepozorne, odręczne notatki, świstki z numerami telefonów i inne drobne badziewie, które normalnie powinno było dawno spocząć w kubie na śmieci. Widać jednak, gromadzone przez lata, było dla swojej właścicielki na swój sposób wyjątkowo cenne. Bez względu na to, ile udało mi się wyłowić i ułożyć we właściwym miejscu tych zawiłych puzzli, pieczołowicie odkładanych potem na ogromne stare biurko, fotografię nieodmiennie wkładałam do kufra. Takie było prawo babci Alicji, ustanowione dla niej przeze mnie pierwszego dnia, kiedy wzięłam do ręki jej poźółkły sepią portrecik. Prawo doglądania swojego dobytku, kontrolowania moich poczynań, że oto nic z jej „skarbów” nie ulegnie zniszczeniu, nie zostanie wyrzucone czy zbezczeszczone w żaden inny sposób. Właśnie. Babci Alicji. Nie umiałam powiedzieć o niej inaczej niż „babcia Alicja”, choć tak naprawdę... Nie! Nie byłam jeszcze gotowa na wypowiedzenie tego słowa, jedyne właściwego, tak prostego i trudnego zarazem. Nie sądzę zresztą, żebym była gotowa kiedykolwiek. Babcia zawsze pozostanie dla mnie babcią...

Dziś jednak nie sięgnęłam po kolejną stertę przewiązanych wstążką papierów. Miałam czas. Mnóstwo czasu. Postanowiłam więc inaczej: najpierw, jak dawniej, kawa i kąpiel, a potem... wszystko jedno!

Wyciągnęłam się leniwie w parującej wodzie i przymknęłam oczy. Jak na kobietę, która miała wziąć się za bary ze swoim małym światkiem, najpierw powinnam pozbyć się rytuałów, tych, które jeszcze gdzieś tam panowały nade mną, i nie dopuścić do powstania nowych. Bo to one właśnie: rytuały i rozmaite natręctwa dominowały niegdyś w moim życiu, systematyzowały wszelkie działania, napędzały życiowe funkcje. Myślę, że takie podświadome zautomatyzowanie wszystkich czynności jest swego rodzaju obroną przed krytycznym przeciążeniem umysłu. Zwłaszcza u osób żyjących na bardzo wysokich obrotach. Przypomniała mi się teraz maszyna do przecierania ziemniaków na placki. Onego razu, przeładowana przeze mnie na full, zamiast szarą ziemniaczaną miazgą, bluznęła żywym ogniem. I zdechła. Następna, którą kupiłam, miała już podajnik: jeden ziemniak, klapka się zamyka, trrrrach, klapka się otwiera, kolejny ziemniak, trrrrach, i tak dalej... Tak właśnie widziałam swoje dotychczasowe działania: impuls, czynność, klapka się zamyka, trrrrach – wykonanie, klapka się otwiera, kolejny impuls, czynność, trrrrach... W każdym razie maszyna z podajnikiem do dziś hula jak nowa...

Całe dwa dni, które miałam teraz przed sobą i tylko dla siebie, sprzyjały takim przemyśleniom. Podsumowaniom, analizom, coraz chłodniejszemu dystansowaniu się od wszystkiego, co w ostatnim czasie zważyło mi się na barki. Staralam się więc ogarnąć tę całość w nieodłącznym kontekście Jego osoby, tego, o czym mówił przed wyjazdem o babci, o mnie, o nas... Tak szybko i tak nagle mi Go zabrakło! Czułam się dziwnie i dziwiłam się temu, co czuję...

Woda w wannie zaczęła stygnąć. Odczuwałam to wyraźnie, miała już teraz znacznie niższą temperaturę niż moje ciało. Kawa na biurku wystygła już w takim razie zupełnie. To dobrze – pomyślałam. – Do tej pory zawsze piłam gorącą... Teraz wszystko musi być inaczej...

Włożyłam szlafrok i skierowałam się wolno w stronę gabinetu dziadka. Kawa rzeczywiście była całkiem zimna. Ustawiłam przed sobą zdjęcie babci Alicji i po raz nie wiadomo który zatopiłam z uwagą wzrok w jej twarzy. Ta elegancka, dojrzała, ale bardzo jeszcze piękna kobieta nie miała w sobie niczego z rubasznej, drobnej staruszki, jaką znałam.

- Znałam... - powtórzyłam półgłosem, wnikając w istotę tego słowa, używanego jakże często bez żadnego uzasadnienia. Człowiek zwykł bowiem mawiać, że zna koleżankę z pracy, zna swojego sąsiada, zna ekspedientkę z pobliskiego sklepu. W zależności od kontekstu. Jest to jednak tak ogromny skrót myślowy, tak odległy od jego sensu, że w znakomitej większości przypadków powinno się go zastępować wyłącznie powyższymi zwrotami: koleżanka z pracy, sąsiad, ekspedientka z pobliskiego sklepu... Cóż ja mogłam powiedzieć o... o kobiecie ze zdjęcia? Że znałam jej zwyczaje, gusty, powiedzonka, wady, zalety, ale... z pewnością nie to, że znałam ją samą. Zastanawiałam się, co powinnam teraz odczuwać. Żal? Rozgoryczenie? A może przeciwnie: pogrzebać całą sprawę w zawiłym procesie zrozumienia i skupić wszystkie swoje emocje wyłącznie we współczuciu? Bo przecież każdy z nas nosi w sobie mnóstwo myśli, doznań, osądów, mniej i bardziej istotnych faktów ze swojego życia, do których nie przyznałby się nikomu i za żadne skarby. A to, co udostępniamy otaczającemu światu, wyrażane w słowach, gestach, uczynkach, jest zaledwie strzępkiem człowieczego JA, ponieważ jedynie ten strzępek, nikły ułamek ludzkiego wnętrza nadaje się do pokazania publicznie... I jeśli ktoś mówi, wypinając uprzednio pierś, że nie ma absolutnie niczego do ukrycia, jest tak samo daleki od prawdy jak wtedy, gdy mu się wydaje, iż przekroczył barierę poznania drugiego człowieka... Nie mamy, co prawda, obowiązku wywnętrzania się światu w większym stopniu, iżbyśmy chcieli, ale tym samym nie mamy prawa do grzebania w drugim człowieku w zakresie większym, niż on by sobie tego życzył. Gdzie w takim razie leży granica, ta zdrowa granica wiedzy o naszych bliźnich? Granica pomiędzy świętym prawem do intymności a zwyczajnym fałszem i zakłamaniem? Albo inaczej: między prawem przemilczenia a bezprawiem zatajenia? I czy wobec tego w ogóle wolno mi oceniać Alicję? Z własnej perspektywy, moich za i przeciw, przez pryzmat własnych „ja bym” w miejsce faktów i zdarzeń, co do których czas przeszły stał się ewidentnie dokonany? Rzeczywiście, bardzo łatwo jest „naprawiać” czyjaś przeszłość, „bymając” z pozycji osoby znającej nie tylko dany problem, ale i skutki podjętych decyzji. Tak przecież było ze mną. Z moim małżeństwem i wszelkimi jego konsekwencjami. Tak właśnie podchodziła do rzeczy nieomylna, rozważna Grażynka: „Ja bym...” - mawiała, snując własne wersje wydarzeń, które niechybnie miałyby miejsce zamiast tych, które miały, gdybym w danym mo-

mencie zdecydowała inaczej. Bo zawsze jest jakieś „inaczej”, nawet niejedno. Tylko które, do cholery, jest to właściwe?

Wplotłam w mokre włosy palce obu dłoni tak mocno, że poczułam w skroniach pulsujący ból. Zamknęłam oczy i spróbowałam przywołać pod powieki obraz jednego z ostatnich dni, tych dni, w których wszystko, mimo że wcale niełatwe – było takie znajome i bezpieczne.

- Idę do Ernesta - oznajmiła babcia tego dnia.

I wyglądało na to, że mówi zupełnie poważnie...

2. Pod ostrzałem realiów

Jezu, ona znowu zaczyna! – pomyślałam, czując jednocześnie, jak opadają mi ręce, nogi oraz wszystkie inne członki, które mogą opaść człowiekowi znajdującemu się w pozycji siedzącej. A konkretnie kobiecie.

– Wszykuj no mnie, moja droga, wyjściową garsonkę i koronkową bluzkę z żabotem – poleciała babcia, stając w progu gabinetu nieboszczyka dziadka. – Przewietrz, uprasuj, a sprawdź przy tym, czy miejscami na szwach nie popuściła.

– A gdzież to się wybierasz? – Spojrzałam na nią spod spoconego czoła i otarłam je wierzchem spracowanej dłoni.

Od czasu, kiedy babcia zabroniła mi korzystania z odkurzacza i innych przedmiotów „wyjących”, wszystkie czynności higieniczno-gospodarcze musiałam wykonywać ręcznie.

– Ano, tam się wybieram – ruchem głowy wskazała na okno. – Do Ernesta idę. Termin na czwartek mam. – Babcia z zadowolenia promieniała na twarzy.

– Ale... dziś dopiero wtorek... – bąknęłam, nie mogąc wymyślić nic sensowniejszego.

– Wtorek! – ofuknęła mnie babcia. – Zanim ja całą garderobę i wszystko, co mnie na drogę będzie potrzebne, skompletuję, to czasu nie stanie! A przecież z pustą ręką się do Ernesta nie wybiorę, zakupy trzeba będzie zrobić. Ale... to już... Franciszka załatwi. – Babcia zamyśliła się głęboko. – Tak! Sporządzę listę i wyślę dziewczuchę po sprawunki. Dziś jeszcze!

– Babciu... – zaczęłam w nadziei, że jakoś wyperswaduję jej ten absurdalny zamysł, ale widząc wciąż rosnący entuzjazm na twarzy starsuszki, dałam spokój. A nuż do czwartku o wszystkim zapomni?

Spojrzałam dyskretnie na wielki szafkowy zegar. Dochodziła trzynasta. Lada chwila powinna przyjść pani Rowicka, zwana, jak wszystkie opiekunki babci, Franciszką. Halina Rowicka była emerytowaną pielę-

gniarką i przejmowała przy niej dyżur w te dni, kiedy ja miałam w pracy popołudniówki. Wieczorem przychodziła młoda wolontariuszka, nocą zaś zaglądała do babci sąsiadka, pani Pietraszko. Kiedy dniówki wypadały mi od siódmej rano, do południa siedziała przy babci wolontariuszka, zmieniana o trzynastej przez Rowicką, ja natomiast wpadałam wieczorem. I tak w koło Macieju... Babcia nie była co prawda obłożnie chora, przeciwnie, fizycznie zdrowa była jak koń, jednak od pewnego czasu traciła jakby... poczucie obiektywizmu względem realnego świata. Drobna, ale czerstwa kobietka przedwojennego chowu, miała w sobie tyle werwy, że nie można było na chwilę spuścić jej z oka. Każdy bowiem, najbardziej nawet dziki zamysł wprowadzała natychmiast w czyn. Osobiście i własnoręcznie. Kiedy, jakieś półtora roku temu zabroniła mi używać przedmiotów „wyjących”, zaczęła się ich sukcesywnie pozbywać. Wyrzuciła elektryczny młynek do kawy, robot kuchenny, elektryczną maszynkę do golenia, należącą niegdyś do dziadka, pralkę wirnikową, a na koniec zrzuciła ze schodów lodówkę. Odkurzacz ukryłam na strychu, przysięgając wcześniej uroczyście, że zgodnie z jej życzeniem utopię go w Wiśle. Teraz, jak tylko udawało mi się nakłonić ją do krótkiego spacerku pod opieką pani Rowickiej, błyskawicznie odkurzałam cały dom, błogosławiąc w duchu „przedmioty wyjące”.

- Babciu! - ocknęłam się z lękiem, stwierdzając równocześnie, że staruszka zniknęła mi z pola widzenia.

- Tu jestem, za tobą! - zachichotała radośnie. - Sporządzam listę ekwipażu!

Istotnie, babcia siedziała tuż za moimi plecami, po drugiej stronie biurka i zasłaniając ramieniem, skrobała coś na kartce.

- Dzwonek! - oznajmiła dobitnie.

- Co? - Nie zaskoczyłam od razu.

- Dzwonek do drzwi, Klarcu, nie słyszysz? Idź no otwórz, moje dziecko, to na pewno Frania. Dobrze się składa, bo właśnie skończyłam.

- Pani Rowicka, chyba dziś będzie mały kłopotek - szepnęłam w przejściu do kobiety. - Babcia się dokądś wybiera. Niech jej to pani wybije z głowy, o ile się da, a jeśli się nie da, to proszę zrobić, co się da, żeby o tym zapomniała.

Rowicka spojrzała na mnie stroskanym wzrokiem.

- Niech pani już leci, pani Klaro. Poradzę sobie. Wypadłam z domu babci z prędkością dźwięku i dosłownie w ostatniej chwili dopadłam do autobusu. Miałam raptem półtorej godziny do przepisowego stawienia się w pracy, a planowałam jeszcze zajść do domu, odświeżyć się, przebrać i przegryźć cokolwiek, o ile cokolwiek będzie. Nie było.

- Cholerka - sarknęłam pod nosem, przetrząsając kolejno kuchenne szafki i penetrując lodówkę z dokładnością godną technika kryminalnego. - Powinna być jeszcze konserwa rybna...

Kątem oka rzuciłam w stronę uchylonych drzwi do małego pokoju. Bylec siedział rozwalony na wersalce i z lubością wyciamkiwał resztki sosu pomidorowego z m o jej konserwy rybnej, za pomocą mojej wielozłaznej bułki.

- Co jest, Klarcia? - spytał, pojawiając się ospale w drzwiach.

- Nie zamierzasz chyba mieć pretensji o to rybnie ścierwo? Zresztą, nie masz czego żałować. Wredne było. Na drugi raz kupuj w oleju. A poza tym - dodał szybko, dostrzegając pioruny w moich oczach - idziesz do pracy. Śmierdziałabyś.

- Ty nie idziesz, jak mniemam! - wrzasnęłam. - Możesz sobie więc śmierdzieć do woli, czy tak?! Podżerać cudze wiktuały, produkować syf w mieszkaniu i gapić się w telewizor!!!

Bylec powiódł oczami za moim wzrokiem, ogarniając kolejno stertę brudnych garów, upaśćkolony do granic możliwości stół i usłaną obierkami z cebuli podłogę.

- Wyluzuj! - warknął urażony. - Od jutra zaczynam fuchę, to ci odkupię. I umyję połowę.

- Połowę czego?!!!

- Tych garów.

- Posłuchaj, Piotruś - przemówiłam do niego łagodnie, używając jedynie co drugiego słowa spośród tych, które cisnęły mi się na usta. - Umyjesz wszystkie. I podłogę. I stół. Jak wrócę, kuchnia ma być w takim stanie, w jakim była, zanim wyszłam dzisiaj z domu. A jeśli nie, to ja zrobię w końcu prawdziwy podział majątku. Pół na pół! Więc jak sobie życzysz!

- Wyszłam, waląc drzwiami od łazienki.

Zrywałam z siebie nieświeże ciuchy mocno drżącymi rękami. Ze złości, z pośpiechu, z bezsilności... Woda lała się do wanny, zaparowując

powoli zbryzgane pianką do golenia lustro. Dostrzegłam w nim zmęczoną twarz steranej życiem kobiety: opuchnięte i zaczerwienione z niewyspania oczy, burą mierzwę zamiast fryzury i wykrzywione w rozpaczliwym grymasie usta... Podobno człowiek tak ma, że z zasady postrzega siebie znacznie korzystniej, niż w rzeczywistości wygląda. Oko niechętnie dopuszcza do mózgu informacje o kłującym jego ciało zębem czasu. A jeśli już, czyni to niezwykle ostrożnie i oszczędnie. Pomyślałam, że jeśli tak jest w moim przypadku, to oznacza, że wyglądam znacznie gorzej niż to, co widzę...

- No i... cccco z tego? - syknęłam, pakując się do zbyt gorącej wody.
- A na jaką cholere mi uroda? Nie mam tego w zakresie obowiązków służbowych, Bylcowi nie muszę, a nawet nie chcę się podobać, a babci jest wszystko jedno. Sama sobie też nie muszę - podsumowałam, wlewając wodę do butelki po szamponie do włosów. - A niech cię wszyscy diabli!!! - ryknęłam, żeby było wyraźnie słychać. - Nawet szamponu człowiek nie może na wierzchu położyć! Zeżarłeś go razem z tą konserwą czy co?

- Oszalałaś? - Bylec przycisnął do szyby w drzwiach wzburzone oblicze.

- Nie! Po prostu, znając twoje upodobania, podejrzewam, że prędzej byś go zeżarł, niż użył zgodnie z przeznaczeniem. I paszoł won! - przegoniłam go spod drzwi. - Idę się ubrać.

- Ale ty wredna jesteś! - Piotrek utkwiał teraz dla odmiany pod drzwiami mojego pokoju.

- Kurde - mruczałam pod nosem w panice, nie mogąc znaleźć jednej pary całych rajstop.

- Wiesz o tym? Że wredna jesteś? - upewniał się nachalnie.

- Wiem! Gdzież te cholerne rajstopy?

- A może ci zeżarłem, hę? Nie pomyślałaś o tym? - odgryzł się głupio.

- Pomyślałam. Idź mi stamtąd, bo mnie rozpraszasz, a czas mnie goni! I nie podglądaj!

- No, no! Jeszcze nie tak dawno rozbierałaś się przy mnie bez tej fałszywej skromności - próbował dopiec mi mój były.

Były mąż, rzecz jasna, z którego na skutek fuzji dwóch wyrazów: „były” oraz „padalec”, powstałej w wyniku niedbalstwa językowego mo-

jej przyjaciółki, wyłoniło się nowe, ale jakże obrazotwórcze pojęcie.

- Dzięki ci, kochany! - krzyknęłam radośnie.

- Nie ma za co! - odparł nieco zdezorientowany Piotrek.

- To nie do ciebie, tylko do świętego Antoniego! A rozbierałam się wyłącznie z obowiązku, z którego zwolnił mnie w majestacie prawa wysoki sąd - odpałam nieco poniżej pasa.

- Klara... Czemu ty jesteś taka? - wyjęczał, zagradzając mi drogę do wyjścia.

- Czyli? - Spojrzałam mu w oczy, wyobrażając sobie, że każda z moich źrenic jest w tym momencie laserowym miotaczem.

- No... Taka niedobra. Złośliwa, opryskliwa... Czy nie mogłoby być między nami jak dawniej?

Spojrzałam na zegarek. Była za siedemnaście druga, dokonałam więc błyskawicznej kalkulacji: mam kwadrans na dojście do przychodni, zostają dwie na podsumowanie naszego piętnastoletniego pożycia małżeńskiego. Wystarczy, aż zanadto.

- A według ciebie nie jest? - spytałam retorycznie. - W dwa lata po rozwodzie leżysz na tej samej wersalce, gapisz się w ten sam telewizor, nawet portki na tyłku masz te same! I jak od lat, jedynym motywem, na którym opiera się cała twoja życiowa twórczość, są potrzeby fizjologiczne!

- Boże, jaka ty jesteś małostkowa i bezduszna! Do końca życia gotowa człowiekowi kawałek konserwy wypominać! - wciął mi się w słowo Bylec, ograbiając mnie tym samym z ostatnich sekund z moich dwóch minut.

- A, nie! O konserwie akurat nie było tutaj mowy - sapnęłam i ruszyłam ku wyjściu. - Jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

- Rozumiem! Bardzo dobrze rozumiem! - krzyknął za mną. - Na przykład, dlaczego się ze mną rozwiodłaś!

- Tak??? - Zatrzymałam się w pół schodów, ciekawa, co też powie.

- Żeby nie dzielić się spadkiem. Ha! - oznajmił triumfalnie.

- Rozgryzłem cię, prawda? Wszyscy wiedzą, ile złota i dolarów ma pochowane po kątach twoja babka. A ty wniosłaś pozew, jak jej się tylko pogorszyło!

Wtedy pomyślałam sobie, że Bylecowi też zaczyna odbijać. I że, nie mogąc wydumać już nic nowego, aby mi skutecznie dokuczyć, zaczyna

mi pogrywać na obszarach nerwowych, których nigdy dotąd nie ruszał. Nie wzięłam tylko pod uwagę jednego: że Piotrek nie byłby w stanie czegoś podobnego wymyślić. W każdym razie, nie sam...

•

Wpadłam do przychodni spóźniona jak cholera. To znaczy dokładnie o siedem minut i czterdzieści sekund, co przy mojej maniakalnej wręcz punktualności było ekscesem godnym co najmniej zapadnięcia się pod ziemię.

- Przepraszam, Grażynko. Wybacz - szepnęłam do koleżanki, miotającej się przy okienku jak żołnierz w okopach.

- Nic się nie stało. Spokojnie - odszepnęła. - Coś z babcią?

- Z babcią też - odparłam półgębkiem, wrzucając na siebie biało-niebieski fartuch. - Pani pierwszy raz? - Rzuciłam okiem na leżące przede mną skierowanie do kardiologa.

- Nie, mam tu już kartotekę, u doktor Malickiej.

- Mówię ci - szepnęłam do koleżanki, czekając, aż drukarka wypłuje czyste kupony - nigdy na złość komuś nie odmrażaj sobie uszu! Proszę - zwróciłam pacjentce dyskiety. - Kartoteka będzie u pani doktor.

- Znaczy się, były dał popalić? - Grażynka pochyliła się ku mnie, opisując flamastrem szarą kopertę. - A nie mówiłam, że powinnaś go zostawić?

- Przecież go zostawiłam! Dwa lata temu! - syknęłam cokolwiek zbyt głośno.

- Słucham? - spytał starszy jegomość, który akurat doczekał się na swoją kolej. - Ja do laryngologa. Na dzisiaj mam termin, na szesnastą!

- Doktor Jaczyk czy doktor Lebuda?

- A który z nich jest mężczyzną? Bo ja pierwszy raz...

- Obaj są kobietami - odparłam w roztargnieniu.

- A... - zawahał się pacjent. - To niech będzie ten Jaczyk.

- Owszem, rozwiodłaś się, ale nie odstawiłaś od cycka. Szowinista! - mruknęła mi Grażynka w okolice kołnierza.

- Kto? Piotrek?

- Nie, ten... - skinęła głową w stronę jegomościa. - Życzyłby sobie, żeby mu facet w uchu grzebał, jakby do ginekologa co najmniej przyszedł!

- Jak mam go odstawić? - zawrzałam świętym oburzeniem.

- Mieszkamy przecież razem! On nie pije, nie pali, nie robi awantur, takiego nie da się eksmitować!

- To przestań go żywić. Dyskietkę poproszę. Zobaczysz, jak poskutkuje.

- Ja siebie żywię! Powinnam żarcie po sąsiadach trzymać czy jak? Ma pani szesnasty numer. Pokój numer dziewiętnaście, pierwsze piętro.

- Na to samo wychodzi. To skierowanie jest już nieważne, proszę pana. Od miesiąca.

- Czyli na co? Pokaż! - rzuciłam okiem na kartkę. - Rzeczywiście, trochę się pan spóźnił - uśmiechnęłam się ze współczuciem do wysokiego faceta w szarej jesionce.

- Czyli na to, że jak coś kupisz, to on ci i tak wymiecie. Siłą rzeczy jadasz na mieście albo u babci. A skoro tak, przestań mu zaopatrywać lodówkę.

- No i co teraz? - zatroskał się facet.

- Musi pan pójść po nowe, do lekarza pierwszego kontaktu - rzuciła Grażynka.

- No, niby tak... - zawahałam się.

- A w ogóle, to gdybyś przeniosła się do babci, nie musiałybyś codziennie latać z Salwatora na Azory i vice versa. To przecież cały szmat świata!

- Zaczekaj chwilę - sapnęłam. - Pogadamy, jak się trochę pacjenci przerzedzą. Ja nie umiem o poważnych sprawach tak na stereo...

Około szesnastej, jak już zaczęli przyjmować lekarze z drugiej zmiany, pod okienkami rejestracji zrobiło się pustawo. Sporadycznie zjawiali się jeszcze jacyś pacjenci, jednak obsługiwani sprawnie i szybko przez naszą najmłodszą koleżankę Beatkę, nie mieli szans na utworzenie kolejki. Grażyna zrobiła dwie kawy i przytaskała na stolik umieszczony za regałami.

- Co ci zrobił? - spytała bez wstępów.

- Nic. - Chlipnęłam gorącego płynu. - Rzecz w tym, że on nigdy nic nie robi. Ani mnie, ani nikomu. Po prostu jest. Tym swoim wszechobecnym, obmierzłym, upasionym jestestwem, zalega mi na duszy jak na tej

swojej wersalce. Hołubi przy tym mniemanie o sobie, które zostało mu z czasów, ogólnie zwanych „dawno i nieprawda”.

- Żal mi cię... - westchnęła Grażynka.

- A mnie nie! - burknęłam pod nosem. - Dobrze mi tak. Bo właściwie mam, co chciałam.

- To pani... tak chciała? - zdziwiła się Beatka w wolnej chwili.

- Nie, nie chciałam, Beatko. Tak mi wyszło. Z głupoty. Beatka spojrzała na mnie z wahaniem, jakby chciała o coś zapytać, ale nie miała odwagi.

- Bo ja wyszłam za mąż na złość, wiesz? Rodzicom, rzecz jasna, ale okazało się wkrótce, że wyłącznie samej sobie. Mówię ci to tylko dlatego, że jesteś jeszcze panienką. A małżeństwo nie jest przypadłością, która rozejdzie się po kościach po tygodniu.

- No ale... Przecież się pani w końcu rozwiodła... - zaproponowała nieśmiało Beatka.

- O tak! W końcu! - Zaśmiałam się gorzko. - To bardzo dobre określenie.

- A... nie dało się wcześniej?

- Nie - oznajmiłam i uniosłam się z krzesła, sygnalizując koniec tematu.

•

Pewnie. Pewnie, że się dało! Teraz wiedziałam to doskonale, ale ja wolałam tkwić w tym psychotycznym związku, żeby tylko nie usłyszeć sakramentalnego „a nie mówiłem?”. Bo tata mówił właśnie. Wielokrotnie i bez skutku, że moje małżeństwo z Piotrkiem to poroniony pomysł, że nie pasujemy do siebie, że nic dobrego z tego nie będzie. I nie było, rzecz jasna, o czym nigdy, ale to przenigdy ojcu nie wspomniałam. Granie roli zadowolonej mężatki przychodziło mi zresztą bez większego trudu. Widywaliśmy się z moimi rodzicami raptem dwa, trzy razy do roku. Wbijałam natenczas Bylca w wizytowy garnitur, dopilnowawszy uprzednio wszystkich jego higienicznych zabiegów, łącznie z uszami i paznokciami. O, Bylec, jak chciał, potrafił być uroczy! Elokwentny, dowcipny... I gdyby ktoś nie wiedział, nie domyśliłby się zapewne, że błyskotliwy dialog na temat archeologii, literatury czy fizyki kwantowej toczy właśnie z facetem po trzyletniej budowlance, specjalizującym się

tak naprawdę w kładzeniu kafelków i montowaniu kibli... Podejrzewam, że Piotrek nawet lubił te wizyty. Dawały mu pole do popisu – przed teściami i sobą samym, potwierdzały jego doskonałe zdanie na temat własnej osoby, wprawiały w stan jeszcze większego samozadowolenia... Jak istotne były to dla niego spotkania, świadczył fakt, że w towarzystwie moich rodziców potrafił trzymać w ryzach swoje chorobliwe wręcz łakomstwo i z nim związane efekty akustyczne: nie ciamkał, nie siorbał, nie bekał, nakładał sobie na talerz umiarkowane ilości, które spożywał godnie i wykwintnie...

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy tuż po ślubie postanowiliśmy zorganizować małe przyjęcie dla znajomych, którzy nie zostali zaproszeni na wesele. Urobiłam się jak dzik, zwłaszcza że w dziedzinie kulinarnej byłam jeszcze cienka jak źdźbło trawy. Ale zastawiłam stół iście po staropolsku: suto, elegancko i smacznie. Puchnąc z dumy, wykonałam adekwatną do okazji i stołu, rzecz jasną, toaletę. I kiedy, wystrojona w przepiękną suknię w kolorze dojrzałej wiśni, z misternie ułożonymi lokami postanowiłam po raz ostatni rzucić okiem na swoje dzieło... omal nie zesłam na zawał. Otóż mój świeżuchny ślubny siedział rozwalony przy m o i m stole, nad smętnymi pozostałościami po moim ludzkim wysiłku i bekał z lubością...

Powstrzymać tego rodzaju zachowania i nie mniej prostackie wypowiedzi potrafił jedynie w towarzystwie moich rodziców i myślę, że oni w końcu dali się nabrać. To głupie... Głupie i takie... nieuzasadnione. Aby zemsta była zemstą, powinni byli raczej oglądać nasze niedopasowanie, Piotrusia takiego, jakim był na co dzień, oraz mnie. Taką, jaką byłam na co dzień, uwikłaną w życie, w które, jak kiedyś sądziłam, obojście mnie wmanewrowali. Ale nie oglądali, gdyż moja mściwość miała swoje granice. Wystarczyło mi w zupełności, że oto ich jedyna córka, studentka drugiego roku medycyny, na ich oczach (no, może nie dosłownie) zaszła w ciążę z mamlasem po trzech latach zawodówki, o ziemskiej (w sensie dosłownym, acz niekoniecznie pochlebny) urodzie. Wtedy wydawało mi się, że owa niechciana ciąża będzie dla mnie jedynym ratunkiem przed ustaloną kategorycznie przez ojca karierą medyczną. Boże mój, jakże ja się męczyłam na tych studiach! Nie miałam do nich ani głowy, ani powołania. Ale tata się uparł. Od dziecka oswajał mnie z myślą, że będę lekarzem. To była jego obsesja, jakaś taka dziwna, namolna, niepodlegająca żadnym próbom pertraktacji. Me-

dycyna - i już! A przecież tata był świetnym ojcem, opiekunem i kumplem, wyjątkowo wyrozumiałym i tolerancyjnym. I poza kwestią wyboru zawodu dla mnie zawsze doskonale się dogadywaliśmy. Tym bardziej miałam do niego o to żal. Że w tej jednej sprawie, tak dla mnie ważnej, nie mogłam znaleźć u niego zrozumienia. Ba, cienia litości!

•

- Oj, babciu, babciu - szepnęłam do kobiety z fotografii, o smutnym, sepiowym uśmiechu. - Jakże to teraz inaczej wygląda! Ale ja mam czas - powtórzyłam głośno i pociągnęłam kolejny łyk zimnej kawy. - I już nie mogę uciekać myślami od swojego prawdziwego życia, dorabiać do smętnych skutków swoich poronionych decyzji kłamliwych idei. Trzeba - oznajmiłam - stawić wszystkiemu czoło. Szczerze i odważnie. Zaczekam do Jego powrotu i jakkolwiek podejmę wówczas decyzję, jednego jestem pewna: nie przegram swojego życia tak głupio... jak ty!

Odłożyłam fotografię na stół i wgapiłam się w skropione kroplami deszczu okno. Powinnam była się przecież domyślić! - wyrzucałam sobie po raz któryś tam. Zostać z nią, wykorzystać do cna każdą chwilę, minutę, sekundę! Może gdybyśmy miały więcej czasu, powiedziałyby coś jeszcze... Ale ja, w poczuciu idiotycznie zhierarchizowanego obowiązku, poszłam do pracy! Mało że poszłam, to jeszcze, jak nigdy dotąd, nie wróciłam jak normalna, praworzędna kobieta prosto do domu...

Tamtego dnia, kiedy stałam przy ladzie, grzebiąc bezmyślnie w stosie ulotek reklamowych i darmowych gazetek, podeszła do mnie Grażynka.

- Nie pomogą leki, zioła, gdy dupa ciągnie do doła - szepnęła mi za uchem sentencję zasłyszaną od pewnej starszawej pacjentki, która nieodmiennie i nieświadomie wprowadzała nas w niezwykle radosny nastrój.

- Hi, hi - odparłam drętwą.

- Nie hi, hi, tylko za dwadzieścia minut kończymy robotę, wychodzimy i udajemy się do knajpy. Zapraszam cię na kebab.

- Teraz? Po nocy?

- Noc też dla ludzi. A szczególnie dla wolnych kobiet. Do babci już dziś nie idziesz, do chałupy nic cię nie ciągnie, a do knajpy owszem. Ja.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. - Grażynka była nieugięta. - Tym sposobem zjesz kolację, której nikt ci nie wyżre, zanim wyjdiesz spod prysznic. Przy okazji sobie pogadamy. Samo pożyteczne z pożytecznym.

- Aha... - Spojrzałam na nią spode łba, myśląc, że najpożyteczniejsze z tego wszystkiego będzie to, że Piotrek pójdzie dzisiaj spać na głodniaka. Ot, zwykły babski przejaw mikrospołecznej praworządności...

Chociaż... Może niekoniecznie. Grażynka w zasadzie od zawsze, czyli od czasu, kiedy ja, niedoszła pani doktor, wylądowałam w okienku rejonowej przychodni, była moim wsparciem i ostoją. Mimo iż z racji wieku śmiało mogłaby być moją matką, a może nie... może właśnie dlatego natychmiast stała się moją powiernicą i najlepszą przyjaciółką. Bo moja matka... A raczej, jak życzyła sobie mawiać o niej babcia Alicja: „kobietą twojego ojca”, nigdy nie stanowiła dla mnie wystarczającego zaplecza życiowego. Ojciec był natomiast wszystkim: alfą, omegą i każdą inną opcją, która znalazła się pomiędzy... Tak czy inaczej, to Grażynka służyła mi gorsem, gdy przyszło wylewać łzy, układała rozmaite plany strategiczne w odwiecznej utarczce z Bylcem, łajała, chwaliła, dodawała otuchy. Dlatego pewnie pozwoliłam jej się tego wieczora zawlec do lokalu, co było z mojej strony ekscesem całkiem niezwykłym, z drugiej zaś strony, o czym jeszcze nie wiedziałam, było całkiem zwyczajne, gdyż od teraz właśnie owo niezwykłe zaczęło być czymś normalnym...

- No i gadaj. - Grażynka pochyliła się nad kebabem z frytkami.

- Ach... - zawahałam się, oglądając ze wszech stron swoją bułę, napakowaną mięsem i jarzynami. - Nie wiem, czy jest o czym. A nawet jak jest, to dokładnie takie samo jak zwykle.

- Wiesz co? - Spojrzała na mnie z potępieniem. - Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? A jeżeli słyszysz, to czy umiesz wyciągać wnioski?

- A bo co?

- A bo to! - Grażynka w nerwach chlupnęła sosem na talerz i okolicę. - Takie samo jak zwykle!!! - powtórzyła po mnie dobitnie. - Przez ile? Biorąc wszystko do kupy, będzie siedemnaście lat?

Przytaknęłam niemrawo, nie wiedząc jeszcze, do czego zmierza.

- No właśnie! Dlaczego więc, do cholery, sobie na to pozwalasz? Męki sobie jakieś poprzysięgłaś? Bo ja tu nie widzę innego powodu.

- Nie wiem... - westchnęłam, zastanawiając się, czy aby tak właśnie ze mną nie jest. - Bo widzisz, Grażynko, ja sobie takie życie wybrałam. I wiedziałam, jakie ono będzie, już w kilka dni po ślubie.

- To trzeba było wtedy trzasnąć tym w diabły!

- O, to nie było takie łatwe, jak myślisz! Wtedy byłam jeszcze przecież w ciąży!

- Owszem. Ale zaraz potem poroniłaś, a to był znak z jasnego nieba, że ten twój truteń nie jest ci pisany! - podsumowała Grażynka, z właściwą sobie skłonnością do upraszczania wszystkiego.

- Nie zapominaj, dlaczego ja w ogóle wyszłam za męża!

- Nie zapominam. A nie zastanawiałaś się nigdy, co by było, gdybyś jednak skończyła tę medycynę? Męczyłabyś się pewnie przez jakiś czas, ale byłyby to zgoła inne męki niż teraz. A potem popadłabyś w rutynę. Siedziałabyś sobie na internie jak doktor Skisławski i leczyłabyś ludzi, ostrożniuchno, niekoniecznie po to, żeby wyleczyć, ale żeby za bardzo nie otruć.

- Może i tak! - rozdarłam się znad talerza, nieelegancko wypuszczając z jamy ustnej część zawartości. - Ale skąd mam wiedzieć, czy aby na pewno?

- Dobra... - Grażynka spuściła z tonu. - A nie mogłaś się ojcu postawić okoniem?

- Nie! Ty zawsze wszystkim umiałaś stawiać okoniem? - rzuciłam zaczepnie.

- Owszem. Umiałam - odparła spokojnie.

- No to gratuluję - sarknęłam. - A ja nie umiałam... Wcinałyśmy przez chwilę w milczeniu. Grażynka dumiała pewnie nade mną, taką, jaką byłam te siedemnaście lat temu, i ubolewała w duchu nad moją bezwolnością i słabością charakteru. Ja zaś wspominałam kolejno wszystkie moje „nocne z ojcem rozmowy”, wiedząc, że żadna z nas nie przekona drugiej do swoich racji. Bo ja, jak mi się wtedy jeszcze wydawało, na swój sposób go rozumiałam: skazany na banicję z własnego domu w wieku dziewiętnastu lat, mimo iż pełen żalu i poczucia krzywdy, hołubił pewnie w sercu taki obraz rodziny, jakiej doświadczył sam w bezpiecznym i stabilnym dzieciństwie...

- Ej, o czym tak myślisz? - przerwała tę ciszę Grażynka.

- Użalasz się może nad swoim lubym?

- Nie. - Zignorowałam zaczepkę w jej głosie. - Myślę o moim tacie...

•

Na wspomnienie tamtej rozmowy z Grażyną i swoich ówczesnych prze-myśleń zupełnie odruchowo zaczęłam spacerować po gabinecie dziadka. Boże mój! - jęknęłam. Dlaczegoż ja wcześniej niczego nie zauważyłam? Czemu nie doszłam do żadnych istotnych konkluzji, które aż nadto, same z siebie się prosiły? Może po prostu byłam ze swoim życiem na tyle oswojona, że stanowiło ono dla mnie swego rodzaju normę? I nie myślę tu o Bylcu. Tylko... o tym wszystkim, co było przedtem... O konflikcie babci z tatą, który był tak przepastny i nieprzebyty, że nie pozwolił im kontaktować się ze sobą od dnia moich narodzin. Dotychczas byłam przekonana, że jego obsesja na punkcie medycyny miała być swego rodzaju odkupieniem win i przyczynkiem do odbudowy rodzinnego prestiżu...

Bo ojciec zawsze był honorowy. O, jeszcze jak honorowy! Przecież do tej pory mógłby się z piętnaście razy ożenić z matką, ale, jak sądzę, skoro babcia raz powiedziała „nie”, postanowił do końca życia tkwić w konkubinacie. W ten sposób z jednej strony postawił na swoim, z drugiej zaś nieustannie jej udowadniał krzywdzący bezsens tego zakazu...

I dlatego pozwolił mi w końcu dokonać wyboru. Takiego, jakiego on sam kiedyś dokonał. Nie wiem, być może żałował, ja w każdym razie i owszem, nawet wielokrotnie. Dzisiaj mój ówczesny sposób kalkulacji był dla mnie samej niepojęty, a cóż dopiero dla Grażynki... Wtedy jednak wszystko inne przesłaniał mi widok ludzkich manekinów rozpostartych na metalowych stołach, z każdym kolejnym cięciem tracących swoje człowieczeństwo, by wreszcie wypełnić sobą szereg me talowych pojemników... I ten nieznośny, gryzący odór formaliny... A w perspektywie zapach żywej krwi i cierpienie, któremu nie będę mogła zaradzić... Ja się po prostu nie nadawałam do tego zawodu, ale ojcu się wydawało, że wszystkiego po prostu można się wyuczyć. Ostateczną decyzję podjęłam, gdy na skutek czyjś zbyt gwałtownego cięcia skalpelem zostałam obryzgana ludzkim tłuszczem...

Wtedy, siedząc naprzeciw Grażynki, usiłowałam wytłumaczyć jej wszystko z takiego punktu widzenia, jaki przez lata ukułam sobie sama na podstawie dość mętnej, okazjonalnej wiedzy i własnych domysłów: że ojciec miał przecież podobny dylemat. Że dziadkowie pewnie życzyli

sobie dla niego innej kariery. Że miał prawdopodobnie przejąć po dziadku dobrą sławę, gabinet, pacjentów... Ale niestety, w wieku dziewiętnastu lat, z lekkomyślności, zwanej potocznie miłością, wpędził pewną panienkę w stan niechybnie owocujący macierzyństwem. Z tego, co mi mówiono, babcia nie życzyła sobie przyjąć powyższego do wiadomości. Dlatego ojciec ujął się honorem i razem z panią oraz jej ciężą wyjechał do Gliwic. Nie ożenił się co prawda, ale stworzył nam prawdziwą rodzinę, o którą dbał ze wszystkich sił. Taką właśnie wersję znałam. To też, kiedy parę razy w życiu przyszło mi wziąć do ręki swój akt urodzenia, nie dziwiło mnie, że jestem córką Bronisława Ledwienia i Anny Wierskiej. Tak przecież nazywali się moi rodzice! Nie dziwiło mnie też, choć nie powiem, że nie bolało, kiedy babcia mawiała o mamie „kobieta twojego ojca”. I to właśnie usiłowałam wyłożyć Grażynce.

- I wiesz - perorowałam z przekonaniem - według moich ówczesnych kryteriów rozumowania cięża była jedynym sposobem na wyłączenie się od tych studiów. Nie umiałam powiedzieć ojcu, że kapituluję, nie przeszłoby mi to przez gardło. Musiałam to ubrać w jakąś wyższą ideę.

- No dobra. - Grażynka chrząknęła niepewnie. - Ale nie mogłaś sobie tego... inseminatora staranniej jakoś wybrać?

- Staranniej??? Ależ ja wybrałam! Najlepiej, jak tylko się dało: chłopaka prostego, skromnego, schludnego, ale inteligentnego zarazem...

- No! - Grażyna obcesowo wpadła mi w pół zdania. - To chyba tylko z tym pierwszym ci wyszło.

- Zmiłuj się! - jęknęłam, wybierając palcem z pojemniczka resztki sosów. - Po co mnie tu ściągęłaś? Żeby mnie dołować? Ja wiem, że ty jesteś inna, silna, zdecydowana. Że zawsze tak sobie pościelisz, że się wyśpisz. Ja nigdy taka nie byłam. I nie ma teraz co drzeć szat nad rozlanym mlekiem.

- Przepraszam, Klaro - szepnęła ciepło Grażynka. - Oczywiście, że nie chcę cię dołować. Chciałam tylko, żebyś się wygadała, żeby ci ulżyło.

- Nie, to ja cię przepraszam - cofnęłam w pośpiechu swoje oskarżenie. - Ale chodźmy już. Jest bardzo późno.

•

Zgodnie z intencją Grażyny Bylec wciąż jeszcze siedział w kuchni, głodny i zły.

- Można wiedzieć, dokąd cię o tej porze poniosło? - warknął na powitanie.

- Byłam z koleżanką w knajpie, na kolacji - odparłam z umiarkowanym zadowoleniem.

- Aha. - Bylec poruszył bezwiednie grdyką. - Z koleżanką... A człowiek się tu zamartwia! Może ty w ogóle kogoś masz, co?

- Jakbym miała, tobym miała. Takie moje prawo - odburknęłam. - I daj mi spokój. Jestem zmęczona, idę spać.

- Jasne, takie twoje prawo! A tam staruszka cierpi, wszyscy się do ciebie dobijają od paru godzin, ale takie jest twoje prawo! - odszczeknęła się jadownicie.

- Ccc... Co? - Zastygłam w pół kroku na środku kuchni.

- Kto się do mnie dobija?

- A ta... Jakaś... Pietraszko. Podobno z babcią źle! - wysapał z satysfakcją. - Ale ty się oczywiście połóż, bo zmęczona jesteś!

- Zamów mi taksówkę!!! - huknęłam na niego i pobiegłam do łazienki. - Ochłapię tylko twarz i pędzę - rzuciłam już zza drzwi.

Widać ton, jaki udało mi się z siebie wydobyć, sprawił, że Bylec bez słowa sprzeciwu wykonał moje polecenie.

Na zmianę złorzeczyłam taryfiarzowi za ślamazarną jazdę i modliłam się w duchu, żeby ten gnidulec wszystko zmyślił! Nawet jeśli zrobił to wyłącznie z zemsty za swój pusty kałdun. Przysięgałam, że miłosiernie mu wybaczę i słówkiem nawet na ten temat nie wspomnę! Jednocześnie próbowałam uświadomić sobie jakiegokolwiek symptomy tak gwałtownego pogorszenia się stanu zdrowia babci. Fizycznego, rzecz jasna. Bo przecież, kiedy wychodziłam od niej po południu, była całkiem dziarska, ba, rozsadzała ją wręcz energia! Co więc mogło się stać? - dumałam w panice, pohukując coraz częściej na kierowcę.

- Boże mój, Boże jedyny! - wyrwało mi się nagle na cały regulator, ku jeszcze większemu przerażeniu taksówkarza.

- Przepraszam najmocniej. - Facet zmierzył mnie wzrokiem w lusterku. - Czy pani może... Do porodu? Bo jeśli tak, to muszę uprzedzić, że pod tym adresem już doktor nie urzęduje. Od jakichś dwudziestu lat.

- Dokładnie od dwudziestu - potwierdziłam. - Ale ja nie do porodu. Ja do wdowy. Do babci, znaczy się.

- Aha, rozumiem - mruknął z miną całkowicie nieadekwatną do powyższego.

Kiedy wreszcie, co zdawało mi się niemal wiecznością, dotarłam na miejsce, willa babci powitała mnie jakąś nieziemską iluminacją, bijącą od piwnic aż po strych. W pierwszej chwili pomyślałam nawet, że się pali. Z sercem w gardle podchodziłam do frontowych drzwi, zastanawiając się, czy zadzwonić, czy też użyć własnego klucza.

- Czy Franka nie słyszy, do stu czortów, co do Franki mówi się? - rozległ się nagle pełen pretensji wrzask. - Wymówię! Od pierwszego wymówię albo niech mnie piorun trzaśnie!

- Chwałaż Ci, Panie - szepnęłam, przekraczając próg.

- Ale... jakże ja mam połączyć? To przecież niemożliwe - tłumaczyła się płaczliwie pani Pietraszko.

- A ja mówię France, że możliwe, niech no tylko aparatu poszuka!!! - darła się babcia, kiedy pokonywałam ostatnią kondygnację.

- Jestem! - krzyknęłam zdyszana i znieruchomiałam. Babcia siedziała na łóżku, wystrojona w wyjściową garsonkę z koronkowym żabotem i podróżny kapelusik z kokardą. Bose stopy trzymała na wypchanym do granic możliwości żółtym sakwojażu i rzucała, czym miała pod ręką, w bladą jak ściana Pietraszkową.

- O! Właśnie! Jesteś! - ucieszyła się na mój widok. - Najsampierw wypłać, moja droga, tego wsiowego zawołoka i odpraw w trymiga. A zaraz potem połącz mnie z Ernestem. Muszę się zapowiedzieć.

Pani Pietraszko spojrzała na mnie ze zgrozą w oczach.

- Dziękuję bardzo - szepnęłam, stając tuż za jej plecami.

- Już ja sobie z nią poradzę.

- A ty czego tak paszczę rozkołupała? Połącz mnie, jak ciebie po dobry woli proszę! - zażądała babcia natychmiast po jej wyjściu.

- Z kim? Z dziadkiem? - upewniłam się, czy aby dobrze słyszę.

- Ty głucha czy głupia? - ofuknęła mnie nadąsana. - Taż mówię, a?

- Ale... Przecież dziadek... - zawahałam się przed wypowiedzeniem słów: już dawno nie żyje.

- Albo mnie za głupią masz? - weszła mi w słowo, jakby czytając w moich myślach. - Tobie zdaje się, że ja już całkiem bez tołku na stare

lata została się? I że ja nie wiem, gdzie ty to ustrojstwo diabelskie wyniosła? Ano śmigaj ty na strych i dawaj mnie to tutaj!

- Ale... Ale... babciu... - próbowałam wydobyć z siebie jakiegokolwiek sensowne zdanie.

- Mnie się zdaje, Klarcu, że ty nigdy jąkata nie była. A teraz kałaszesz się jak popsuty gramofon. Idź no na ten strych, jak ci mówię, a przynieś mnie tę machinerię. Z Ernestem komunikowała się będę.

- Przez odkurzacz??!!! - wykrzyknęłam zdumiona, domyślając się mgliście, że to o tę właśnie machinerię babci chodzi.

- A ty myślisz, że na co ja jego z domu wyzbyć się chciała?

- Na co? - spytałam bezmyślnie.

Babcia skinęła na mnie ręką. Zbliżyłam się ostrożnie do łóżka.

- Ażeby mi dusza Ernestowa po domu nie wyła - oznajmiła szeptem.

- Ale i dobrze, że ty jego nie potopiła. Dzisiaj w sam raz on mnie się nada.

- Ale dlaczego miałaby wyć? - spytałam, czując w głowie coraz większy mętlik.

- No jak to? - sarknęła babcia niecierpliwie. - To ty nie wiesz, że umarłak, swoją przyrodzoną zdolność mowną utraciwszy, w zwierzę albo i z braku zwierza w jakąkolwiek rzecz wstąpić potrafi, ażeby żywym naprzykrzać się?

- Babciu... Zmiłuj się! - załamalam ręce. - Po cóż dziadek miałby ci się naprzykrzać i wyć?

- Oj! - Babcia machnęła ręką. - On zawsze za życia swoje do powiedzenia miał, to i teraz by nie odpuścił. Już ja by jego zawsze po głosie poznała, gdzie by nie wlaźł i jakby cienko nie buczał. Idźże wreszcie po ten elektroluks!

Z trudem staszczyłam upragniony przez babcię sprzęt, na wszelki wypadek z całym oprzyrządowaniem, rurami, szczotkami i ssawkami.

- Masz - wysapałam, kładąc wszystko u jej stóp. - Tylko mów porządnie - napomniałam, sama już chyba zaczynając wierzyć w babcine fanaberie. - Dziadek nie lubił, kiedy zaciągałaś kresowszczyznę.

- Nie tu! - wrzasnęła babcia. - Do kuchni! Zanieś, zapuść i zamknij drzwi! A mówiła będę, jak mnie się zechce! - Tupnęła groźnie i podrepotała za mną.

Rada bym oczywiście posłuchać, czego będzie dotyczyć owa konferencja, ale zgodnie z życzeniem babci wycofałam się dyskretnie. Odkurzacze buczał jednostajnie, a ja w poczuciu totalnej beznadziei bujałam się w fotelu, z oczami utkwionymi w babcinym bagażu. Pomyślałam sobie, że skoro dziadkowie nie widzieli się taki szmat czasu, ich „pogawędka” potrwa wystarczająco długo, by rzucić chociaż okiem na jego zawartość. To by mi może dało jakiś nikły ogląd sytuacji... Niestety, ledwie omiotłam zdumionym wzrokiem wierzchnią warstwę, odkurzacze umilkł i babcia natychmiast zjawiała się w drzwiach.

- Klaro! - krzyknęła z pretensją, wrywając mi z zastygłej dłoni... flaszkę wódki!

- Na co... ci to wszystko? - spytałam, wskazując na butelki z innymi trunkami wysokowymi, karton papierosów, konserwy i całe sterty czekolady. - To kontrabanda jakaś czy co?

Normalnie, przyłapana na podobnym postępkach, pewnie zapadłabym się pod ziemię. Jednak zdumienie i szok opanowały mnie doszczętnie, nie pozostawiając odrobiny miejsca na wstyd.

- A co ty myślisz? Że Ernest ma tam wszystkiego pod dostatkiem? Gościniec mu biorę!

- Nnno... Aha! - wyjąkałam, godząc się z faktem, że i tak nie jestem w stanie nadążyć za tokiem rozumowania babci.

- No tak!

- Chodź, usiądź tu koło mnie, moja droga. - Babcia rozpromieniła się nieoczekiwanie i popchnęła mnie w stronę kanapy. - Tutaj! O, tak! - Posadziła mnie jak bezwolny manekin, sama zaś umościła się obok.

- Bo widzisz - pogładziła mnie po głowie starczą, drżącą dłonią - skoro się już Ernestowi zapowiedziałam, wypadłoby nam jakoś się pożegnać... Posłuchaj mnie, Klarcu! - Babcia, widząc, że chcę coś powiedzieć, potrząsnęła mną gwałtownie. - Posłuchaj!!! Ja... może nigdy nie umiałam... dać ci... e... tego wszystkiego, co powinnam, ani ile bym chciała, ale wierz mi, że właściwie tylko ty mi byłeś w życiu najważniejsza! Pewnie tego nie zrozumiesz, no bo jak, kiedy wszystko wygląda inaczej? Już nie naprawię, czego naprawić się nie da. Postanowiłam wtedy coś ci po sobie zostawić, ale bardzo bym chciała, żebyś wzięła wszystko albo nic! Same tylko pieniądze szczęścia nie dają, zwłaszcza jak ktoś do nich nienawykły... Dlatego...

- Babciu! - Tym razem to ja potrząsnęłam staruszką, by zakończyć ten jej przerażający wywód.

- Dlatego - kontynuowała podniesionym głosem - ja już od dawna o tym myślałam. I załatwiłam sprawę tak, że wszystko będzie zależało od ciebie. Od twojej roztropności i od twojej woli... Ja... nigdy jej nie miałam zanadto, dlatego moje życie plotło się bez tołku... Kto chciał, ten czmuchał, ot, i sypało się życie moje jak chatynka z kart! Ale jeśli ty jesteś choć trochę podobna do swojego ojca, poradzisz! Bo ja widzę, że jesteś... Tylko pamiętaj, kiedy jesteś pewna swego, nie zważaj na nikogo i na nic! I nie słuchaj się nikogo, bo twoje życie jest twoje i jak przyjdzie co do czego, nikt go za ciebie nie przecier pi. Ułóż je sobie, Klarcu, solidnie, póki czas, nie odkładaj niczego na jutro, bo ani się nie obejrzysz, a jutro przemieni się we wczoraj i będzie już tylko to, co za tobą i ono nie da ci zaznać spokoju. Pamiętaj, Klarcu, sama się i sama zbieraj żniwo. Sama! - Babcia westchnęła głęboko i opuściła głowę, a mały, fikuśny kapelusik zsunął się jej na czoło.

W tym momencie żółty sakwojaż wyturlał się spod jej stóp i zamknął się z głośnym trzaskiem.

3. Co, komu i z jakiej parafii?

Bylec podtrzymał mnie pod ramię tak troskliwie i sumiennie, że jeszcze chwila, a zawisłabym nad marmurową podłogą cmentarnej kaplicy.

- Puść mnie! - warknęłam półgębkiem.

- Przecież musisz mieć przy sobie w takiej chwili jakieś solidne i życzliwe oparcie - odszepnął.

- Nie, nie muszę! Nie zamierzam tu zresztą mdleć ani się słaniać. Puszczaj!

Bylec rozejrzał się z głupawym uśmiechem po twarzach zgromadzonych, puścił moje zdrętwiałe ramię i zamiast tego objął mnie w talii. Zrobiło mi się gorąco.

- Nie-do-ty-kaj-mnie! - wycedziłam przez zęby i spróbowałam się choć odrobinę od niego odsunąć.

Nic z tego. Mój gorliwy opiekun postępował za mną krok w krok, uczepiony jak rzep. Czułam, że zaczynam się pomału gotować od środka. Babcia Alicja leżała wśród mnóstwa kwiatów, cichutka i spokojna, a błędzące po jej twarzy refleksy od płomieni świec sprawiały wrażenie, jakby od czasu do czasu uśmiechała się do mnie. Chciałam podejść bliżej, pobyc z nią sam na sam, pokontemplować... Zrobiłam jeszcze jeden desperacki wysiłek: uklękłam gwałtownie, a następnie wstałam i jednym susem skoczyłam na drugą stronę trumny. Bylec oczywiście podążył za mną. Jedną ręką ułapił mnie w pasie, drugą zaś wygmerał z kieszeni chustkę, którą przetaił mi troskliwie twarz. Tego było już zdecydowanie za wiele. Bez żadnych ceregieli zdjęłam jego łapę ze swojej talii.

- Odejdź ode mnie - poleciłam półgłosem. - Na odległość co najmniej czterech kroków!

Odczekałam chwilę, żeby to, co powiedziałam, wystarczająco do niego dotarło, i wróciłam na swoje poprzednie miejsce. Wreszcie mogłam się skupić. Ale się nie skupiłam, gdyż właśnie teraz poczułam z całą in-

tensywnością wlepione we mnie dziesiątki oczu. Być może, wbrew temu co mi się wydawało, wszyscy doskonale widzieli rozgrywające się między mną i Bylcem nieme sceny? A może obserwowano mnie tylko dlatego, że większość przybyłych na pogrzeb osób widziała mnie, podobnie jak ja ich, po raz pierwszy w życiu? Rozejrzałam się nerwowo dookoła. Kilka metrów ode mnie stał młody ciemnowłosy mężczyzna i nie spuszczał ze mnie wzroku. Miałam wrażenie, że skądś znam tę twarz, ale никак nie potrafiłam jej dopasować do żadnego realnego kontekstu. Mniejsza z tym - pomyślałam. - Grunt, że znalazłam źródło tego przytłaczającego uczucia. Teraz wystarczyło tylko odwrócić się do niego tyłem...

Przez resztę nabożeństwa walczyłam z bezładem swoich myśli, usiłując je jakoś wytłumaczyć, by skoncentrować się wyłącznie na babci. Ciągłe jednak wciskały mi się w ten główny, z trudem przywracany wątek rozmaite pytania, jakieś całkiem nieadekwatne do chwili strzępki wspomnień, wątpliwości i problemy. A właśnie - pomyślałam z niepokojem - gdzie są moi rodzice? Uprzytomniłam sobie nagle, że przecież nie widziałam ich pośród żałobników. Znowu zaczęłam się dyskretnie rozglądać, ale napotkawszy wzrok wgapionego we mnie mężczyzny, dałam spokój. Nie, nie dałam spokoju, po prostu stanęłam z pozoru spokojnie. Bo tak naprawdę niepokój rósł we mnie coraz bardziej, napędzając mój system nerwowy do granicy przyzwoitości, za którą czaił się, gotowy do dzieła, gwałtowny wybuch hysterii. Zaczęłam dla uspokojenia klepać zdrowaśki. Jednostajny, równomierny rytm szeptanych słów pozwolił mi się wyciszyć na tyle, że dotrwałam do końca.

Ceremonii pochówku nie pamiętam prawie wcale. Jedynie krótką migawkę, obraz wpuszczanej w ziemię trumny, a potem te twarze, w nieskończoność przesuwające się przede mną, szepczące wyrazy współczucia i głębokiego żalu... I ten młody mężczyzna, który przyglądał mi się w kaplicy, może trochę wyraźniejszy niż inni, trochę bardziej realny, trójwymiarowy...

Po wyjściu z cmentarza spotkałam rodziców. Ulga, jaką odczułam na ich widok, przywróciła mnie do rzeczywistości i dodała sił do przetrwania kolejnego punktu programu: stypy.

•

Na wspomnienie stypy i utrwalony jakoś mimowolnie obraz zastawionych stołów poczułam gwałtowne ssanie w żołądku. W pierwszej chwili

pomyślałam, że może wypadaloby się jakoś ubrać i przygotować w miarę sensowny posiłek, ale natychmiast potem doszłam do wniosku, że w zasadzie nic nie zabrania mi snucia się po domu w szlafroku i podżerania byle czego bezpośrednio z lodówki. Zabrałam ze sobą portret babci Alicji i udałam się z nim do kuchni. Skoro bowiem moje rozważania dotyczyły jej osoby, nie mogły się przecież odbywać za jej plecami...

Nałożyłam sobie na talerz po dwa plasterki żółtego sera, szynki, pomidora, pół puszki zielonego groszku i okrasiałam to wszystko łyżką majonezu. Sałatka... nowopanieńska! – oznajmiłam babci i przystąpiłam do konsumpcji. Gdyby był tu On, mój posiłek wyglądałby całkiem inaczej... Nie, to ja wyglądałabym inaczej... Bo to, jak wyglądam, jest również moją swoistą formą przekazu. Szlafrok, który mam w tej chwili na sobie, oznacza: teren prywatny! Czas, który spędzam w szlafroku, jest tylko dla mnie, nie mam ochoty dzielić go z nikim i niczym! Ale mogłoby też oznaczać, że nie muszę wyglądać przyzwoicie, bo nie mam dla kogo...

Tak właśnie odpowiedział Bylec, kiedy go spytałam, dlaczego łązi jak ostatnia fleja. Ale to było już po rozwodzie. Na identyczne pytanie, zadane mu niedługo po ślubie, odpowiedział, że nie musi być codziennie elegancki, bo i po co... Z tego wniosek, że niektórzy mają kolorowe piórka wyłącznie w okresie godowym. I nie ma się co oszukiwać ani nawet mieć o to pretensji do natury. Po prostu cały ten dobór naturalny to nic innego jak jedna wielka akcja marketingowa, zmierzająca do znalezienia jak najlepszego kupca na własne walory. Za pomocą, oczywiście, szerokiej gamy rozmaitych reklamowych chwytów... A On? W jakim stopniu Jego wizerunek, jaki postrzegam teraz, jest autentycznym, a ile w nim retuszu i pozy? – pomyślałam, dziwiąc się jednocześnie oczywistości powyższej konkluzji.

Rzecz w tym, że jakość nabytego towaru sprawdza się dopiero w trakcie użytkowania i nie ma siły, żeby taka czy inna usterka w końcu nie wylazła... Najczęściej jednak drobne fabryczne wady da się zniwelować za pomocą złotego środka, zwanego kompromisem. W przypadku moim i Piotrka ów cudowny środek na nic się zdał, ponieważ, żeby nie wiem jak nim obracać, ustalenie osi symetrii nigdy nie było możliwe. Choćby z uwagi na powód, dla którego za niego wyszłam. To on przede wszystkim sprawiał, że już na starcie środek „środka” był daleko po stronie Piotrka... Lata całe trwało, przy aktywnym wsparciu Grażynki,

zanim zrozumiałam, że to ja mu zrobiłam przysługę, wychodząc za niego, a nie on mnie... A w każdym razie, że jeśli miałam pod tym względem wobec niego jakiś dług, to spłacałam go już dawno oraz z nawiązką...

No właśnie... Piotrek najwyraźniej nie umiał zajarzyć, że rozwód jest równoznaczny z zakończeniem małżeństwa, a co za tym idzie, jakichkolwiek wzajemnych roszczeń, praw i obowiązków. To znaczy: jego praw i moich obowiązków. I nieodmiennie się dziwił, a nawet bulwersował, że na hasło: wyprasuj, wypierz, kup, zwykłam teraz odpowiadać: sam se! Toteż na stypie babci Alicji całkiem swobodnie robił za gospodarza i, że tak powiem, pana domu. Sadzał gości, dyrygował i rozporządzał. W zasadzie niewiele mnie to strzykało, dopóki nie uznał, że jego miejsce przy stole znajduje się po mojej prawicy.

- Sorki, Piotruś. - Pochyliłam się nad nim, jak tylko umieścił swój rodzinny zadek na krześle obok. - Ale te miejsca są zarezerwowane dla moich rodziców.

Nie czekając na odpowiedź, usadziłam rodziców po obu jego stronach, sama zaś utkwiałam wyczekująco za jego plecami. Chcąc nie chcąc, Bylec wstał, a ja, obwarowawszy się przezornie matką i ojcem, zajęłam środkowe krzesło.

- Cieszę się, że jesteście - szepnęłam do obojga.

Tata złapał mnie kurczowo za rękę, tylko w ten sposób dając wyraz swoim uczuciom. Żadne z nich się nie odezwało. Rozumiałam bardzo dobrze. Bo po cóż szukać zbędnych słów, rzucać wytarte slogany bądź silić się na jakieś banały bez znaczenia, kiedy prawdziwe uczucia, cisnące się na usta, były nie do wypowiedzenia? Na pewno nie było im łatwo. Mnie też, ale ojcu z pewnością inaczej... Chociaż chyba liczył się z tym od dawna, że jego kolejne spotkanie z matką po trzydziestu paru latach niewidzenia odbędzie się w takich właśnie okolicznościach... Tata nie mówił zazwyczaj więcej, niż wymagała tego konieczność, a ponieważ charakter imprezy nie narzucał konieczności wzajemnego zabawiania się rozmową, nie mówił prawie nic.

- A może przeniosłabyś się do nas? - zagaiła w którymś momencie mama. - W zasadzie... teraz... - Chrząknęła niepewnie i umilkła.

No tak, teraz nic mnie już tu nie trzyma - dopowiedziałam sobie w myśli.

- Nie, mamusiu - westchnęłam. - Nie chce mi się już niczego zmieniać. To znaczy, ponad to, co się zmieniło...

- No właśnie - odezwał się po raz pierwszy tata. - Jakie masz teraz plany?

- Plany? - zdziwiłam się, bo niby dlaczego miałabym mieć jakieś plany? To znaczy, jakieś inne niż do tej pory.

- No tak - skinęła głową mama - bo nam się zdawało, że w zasadzie... mogłabyś... - tu znowu urwała i spojrzała na ojca, jakby czekając na zaaprobowanie swoich słów.

Odkąd pamiętam, mama zawsze stała w jego cieniu. Uległa, posłuszna i cicha. Jego zdanie zawsze było jej zdaniem, jego gusta jej gustami, jego decyzje zaś jedynie słuszne i bezdyskusyjne. I nigdy nie zauważyłam, żeby taki stan rzeczy był dla niej przykry, przeciwnie: mama, zapatrzona w swojego mężczyznę jak w święty obraz, sprawiała wrażenie szczęśliwej, żyjąc tak, jak żyła.

- Otóż to - potwierdził ojciec, ku błogiemu zadowoleniu mamy. - Ja bym ci radził rzucić wszystko i się stąd wynieść. Rozważ to, córko. Twój pokój ciągle stoi pusty. A potem... się zobaczy.

Spoglądałam zdziwiona to na jedno, to na drugie, ponieważ od dawna trwałam w przekonaniu, że rodzice przestali już ingerować w mój żywot. Że pogodzili się z moim ślubem, a później rozwodem, i mimo iż obojgu bardzo leżał na sercu mój los, dali mi wolną rękę. To znaczy ojciec dał, a matka jak zwykle przyjęła to z cichą aprobatą.

- Ale dlaczego? - spytałam w końcu.

- Bo - odparł tata po chwili - to jest teraz niedobre miejsce. Bardzo niedobre!

Niestety, dokładnie od tegoż dnia zaczęłam krok po kroku przekonywać się, ile prawdy było w jego słowach...

•

Rodzice odjechali pierwszym przedwieczornym pociągiem. Tata długo trzymał mnie w uścisku, przekazując mi w ten niewerbalny sposób wszystko, co chciał przekazać. Oczywiście, jak zwykle, rozumiałam... Oboje z ojcem od zawsze posiadaliśmy jakąś tajemną właściwość, pozwalającą nam porozumiewać się bez jednego słowa. Nie umieliśmy, co prawda, czytać w swoich myślach, za to doskonale rozumieliśmy się na

poziomie uczuciowo-emocjonalnym. Zaraz potem mama przytknęła do mojej twarzy swój wilgotny policzek i zanim zdążyłam ustalić, że wszystko, co się dzieje wokół mnie, na pewno nie jest snem, już ich nie było...

- Przepraszam najmocniej - zwrócił się do mnie, nie całkiem jeszcze przytomnej, jakiś zażywny jegomość w stalowym trzyczęściowym garniturze. - Czy pani raczy nas może gdzieś przenocować? My przyjezdni, z daleka...

- A, tak, oczywiście! - przytaknęłam skwapliwie, gdyż za radą Grażynki oraz przy wydatnej pomocy jej samej i pani Pietraszko byłam przygotowana na taką ewentualność.

Obie kobiety przez cały wczorajszy dzień pucowały willę babci Alicji, zamieniając każde możliwe pomieszczenie na pokoje gościnne. Zaopatrzyły także sownie lodówkę i na wszelki wypadek również barek.

- Jestem, hm... że tak powiem, spadkobiercą. - Facet najwyraźniej wziął dość tępy wyraz mojej twarzy za oczekiwanie na prezentację. - Po, że tak się wyrażę, babci szanownej paniusi - dorzucił. - August Dziejko jestem. A to jest moja żona, Władysława. - Wyciągnął zza pleców wysoką, żylastą kobietę.

- Bardzo mi miło - odparłam bezmyślnie i obdarzyłam oboje uściskiem dłoni.

- Pani pozwoli - dołączył teraz do naszej trójki inny jegomość - że i ja się przedstawię, gdyż do tej pory raczej nie mieliśmy przyjemności. - Facet, o ile się nie mylę, dość niechętnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. - Jestem bratem nieboszczyka dziadka pani. Nazwisko raczej nic pani nie powie... Sochowicz jestem. Jan Sochowicz.

- A zatem jest pan jego przyrodnim bratem?

- Nie, moja droga. Najprawdziwszym! - fuknął wzburzony.

- Jeszcze tu gdzieś jest... Gdzieś powinien być... A, do diaska z nim! - Machnął ręką, po czym wyciągnął ją w moją stronę.

- Przepraszam najmocniej... - wyjąkałam, czując, że uraziłam go jakoś, choć sama nie miałam pojęcia jak.

Funkcjonując przez ostatnie dwie doby jedynie dzięki prochom, bez jednej godziny snu i o nędznym pożywieniu, miałam oczywiście prawo do pewnego otępienia. Jednak wydawało mi się, że nazwisko rodzonego brata własnego dziadka coś mi chyba powinno mówić. Ale rzeczywiście,

nie mówiło... Potem jeszcze przyplątała się do nas jakaś kuzynka z małym dzieckiem, sama już nie wiem, z czyjej strony lub po jakiej kądzieli. Wszyscy domagali się noclegu.

- Pozwól, kochanie. - Poczułam nagle gwałtowne szarpnięcie za ramię. - Co ty wyprawiasz? - syknął mi w ucho Bylec, odciągając mnie od gości. - Przyjmujesz do domu zgraję obcych ludzi, nawet nie fatygując się dowiedzieć, kim naprawdę są? A może to złodzieje, rzeźmieszki? Okradną nas, ogołocą, zanim się obejrzymy!

- A niech kradną, na zdrowie! - Wzruszyłam ramionami.

- Oszalałaś? - Bylec aż zakipiał z oburzenia. - Ja wiem, że jesteś teraz w stanie szoku, ale ktoś przecież musi tutaj myśleć rozsądnie!

- Znaczy się... ty?

- A tak, ja!

- No to proszę cię bardzo, myśl! - zgodziłam się łaskawie.

- Ale żebyś się nie nadwerężył, czuję się w obowiązku o czymś cię poinformować...

Nie wiem, co za diabeł podsunął mi ten zamysł, może po prostu odrodził mi się nagle dawno nieużywany instynkt samozachowawczy. Skinęłam na Piotrka i pochyliłam się w jego stronę.

- No? - spytał szeptem, dysząc z ciekawości.

- Powiem ci w sekrecie, że choćby chcieli, nie mają mnie z czego ograbić. Bo babcia jest najzwyczajniej goła i bosa!

- Jak... to?

- A tak! Goła, bosa, a dom jest zadłużony po pachy!

- Nie mów! - wyjęczał Bylec.

- Mówię!

Piotrek podreptał przez chwilę w miejscu, targany najwidoczniej jakimiś sprzecznymi uczuciami.

- Och! - Uśmiechnął się po chwili, z dobrze rozegraną ulgą na twarzy. - Kamień z serca! Więc jesteś całkiem bezpieczna?

- Całkowicie.

- To wobec tego... ja może jeszcze coś zjem. - Odwrócił się na pięcie i ruszył ku całkiem jeszcze gęsto zastawionemu stolowi.

•

Pierwszy poranek po pogrzebie babci przywitałam tępym bólem głowy.

- O, cholerka! - mruknąłam, wyskakując z łóżka. W jednej sekundzie uświadomiłam sobie, że oto znajduję się w jej sypialni, a na dole kłębi się pewnie bezradna horda głodnych i spragnionych obcych ludzi. Po pobieżnej toalecie wrzuciłam na siebie tę samą co wczoraj czarną sukienkę, związałam włosy w niedbałą kitkę i zbiegłam do gości. Wbrew moim obawom radzili sobie doskonale. Zastałam ich w salonie, posilających się tym, co znaleźli w szafkach, lodówce oraz barku.

- O! Jest i nasza gospodyni! - zakrzyknęła na mój widok kuzynka niewidomo-czyja i pchnęła ku mnie pyzatego wyrostka w wieku wczesnopodstawowym. - Bartoszkule, przywitaj się z ciocią! - zażądała stanowczo. - Bo zdaje się, że wczoraj nie mieliśmy okazji się sobie przedstawić?

- Raczej nie...

- Bernadka jestem. A to jest mój synek. Bartoszkule! No, przywitaj się z ciocią!

- Ja nie mam takiej cioci! - Bartoszek podejrzliwie przewiercił mnie wzrokiem.

- Ależ masz, hi, hi! - Bernadka zachichotała nerwowo.

- Tylko do tej pory jej nie znałeś!

- Proszę go nie zmuszać, jak nie chce. Potem się przywita, jak się trochę oswoi. Prawda, Bartoszkule? - uśmiechnęłam się do obojga niezszybczyście.

- Nie! - oznajmił Bartoszek i wyrwał się matce z objęć.

- No cóż - zwróciłam się do wszystkich. - Niestety, nie znaliśmy się do tej pory, ale miło mi, że się państwo tak swobodnie rozgościli. Powinam była wstać wcześniej, ale nie mogłam wczoraj zasnąć i...

- A niechże się panusia nie sumituje - poderwał się z miejsca jegość o imieniu August, Dziejko zdaje się, jeśli dobrze zapamiętałam. - Pogrzeb jest przykra rzecz, a naturalnym prawem organizmu jest każdą przykrość uczciwie odespać. Moja żona Władysława z obecną tutaj panią Bernadetką zakrzętnęły się koło nas godziwie.

Władysława uśmiechnęła się skromnie znad filiżanki.

- Serdecznie prosimy panią do siebie! - zakrzyknął dziarsko.

- Na śniadanko, na kawkę! Władzia, postaw no wodę na gaz!

Władzia posłusznie ruszyła w stronę kuchni i już po chwili siedziałam razem ze wszystkimi, z identycznym zestawem śniadaniowo-relak-

sującym przed sobą. Pogwarzaliśmy przez chwilę na tematy neutralne i tylko jeden z gości, akurat ten, o którym wiedziałam z grubsza, kim jest, czyli rodzony brat dziadka, milczał tajemniczo.

- Ładny dom nieboszczka sobie wyszykowała - mlasnął w pewnym momencie August, rozglądając się dookoła. - Obszerny, gustowny, bogaty...

- No, może niedokładnie. - W tym momencie stryj zabrał głos po raz pierwszy. - Ja bym powiedział raczej: w ładny dom się nieboszczka wzięła. I w ładny majątek...

- A cóż to za różnica? - zdziwił się August. - Majątek jest majątek, nabyty czy wrodzony, ganz egal!

- I tu pan się myli! Inaczej sprawa wygląda dla tego, kto na rzeczy skorzystał, a inaczej dla tego, który z prawnie mu przysługujących zasobów został odarty! W sposób zimny i cyniczny!

- Oj, tak! Tak, tak! Tutaj masz pan najprawdziwszą rację!

- August pokiwał smętnie głową.

- Znaczą się... że co panowie mają na myśli? - wtrąciła się Bernadka z pytaniem, które sama miałam ochotę im zadać.

- À propos - zwrócił się do mnie stryj, zostawiając Bernadkę bez odpowiedzi. - Czy nieboszczka zostawiła może jakiś legat?

- Le... legat?

- Albo ustną dyspozycję, ma się rozumieć, w obecności świadków?

- Raczej nie, stryju, w każdym razie nic mi na ten temat nie wiadomo...

- Nic nie szkodzi - mruknął, wpadając mi w słowo. - Ostatnia wola nieboszczki i tak nie miałyby mocy prawnej. Być może w tym miejscu panią zaskoczę, ale nie jestem jej stryjem. Nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Podobnie zresztą jak między moim bratem, Ernestem, a pani ojcem, a co za tym idzie, panią i pani potomstwem. Jesteśmy całkiem obcy dla siebie ludźmi, a zważywszy na fakt, iż babka pani nigdy nie była żoną mojego brata, wszelkie roszczenia spadkowe z pani strony będą bezzasadne...

- Ale... ja... nie mam potomstwa - podjęłam jedyny wątek, jaki z powyższego wywodu zrozumiałam.

- Tym lepiej, droga pani. Tym lepiej! - stwierdził chłodno już nie stryj, tylko Jan jakiś-tam, i umoczył usta w filiżance.

- No, panie! - August już od dobrej chwili marszczył brwi i wywracał oczami. - Ja żem jest tu na okoliczność wdowy nieboszczki i wiem, że ona z gołym zadkiem w ten interes nie weszła! Przeciwnie! Powiedziałbym nawet, że to braciszek pański na tym ożenku niemało zyskał!

- Żadnego ożenku nie było!!! - Jan uniósł się z miejsca i dla lepszego zaakcentowania kwestii pochylił ku Augustowi.

- No i bardzo dobrze! Jeśli pan nie łiesz, oczywista. W takim razie skarb w całości mnie i mojej żonie przynależy się!

- Jaki... skarb? - spróbowała wtrącić się ponownie Bernadka.

- Skarb mojego przodka, z którym nieboszczka, niech jej ziemia leką będzie, z pańskim bratem - tu wycelował paluchem w Jana - podstępnie uciekła!

- Skarb? - prychnął Jan. - Chyba że ma pan na myśli tego bękarta, którego w posagu Ernestowi wniosła?

- Mam nadzieję, że to nie było o moim ojcu... - syknęłam przez zęby.

- Mamusiu, ten pan się przezywaaaa! - ryknął znieczeka Bartoszek, ładując się matce na kolana.

- Nie, kochanie, to nie o tobie. - Bernadka zamknęła synka w czułym uścisku. - Panu chodzi o innego... dzieciaka.

- No właśnie, jaki bękart? - Ponownie spróbowała wciąć się w dialog, ale i tym razem jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Przepraszam najmocniej!!! - krzyknęłam wreszcie nad głowami gości, które natychmiast zwróciły się w moją stronę.

- Ale wydaje mi się, że powinnam być chyba zorientowana, o czym państwo tutaj dyskutują. A nie jestem, nic, a nic! Jakby nie było, przyjechaliście na pogrzeb mojej babci, prawda? Nie dość, że nie znam niko-go z was, to jeszcze wygadujecie takie rzeczy, że zaczynam wątpić, czy aby na właściwy pochówek trafiliście!

- A zatem niezły pasztet nam się kroi... - mruknął pod nosem Jan.

- Ja bym rzekł, że bigos nawet - poparł go August.

- Jaki pasztet? Jaki bigos? O co chodzi?

- Chodzi o to, że paniusia najwyraźniej nie wie, o co chodzi. A to już, że tak powiem, mały klops! - wyjaśnił mętnie August.

- Ludzie! - wrzasnęłam ponownie, balansując na granicy hysterii. - Może jaśniej, dobrze? I bez tych kulinarnych metafor poproszę!

W salonie natychmiast zrobiło się cicho. Pewnie każdy liczył na to, że ktoś inny pierwszy odkryje swoje karty. Nikt się jednak niestety nie kwapił.

- Dobrze - skapitulowałam po chwili. - Proszę mnie zatem objaśnić, co to za jakaś bzdura, że babcia i dziadek nie byli małżeństwem?

- Nie byli, moja droga. - Jan rozłożył szeroko ręce. - Takie są fakty.

- Poparte... czym? - Zamieniłam się w słuch.

- Rzecz jest całkiem prosta, choć niebanalna. Ernest nie mógł ożenić się z babką pani, gdyż ona - w tym miejscu Jan nieznacznie chrząknął - już była mężatką. To znaczy, nie była byłą mężatką, ale kobietą aktualnie zamężną. A to oznacza, że wychodząc za Ernesta, popełniłaby bigamię. Stąd też, szanowna pani, ta różnica nazwisk. Mój brat, nie mając w zasadzie innego wyjścia, przyjął nazwisko swojej... ehm... konkubiny... oraz pasierba. Wiążąc się z... tą kobietą, musiał oczywiście wyprowadzić się na drugi koniec kraju, inaczej cała ta rozszada z nazwiskami byłaby bezsensowna. Ale niestety, konieczna. Brat jako świetny lekarz nie mógł sobie pozwolić na sytuację rodzinnie niejasną, a nawet, rzekłbym, podejrzaną. Ba! Patologiczną!

- Czy jest pan... - usiadłam, czując gwałtowny zawrót głowy. - Czy jest pan w stanie poprzeć swoje słowa jakimkolwiek dowodem?

- Owszem. To znaczy, nie tu i nie teraz, ale sprawę można wyjaśnić w każdej chwili, w przysłowiowe pięć minut. Wystarczy sięgnąć po akt zgonu Ernesta, w którym napisane jest jak wół: kawaler.

- Chwila! - Uniosłam się gwałtownie z krzesła. - Nie posiadam co prawda aktu zgonu dziadka, ale mam analogiczny dokument dotyczący babci. I tam akurat jest napisane: wdowa!

- He, he! - zarzął z ironią Sochowicz. - Ale po kim? Dane dotyczące współmałżonka odnotowywane są w akcie zgonu tylko wówczas, jeśli ten pozostaje wśród żywych. A Ernest jest kawaler, przez całe życie był i będzie! - zapędził się nieco w swoim wywodzie.

- A, to i dobrze! Nawet bardzo dobrze! - ucieszył się August. - Znaczący się, o ile pan nie blagujesz, oczywista, spółki pomiędzy nami nie będzie!

- O tym może potem - ucięłam krzyki Augusta. - Czy ma pan może, panie Janie, wspomniany dokument przy sobie? - zwróciłam się do nibystryja.

- Pani raczy żartować! - prychnął Jan. - Żebym został posądzony o fałszerstwo? Nie, nie mam. Ale w każdej chwili można się o niego postarać w odpowiednim urzędzie. Nowiutki, nietknięty i poza wszelkimi podejrzeniami.

- Nie omieszkam... - mruknęłam pod nosem. - Dlaczego zatem teraz dopiero dopomina się pan o swoje? Dziadek zmarł przecież dwadzieścia lat temu!

- Dobre pytanie. - Jan uśmiechnął się krzywo. - Ale dopóki ta harpia trzymała łapy na majątku Ernesta, nie było perspektyw!

- A pan, panie Auguste - z trudem zmilczałam tę ostatnią uwagę - jeśli można spytać? Po kim zamierza dziedziczyć? Po dziadku czy babci? I... z jakiej parafii, że się tak wyrażę?

- Ja, szanowna pani - wypiął się z powagą August - nie jestem tu z racji żadnego pokrewieństwa, ale, jak by to ująć... Posiadam status poszkodowanego!

- Rany boskie! A to co znowu oznacza? Kto pana poszkodował?

- Babcia pani, z całym szacunkiem, nieboszczka, niech jej ziemia leką będzie. Omamiła na łożu śmierci dziada mego, którego w malignie się znajdując, skarb rodzinny w całości, bez dania racji jej oddał.

- Babcia? Omamiła? - Jakoś mi ten zwrot nie pasował do Alicji.

- Znaczy się, nie własnoręcznie nawet, lecz poprzez służbę, która się nim w ostatnich dniach zajmowała. Ciężko teraz dociec po latach, co i jak w szczegółach się odbyło, ale do tego my z żoną moją Władysławą doszli. I rzecz jest pewna!

- Aha... A jak się przedstawiał ów skarb, jeśli można wiedzieć? Złoto, brylanty, dolary, dzieła sztuki? - spytałam z przekąsem.

- No... Tego dokładnie nie wiadomo - zmieszał się nieco August. - Tyle wiemy, że ogromnie bogaty był!

- Super! A pani? - Przycupnęłam na oparciu fotela, obok Bernadki. - Do czego i po kim pretenduje?

- Ja? Ja nic nie chcę! - odparła wystraszona. - Ja tylko na pogrzeb krewnej przyjechałam!

Przynajmniej ta normalna jakaś - pomyślałam z ulgą. Niestety, jak się okazało, na krótko.

- Ja jestem... wnuczką brata nieboszczyka męża babci pani. I tylko tak przyjechaliśmy, w ostatniej drodze towarzyszyć. Pomyślałam sobie, że to jedyna i ostatnia okazja rodzinę ze strony tatki poznać...

- Pani z Ledwieniów??? - Janowi aż zaiskrzyły się oczy.

- No, to teraz mamy szansę dojść do prawdy!

- Nie, z Zajączkowskich - wyszeptała Bernadka.

- Zaraz! Jak pani powiedziała? Wnuczką... brata... nieboszczyka męża? - analizowałam na głos.

- No, tak. Znaczy się, córką Grzegorza, a wnuczką Henryka, którego brat Stanisław był mężem pani babci. Ale się powiesił, w czterdziestym ósmym... W jakiś rok po przesiedleniu, bo i my, Zajączkowscy, a także babcia pani z Bieżanki, takiej niedużej poleskiej wioski, się wywodzimy. I gdy przodkom moim przyszło rodzinne ziemie opuścić, wszyscy trafili na zachód Polski, tam gdzie Pan Bóg dał... A potem, jak Stanisław tak haniebnie żywot sobie odebrał, na tym rzecz się urwała. Ja stryjny osobiście nigdy nie zapoznałam, bo wszystko się działo przed moim urodzeniem, ale o, proszę, mam tu zdjęcie.

- Wcisnęła mi w rękę poźółkły kartonik, przedstawiający młodą, bardzo ładną kobietę pośród gromadki bosych, obdartych dzieciaków.

- Alicja uczyła przed wojną w szkole, w tej Bieżance właśnie - ciągnęła Bernadka. - Była bardzo ambitna i wielką karierę jej wróżono, podobno była nawet kierowniczką. Ale prywatnie jej się nie wiodło. I właściwie do dziś nie wiadomo, dlaczego ten stryjo się powiesił...

- To jakiś absurd! - Potrząsnęłam osłupiałą Bernadką. - Jedyne małżeństwo mojej babci, o którym wiem, nazywał się Ernest Ledwień! I zmarł całkiem naturalną śmiercią w osiemdziesiątym ósmym roku!

- Ernest Sochowicz, droga pani, So-cho-wicz! - wtrącił godnie Jan.

- A zatem - puściłam jego uwagę mimo uszu - gdyby pani miała być krewną lub powinowatą nieboszczyka męża babci, to, że tak powiem, wyłącznie po kądzieli! Inaczej musiałyby się pani nazywać Ledwień, i nie ma uprosić! Rozumie pani?

- Rozumiem... - bąknęła Bernadka. - To znaczy, rozumiem, o czym pani mówi, ale bez urazy, proszę mi wierzyć, że ja wiem, czyją jestem wnuczką! Czy... stryjna Alicja za panny nazywała się Firejko?

- Owszem, Firejko.

- No tak, a po mężu Zajączkowska - ucieszyła się Bernadka.

- Nie! Ledwień!!! - wrzasnęłam.
- No to... ja już sama nie wiem - zatroskała się nagle.
- A czy... Czy to zdjęcie coś pani może mówi?

Mówiło mi o tyle, że babcia rzeczywiście w młodości mieszkała gdzieś na Polesiu oraz że przez jakiś czas była nauczycielką, ale nie pamiętam, w jakiej wsi. Jednakże jak na mój gust było to już po przesiedleniu, czyli gdzieś koło Zielonej Góry... Spojrzałam ukradkiem na zegar. Było już grubo po południu.

Pomyślałam, że jeszcze te parę godzin jakoś przetrzymam. Bo przecież wyjazd moich „gości” był kwestią najbliższych kilku godzin...

- Nie, proszę państwa! To jakiś grubszy kryminał! - wpadł mi w sam środek błogich rozmyślań Jan.

- Wobec tego... Ja... Przepraszam bardzo... - jęknęła cicho Bernadka.

- Nic nie szkodzi - odrzekłam wielkodusznie, natchniona rychłą, jak mi się wówczas zdawało, perspektywą wyjazdu tych wszystkich koszmarnych postaci. - Tak czy owak, najwyższa pora zabrać się do jakiegoś obiadu. Państwo, jak widzę, czują się jak u siebie, a zatem nikomu chyba nie zawadzi, gdy zostawię was samych i pójdę między gary.

Uczyniłam niemal radosny zwrot w stronę kuchni.

- A, nie, szanowna paniusiu! - powstrzymał mnie August.

- Ja nie życzę sobie, aby mnie kto wypominał później, że na jego wikcie wraz z żoną moją Władysławą siedzę. Dlategoż teraz oboje udamy się pozwiedzać miasto, gdzie i obiad, i kolację spożyć zamierzamy. Śniadaniem dla nas też proszę się nie kłopotać, nabędziemy, co trzeba.

Mówiąc to, podniósł się z fotela i skinął ręką na żonę swoją Władysławę.

- Jak to... kolację? - spytałam, czując na twarzy gwałtowne uderzenie gorąca. - I... śniadanie?

- A tak to! My, Dziejki, z pradziada mocno na honorze uczulone jesteśmy i na niczyjej łasce siedzieć nie będziemy.

- Całkiem rozsądne postawienie sprawy, szanowny panie - poparł go Jan. - Doprawdy, nie wiem tylko, gdzie ten mój lekkoduch się podział... Ale nie szkodzi, gdzie by nie poszedł, z pewnością tutaj trafi. Przyznam, że i ja planowałem udać się do miasta, więc pani niech się niczym nie fatyguje!

- To znaczy... Pan też ma zamiar zjeść w mieście i kolację, i... śniadanie? - spytałam ze słabą nadzieją, że może choć jeden nosi się z zamiarem wyjazdu.

- A jakże! - odparł godnie. - Nie sądzi pani chyba, że honor Sochowiczów gorszy niż jakichś tam... Dzieczków!

- Dziezków, drogi panie, Dziezków. - August aż zawrócił spod drzwi celem obrony rodzowego nazwiska.

Po ich wyjściu w salonie znów zapanowała cisza. Przykra i napięta, do granic możliwości naładowana jakąś negatywną aurą.

- No cóż - odezwała się w końcu Bernadka. - To my już może będzie się zbierać. Bartoszkule! Chodź do mamuni!

- Nie! - zaproponował Bartoszek. - Nie chcę. W ogrodzie jest huśtawka i gruszki. Ja zostaję!

- Bartoszkule!!!!

- Nie.

- No i widzi pani? - Bernadka uśmiechnęła się przepaszająco. - Jak to dziecko, do natury nawykłe, ku naturze się garnie? Ale ja zaraz doprowadzę go do porządku!

- O której ma pani pociąg? - spytałam, czując się wobec niej jednej jakoś trochę niezręcznie.

- Nie wiem. Ale to nic nie szkodzi, z pewnością jakiś będzie. Sprawdzimy na dworcu, a w razie gdyby był jeszcze czas, również pozwiedzamy miasto.

- Taki miała pani plan? Żeby dziś już wracać?

- Szczerze mówiąc - Bernadka zarumieniła się dość widocznie - nie... Wyobrażałam sobie, że trochę tu z Bartoszką pobędziemy, że poznam krewnych stryjny i wspólnie uda się nam odtworzyć choćby kawałek rodzinnej historii. Bo widzi pani, tak to się jakoś rozsypało, rozjechało po świecie, że w zasadzie dziś już mało co o kim wiadomo. A najwięcej tatuś ciekaw był, ale on od piętnastu lat wyłącznie na wózku się porusza... No więc zabrałam Bartoszkę i przyjechaliśmy, ale... nie spodziewałam się, że tak... tego... A skoro jest, jak jest, to myślę, że na nas już pora.

- Ja też się nie spodziewałam! - wykrzyknęłam z goryczą.

- W najgorszych koszmarach i najczarniejszych snach! Dlatego... Proszę, niech pani zostanie! Dom jest duży, a jeden gość mniej czy wię-

cej to żadna różnica.

- Dwoje - sprostowała Bernadka.

- A niech będzie i dwoje! - zgodziłam się prędko. - Przecież nikt was stąd nie wygania...

4. Jeszcze jeden pazur na gardle

Miałam wrażenie, że od pogrzebu babci uczę się żyć na nowo. Zaczynałam dostrzegać rzeczy zbyt oczywiste, by móc je dostrzec na co dzień, i zbyt proste, by się kiedykolwiek nad nimi zastanawiać...

Na przykład, jak bardzo nasze życie jest dla nas niewiadomą, jak szczelnie zakryte są przed sobą poszczególne dni, godziny, a nawet minuty! Jest to jedna z tych prawd, które dzięki swej prostej oczywistości jakby przestały nas dotyczyć. Człowiek patrzy więc w przyszłość w kategoriach nieskończonej, niezmiennej powtarzalności, planując coś lub choćby żywiąc przekonanie, że to czy owo będzie wyglądało tak czy owak. A tu raptem wystarczy kamyk na drodze, by szlag trafił jakiś trybik w maszynie, a za nim kolejny i kolejny, powodując tak potworny chaos, że monotonne i beznadziejne wczoraj nagle zaczyna się wydawać rajem utraconym... Znalazłszy się w tak nagłej i nieoczekiwanej dla siebie sytuacji, dość szybko zaczęłam utożsamiać ową monotonię z poczuciem bezpieczeństwa, beznadzieję zaś – z poczuciem życiowej stabilności. Zamierzałam zresztą jak najszybciej tamten sielski, jak mi się naówczas wydawało, stan rzeczy odzyskać...

Postanowiłam sobie zatem z moimi „gośćmi” porozmawiać. Ustalić pewne rzeczy, poznać w zarysie ich oczekiwania i plany. W swojej naiwności wyobrażałam sobie, że rozmowa będzie szczerą i zaowocuje jakimś rozsądnym kompromisem. Ubrałam się zatem znacznie staranniej niż poprzedniego dnia, ułożyłam włosy, zrobiłam nawet subtelny makijaż. Zamierzałam zacząć od efektownego entré. Nie jestem pewna, czy mi się udało, w każdym razie na mój widok ucichły wszelkie rozmowy.

- Dzień dobry - przywitałam się chłodno, nalałam sobie kawy i usiadłam. - Jak się państwu spało?

- Całkiem, całkiem! - odparł beztrosko August, w imieniu swoim i jak sądzę, żony Władysławy.

- Dziękuję - mruknął powściągliwie Jan.

- A nam spało się wyśmienicie! - uśmiechnęła się szeroko Bernadka.
- Prawda, Bartoszk?

- Prawda! - Po raz pierwszy usłyszałam z jego ust odpowiedź twierdzącą.

- Wobec tego - aby być lepiej widzianą i słyszaną, uniosłam się z fotela - może państwo podzielą się ze mną swoimi najbliższymi planami? Zapewniam, że nie powoduje mną niezdrowa ciekawość, ale po prostu uważam, że należy jakoś tę sytuację uregulować. Wydaje mi się ponadto, że im szybciej to się stanie, tym zdrowiej będzie dla nas wszystkich.

- Ja mogę mówić tylko za siebie. - Jako pierwszy zabrał głos Jan. - Otóż, oczekuję, że dorobek życiowy mojego brata trafi wreszcie w całości do prawowitego właściciela. Zamierzam wpierw doprowadzić do jego oszacowania, a następnie przejęcia przez jedyne go prawnego spadkobiercę.

- Zaraz, zaraz! - zaperzył się August. - A mój skarb? Ja także zamierzam odzyskać, co mnie się tutaj należy!

- Oczywiście - przyznałam ze spokojem. - Proszę tylko określić, co konkretnie i jakiej wartości ma pan na myśli.

- Na myśli to ja mam, paniusiu szanowna, wartość około jednego miliona!

- O? - zdziwił się szyderczo Jan. - A nie dalej jak wczoraj nie miał pan jeszcze bladego pojęcia, jak ów skarb się przedstawia!

- Nie miałem, owszem - przyznał August - ale takeśmy sobie z żoną moją Władysławą przez noc przeliczyli i taka, a nie inna kwota nam wyszła. Biorąc pod uwagę samo tylko złoto i dolary, że już o kamieniach szlachetnych nie wspomnę...

- Ale to już nie mój problem, tylko pański - zwróciłam się pogodnie do Jana.

- Jakże to?

- Ano, także to, że ja, nie będąc w żaden sposób dziedziczką na tych włościach, nie mam najmniejszego interesu w handryczeniu się z panem Augustem. Z tego, co wiem, pani Bernadetta nie zamierza się upominać o nic, a zatem, moi państwo, możecie sobie pourywać nawzajem łby!!! Powodzenia.

Wyrzekłszy mocno i dobitnie ostatnie zdanie, z którego byłam i do dziś jestem dumna, zarzuciłam torebkę na ramię i ruszyłam do wyjścia.

- Żegnam! - rzuciłam jeszcze krótko i efektownie.

- Hola, hola, nie tak prędko! - Ktoś, tuż za drzwiami, złapał mnie mocno za ramię.

- Oooo... Pan Piechotko! - Omal nie zderzyłam się ze starym przyjacielem domu, a konkretnie babci, z którym lata całe przegrywała w pokera. Na „sucho”, jak mawiała, czyli bez użycia pieniędzy.

Pan Piechotko szybko zamknął za moimi plecami drzwi i pociągnął mnie za sobą.

- Zapraszam panią na kawę - oznajmił wprawdzie szeptem, ale tonem nieznośnym sprzeciwu. - Musimy pilnie porozmawiać!

- Gdzie się pan podziewał do tej pory? - odszepnęłam z wyrzutem.

Zamiast odpowiedzi Piechotko złapał mnie za kark i przygiął do ziemi.

- Okno! Niech się pani schyli! - rozkazał. - Niestety, zaraz po po-grzebie musiałem pilnie wyjechać, ale wróciłem najszybciej, jak się da-ło.

- To dobrze - wysapałam z ulgą. - Pan wie, kto tu w ogóle jest?

- Domyślam się.

- Nie! Nawet się panu nie śniło! Opanowała mnie zgraja pijawek i krwiopijców! I wariatów! Boże, ile ja się bzdur nasłuchałam! Czy pan wie, do czego ludzie są zdolni, żeby choć trochę uszarpać dla siebie?

- I tego się właśnie domyślam - stwierdził spokojnie, przepuszczając mnie przodem w drzwiach kawiarni Senne Marzenie.

- Skąd?

- Tak się złożyło, że Alicja uczyniła mnie swoim... jak by to ująć? Me-nedżerem do spraw doczesnych. - Tu puścił do mnie oko.

Skrzywiłam się odruchowo. Rodzaj poczucia humoru pana Piechotki nie raz już wprawił mnie w osłupienie, podobnie zresztą jak rubaszny dowcip mojej babci. Być może te i inne podobieństwa między nimi sprawiły, że kumplowali się całkiem bezkolizyjnie od wielu, wielu lat. Chwi-lami nawet skłonna byłam podejrzewać, że jest to coś więcej niż tylko przyjaźń...

- O ile dobrze usłyszałem - kontynuował, zamówiwszy wcześniej u kelnerki dwie czarne kawy - skapitulowała pani już po pierwszym dniu?

- Owszem. Tyle że nie skapitulowałam, ale rzuciłam im honorowo w twarz całą tę... schedę! Niech się udławiają. Dla mnie sytuacja w żaden sposób się nie zmieni. Nie wzbogacę się i nie zbiednieję, a w każdym razie oszczędzę i tak już skołatany system nerwowy!

- Jak pani sobie chce - mruknął Piechotko, ładując do filiżanki czwartą łyżeczkę cukru. - Moim zadaniem jest tylko przedstawić pani ostatnią wolę babci. No, może nawet nie wolę, ale sugestią czy nawet raczej... prośbę.

- Słucham? - spytałam po krótkiej chwili, cała truchlejąc od środka w obawie, co też znowu usłyszę.

- No właśnie. A propos tego unoszenia się honorem i rzucania pijawkom spadku w twarz, muszę przyznać, że Alicja trafnie to przewidziała.

- Taaak?

- Tak. W związku z tym na wstępie poinformuję panią, że właścicielką absolutnie wszystkiego, co po niej zostało, jest pani i tylko pani. Ernest na długo przed swoją śmiercią zrobił zapis na rzecz Alicji, więc ta kwestia jest nie do podważenia. Alicja natomiast sporządziła testament, w którym wyklucza wszystkich ewentualnych spadkobierców poza panią, rzecz jasna. A zatem, jest pani jedyną, niebudzącą żadnych wątpliwości prawnych spadkobierczynią.

- Jak to? Więc na co oni wszyscy tu liczą?

- Na co? Na grubą kasę, oczywiście! - zarżał Piechotko, niczym z przedniego kawału.

- Wobec tego chodźmy i wysiudajmy ich czym prędzej!

- Poderwałam się z krzesła. - I proszę mi wierzyć, że nie chodzi mi tutaj o nic innego, tylko o chwilę świętego spokoju!

- Zaraz - wstrzymał mnie ruchem ręki. - To nie takie hop-siup, jak się pani zdaje!

- Czyli?

- Czyli, wedle woli Alicji, testament zostanie otwarty dokładnie w rok po jej śmierci. W tym czasie zdecyduje pani, czy życzy sobie dziedziczyć, czy też nie. Do tej pory jednak ma pani mieszkać w willi i pilnować, żeby nie zginął stamtąd choćby jeden papierek czy bibelot.

- Boże jedyny! A jak nie zechcę?

- Pani wybór - skwitował krótko. - Tak czy inaczej, spadek może pani wziąć. Ja tylko przekazuję słowa Alicji.

- Mam się z nimi użerać przez tyle czasu? - pytałam retorycznie, bardziej siebie niż jego. - Przecież oni mnie nie odstąpią na krok! A tak na marginesie, jak ja mam czegokolwiek pilnować, skoro muszę chodzić do pracy? I to na zmiany! To sporo czasu, żeby rozebrać cały dom, cegła po cegle! Zryć ogródek i posadzić na nowo!

- Niekoniecznie. Babcia ustanowiła coś w rodzaju funduszu powierniczego, z którego co miesiąc będzie pani otrzymywała określoną sumę, całkowicie wystarczającą na opłaty i utrzymanie.

- I mam robić za stróża? Czy ona nie mogła załatwić tego jakoś prościej? - jęknęłam płaczliwie.

- Mogła. Z pewnością mogła - odparł Piechotko z zimną krwią. - Proszę mi wierzyć, że skoro Alicja tak właśnie chciała, to z pewnością nie dla zabawy. Miała w tym jakiś cel i widocznie bardzo jej na nim zależało. Tego jestem pewien.

- Ale pan oczywiście nie wie, o co chodzi? - Spojrzałam mu przenikliwie w oczy.

- Oczywiście, że nie wiem - odparł bez mrugnięcia powieką.

- Jak... duże jest to... comiesięczne kieszonkowe? - spytałam, z samej tylko ciekawości.

- Pięć tysięcy złotych - rzucił jakby nigdy nic, a ja oparskałam się od stóp do głów fusami od kawy.

•

Po spotkaniu z Piechotką nie chciało mi się wracać do domu babci. W ogóle nic mi się nie chciało. Musiałam zresztą to i owo przemyśleć. Do własnego mieszkania też nie chciało mi się iść, groziło to bowiem nieuniknionym spotkaniem Bylca, wysłuchiwaniami różnych bzdetów, a co gorsza, koniecznością odpowiadania na bzdety. O, nie! Tego nie chciało mi się w szczególności. Powlokłam się więc przed siebie. Ostatnie ciepłe tchnienie jesieni zdecydowanie nastrajało do pieszych wędrówek. Doszłam do wniosku, że wlokąc się w tym tempie w stronę mojej przychodni, akurat w sam raz dopadnę Grażynkę, a potem, w odwecie za tamten kebab, zaciągnę ją na kawę i ciacho. Stało się jednak dokładnie odwrotnie, to znaczy w drzwiach przychodni wpadłam wprost na... Bylca!

- O? Klara, to ty? - zdziwił się głupawo. - A mnie powiedziano, że masz wolne.

- Owszem, mam. Idę do Grażynki.

- Aha... bo widzisz, nie wróciłaś na noc do domu... i...

- Byłca coś ewidentnie zatykało.

- Widzę. I co?

- Martwię się o ciebie, to oczywiste! - wyrzucił w końcu całkiem płynnie. - No więc? Kiedy wrócisz?

- Jeszcze o tym nie myślałam. - Wzruszyłam ramionami.

- Na razie zostanę u babci.

- To znaczy, że jednak zapisała ci jakiś majątek? - ożywił się Piotrek.

- To znaczy, że w willi babci nadal siedzą goście. I ktoś musi się nimi zajmować.

- Tak na sępa???

- Nie, na gościa - rzuciła Grażynka, dołączając do nas w tym momencie.

- Cześć! - Jej widok ucieszył mnie tak bardzo, że nieomal rzuciłam się jej na szyję. - Tym razem ja porywam cię do knajpy i nawet nie próbuj się skrzywić! - rzuciłam jednym tchem.

- Chodź!

Grażynka zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, nieco dłużej zatrzymując oko na wystającym mi zza pleców Bylcu.

- Świetnie wyglądasz - orzekła.

- Zdaje ci się. Po prostu krew mi chyba w ciele żywiej krąży.

- Cokolwiek to jest, dobrze ci robi na cerę - skwitowała.

- To jak, idziemy?

- Jasne!

- Jak na osobę w żałobie, wyglądasz rzeczywiście nadzwyczaj... żywo - wtrącił swoje trzy grosze Bylec.

- Ma prawo - odparła za mnie, chronicznie nieznosząca mojego byle-go, Grażynka. - Jak każdy żywy...

Wzięła mnie pod ramię i nie oglądając się na Piotrka, ruszyliśmy przed siebie. Usiadliśmy na tarasie pierwszej lepszej knajpy, gdyż, jak okazało się na wstępie, nie da się w taką pogodę wciągnąć w żadne stęchłe mury. Zamówiłam dwie kawy z bitą śmietaną i dwa pucharki lo-

dów, z czego jedno z alkoholem, dla Grażynki. Przez chwilę delektowaliśmy się w milczeniu zimnym arcydziełem smaku i misternej, lodowo-owocowej architektury. Zbierałam wolno myśli i jeszcze wolniej przekształcałam je w słowa. Potrzebowałam rady. Nawet nie rady, bo ta sama z siebie wymagała jeszcze analizy i podjęcia decyzji. A ja chciałam po prostu bez fatygowania umysłu zdać się w całości na czyjś koncept. Grażynka zaś była tą osobą, której pomysły nadawały się do realizacji ze znacznie mniejszym ryzykiem niż moje własne... Zrelacjonowałam jej więc szczegółowo wszystkie zdarzenia, jakie miały miejsce od śmierci babci, możliwie obiektywnie i bez własnych komentarzy.

- Boże jedyny! - wykrzyknęła, kiedy skończyłam na dzisiejszej rozmowie z panem Piechotką. - To twoja babcia była taka kasiasta?

- Widać była...

- Ale skąd? Może jednak rzeczywiście miała jakiś skarb?

- E, tam, skarb! - sarknęłam, dość mocno uczulona na dźwięk tego słowa. - Dziadek był kutwa, to nakutwił!

- Ty się nawet nie wahaj, tylko bierz te pięć tysiaków i wprowadzaj się do willi! - podsumowała Grażynka.

- Ale... To nie takie proste! - zaoponowałam.

- Owszem, proste jak drut! Przecież to więcej niż twoja trzymiesięczna pensja! Za taką kasę możesz nazakładać w chałupie alarmów co pół metra, wynająć stróża nocnego i dziennego, zainstalować monitoring z kamerami i jeszcze dodatkowo ubezpieczyć każdy papierek po cukierku i obierkę po ziemniaku.

- Przesadzasz...

- Nie przesadzam! Z tego, co mówisz, dysponujesz jakąś grubą gotówką. Część możesz przeznaczyć na zabezpieczenia, a z reszty żyć długo i szczęśliwie. Rozrzutna nie jesteś, starczy ci, choćbyś miała nawet żyć sto lat.

- Tak ci się tylko mówi - westchnęłam. - Owszem, perspektywa jest pozornie kusząca, ale gdybyś tylko zobaczyła te kreatury, nie wiem, czy sama byś na to poszła... Bo mnie się zdaje, że oni się stąd prędko nie ruszą.

- Ruszą się, nie ruszą, wszystko jest przecież twoje! A poza tym... Ile ich jest?

- Czwororo. I jeden mały, choć ta jego matka nie wydaje się specjalnie szkodliwa.

- Z Piotrkim żyłaś piętnaście lat... - zastanawiała się nad czymś Grażynka.

- Szesnaście. Jutro będzie szesnaście, jak w pysk strzelił!

- Tym lepiej, dla równego rachunku - ucieszyła się.

- Ale o co ci chodzi? - wgapiłam się w nią tępo.

- Bo ten twój, jakby nie było, to truteń wyjątkowego gatunku. Za czterech wystarczy, że hej! No więc, lekko licząc, jeden rok z Piotrkim to jak cztery z jednym z twoich okupantów. Razy czterech, to masz szesnaście, nie?

- No. I co z tego?

- A to z tego, że na jedno wychodzi. Jeden rok u babci nie będzie dla ciebie przykrzejszy niż rok z Bylcem u szyi. Skoro jego przetrzymałaś przez tyle lat, przetrzymasz i ich. W zmaganiach z trutniami jesteś zaprawiona jak Arab na pustyni.

- Arab? Z trutniami? - Jakiś ten jej wywód wydawał mi się... mało prawdziwy. Począwszy od działań matematycznych, a na ostatnim stwierdzeniu skończywszy.

- Arab nie z trutniami, tylko z warunkami atmosferycznymi - zniecierpliwiła się Grażynka. - Ty z trutniami! I proszę, nie czepiaj mi się tu przenośni, tylko skup się na sednie.

- W porządku! Idę mieszkać do babci! - zgodziłam się natychmiast, jak tylko mi się przypomniało, że miałam bezdyskusyjnie poddać się werdyktowi przyjaciółki.

- Serio? - zdziwiła się.

- Serio. Jeszcze dziś składam wypowiedzenie z pracy i idę na zaległy urlop.

- Ale... serio?

- O co ci chodzi? Posłuchałam przecież twojej rady! Grażynka spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- No, nie wiem... - Lustrowała mnie nieufnie. - Ale tak... Już? Bez jednego wierzgnięcia kopytem?

- Bez!!! A może poszłabyś do mnie? Przedstawię ci te... Tych gości, znaczy.

- Nie, Klarcu. Wpadnę do ciebie z całą pewnością, jak już się trochę otrząsniesz. Ale gdybyś mnie potrzebowała, zawsze jestem do dyspozycji. U mnie albo na mieście.

- Dzięki. Nie, ja zapłacę - powstrzymałam ją w trakcie wywalania zawartości torebki na stolik.

•

Za każdym razem, kiedy zaczynało mi się wydawać, że moja sytuacja jest już bliska jakiegokolwiek stabilizacji, choćby najbardziej absurdałnej, ale z w miarę przewidywalnym jutrem, działo się coś, co natychmiast wyprowadzało mnie z błędu.

Tuż po powrocie do willi babci zastałam Augusta Dziejkę wraz z żoną Władysławą, przesuwanymi meblami i zrywającymi tapety. Bernadka pichciła na kuchni coś mocno woniejącego nieznanym mi aromatem, Bartoszek natomiast, sądząc z odgłosów, rzygał w łazience.

- Chryste Nazarejski! Co ja mam z tym chłopakiem! - Bernadka zaczęła lamentować głośno na mój widok. - Mówiłam mu, żeby nie jadł tyłu gruszek, ale jak zwykle, nie posłuchał! Znalazłam w ogrodzie ziele bożego drzewka i robię mu napar!

- A ja... mówię paniusi - wysapał August, mordując się z etażerką - że to od huśtawki! Gruszki gruszkamy, ale musiało mu pewnie nieźle żołądkiem wstrząchnąć!

- Panie Auguście! - zniecierpliwiła się Bernadka. - Jakby nie jadł tych gruszek, toby mu samo huśtanie nie zaszkodziło!

- Samo, nie... eeee... samo - stęknął August - ale z gruszkamy w komplecie i owszem!

- Przyniosę węgiel i krople żołądkowe - zdecydowałam i pobiegłam do siebie na górę.

Przez uchylone drzwi gabinetu dziadka spostrzegłam Jana, który próbował od tyłu dostać się do szuflady biurka. Od przodu bowiem wszystkie drzwiczki, szuflady i inne schowki pozamykane były na trzy spusty.

- O! Witam! - powiedział na mój widok bez żadnego skrępowania. - Kluczem byłoby prościej, nie sądzi pani?

- Sądzę. Przepraszam, muszę lecieć na dół, dziecko jest chore.

- Dziecko! - skrzywił się Jan, stając mi na drodze. - Łobuz, nie dziecko! Czy może mi pani dać ten klucz?

- Nie wiem, gdzie jest! - krzyknęłam, zbiegając ze schodów.

- Jak to, pani nie wie? - Jan podążał za mną uparcie.

- Nie wiem! Wprowadziłam się tutaj wtedy, kiedy i pan! Nie mam pojęcia, gdzie babcia co trzyma! A wy zaprzestańcie tej demolki, do jasnej cholery!!! - krzyknęłam rozsierdzona na Dziejków, wręczając Bernadce medykamenty.

Bartoszek wył wniebogłosy, kuląc się teraz na sofie.

- Jakiej... demolki? - zdziwił się August. - Chcieliśmy pomóc, ot, po rodzinie! Grzyb na ścianach, zacieki, plamy, dom malowania wymaga!

- Może i wymaga!!! - przekrzykiwałam buczonego jednostajnie Bartoszka. - Ale nie od pana i nie w tej chwili!!! Będzie trzeba, to się pomaluje.

- Ja to samo państwu mówiłam - wyznała Bernadka w chwili na krótki oddech. - Ale nie posłuchali...

- Chwileczkę! Najpierw dziecko, a potem pogadamy - powiedziałam nieco spokojniej, odmierzając krople.

- Wobec tego ja ponawiam swój monit w kwestii klucza - oznajmił Jan.

- Dobrze. Skoro tak, pogadamy nie później, tylko w tej chwili! Proszę! - przekazałam niedokończoną czynność matce. - I raz na zawsze!!!

Na dźwięk mojego wrzasku, odbijającego się po gołych ścianach ponurym echem, całe towarzystwo, nie wyłączając

Bartoszka, zamilkło i zastygło w bezruchu. Tego właśnie było mi trzeba.

- Szanowni państwo! - przemówiłam z groźną powagą.

- Nie życzę sobie więcej podobnych ekscesów w tym domu! Ja wiem, że macie jakieś swoje roszczenia względem tegoż majątku, i cokolwiek bym wam na ten temat powiedziała, próżny mój trud. Ale na razie jesteście moimi gośćmi i, więc jak goście się zachowujcie! Zatem pan, panie Auguste, zaniecha swoich pseudoremontowych poczynań, a pan, panie Janie, może śmiało zaczynać podważanie moich praw do spadku, ale wyłącznie za pomocą środków prawnych. Od dzisiaj więc nie będzie tu żadnego grzebania w meblach, przestawiania sprzętów, dłubania, kopania oraz innego rycia. W przeciwnym razie wezwę policję!

- O, masz ty ją! - August aż przysiadł z wrażenia. - Jak to nam się gosposia rozsierdziła! Policję będzie wzywała, słyszałaś, Władzia?

- Jeszcze nie wiadomo, kto tu jest czyim gościem! - fuknął pąsowy na twarzy Jan.

- Otóż to! - potwierdziłam ochoczo. - A dopóki nie wiadomo, nikt tu niczego demolował nie będzie!!!

Niewykluczone, że powiedziałabym znacznie więcej i o wiele bardziej dosadnie, gdyby w tym momencie nie rozległ się dzwonek przy drzwiach. W progu stał młody mężczyzna, ten sam, który gapił się na mnie na pogrzebie.

- Proszę! - Odsunęłam się ostentacyjnie na bok. - Pan to pewnie kolejny kandydat do spadku?!! Śmiało! Jeszcze się jakieś wolne łóżko znajdzie!

- Ale... - Facet dreptał niepewnie w miejscu.

- Wszyscy tu mają jakieś ale! Nie pan pierwszy, a może i nie ostatni. No? Wchodzi pan? - Szalejąca we mnie furia wrzeszczała wniebogłosy, domagając się, wbrew temu, co mówiły moje usta, uduszenia faceta bezpośrednio w progu.

- A gdzieżeś ty się do tej pory podziewał? - skoczył ku niemu gwałtownie Jan. - Już myślałem, że wyjechałeś bez słowa!

- Skądże! Miałem... po prostu coś do załatwienia. - Teraz dialog toczył się nad moją głową.

- Więc czego tak stoisz? Wchodź! - pociągnął go za rękaw. Mężczyzna, spojrzawszy na mnie niepewnie, najpierw postanowił mnie wyminać, potem przemknąć się pod moją opartą o klamkę ręką, by wreszcie wycofać się z powrotem za drzwi.

- To jest mój syn, Rafał Sochowicz - zaprezentował nowo przybyłego Jan. - Chyba nie zabroni mu pani wejść?

- No przecież mówię! - warknęłam. - Ale on się jakoś nie kwapi.

- Bo paniusia wrzeszczysz, jakby ją w ukropie taplali! - dorzucił swoje August. - To i chłopaczyna śmiałości nie ma!

Odwróciłam się na pięcie z zamiarem chwilowego zostawienia spraw swojemu biegowi. Niestety, ledwie zamknęły się drzwi za młodym Sochowiczem, dzwonek zajazgotał powtórnie.

- A niech to jasny szlag! - skomentowałam, niekoniecznie w myśli.

Tym razem za drzwiami nie czał się wróg, przeciwnie, czała się Grażynka.

- Hej! - przywitała się szeptem, strzelając ukradkiem oczami w głąb domu. - Są tu?

- Co do jednego! A nawet jeden więcej! Chodź, pogadamy.

- Może... w ogródku? - zaproponowała nieśmiało.

- W srutku!!! - warknęłam. - U siebie jestem, nie? - zaszłam ją dyplomatycznie od tyłu i pchnęłam przed siebie.

- I to mi się podoba! - stwierdziła z uznaniem, podążając za mną na górę.

- Dzięki. Stało się coś, że jednak zdecydowałaś się przyjść? Chcesz kawy?

- Nie. Ja tylko na chwilę. Nic się nie stało, tylko coś mi się rzuciło na myśl.

- Więc siadaj, gdzie możesz - zaprosiłam ją gestem do pokoju zarzuconego po sufit moją nieuporządkowaną jeszcze garderobą. - I mów, co ci się rzuciło.

- Tak sobie pomyślałam... Wiesz, ja twoją babcię znałam tyle, co z opowiadań, ale ciebie znam osobiście. I jeśli takie pokrętne załatwianie spraw, jakie ty masz w zwyczaju, jest u was rodzinne, to ja sądzę, że ona czegoś od ciebie chce. Chciała, znaczy.

- Czyli?

- No, wiesz... Przecież mogłaby ci ten spadek przekazać już dziś, prawda? Testament jest? Jest! No więc po co te całe ceregiele?

- A wiesz? Ja też o tym pomyślałam - szepnęłam w zadumie. - Bo... te ostatnie parę zdań, jakie do mnie powiedziała, sugerowały... coś takiego...

- No???

- ...takiego niejasnego. Ale nie wiem co. Bo nie chce mi się wierzyć, że chodziło jej tylko o to, abym poznała jej szemraną rodzinę. Przecież babcia na pewno znała ich wszystkich albo prawie wszystkich. Ba! Przypuszczam nawet, że to ona jakoś zaprosiła ich na swój pogrzeb, bo inaczej nie umiem sobie tutaj ich obecności wytłumaczyć.

- A może nie chciała, żeby ci to skapnęło zbyt łatwo? Taka kasa, całkiem darmo, z dnia na dzień... - analizowała Grażynka. - Mogłaby ci uderzyć do głowy, na przykład.

- Eeee - zachnęłam się w zadumie. - Nie sędzę. Nikt chyba, obdarzając kogoś spadkiem, nie rzuca mu jednocześnie kłód pod nogi w celach wychowawczych. Bo to, że tak powiem, już nie jego broszka. W przypadku babci może chodzić o dwie rzeczy: albo o głupawy kawał, albo o coś znacznie, znacznie poważniejszego. Coś, co dotyczy jej samej.

- O kawał raczej nie... - zawahała się Grażynka. - Może chciała na przykład, żebyś pośmiertnie pojednała ją ze swoimi rodzicami? Bo sama nie potrafiła albo duma jej nie pozwalała, albo po prostu sprawy zaszyły tak daleko, że normalnie się już nie dało?

- Może - przyznałam z namysłem. - Tylko co ja mam teraz zrobić? Pojechać do ojca i naprawiać, sama nie wiem co i jak? Przecież ja nie mam żadnych argumentów! Nic, żadnej wiedzy, która przemawiałaby jakoś za babcią. Nie jestem stroną w tym sporze! Poza tym, mam tu przecież siedzieć i pilnować!

- O, widzisz! - ożywiła się Grażynka. - Może więc powinnaś przez ten rok jakoś te informacje zdobyć? A skoro masz pilnować, to oznacza, że cała wiedza może być tu, w tym domu.

- Więc co? Ja też mam zabrać się do szperania???

- Nie zapominaj, że wszystko jest tu twoje. A skoro tak, będziesz szperała w swoim. W dodatku ofiarowanym ci z pełnym zaufaniem przez babcię. To chyba zmienia postać rzeczy.

- Postać zmienia, ale nie samą rzecz...

- Klara! - zeżliła się w końcu Grażynka. - Ja tu przybiegam, by ci podrzucić jakąś życiową koncepcję, a ty jak zwykle, zamiast się choćby pobieżnie zastanowić, zaczynasz walić we mnie kontrargumentacją! Ja bym na twoim miejscu energicznie się do tego zabrała. Pracę porzuciłaś?

- Porzuciłam.

- No to masz kupę czasu. I środków. Szczerze mówiąc, sama jestem ciekawa, co z tego wyniknie. W każdym razie, jakby co, możesz na mnie liczyć. - Grażynka wstała i ruszyła do drzwi.

- Wiem... - Westchnęłam i ucałowałam ją w oba policzki.

•

Po wyjściu Grażynki postanowiłam, że jeszcze dziś rozpakuję wszystkie swoje rzeczy i zrobię jaki taki porządek wokół siebie. Wzięłam się do te-

go bardzo niechętnie, gdyż moje zadomawianie się u babci łączyło się nieuchronnie z uprzednim opróżnieniem szaf z jej garderoby. Jakże byłam zaskoczona, gdy się okazało, że... szafy już są puste! W ten sposób po raz kolejny się potwierdziło, że babcia jakimś cudem przewidziała swoją śmierć. Niemal dokładnie, co do dnia i godziny! Umiarkowana podbudowana tym stanem rzeczy zabrałam się do dzieła. Kiedy doszłam do kosmetyków i innych drobiazgów higieniczno-intymnych, w szufladzie babcinej toaletki znalazłam dwa pęki kluczy. Jeden był niewątpliwie od wszystkich zewnętrznych drzwi. Drugi zaś, znacznie większy pod względem liczby kluczy, ale o wiele mniejszy pod względem ich wielkości, musiał być pewnie od dziadkowego biurka. Postanowiłam sprawdzić to natychmiast. Nie słysząc już z dołu żadnych odgłosów, zakradłam się na paluszkach do jego gabinetu. Pasowały! Każdy znalazł swoje miejsce, co oznaczało, że mebel w całości stoi przede mną otworem. Zostały jeszcze dwa: jeden sporo większy od pozostałych i jeden znacznie mniejszy. Biurko, niestety, nie dysponowało już żadną wolną dziurką. Zamknęłam zatem w miarę bezszelestnie każdą szufladę i szufladkę z zamiarem przejrzenia ich zawartości, kiedy moi goście udadzą się do miasta. Zadowolona z odkrycia podniosłam się z klęczek, by... natknąć się na stojącego tuż za mną Sochowicza! Serce podeszło mi do gardła. Oto dopiero co zrobiłam awanturę o szperanie w meblach, a sama pod osłoną nocy czynię dokładnie to samo! Co prawda był to Sochowicz junior, ale to chyba nie miało większego znaczenia.

- Przepraszam - bąknął pod nosem. - Szukałem pani...

- No i pan znalazł. - Uznałam, że nie będę się z niczego tłumaczyć.

- Możemy porozmawiać? - Sprawiał wrażenie nie mniej spiętego ode mnie.

- Nie wiem, czy jest o czym! Pański ojciec wyłuszczył mi detalicznie cel swojej wizyty i jak sądzę, pański jest podobny. Zamierzacie przejąć spadek w całości, na podstawie faktu, iż moja babcia nie była żoną pańskiego stryja. Wobec tego ja się nie wtykam, róbcie, co chcecie, pod warunkiem, że... - tu zmieszałam się nieco - że do czasu wyjaśnienia sprawy...

Klucze, ściskane kurczowo w ręku, paliły mnie teraz żywym ogniem.

- Wiem. Mamy niczego tutaj nie ruszać - wyręczył mnie spokojnie Sochowicz.

Poczułam, że moja twarz zaczyna przybierać barwę ćwikły.

- Ale ja nie w tej sprawie - Zdawał się nie zauważać przykrych zmian w mojej fizjonomii. - No więc? Poświęci mi pani parę minut?

Winnej sytuacji pewnie pogoniłabym go gdzie pieprz rośnie, ale nie chcąc stwarzać podejrzeń, iż śpieszno mi do kontynuowania niecnego procederu, gestem zaprosiłam go do swojego pokoju. Usiedliśmy naprzeciw siebie w fotelach. Sochowicz najwyraźniej zbierał się w sobie do wygłoszenia jakiejś oracji, ja zaś z uwagą kontemplowałam jego postać, usiłując skojarzyć, gdzie i kiedy ją widziałam. Najpierw jednak przeleciało mi przez myśl, że ktoś taki jak on nie ma z pewnością problemów z życiem osobistym. A w każdym razie, z przebieraniem w babach jak w ulęgałkach... Niezwykle przystojna twarz o pięknych, orzechowych oczach, gęste, ciemne włosy w estetycznym nieładzie, smukła, wysportowana sylwetka, słuszny wzrost - szacowałam go w duchu kawałek po kawałku...

- Chciałbym panią na wstępie poinformować, że moje stanowisko w tej sprawie jest całkiem inne niż mojego ojca - zaczął ostrożnie, a ja w tym momencie do całej listy jego atutów dorzuciłam białe, idealnie równe zęby.

- Aha - rzuciłam w roztargnieniu.

- Bo... - Facet najwyraźniej czuł się zbity z tropu moją obcesową lustracją, ale to było silniejsze ode mnie. - Bo ja... - spróbował ponownie i zamilkł. Pewnie w obawie, że z każdym kolejnym słowem będę ciągle zaglądała mu w paszczę.

- Proszę dalej - ocknęłam się nagle. - Niech pan mówi.

- A więc... Nie chciałam, żeby pani myślała, że ja także czyham na pani mienie. Zapewniam, że nie interesuje mnie tutaj nawet jeden grosz! Przyjechałem z ojcem na pogrzeb z zupełnie innego powodu.

- Taak? - zdziwiłam się uprzejmie, cały czas przypasowując faceta do rozmaitych sytuacji, w których mogłam go spotkać.

- Tak.

- Pogrzeb! - wykrzyknęłam znienacka, jarząc coś mgliście.

- Pogrzeb dziadka!!!

- Nie, proszę pani... - Sochowicz zmieszał się z lekka. - Na pogrzeb babci!

- Wiem, że babci - przyznałam z niesmakiem. - Tylko że już kojarzę, gdzie pana wcześniej widziałam.

- Owszem. Widzieliśmy się na pogrzebie stryja Ernesta, ale nie tylko.

- Był pan bardzo ładnym dzieckiem!

Sochowicz nie skomentował mojej uwagi, mimo iż odbiła się ona na jego obliczu przykrym grymasem.

- Potem spotkaliśmy się jeszcze dwukrotnie, kiedy byłem w... w...

- W czym? - ponagliłam, gdyż w tym miejscu utknął wstydliwie, jakby miał wyznać, że był wówczas co najmniej w ciąży.

- W klasie maturalnej. A później jeszcze jakieś dwa lata temu - dodał szybko.

- Aaaa... - przypomniałam sobie. - Rzeczywiście! Gościł pan wtedy u babci, ale nic dziwnego, że ledwie to pamiętam. Miałam w tym czasie pewne... zawirowania osobiste - przyznałam, nie chcąc mówić wprost, że mam na myśli rozwód z Bylcem. - No cóż... Wróćmy jednak może do tematu. A zatem, nie przyjechał pan tu celem wspierania poczyńań ojca?

- Absolutnie!

- Po co więc, w takim razie?

- Z ciekawości. Może to dziwnie zabrzmie, ale...

- Owszem, bardzo dziwnie nawet - przerwałam mu, czując nagle jakiś irracjonalny przyływ niechęci. - Proszę, niech pan się streszcza, już późno!

- Jeśli jest pani zmęczona, to może przełożymy to na jutro?

- Nie!!! Niechże pan powie, o co chodzi, krótko, treściwie i całościowo!

- Dobrze. Więc kiedy po śmierci Ernesta wyszły jakieś nieścisłości z jego stanem cywilnym, ojciec zaczął analizować tę sprawę, ponieważ do tej pory sam niewiele wiedział o przeszłości brata. Bo wie pani, tata jest od niego o wiele lat młodszy i siłą rzeczy kontakt między nimi był raczej mizerny. Zaraz po studiach stryj wyjechał, znalazł dobrą pracę, a już całkowicie stracili się z oczu, kiedy zmarli ich rodzice. Tata od bardzo wczesnej młodości był zdany sam na siebie, można by rzec, że został praktycznie bez środków do życia, a brat nigdy się nim nie zainteresował. Sądzę, że stąd ta jego gorycz i determinacja. I żal... Bo

wszystko, co Ernest osiągnął, dostał niejako z urzędu: dzięki zamożności i staraniom rodziców. Mojemu ojcu niestety, to już nie było dane...

- Wzruszające! - sarknęłam. - A skoro nie było mu dane, może teraz z nawiązką wziąć sobie sam!

- Nie, to nie tak - zaprzeczył cicho. - To znaczy, owszem, taka mniej więcej myśl ojcu przyświeca. Ale ja nie popieram go w tym w najmniejszym stopniu! Owszem, rozumiem, ale nie popieram! I do tego właśnie zmierzam: przyjechałem tu nie po to, by mu pomagać, ale żeby się czegoś więcej dowiedzieć. Pomyślałem, że być może nadarzy się okazja, jakiś trop, coś, co wyjaśni pewne kwestie.

- Jakie kwestie? Ja myślę, że w pierwszym rzędzie wyjaśnienia należą się mnie! Mój dziadek nazywał się Ernest Ledwień! Ledwień, rozumie pan? A zatem to pański ojciec powinien mi się tu tłumaczyć, legitymować i zarzucać mnie dowodami, że jest jego bratem! Ja to wszystko, proszę pana, tymczasem toleruję, znoszę te wasze indagacje i impertynencje, choć sama nie wiem, za jakie grzechy!

- Dobrze - odrzekł spokojnie Sochowicz. - To akurat jestem w stanie pani udokumentować. Tak się złożyło, że posunąłem się w swoich dociekaniach znacznie dalej niż ojciec i siłą rzeczy mam w tej materii znacznie większą wiedzę niż on. Okazuje się jednak, że jak to się mówi... im dalej w las, tym więcej drzew! W tym momencie bowiem nie jest to już tylko sprawa dotycząca mojej rodziny, ale i...

- Chce mi pan powiedzieć, że nie podzielił się z ojcem tą wiedzą?

- Nie. Zresztą, to są już dzieje poza zasięgiem jego zainteresowań. Szczerze mówiąc, liczę w skrytości na współpracę z panią...

- Ufff! - Całe napięcie towarzyszące mi w tej rozmowie uszło ze mnie jednym głębokim wydechem. - Otóż i jesteśmy w domu! Proszę stąd wyjść!!!

- Mam nadzieję, że wkrótce zasłużę sobie na odrobinę zaufania - mówiąc to, Sochowicz dotknął mojej ręki.

Poczułam w sobie coś jakby wyładowanie elektryczne o niezwykłej mocy. W jednej sekundzie wyzwoliło ono we mnie erupcję nienawiści do tych wszystkich obcych ludzi, która gromadziła się przez ostatnie dni i teraz chlusnęła na stojącego przede mną mężczyznę.

- Proszę wyjść!!! - ryknęłam dziko i padłam bez tchu na łóżko.

5. Kufer

Kolejne dni nie przyniosły niczego nowego. W zasadzie życie w domu babci nawet w pewien sposób się unormowało. Po śniadaniu, które moi goście organizowali i przygotowywali sobie sami, nieodmiennie dochodziło pomiędzy nimi do sporów i kłótni. Na ten czas Bernadka zabierała Bartoszka do ogrodu, gdzie, jak mawiała, chadzali obcować z naturą. Polegało to z grubsza na podżeraniu wszystkiego, co natura dała, ale od czasu zatrucia gruszkami, teraz już pod ścisłą kontrolą matki. Wracali w porze obiadu i Bernadka zajmowała się pichceniem, reszta zaś udawała się na posiłek do miasta. Dość zadziwiający był dla mnie fakt, że mimo ustawicznych waśni państwo Dziejkowie i stary Sochowicz zawsze trzymali się razem. Być może pilnowali się nawzajem, ale niewykluczone, że jednocześnie wspólnie spiskowali i knuli. Z dala od tego towarzystwa trzymał się Rafał Sochowicz, co czynił, jak mi się zdawało, wręcz ostentacyjnie. Przesiadywał głównie w salonie lub ogrodzie, w zależności od tego, gdzie akurat nie przebywała Bernadka z potomkiem, i dużo czytał. Ja, w przeciwieństwie do Bernadki, omijałam go szerokim łukiem, on zaś dawał się omijać bez przeszkód. Kiedy chwila mi zaczynałam odczuwać, że Rafał dąży do kontaktu ze mną, wystarczało się przyłączyć do ustawicznie dążącej do kontaktu z nim Bernadki i w ten sposób miałam go z głowy. Jeśli chodzi o mnie, taka sytuacja mogłaby trwać sobie do skończenia świata, gdyby nie drażący mi sumienie fakt, że przecież babcia czegoś ode mnie oczekuje!

W biurku dziadka, wbrew moim nadziejom, nie znalazłam żadnej wskazówki. Przeciwnie, miałam wrażenie, że znajdują się w nim same nieistotne szpargały. Owszem, był akt własności domu, kwity, rachunki, karty gwarancyjne na sprzęt domowy różnorakiej maści, karty chorobowe kilkudziesięciu prywatnych pacjentów i to wszystko. Żadnych fotografii, dokumentów, niczego, co mogłoby sugerować kwestię jego podwójnej tożsamości. Nawiasem mówiąc, muszę przyznać, że młody So-

chowicz nie sypnął staremu, że przeszperałam biurko bez jego wiedzy. Nie dalej bowiem jak dwa dni temu pofatygował się do mnie wynajęty przez niego prawnik i grzecznie poprosił o znalezienie jakichkolwiek dokumentów dziadka wydanych przed pięćdziesiątym rokiem: dyplomu ukończenia studiów, świadectw szkolnych albo choćby obrazka ze Świętej Komunii. Sugerował bowiem, że zmiana nazwiska musiała nastąpić tuż przed lub tuż po urodzeniu się mojego ojca.

- Znalazła pani może już klucze od biurka Ernesta? - spytał wtedy Jan.

Spojrzałam na tkwiącego mu za plecami syna, ale ten nawet nie drgnął.

- Nie, ale domyślałam się, gdzie mogą być - odparłam, patrząc mu w oczy. - Pójdę i sprawdzę. - Pobiegłam szybko na górę.

Po kilku minutach otworzyliśmy mebel „komisyjnie”.

- No tak - westchnął zawiedziony Jan. - I czego ja się spodziewałem? Przecież ta stara kwoka musiała wszystko zniszczyć!

- Tatku! - zgromił go Rafał.

Jan nieoczekiwanie zgarbił się i zasepił.

- Ledwieniowa, chciałem powiedzieć... Ale jest przecież akt zgonu, na którym napisano wyraźnie: kawaler! - próbował przekonywać prawnika.

- To niestety za mało - jęknął prawnik, łasy na potencjalnie szmalcowego klienta. - Nawet gdyby to wystarczyło, aby udowodnić, że pan Ernest nie był mężem Alicji Ledwieniowej, pan powinien przede wszystkim i niezbitnie wykazać, że był pańskim bratem. Krótko mówiąc, udowodnić, że Ernest Ledwień i Ernest Sochowicz to jedna i ta sama osoba...

- Ale... jak? - Jan spojrzał z nadzieją na syna, ale ten wzruszył tylko ramionami.

Od tamtego dnia nie zamieniłam z nimi ani słowa. Choć muszę przyznać, że odczułam sporą ulgę, że nie podejrzewają mnie o zniszczenie dziadkowych dokumentów. Może nawet z tej ulgi wylęgłoby mi się coś na kształt wdzięczności do Rafała, gdyby nie fakt, iż wchodząc pewnego wieczoru do swojego pokoju, znalazłam pod drzwiami kopertę z listkiem.

Być może taka próba kontaktu wyda się Pani infantylna czy wręcz śmieszna, ale nie widzę chwilowo innego sposobu – pisał jego autor. – Jak Pani pewnie zdążyła zaobserwować, nie trzymam strony ojca w jego zmaganiach...

– A jednak – mruknęłam pod nosem. – Czułam, ptysiu, że wyeksponujesz w końcu tę swoją zasługę!

...więc mam nadzieję, że da się Pani przekonać do krótkiej rozmowy – czytałam dalej. – Ostatnio chyba dość niezręcznie się wyraziłem, mówiąc o naszej współpracy, pragnę więc wyjaśnić, co miałem na myśli. Nie chodziło mi o to, by Pani w jakimkolwiek zakresie szła mi na rękę czy też powierzała rodzinne sekrety. Przeciwnie: to ja chciałem podzielić się z Panią swoją wiedzą i usłyszeć, co Pani o tym sądzi.

Z wyrazami szacunku – Rafał Sochowicz.

– O mamó! – jęknęłam. – Czegóż on znowu chce? – Pieniądzy, to jasne! – odpowiedziałam sobie natychmiast. – Tylko że innym sposobem... Ale dobrze! Niech będzie.

Pomyślałam, że unikanie się na dłuższą metę jest raczej bezsensowne i że w zasadzie nie zaszkodzi mi w niczym wysłuchanie paru więcej bzdur. Zeszłam na dół i najpierw zlokalizowałam Bernadkę. Skoro ona była w kuchni, Rafał musiał być na tarasie...

– O co chodzi? – zaczęłam z marszu, wymachując mu przed nosem liścikiem.

– Och! – Poderwał się zaskoczony. – Mam rozumieć, że zdecydowała się pani na rozmowę?

– Nie, proszę pana. Zdecydowałam się wyłącznie na słuchanie. Więc proszę bardzo!

– Może wobec tego przejdziemy się kawałek? Na Błonia, na przykład?

– Nie ma takiej potrzeby. Słucham, proszę mówić. Wkładałam w swoje słowa tyle chłodu, ile potrafiłam z siebie wyzionąć. Żeby mu się nie wydawało, że będzie mnie tu czarował i mamił w sobie tylko znanym celu.

- Nie wiem, od czego mam zacząć - westchnął Rafał, oglądając się czujnie za siebie.

- Najlepiej od czegoś, co mnie przekona, że nie tracę tu z panem czasu.

- Dobrze. No więc, jak już pani wspomniałem, potrafię dowieść, że Ernest Ledwień i Ernest Sochowicz to ta sama osoba.

- O? - zdziwiłam się uprzejmie. - Doprawdy?

- Tak, ponieważ wiem, gdzie i kiedy zmienił nazwisko!

- Ooo? - zdziwiłam się jeszcze uprzejmie.

- W Zielonej Górze, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku.

- Bzdura! - wymknęło mi się znacznie bardziej spontanicznie, niż bym chciała. - To nie miałoby sensu. Owszem, miałoby jakiś, gdyby zrobił to, kiedy mój tata był jeszcze mały, ażeby stworzyć pozory normalnej, biologicznej rodziny. Ale nie dwadzieścia lat później! Oczywiście, zakładając, że nie byli z babcią małżeństwem... Bo mój ojciec, proszę pana, urodził się w pięćdziesiątym pierwszym! I co? Widzi pan w tym choćby cień logiki?

- A jednak! - zaperzył się Rafał. - Sprawdziłem to dokładnie! Zaraz potem zrezygnował z doskonałej posady i wyjechał do Krakowa.

- Jakiej posady?

- Ordynatora. - Westchnął

•

Rewelacje, które usłyszałam tamtego wieczoru od młodego Sochowicza, zdawały się prowadzić sprawę w całkiem innym kierunku niż sugestie jego rodziciela. Może, gdybym wtedy wysłuchała go do końca, oszczędziłabym sobie wielu głupich i bezowocnych działań. Ale ja nie wierzyłam ani jednemu, ani drugiemu i sama nie wiem właściwie dlaczego dawałam się wciągać w tego rodzaju dysputy. Ale dawałam się, zdecydowanie wbrew sobie, w jakimś irracjonalnym uporze postawienia na swoim. Dlatego po błyskawicznej analizie uznałam, że absurdalne daty, którymi operował Sochowicz, dają mi możliwość solidnego odbicia piłeczki.

- A więc sytuacja zaczyna się wyjaśniać - rzuciłam mu w twarz z satysfakcją. - Jeśli było rzeczywiście tak, jak pan mówi, to by oznaczało,

że dziadek chciał zamataczyć swoją

przeszłość i żadnej łaski babci nie zrobił! Przecież nie zaczynałby nagle dbać o pozory po tylu latach beztróskiego pożycia z nieślubną żoną i cudzym dzieckiem przy piersi! Zrobiłby to znacznie wcześniej!

- Maca pani po ciemku, dokładnie jak mój ojciec - skrzywił się Rafał.

- A kto mówi, że ten ich... związek... zaczął się wcześniej?

- Jak to? Więc kiedy? Co mi pan... tutaj... sugeruje?

- Ja niczego nie sugeruję. Jedno w każdym razie jest pewne: Ernest do końca życia był kawalerem i nie miał własnych dzieci.

- Więc chciał zamataczyć, czy tak? - spytałam na wdechu, zapominając zupełnie o planowanym chłodzie.

- Tak. Ale nie tylko swoją przeszłość. Ich obojga. Ponieważ...

- O, nie, proszę pana. Ja się nie dam zwariować!!! - Znowu mnie poniosło. - Przecież to się w ogóle kupy nie trzyma! I nie ma żadnego, ale to żadnego sensu!!!

- Dlaczego? - spytał rzeczowo Rafał.

- Nnnie wiem... - Otarłam wierzchem dłoni spocone czoło. Miałam nie dać się ponieść emocjom, ale teraz już nie byłam w stanie ukryć swoich naturalnych reakcji.

- Nie wiem - powtórzyłam. - Bo nie wierzę w to wszystko za grosz! Absolutnie! W ani jedno słowo!

- Pani Klaro... - Rafał usiłował mnie zatrzymać.

- Jest pan równie podły jak oni wszyscy! - wykrzyczałam mu w twarz. - Obłudny, zakłamany i pazerny. A ponieważ działa pan bardziej pokrętnie niż oni, jest pan nawet podły o wiele bardziej!

Gwałtownie wyszarpnęłam mu z dłoni rękaw mojego swetra i wbiegłam do domu. Wzięłam długi prysznic dla ukojenia nerwów i władowałam się do łóżka. Mimo swoich usilnych deklaracji, że uważam zasłysznaną historię za stek idiotyzmów, coś jednak we mnie zasiano. Na tyle skutecznie, że kiełkowało bez żadnej kontroli, spędzając mi sen z powiek i pęczniąc dławiącym poczuciem bezradnej złości. Bo niby jakim prawem ci wszyscy ludzie chcą nagle rujnować mi życie? Owszem, ograbić mnie ze spadku z czystej pazerności, to było dla mnie jeszcze do pojęcia. Ale jaki mieli interes w kalaniu pamięci moich bliskich? Odzieraniu ich z czci i godności? Nawet jeśli był to jakiś precyzyjnie ukartowany spisek, nie byłam w stanie dorobić do niego żadnego lo-

gicznego celu... Od kilku godzin przewracałam się z boku na bok, jakby chcąc strząsnąć z siebie wszystkie mroczne myśli.

- Nie! - oznajmiłam sama sobie kategorycznie. - Nie będę się tu wila w niepewności, gdy mogę przy niewielkim wysiłku zweryfikować wszystkie te banialuki!

Zerwałam się z łóżka i zadzwoniłam do informacji kolejowej. Najbliższy pociąg do Gliwic miałam o piątej trzydzieści. Czyli za niecałą godzinę... A zatem, jeśli dobrze pójdzie, za jakieś trzy godziny wszystko będę wiedziała - kalkulowałam, ubierając się w pośpiechu. Przecież - myślałam gorączkowo - jeśli było tak, jak ten wymuskany dupek miał chęć sugerować, mój tata musiał o wszystkim wiedzieć! Ba, pamiętać wszystko z najdrobniejszymi detalami, gdyż w czasie, kiedy rozgrywały się te kryminalne historie w Zielonej Górze, był już co najmniej pełnoletni!

A może oni na to właśnie liczyli? - dumałam. - Żeby wykurzyć mnie z domu i zabrać się za kolejną demolkę? A, tam! Wszystko mi jedno - szepnęłam półgłosem i zadzwoniłam po taryfę.

•

- Nie, mamuś, naprawdę, nie mogę zostać - tłumaczyłam po raz któryś z rzędu. - Tak tylko wpadłam, zobaczyć, co u was słychać.

- Szkoda - westchnęła mama i podsunęła mi talerzyk z ciastem. - Weź jeszcze jeden kawałek, córeczko. Dawniej tak bardzo smakował ci mój mazurek...

- I dzisiaj mi smakuje, mamusiu, ale już naprawdę więcej nie wcisnę. Chętnie za to zabiorę kawałek do domu.

- Oczywiście, że zabierzesz! - ucieszyła się mama. - Mam jeszcze prawie całą blaszkę! A może chcesz zobaczyć swój pokój? - Miałam wrażenie, że wraca okrężnie do tematu mojej przeprowadzki. - Jest wciąż taki sam, jaki był.

- Aaaa... Nie, dziękuję. - Otrząsnęłam się na myśl o zahibernowanych w nim emocjach i uczuciach, towarzyszących wydarzeniom sprzed lat.

Bałam się chyba zobaczyć tam samą siebie, pełną goryczy i smutku, pakującą walizę w brązową kratę. I stojącego w progu ojca z nieprze-niknionym wyrazem twarzy, i matkę z niemym żalem w oczach... Wyjeź-

działam przecież tylko na jakiś czas, na studia, ale ten „jakiś” zmienił się niespostrzeżenie w „na zawsze”...

- O czym tak dumasz, córeczko? - spytała z niepokojem mama.

- Ach, nie... Tak, wspominam tylko.

- Bronek wrócił! - Mama zerwała się z krzesła i pobiegła do przedpokoju. - Mamy gościa! - oznajmiła promiennie, uwalniając go jednocześnie od siatek z zakupami.

- Klara!!! - Ojciec zamknął mnie w czułym uścisku, jakby nigdy nie istniała między nami waliza w kratę, wypchana po brzegi jego nadziejami i moją bezbronną, jeszcze dziecinną rozpaczą.

- Cześć, tatku! - Zawisłam mu na szyi, ukrywając w sztywnym kołnierzu koszuli zbyt błyszczące oczy.

Tata usiadł naprzeciw mnie i czekał w milczeniu. Nie zapytał, tak jak mama, czy przyjechałam na dłużej, a może na stałe, nie dociekał, co mnie do nich sprowadza tak nagle i bez uprzedzenia. Wszystkie odpowiedzi wyczytał z mojej twarzy.

- Tatusiu, moglibyśmy chwilę porozmawiać? - zaczęłam niezręcznie.

- Taaak - odpowiedział z wahaniem.

- Bo widzisz... Ja mieszkam teraz u babci. Taka była jej ostatnia wola. Podobno dziedziczyć po niej wszystko, ale jeszcze...

- To oczywiste - przerwał mi chmurnie ojciec. - Któż inny mógłby dziedziczyć, jak nie ty?

- No tak... Ale... Zjechali się tam jacyś różni i chcą to moje prawo podważyć.

- Bez obawy! - Ojciec zacisnął dłonie na poręczach fotela.

- Niczego nie wskórają!

Trochę zaskoczyła mnie ta jego zaciekłość, więc umilkłam na chwilę, zastanawiając się jednocześnie, jak by tu zręcznie przejść do istoty sprawy.

- Wiem... Ale nie o to chodzi - ciągnęłam niepewnie, wkurzając się jednocześnie na siebie samą. - Rzecz w tym, że... pojawiły się jakieś dziwne domniemania co do przeszłości naszej rodziny i chciałabym je wyjaśnić.

- Ja nie mam zbyt wiele do powiedzenia, Klaro!

Siedząca do tej pory z boku matka wyszła cicho do kuchni.

- Ale powiem ci jedno. - Ojciec wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Najlepiej zrobisz, jak zostaniesz tutaj, z nami. Jeśli nie zechcesz, wracaj, ale nie rozgrzebuj przeszłości! Taka jest moja rada.

- Tatku! - jęknęłam z wyrzutem. - Jeśli jest coś, o czym nie wiem, a widzę, że jest, chcę to wiedzieć od ciebie!!!

- Co... chcesz wiedzieć? - spytał matowym głosem i usiadł z powrotem w fotelu.

- Czy to prawda, że dziadek Ernest nie był twoim ojcem? I nigdy nie ożenił się z babcią? - zaczęłam, teraz już bez zbędnych wstępów.

Tata zwiesił głowę i zaczął nerwowo bębnić palcami w poręcz fote-la.

- Tak - odparł po krótkiej chwili.

- Dlaczego... zmienił nazwisko? - pytałam coraz bardziej drżącym głosem.

- Żeby wyglądało właśnie, że się ożenił.

- A... kiedy to było?

- Klaro - wyszeptał tata, łapiąc mnie za rękę. - Zlituj się, dziewczyno. Nad... sobą samą się zlituj!

- Nie! Ja muszę wiedzieć!!! Wszystko! Tu i teraz!

- Dobrze - zdecydował nagle. - Wyłącznie tu, teraz i już nigdy więcej! Pod warunkiem, że coś mi obiecasz.

- Tak?

- Że dasz już temu spokój.

- Dam, tatku, dam! Tylko nie chcę, żeby mi obcy ludzie gadali w oczy rzeczy, o których nie mam pojęcia!

- W nosie powinnaś mieć tych wszystkich ludzi! - Ojciec nieoczekiwanie podniósł głos. - Wywal ich po prostu ze swojego domu na zbity pysk! Ze swojego, bo poza tobą nikt nie ma tam czego szukać!!!

- Dobrze, tatku, tak zrobię - próbowałam ułagodzić go cichą pokorą. - Tylko mi powiedz jeszcze... Ile ty wtedy miałeś lat? No... wtedy, kiedy babcia... związała się z Ernestem.

- Dwadzieścia, mniej więcej.

- To ja już byłam przecież na świecie!

- Byłaś, córeczko. - Przez twarz ojca przemknął bolesny grymas. - Mieszkaliśmy wtedy koło Zielonej Góry. W niecały rok po twoim urodzeniu ona oznajmiła, że zamierza wyjść za mąż. Nie masz pojęcia, co to

była za historia! Robiłem wszystko, żeby ich od siebie odsunąć... Nienawidziłem go! Boże, jak ja go nienawidziłem!

- A nie było czasem tak - zasugerowałam nieśmiało - że chciałeś się odegrać, bo babcia wcześniej zabroniła ci ożenić się z mamą?

- Co? - Tata spojrział na mnie niewidzącymi oczami. - Nie, córeczko... To akurat nie miało nic do rzeczy...

- I?

- Nie pobrali się, ale on i tak postawił na swoim. Przyjął jej nazwisko... Moje nazwisko!!! I wyjechała z nim do Krakowa. Postanowiłem wtedy, że już nigdy więcej mnie nie zobaczy. Ani mnie, ani ciebie. Ale po jakimś czasie przyszedł list, że bardzo za tobą tęskni, błagała, żebym od czasu do czasu pozwolił jej się z tobą spotkać. Nie chciałem. Trwałem długo w tym uporze, a ona pisała i pisała...

- I co?

- Przecież wiesz, jak było. Jeździłaś do niej w każde wakacje.

- No wiem, ale jak to się stało, że w końcu uległeś?

- Ania mnie przekonała. Twoja matka, znaczy się. Ale nie od razu. Dopiero kiedy zamieszkaliśmy w Gliwicach. Ty... niczego z tamtych czasów nie pamiętasz?

- Pierwszej wizyty u babci nie kojarzę, ale pamiętam, jak mama mnie do niej wozila pociągiem, potem piły obie kawę, a ja w tym czasie zadreślałam psa. Taki był nieustanny rytuał. Potem jeździłam do niej sama. Ale dziadek mnie lubił i ja jego też!

- Wielka mi zasługa - sarknął ojciec. - Po prostu, ciebie trudno byłoby nie polubić!

- Ty chyba do dziś go nienawidzisz? - spytałam zdziwiona. Ojciec nie odpowiedział. Jednak cała jego postawa, wyraz oczu, zaciśnięte usta i pięści świadczyły o tym, że trafiłam w sedno. Coś mi tu jednak nadal nie grało.

- Tatku! Proszę cię, powiedz mi całą prawdę! Obiecałeś!

- Co jeszcze... mam ci... powiedzieć? - spytał cichym, urywanym głosem.

- Przecież nie mogłeś aż tak się uprzedzić do faceta swojej matki, tylko dlatego że z nią był! O co tu jeszcze chodzi? A może - coś zaświtało mi znienacka - rzeczywiście ona ciągle była mężatką? A dziadek po

prostu... wciął się na trzeciego? Co? Może o to masz żal, że rozbił waszą rodzinę?

- No to teraz wiesz już wszystko. - Tata westchnął z ledwo słyszalną ulgą w głosie. - Owszem. Rozbił nam rodzinę. Oboje rozbili, ona i on. Zniszczyli. Zdeptali... Zbudowali swoje życie, jak to się mówi, na cudzym nieszczęściu.

- Kim był twój ojciec? Jak się nazywał? - zdawałam się nie słyszeć tych jego uwag.

- Przecież nazwisko mam po własnym ojcu.

- To znaczy... Ledwień, tak?

- Klaro, na miłość boską! - obruszył się ojciec. - Oczywiście, że Ledwień. Jakże mogłoby być inaczej?

- No nic... przepraszam. Myślałam tylko, że... - gubiłam się w domysłach, zaszczepionych przez moich „gości”. - Czy mówi ci coś może nazwisko Zajączkowski?

- Zajączkowski? - Tata uniósł brwi w autentycznym zdziwieniu. - Nie. A cóż to znowu za persona?

- Nie wiem. Nieważne. A... ta wieś, w której mieszkaliście... jak ona się nazywała? - spytałam niepewnie.

- Soliszka... Po co ci to, Klaro, chyba nie zamierzasz tam pojechać?! Tam już kamień na kamieniu nie pozostał, niczego nie ma! Rozumiesz?

- Rozumiem...

- Córcia! - Ojciec położył mi drżące dłonie na ramionach.

- Na miłość boską! Wracaj do domu, ciesz się życiem, zajmij się czymś, co sprawi ci przyjemność! Nie trap się rzeczami, które już dawno stały się nieważne! Bo po co? No? Powiedz mi, po co?

- Myślę, że babcia by tego chciała...

- Chciałaby?! Ona by chciała? - Teraz ojciec już prawie krzyczał. - Czego? Rozgrzeszenia? I jak zwykle, z cudzej wyręki! Niestety, córciu. Są rzeczy, których nie da się załatwić cudzymi rękoma!

•

Ostatnie słowa ojca przeraziły mnie okropnie. Przez całą powrotną drogę miałam w uszach jego urywany w niepohamowanej pasji oddech i cichy płacz mamy za ścianą. Jakże wyrzucałam sobie w duchu tę niefortunną wizytę! Widywaliśmy się przecież tak rzadko! A ja... Jak ostatnia

niewdzięcznica zjawiłam się tylko po to, by wydrzeć im głęboko skrywane tajemnice, ich własne, prywatne, których nie miałam ani prawa, ani też żadnej realnej potrzeby poznawać. Byłam wściekła. Wściekła jak wszyscy diabli! Na siebie, na ludzi, którzy mnie do tych dociekań sprowokowali, na całą tę niedorzeczną i niepotrzebną sytuację. Postanowiłam sobie, że pozbędę się moich lokatorów, choćbym ich miała na plecach z domu powynosić! I że za radą taty najpierw pozbięram się do kupy, a potem zaproszę oboje rodziców do siebie na dłuższy czas, żeby wreszcie mogli mnie sobie pooglądać spełnioną i szczęśliwą...

Z lokatorami poszło mi znacznie sprawniej, niż ośmieliłabym się przypuszczać. Coś w rodzaju sygnału do odwrotu dała Bernadka. Po prostu Bartoszek, chcąc nie chcąc, musiał się w końcu pojawić w miejscu pobierania podstawowej edukacji. Kiedy tak stała w holu, z tobołami u stóp, Bartoszek nieoczekiwanie podbiegł do mnie i spontanicznie objął za szyję.

- Ale tu fajnie było u ciebie, ciociu! - wyznał z westchnieniem.

- Strasznie się cieszę - odparłam, zmieszana z lekka, gdyż nie przyczyniłam się w żadnym stopniu do umilenia mu tego pobytu. No, może poza ratowaniem przeładowanego owocami żołądka...

- Mnie również było bardzo miło. - Bernadka wyciągnęła do mnie rękę.

- No cóż... Nie poświęciłam wam zbyt dużo czasu, ale mam nadzieję, że będzie to można nadrobić.

- To znaczy, że będziemy tu mogli jeszcze kiedyś przyjechać? - ucieszył się Bartoszek.

- No pewnie! Zapraszam w przyszłe wakacje!

- W przyszłe wakacje to raczej ja tutaj zapraszam - sarknął pod nosem Jan.

- Tak czy inaczej myślę, że będziemy w kontakcie. - Zignorowałam jego zaczepkę.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo na to liczę. - Bernadka uśmiechnęła się smętnie. - Ale zostawię pani mój adres, może chociaż wymienimy czasem pocztówki na święta...

Podaliśmy jej notes i długopis.

- Nie wiem, jak pan, ale i my już będziemy się zbierali - zagaił August, spoglądając niepewnie w stronę Jana. - Mamy niewielką gospo-

darzę, a toż gadzina nie może za długo na łasce sąsiedzkiej pozosta-
wać.

- Ja również nie widzę powodu dla dłuższego pobytu w tym domu -
odparł wyniośle Jan. - Ale niech pan nie myśli, że skapitulowałem! Za-
mierzam nadal wyjaśniać sprawę. Z pomocą syna, rzecz jasna.

- A właśnie, gdzież to się syn pański podziewa? - spytałam, rozgląda-
jąc się dyskretnie.

- On już opuścił to domostwo. Zaraz po ostatniej rozmowie z panią
wsiadł w samochód i pojechał! Oczywiście ja nie wiem, czego ona doty-
czyła. - Ostatnie słowa wyrzekł z ewidentną pretensją w głosie.

- No i bardzo dobrze zrobił - ucięłam krótko.

Kiedy Jan ostentacyjnie udał się po swoje rzeczy, Dziejkowie wcią-
gnęli mnie konspiracyjnie do kuchni.

- Tu, proszę szanownej paniusi, jest nasz adres. - August wcisnęła mi
w rękę złożony w kostkę karteluch. - W razie gdyby ten pani stryj-nie-
stryj przejął majątność, prosilibyśmy usilnie o powiadomienie nas.
Wtenczas my się o swoje upomnimy, a proszę nam wierzyć, że nie-
wdzięczne nie jesteśmy! Dziejki z dziada pradziada na honorze mocno
uczulone!

Włożyłam świstek między kartki notesu, oczekując, że i Jan wrzuci
do niego swoje namiary. To znaczy, może nie oczekując, bo do niczego
nie były mi one potrzebne, ale raczej spodziewając się tego. Dlatego po-
zostałam już z tym notesem w rękę, zaskoczona niespodziewanym i błę-
skawicznym rozwojem sytuacji.

- Zamierza pani spisać moje dane osobowe? - spytał Sochowicz
z ironią, wyskakując znienacka zza moich pleców.

- Ależ skąd! - ocknęłam się gwałtownie. - Myślałam tylko, że i pan
zechce zostawić jakiś kontakt.

- Po co? - Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Nie wiem. Wszyscy inni chcieli, z sobie wiadomych powodów.

- Mnie w zupełności wystarczy, że ja znam adres szanownej pani.
Sam nie mam potrzeby się opowiadać z miejsca mojego pobytu.

- A ja, proszę szanownego pana, nie mam potrzeby znać tego miej-
sca! - odgryzłam się raczej dość subtelnie.

Kiedy wreszcie w całym domu zapanowała cisza, taka prawdziwa i błoga, dopiero wtedy zadałam sobie pytanie, co takiego się stało, że wszystkich moich „gości” wymiotło w jednej minucie. Przyznam, że w pierwszej chwili uczułam nawet lekki niepokój... Jednak pobieżny rekoniesans sugerował, że nie uprawiano tu już więcej żadnych wrażeń działań: wszystko było normalnie, tak jak było. Wytłumaczyłam sobie zatem, że i jedni, i drudzy (wyłączając Bernadkę) po prostu brali się nawzajem na przetrzymanie. A kiedy Dziejki, przyparci w końcu do muru żywą gadziną, zrobili pierwszy krok, Sochowicze całkiem już spokojnie zrobili drugi. Zadowolona z udzielonych sobie wyjaśnień, zadzwoniłam do Grażynki. Zdecydowanie należało mi się trochę życia prywatnego, które zamierzałam zainicjować w jej towarzystwie.

- Jejku, Klara, jak ja cię dawno nie widziałam! - wykrzyczała od progu zamiast „dzień dobry”.

- No... może jakiś... tydzień - wystękałam, mocując się z butelką wina.

- Tak, ale jak się kogoś uprzednio widuje codziennie, to potem jeden tydzień...

- Tylko proszę, nie stosuj mi tu żadnych skomplikowanych przeliczników! - przerwałam jej prędko. - Masz! Ty to otwórz, bo ja prędzej szyjkę ukręcę.

- To jak? Naprawdę jesteś sama? Całkiem? - Grażynka spytała z niedowierzaniem, obracając korkociągiem.

- Samiuśka!

- Były cię nie nachodzi?

- Wyobraź sobie, że nie.

- Więc teraz na pewno cię najdzie. Jak tylko przeniucha, że wyjechali.

- Przestań - jęknęłam błagalnie. - Ja chcę się delektować swobodą, a nie trapić jej rychłym zakończeniem!

- Dobra! No to mów. - Grażynka napełniła krysztaly i sięgnęła po ciasteczko.

- Eeee... Ale co?

- Na początek: jak się ich pozbyłaś?

- Nijak. Sami się wynieśli.

- I myślisz, że już po sprawie?

- Gdzie tam! Myślę, że wszystko dopiero przede mną, ale tymczasem korzystam z przerwy na oddech. Chyba będę musiała w końcu przejść, co tu babcia przez lata nagromadziła, i zacząć się jakoś urządzać.

- A więc jednak naprawdę zdecydowałaś się tu zamieszkać?

- Nie wiem, czy się zdecydowałam. Samo się zdecydowało. W każdym razie, jak pomyślę, że musiałabym kotłować się z Piotrkiem, to mi się flaki wywracają.

- I bardzo słusznie! - Grażynka uniosła swój kryształ.

- Wobec tego: za twoje nowe życie!

- Nie!!! - powstrzymałam ją dramatycznie. - Za moje lepsze życie!

- Otóż to! - podjęła z entuzjazmem. - Za lepsze!

Nie chciałam tego jej entuzjazmu rujnować tak od razu, więc zanim wyrzuciłam z siebie wszystkie najświeższe „co słyhać”, pozwoliłam jej wypić trzy lampki wina. A potem już samo poleciało... Grażynka słuchała w napięciu, z mniej lub bardziej rozdziawionymi ustami.

- Wiesz co? - wycodziła wolno, gdy już skończyłam. - Moim zdaniem twój ojciec ma świętą rację! Powinnaś teraz zająć się wyłącznie sobą i chrzanić, co tam, kiedy, kto oraz z kim. To se, moja droga, ne vrati, jak mawiają najstarsi czescy górale.

- Wiem! - odparłam wyniośle. - I nie neguję! Ale gdybyś chciała... - zawiesiłam tajemniczo głos.

- Tak? - Grażynka pochyliła się ku mnie ciekawie.

- ...zejdziemy do piwniczki, a tam...

- ...dobierzemy się do babcinych zapasików! - skończyła za mnie radośnie. - No oczywiście, że bym chciała!

- A więc, idziemy! Tylko... Nie wiem, czy obejdzie się bez latarki. - Zawahałam się przez moment. - Ostatni raz byłam w tej piwnicy jako mała dziewczynka i nie pamiętam, czy tam w ogóle jest prąd. I to byłby problem, gdyż nie wiem, czy tak zwana masa spadkowa zawiera może w swej masie latarkę. Świeczkę pewnie tak, ale też nie wiem gdzie... Ale może po prostu zejdźmy i sprawdźmy?

- Uuuu - zmartwiła się Grażynka. - Ja bym proponowała bez światłości się tam nie zapędzać. Sadzę, że obie nie jesteśmy chwilowo wystarczająco silne w nogach na taką eskapadę. Tym bardziej że teren nieznanymy...

- To co, odpuścimy sobie, ot tak, bez walki? - Rozbudzona we mnie ostatnimi czasy wojowniczość nijak nie chciała wrzucić na luz.

- Znicze! To na pewno masz i na pewno wiesz gdzie! - wrzasnęła Grażynka w nagłym prześlisku.

- A pewnie! Pewnie, że mam! - podjęłam z entuzjazmem i po chwili każda z nas dzierżyła w dłoni płonący lampion sporych rozmiarów.

Piwniczka była wąska i ogólnie niewielka, za to urządzona niezwykle porządnie. Stojące przy dwóch przeciwległych ścianach, sięgające niemal sufitu półki wypełnione były tematycznie: po lewej znajdowały się sałatki, ogórki kiszzone, korniszony, kapusta kiszona, przeciery z ogórków i szczawiu, po prawej zaś kompoty, powidła, dżemy, soki i, oczywiście, upragnione przez nas wino. Wino było najwyżej.

- Poświeć, a ja się wdrapię - wydałam dyspozycję stojącej za mną Grażynce.

- Nie, nie wdrapuj się! - zaprotestowała. - Poszukamy drabinki. Musi tu być, twoja babcia nie łąziła przecież bezpośrednio po ścianie!

- Ja myślę, że babcia w ogóle tu nie łąziła. - Starłam palcem grubą warstwę kurzu z pierwszego lepszego słoja. - I drabiną nie ma sobie co głowy zawracać. Postaw po prostu gdzieś ten znicz i mnie ubezpieczaj, to się wdrapię.

Grażynka odstawiła znicz na parapet małego okienka, znajdującego się od wewnątrz tuż pod sufitem, od zewnątrz natomiast - na poziomie ogródka. Zaraz potem stanęła opiekuńczo za moim odwłokiem, gotowa przyjąć na siebie cały mój ciężar wraz z ciężarem butelki. Półka z winkiem nie znajdowała się wysoko, brakowało mi do niej raptem jakieś pół metra, cały problem polegał jednak na tym, że te niższe nie dawały wystarczającego oparcia dla stóp, a te wyższe punktu zaczepienia dla rąk.

- Nie da rady - wysapałam bezradnie po kilku nieudanych alpinistycznych próbach.

- Weźmy to. - Grażynka wskazała palcem na jakąś, stojącą poniżej okna, nakrytą ceratowym obrusem bryłę. - Na to wleziesz.

- Wytrzyma? - spytałam z powątpiewaniem.

- Pewnie! Sama na to wlażłam, kiedy odkładałam znicz!

- To dawaj!

Wspólnym wysiłkiem przepchałyśmy kloc spod okna w stronę półki. Samo zdjęcie flaszeczki było już częścią formalnością. Na wszelki wypa-

dek postanowiłyśmy zostawić ten sprytny podnózek tak, jak jest.

- Ej!!! - Grażynka zastygła zniemacka ze zniczem w ręce.

- Tam są jakieś giry! - Wskazała wolną ręką za okno.

Podążając wzrokiem za jej ręką, istotnie dostrzegłam za oknem parę obutych w adidas i odzianych w dzinsy nóg. Mimo najszczerzych chęci i karkołomnych skrętów głową nie zobaczyłam, co jest powyżej.

- A to ci świnia! Chamska podłota! - szepnęłam z przejęciem.

- A co, znasz je? - odszepnęła Grażynka.

- Nie! To znaczy, z nikim konkretnym ich nie kojarzę, ale z pewnością któraś z tych kreatur została, by zejść mnie od tyłu! - Myślisz, że nas widzi?

- A bo ja wiem? - zawahała się Grażynka. - Może widzi płomyk znicza, ale nas chyba raczej nie.

- To co robimy?

- W zasadzie mamy dwa wyjścia - zaczęła z wahaniem.

- Trzeciego nie mamy absolutnie.

- Czyli?

- Albo zadzwonimy po policję, ale zanim stróże naszego wątpliwego prawa się tu dotłuką, po girach nie będzie już śladu. Mogą być za to nasze dwa zimne trupy.

- Myślisz, że aż tak długo będą jechali?

- Myślę. Ale bez przesady, płam opadowych chyba nie zdążymy dostać. Tylko co nam z tego?

- Raczej nic... A drugie?

- Drugie wyjście jest takie, że załatwimy to same. Na pewno jednak nie możemy tego tak zostawić. I to jest ta opcja, której nie ma.

- Jezu, Grażynka, uważasz, że powinniśmy go zamordować? Tak zwyczajnie, z zimną krwią?

Grażynka przycupnęła w kącie przy drzwiach i kazała mi zrobić to samo.

- No, z zimną, to może nie. Masz! Napij się! - Wepchnęła mi w rękę butelkę.

- Ale ja nie wiem... czy umiem! Nie mam wprawy! - pojękiwałam rozpaczliwie, raz po raz pociągając cierpkiego płynu.

- Zostaw to mnie - zarządziła kategorycznie i odebrała mi butelkę. Po chwili rozległo się ciche gulgotanie. - Masz jeszcze trochę - oddała mi trunek. - Napij się, bo zaraz zrobię ciemność.

Podczas, gdy ja aplikowałam sobie babcinej roboty promile, Grażynka zdjęła z haka przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem, włożyła go na siebie i z powrotem zajęła miejsce obok mnie. Zapalony znicz wsunęła pomiędzy jego sute fałdy, skutkiem czego w piwnicy rzeczywiście nastąpiła ciemność. Nie przeszkodziła nam jednak w dalszej degustacji. Właśnie zaczynała mi chodzić po głowie z lekka zamroczona myśl, że przyjdzie nam tak pewnie kucać do samego świtu, kiedy od strony okienka dał się słyszeć delikatny, acz systematyczny chrobot. Grażynka na wszelki wypadek przytrzymała mnie za łokieć. Obserwowałam w kompletnym bezruchu majaczące w półmroku, coraz dłuższe nogi, potem wyłaniający się po kawałku korpus, a na koniec zbyt wielki jak na mój gust, czarny, kostropaty łeb. Pomyślałam teraz, że Grażynka zasnęła, ale ona, jakby wyczuwając mój niepokój, ponownie złapała mnie za łokieć. Zrozumiałam, że mam czekać i z niczym się nie wrywać. Zbrodnicze indywiduum natenczas wsunęło się do środka w całości i jęło obmacywać teren wokół siebie. Posuwało się tak w półkucku, systematycznie zdążając w naszym kierunku. Nie wytrzymałam i trąciłam Grażynkę pod żebro. Natychmiast odwzajemniła mi się identycznym gestem, co miało chyba oznaczać, że mam nadal siedzieć cicho i nieruchomo. Przypuszczałam, że Grażynka chce, aby samo podpełzło jak najbliżej, a przynajmniej na odległość ciosu sierpem, który miała tuż za sobą. Trochę mnie mdliło na myśl o planowanym przez nią rozlewie krwi, ale znieczulona dość solidnie piwnicznym znaleziskiem traktowałam całe zajście raczej jak koszmarny sen niż koszmarny real. Wtym momencie rozległ się straszliwy łomot, który popchnął mnie jednak ku granicy rzeczywistości. To nasz podstępny zbir wyłożył się właśnie o kloc, który posłużył mi w charakterze drabinki, po czym zaklął cicho, acz treściwie.

Obmacał pobieżnie swoje członki, następnie obmacał kloc i fuczając z wysiłku, przepchnął go pod okno. Wyglądało na to, że zamierza go jakimś cudem stąd wytaskać. I chyba nawet nie cudem, lecz całkiem ludzkim wysiłkiem, gdyż wspiąwszy się na niego, rzucił w stronę okna jakieś niezrozumiałe polecenie. A więc miał współnika! Tego już nie mogłam zdzierżyć, ale Grażynka, uprzedzając mój spontaniczny poryw, szybko zerwała się na nogi. Ukrywany do tego czasu znicz umieściła

w otworze okalającego jej twarz kaptura i machając wolną ręką jak skrzydłem nietoperza, zawyła dziko.

- Ooooooo nieeeeeee!!!!!! Po moim truuuuuupieeee!!!!!! To znaczy... - poprawiła się szybko, nie tracąc przy tym upiornej tonacji. - To ja trrrrupem w grobie leżę, a ty mi tutaj, nędzna kreaturo, dobytek rabowała będziesz? Niedoczekanie twoooooje! Ja tu wszystkiego strzegę i strzec będę po kres świata! Pójdź do mnie, jak ci życie niemiłe!!! Auuuuuuu!!!!!!

Złoczyńca zastygł w bezruchu. Po chwili odwrócił się wolno w naszą stronę i ujrawszy upiorne źródło nie mniej upiornych wrzasków, w przyplywie jakiejś nadludzkiej mocy, jak Spiderman wspiął się po ścianie i zniknął. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku pokicałam w stronę okna. Zdarłam z niedosłego przestępczego łupu ceratę i tym razem ja zastygłam jak słup. Pod ceratą znajdowała się bowiem sporych rozmiarów drewniana skrzynia. Nie jakiś tam zbity z desek pojemnik na płody rolne, ale, sądząc z dotyku, bogato rzeźbiony, antyczny mebel.

- Grażyna! - wyrwało mi się, być może trochę zbyt głośno.

- Zobacz! Skarb!

- Pokaż! - Grażynka przykicała do mnie, szeleszcząc peleryną. - O kurczę!

- Jakiś cham o nim wiedział! Ten Dziejko pewnie!

- Dziejko, nie Dziejko, nie można tu tego tak zostawić - odrzekła przytomnie. - Chodź, bierzemy to na górę!

Sapiąc i stękając, zawlokłyśmy znalezisko krętymi schodami do gabinetu dziadka, gdyż jako jedyny spośród wszystkich pomieszczeń miał solidny zamek w drzwiach, a poza tym mieścił się tuż obok mojego obecnego pokoju. Będąc już u szczytu piwnicznych schodów, przekonałyśmy się, że i prąd, i wszystkie żarówki są jak najbardziej na miejscu, wystarczyło tylko nacisnąć wyłącznik.

- Nie ma... tego złego... co by na dobre nie wyszło! - Grażynka przerwała mi potoczystą i niezwykle barwną wiązaną autokrytycznych zwrotów. - Gdybyśmy na to światło wpadły od razu, wypłoszyłybyśmy rzezimieszka. A on by przylazł innym razem i dokonał swobodnego rabunku.

- Słusznie - przyznałam.

- Musisz okratować te okna. Najlepiej zaraz jutro. I zamontuj kamerę!
- Pomyślę - odparłam apatycznie, cały czas wpatrując się w skrzynię. - Jak sądzisz, co jest w środku?
- Pojęcia nie mam... - Grażynka spróbowała unieść wieko.
- Nic z tego. Zamknięte!
- Ładna, prawda? - cmoknęłam z uznaniem.
- No! Majstersztyk! Pewnie bardzo stara.
- I ciężka. Jak diabli! Ciekawe, czy sama z siebie, czy to, co jest w środku, tyle waży?
- Gdyby nie była taka zabytkowa, toby się ją rach-ciach siekierką potraktowało i zaraz byśmy wiedziały...
- Ani mi się waź! - stłumiłam jej dewastatorskie zapędy w zarodku. - W ostateczności ślusarza się zawezwie.
- Chyba za późno. Druga dochodzi. - Grażynka rzuciła okiem na zegar. - Co??? Rany boskie! Ja za pięć godzin mam być w pracy!!!
- Rzeczywiście... - przyznałam w zadumie. - Trochę żeśmy się posuwały w czasie... Ale przecież możesz zanocować tutaj.
- No co ty! Nie mogę! - zaprotestowała. - Muszę jeszcze psu żarcia nagotować, uszykować sobie coś na grzbiet, przecież nie pójde do przychodni tak jak stoje!
- W istocie, jak na skromną koleżeńską wizytę Grażynka wystroiła się dość... karnawałowo. Miała na sobie malinową suknię z satyny, z dekoltem zaczynającym się mniej więcej w połowie biustu i kończącym mniej więcej w połowie łopatek. Zresztą, już samo rozcięcie ciągnące się od samego dołu aż po solidnej konstrukcji udo dyskwalifikowało ją jako strój roboczy.
- To może ja ci coś dam... - zasugerowałam niepewnie.
- Nie plec - ofuknęła mnie Grażynka. - Dobrze wiesz, że ja w nic twojego nie wleżę. Ale jeśli już, to daj mi telefon. Zamówię sobie taryfę.
- A... Ten... jak tam twoja... trzeźwość umysłu? Bo może ja powinienam mieć wyrzuty sumienia?
- Bez obawy, żadnych skutków nie odczuwam. Nawet jeśli jakieś były, to adrenalina mi je wyparła. Na dzisiejszym wieczorze w każdym razie świat się nie kończy, prawdaż?

6. Higieniczno-humanitarna metamorfoza Piotrka

W istocie, świat na owym wieczorze się nie skończył, a nawet przeciwnie, miał solidne przełożenie na najbliższy, niemiłosiernie wczesny poranek. Po wyjściu Grażynki obadałam jeszcze raz z każdej strony uratowany przez nas kufer, by wreszcie dojść do wniosku, że bez klucza ani rusz. Żarta do głębi ciekawością, co też może zawierać, skapitulowałam ostatecznie gdzieś o pierwszym brzasku. Nocny włamas, sądząc z popłochu, jaki wywołała w nim upiorna zjawia w wydaniu Grażynki, raczej w najbliższym czasie mi nie zagrażał. Mój pobieżny plan przewidywał zatem odespanie nocnych harców, a w następnej kolejności dobranie się do zawartości skrzyni. Niestety, dokładnie w tym momencie moja nieoceniona przyjaciółka nasłała na mnie fachowca od krat. Pan Zbylut, gdyż tak mi się przedstawił, zamierzał okratować absolutnie wszystko: każde okno, okienko, drzwi, kominy, a nawet otwory wentylacyjne. Po krótkich, lecz burzliwych pertraktacjach stanęło jedynie na oknach od piwnicy. Fachowiec obmierzył je dokładnie i obiecał montaż jeszcze tego samego dnia.

Tuż po wyjściu fachowca zawitała do mnie pani Pietraszko. Prawdopodobnie zorientowała się jakoś, ot, tak, po sąsiedzku, że dość mocno rozciągnięta w czasie stypa po babci zakończyła się wreszcie wyjazdem ostatnich „nieutulonych w żalu”. Pani Pietraszko, jak zwykle życzliwa i otwarta na cudze potrzeby, zaoferowała mi pomoc, w każdej formie, w jakiej tylko bym sobie życzyła. Od sprzątanina poprzez gotowanie, na stróżowaniu skończywszy. Odparłam, że się zastanowię, tymczasem zaś interesowałoby mnie jedynie to ostatnie, aczkolwiek z za płota i bez szczególnych zobowiązań. Na zasadzie swobodnego rzucania okiem. Domyśliłam się, że być może kobiecie brakuje teraz owego dość symbolicznego zastrzyku, jaki zasiliał jej budżet za życia babci. Przemyślenie

kwestii nowej roli pani Pietraszko w mojej obecnej sytuacji postanowiłam odłożyć na później. W końcu byłam kobietą niepracującą, toteż znalezienie jej do roboty czegoś, czego nie mogłabym zrobić własnoręcznie, było raczej trudne...

Przy trzecim podejściu do złożenia utrudzonych członków w pościeli rozległ się dzwonek. Po raz kolejny zbiegłam na dół, wyjrzałam przez szybkę w drzwiach i w tym momencie powtarzane miarowo na każdym schodku przekleństwo zamarło mi na ustach. Za drzwiami stał... Bylec! W zasadzie nic nie powinno mnie już zdziwić, ale jego niezwyčajny imaż nieomal zwałił mnie na próg! Piotruś, gładko ogolony, porządnie ostrzyżony i uczesany, prezentował na swoim jakby nieco mniej obszernym jestestwie nowiutki, sztruksowy garnitur. To musiałam obejrzeć na żywo!

- Czego? - spytałam uprzejmie, wpuszczając go do środka. Piotrek jednak, zamiast dać głos, zamaszystym ruchem ujawnił trzymany dotychczas za plecami wiecheć.

- Klaro, kochana moja... - wyszeptał dramatycznie. - Te parę dni bez ciebie uświadomiły mi, ile dla mnie znaczysz!

Ja... tak nie mogę dłużej! Ochrzaniaj mnie, warcz, bluzgaj, strzelaj fochy, ale pozwól mi ze sobą być! Albo chociaż obok siebie!

- A tak właściwie o co ci się rozchodzi? - spytałam rzeczowo, kiedy minął mi pierwszy szok.

- O ciebie! Wyłącznie o ciebie, Klarciu! Ja wiem, że przychodzę być może zbyt wcześnie, zbyt... nagle, ale mój niepokój o twoją osobę sięgnął właśnie zenitu! - wyrzucał z siebie jednym tchem, pewnie w obawie, że nie pozwoli mu skończyć.

- I zdaję sobie sprawę, że nie byłem dla ciebie do tej pory wystarczającym wsparciem, e... hm... finansowym, ale teraz wszystko się zmieniło, wiele zrozumiałem, i... i... chciałbym służyć ci przynajmniej swoim męskim ramieniem, gdyż... e... rozumiesz... sama, w takim wielkim domu...

- A! Właśnie! - uznałam, że w tym momencie skończyło się jego życiowe pięć minut. - W wielkim domu! Trzeba było tak od razu!

- Ależ nie, nie o to mi chodzi. - Piotrek nerwowo przełknął ślinę. - Mówiłem ci przecież, że wszystko się zmieniło! Mam świetną pracę, dobrze płatną i dobrze rokującą na przyszłość. Otworzyłem własny biznes,

na razie biznesik w zasadzie, ale hula jak burza i rozrasta się jak na drożdżach! Ja niczego od ciebie nie chcę, zresztą już mnie uświadomiła, że babcia nic ci nie zostawiła.

Z każdym słowem Piotrka, ku swojemu coraz większemu zaskoczeniu stwierdzałam, że jego przemowa robi na mnie wrażenie całkiem szczerzej. Właściwie nigdy do tej pory z takim zapałem nie deklarował swojej bezinteresowności, a nawet jeśli, to już po kilku minutach dawało się wyczuć w jego postawie jakieś ukryte intencje. Tym razem jednak to on proponował mi wsparcie, i z tego, co zdołałam pojąć, finansowe chyba też...

- A można wiedzieć, jak byś ty to wszystko widział? - spytałam z wyłączonej ciekawości.

- No, żebyśmy znowu zamieszkali razem. Tu albo u nas, wszystko jedno. Ja wiem, że nie przekonam cię do siebie od razu, ale wtedy miałbym większe szanse. Gdybyś pozwoliła mi się troszczyć o siebie, dbać, zabiegać jak... przed naszym ślubem! I sama byś zdecydowała. Oczywiście, czas nie grałby roli, ja bym nie napierał...

- I utrzymywałbyś nas oboje?

- Pewnie, że bym utrzymywał! - zawołał z zapałem.

- Wiesz co, Piotruś? - zabrałam mu z ręki coraz bardziej oskubany bukiet. - Pomyślę nad tym. Tyle na dziś mogę ci powiedzieć. Teraz jednak muszę chwilę odpocząć. Miałam ciężką noc.

- Ojej, coś się stało?

- Tak. Straszło mnie.

- Och... Naprawdę? Ale... co cię straszło? - Piotrek wyraźnie stracił na kolorycie w górnych partiach.

W zasadzie miałam na myśli niedoszłych rabusiów babcinej skrzyni, ale głupia mina Bylca podochociła mnie nieco.

- No chyba... ONA - szepnęłam ponuro, wznosząc jednocześnie oczy ku niebu.

- Ale... naprawdę? Mówisz serio?

- A co, temat jest według ciebie w sam raz do żartów?

- Nnniee... Oczywiście, że nie!

- Sam widzisz zresztą, jak ci goście pogrzebowi nagle się wynieśli. Wszyscy naraz. W popłochu!

- Wpop... popłochu?!

- Wpopłochu.

- A ty... się nie boisz?

- Czego? Własnej babci? Pewnie, że się nie boję. Tylko że spać mi nie daje, tak głośno zawodzi i jęczy.

- Jęczy? Ale czemu?

- A bo ja wiem? - Wzruszyłam ramionami. - Może w końcu powie, jak się trochę przyzwyczai. Myślisz, że tak łatwo przywyknąć do braku fizycznych organów?

- Chyba nie... A za dnia też straszy?

- Czasem. Tylko że inaczej. Nocą się ukazuje i jęczy, a za dnia rzuca czym popadnie. Pewnie sumienie ją gryzie, że nic mi po niej nie zostało... - W tym miejscu postanowiłam na wszelki wypadek jeszcze bardziej utwierdzić go w przekonaniu, że nie ma się na co łakomić.

- I nic dziwnego, że ją gryzie - skomentował Piotrek z nieodgadniętym wyrazem twarzy. - Pójdę już może. Ale bardzo cię proszę, Klarciu, przemyśl moją propozycję! Zwłaszcza że wcale nie musisz mieszkać w tej nawiedzanej hacjendzie. Przemyślisz?

- Przemyślę - obiecałam i zgodnie z obietnicą zaczęłam zaraz po jego wyjściu.

Właściwie kwestią zamieszkania razem z Piotrkiem w najmniejszym stopniu nie zamierzałam zawracać sobie głowy. Zastanawiało mnie jedynie, co naprawdę pchnęło go do tak widocznej metamorfozy? Zakładając oczywiście, że uwierzył w brak spadku po babci. Już samo schludne i ewidentnie nowe odzienie zwałało z nóg, że o fryzurze, paznokciach i gładkim liczku nie wspomnę. I jeszcze te kwiaty... Z pewnością nabył wszystko za swoje, nie znam bowiem człowieka w promieniu mili morskiej, który pożyczylby mu choćby złotówkę. Więc może rzeczywiście podjął jakąś pracę? A jeśli tak, co mogło zmusić go do tego desperackiego kroku? Mogłabym w zasadzie odpowiedzieć sobie na to pytanie w sposób prosty i bardzo prawdopodobny: pusty brzuchol. Jedno mi tu tylko nie pasowało. Znając Bylca, powinien teraz leżeć na wersalce w swoich odwiecznych, wyświeconych na zadku portkach i przeżerać zarobioną kasę. Tak wystrojonego jak dziś widziałam go może kilka razy w życiu: na naszym ślubie oraz podczas nielicznych spotkań z moimi rodzicami. Ergo, bardzo mu na czymś zależy. Jeśli więc nie na spadku, gdyż wedle jego wiedzy takowego nie ma, może jednak... na mnie?

Kompletnie nie wiedziałam, co o tym myśleć. To było jednak dość łatwe do zweryfikowania, postanowiłam więc zająć się tym dogłębniej w późniejszym terminie.

Tymczasem zdecydowałam odpuścić sobie spanie, które najwidoczniej nie było mi dziś pisane, i pobiegłam do kufra. Pożałowałam teraz, że nie poprosiłam fachowca od krat o odpiłowanie zamka, ale przyrzekałam sobie, że jak tylko przyjdzie je montować, zrobię to w pierwszym rzędzie. Szkoda mi go było trochę, gdyż, jak wszystko w tym kufrze, wykonany był z niezwykłym kunsztem, ale jakaś nieodparta siła pchała mnie ku jego tajemniczemu wnętrzu. Siła zdecydowanie silniejsza niż tylko zwykła ciekawość...

Fachowiec pojawił się dość późnym popołudniem. Przytaskał ze sobą gotowe kraty i sporą walizę narzędzi, którą od progu objęłam spojrzeniem pełnym obłądnego pożądania.

- Ma pan tam może jakąś piłę? - spytałam niecierpliwie.

- Piłę? Nie... Pilniki mam rozmaite. - Pan Zbylut zlustrował mnie ciekawie. - A na co nam piła, jeśli można wiedzieć?

- Bo widzi pan, jest taki jeden zamek, który nie chce mi się otworzyć. Trzeba będzie piłą.

- E, nie... Do zamka pilnik będzie bardziej akuratywny.

- Super! - ucieszyłam się i powiodłam nieco ogłupiałego fachowca na górę.

- Szkoda dziargać mebla - westchnął po dokonaniu pobieżnych oględzin. - Ładny! Pewnie zabytkowy. Na pewno nie ma pani do niego kłuczka? Bo może się gdzieś zapodział chwilowo?

- Kłu... czyka? - wydukałam tępo. - Małego?

- No, małego.

- Ale panie, na moje oko to tu będzie pasował klucz jak do stodoły! Niech pan patrzy, jaka wielka dziura!

- Dziura może i sama w sobie wielka, ale jak głębiej zajrzeć, to wiadać, że zameczek w niej małeńki...

- Mówi pan?

- No.

- O Jezusie! To ja mam chyba!

Przypomniałam sobie teraz jak żywe dwa niepasujące do niczego klucze: jeden normalny, a drugi znacznie mniejszy. Pobiegłam prędko

do siebie i wyłuskałam oba z szuflady toaletki.

- Taki? - spytałam kucającego przy kufrze fachowca.

- No pewnie, że taki! Ten tu, o - wskazał na większy - będzie chyba od drzwi.

Wtym momencie dopiero spostrzegłam, że jakkolwiek gabinet dziadka uzbrojony był w solidny zamek, nie widziałam w nim do tej pory żadnego klucza.

- A ten... - Fachowiec bez najmniejszego problemu wetknął kluczyk do dziurki i przekręcił dwa razy. - O! proszę bardzo! - oznajmił triumfalnie.

- Nie!!! - Podbiegłam do niego, widząc, że próbuje unieść wieko. - To już ja, sama...

- Oczywiście, że jak najbardziej! - Pan Zbylut podniósł się z klęczek. - W takim razie ja zejdem montować kraty...

•

Wten oto sposób przyjęłam na swoje barki ciężar nieprzeliczalny na żadne jednostki wagowe, a jednocześnie niemierzalny żadnymi wymyślonymi do tej pory przez ludzkość środkami - spadek. Jak tylko fachowiec od krat, wynagrodzony przeze mnie adekwatnie do swoich żądań, opuścił willę, rzuciłam się drapieżnie na skrzynię. Wewnątrz na samym wierzchu leżał oprawiony w ramkę portrecik kobiety. Nieznajomej, jak skonstatowałam na pierwszy rzut oka. Po nieco wnikliwszej analizie odkryłam z tyłu napis: *Alicja Ledwień*. Jeszcze wtedy nie skojarzyłam jej wizerunku z babcią, wydawało mi się, że ów podpis oznacza raczej czyjąś dla niej dedykację, coś w rodzaju: „dla Alicji Ledwień”, tyle że w pewnym skrócie. Im bardziej jednak wpatrywałam się w twarz z portretu, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, że owa nieznajoma to nikt inny, tylko babcia Alicja. Po prostu, nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że mogła być niegdyś tak piękną kobietą... Mimo iż miała tu już zdecydowanie około czterdziestki, jej urody z pewnością nie dało się określić mianem przeciętnej...

Odłożyłam fotografię obok kufra i zabrałam się do rozpakowywania otulonych pieczętówicą cienką bibułą przedmiotów. Były to głównie porcelanowe figurki: tancerki, cklive pary w namiętnych uściskach, chłopiec ze skrzypcami, pieski, kotki oraz mały błękitny wazonik. Głę-

biej znajdowały się dwie dość spore szkatuły, zawierające multum starych, mocno zjełczałych kosmetyków oraz fikuśne flaszeczki po perfumach. Kolejną, niższą warstwę stanowiły książki: przeważnie romanse, których tytułów do tej pory nie znałam, ale były też powieści Balzaca, Daphne du Maurier, Rodziewiczówny i Dołęgi-Mostowicza. Były też między nimi stare kobiece pisma, żurnale mody i poradniki. Na samym spodzie, przygniecione całym tym „dobrodziejstwem”, spoczywało kilka plików pożółkłych papierów, starannie przewiązanych wyblakłą, niegdyś niebieską chyba wstążeczką. Z pewnymi oporami sięgnęłam po pierwszy z nich, zaintrygowana wystającym spomiędzy luźnych kartek zdjęciem. Postanowiłam wyłuskać je na tyle zgrabnie, by nie naruszyć misternie zasupłanej kokardki. Razem ze zdjęciem w mojej dłoni znalazł się maleńki, ale dość ciężki pakuneczek...

Zdjęcie przedstawiało okazały, bardzo elegancki dom na tle starannie utrzymanego ogrodu. Rozświetlona letnim słońcem fasada pyszniła się obszernym, otoczonym białymi kolumnkami tarasem, z którego prowadziły do wnętrza szerokie, oszklone drzwi. Po ich obu stronach, według wszelkich wymogów symetrii, umieszczone były po dwa półkolisty okna. Podobne, choć nieco większe okno wkomponowane było w trójkątne zwieńczenie dwuspadzistego dachu. Poniżej tegoż okna, nad tarasem, znajdował się owalny balkon, wsparty na czterech kolumnach, otoczony, rzecz jasna, adekwatną rozmiarami kolumnadką.

Na moje oko nie był to dom szczególnie zabytkowy, ale stylem przypominał nieco przedwojenny szlachecki dworek. Wrażenie owo wzmacniał wielki ogród z przecinającą go przez sam środek akacją alejką, klombami i starannie przystrzyżonymi krzewami. Czarno-białe zdjęcie dzięki swoistej grze światła i cienia miało niemal baśniowy klimat. Przez moment odniosłam wrażenie, że jest to po prostu pocztówka, ale brak typowych nadruków na odwrocie przeczył temu. Odłożyłam zdjęcie i wzięłam do ręki pakuneczek. Zawiniątko właściwie, gdyż coś, co znajdowało się wewnątrz, owinięte było dość niedbale kilkoma warstwami zwykłego papieru. Zdzieralam je kolejno, coraz wyraźniej wyczuwając palcami jego zawartość. Nie myliłam się... To były dwie ślubne, złote obrączki... Wewnątrz każdej z nich wygrawerowano: *A, B, 1969.*

- Anna i Bronisław, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty rok! - szepnęłam ze zgrozą, domyślając się, co oznaczają te inicjały. - Więc ta-

ta kupił już nawet obrączki... Jak ona mogła?!

Zaraz potem spostrzegłam, że skrawki papieru, w który były zawinięte, pokryte są od wewnątrz nierównym, pochyłym pismem. Rozprostowałam je, jak się dało, i ułożyłam obok siebie. Litery były niedbale i mocno wyblakłe.

...żeby ci zawsze przypominały... - odczytałam z trudem.

- Ty nie dałaś nam szansy, a więc damy ją sobie sami, bez ciebie. Wiem, że zawsze będę cierpiał z tego powodu, ale...

Dalej nie dało się już odczytać niczego, ale to chyba nawet dobrze. Jeśli bowiem list był dłuższy, później musiała pewnie nastąpić cała litania tego, czego tata życzył babci... Bo charakter pisma, mimo pewnego zniekształcenia emocjami oraz zębem czasu, ewidentnie należał do mojego ojca.

Wyciągnęłam przed siebie zdrętwiałe nogi i zamyśliłam się głęboko. Cała ta historia wydarzyła się prawdopodobnie, zanim babcia skumała się z Ernestem... Tak by wynikało z mglistych informacji Rafała Sochowicza, potwierdzonych równie mgliście przez tatę. Żałowałam, że nie mam z kim o tym pogadać... Tata z pewnością nie był skłonny, zresztą nawet gdyby był, nie zamierzałam ponownie rozdrapywać jego ran. A ten... Rafał? Przemknęło mi przez myśl, że jedynie on by się nadawał, cóż jednak, skoro nie zostawił żadnych namiarów... Nasuwało mi się tak strasznie dużo pytań, że nie nadażałam wręcz z układaniem ich w chronologicznej kolejności. No bo gdzie był wówczas ojciec mojego ojca? Czy on nie miał w kwestii małżeństwa syna nic do powiedzenia? A może jednak babcia już z nim nie była? Może już była z... Ernestem? Nie, w takiej sytuacji nie stawałaby przecież okoniem - odpowiedziałam sama sobie. - Skoro pakowała się w moralnie dwuznaczny związek, nie brzdziłaby szczęściu własnego syna tylko dlatego, że jego wybranka miała nieodpowiedni status społeczny... Taki zakaz musiał być z pewnością wydany z pozycji niepodważalnej, nieskalanej drobnomieszczańskiej etyki. No więc... Nie było jeszcze Ernesta. Ojcem mojego ojca był z całą pewnością jakiś tam dziadek

Ledwień... Ledwień, na bank, bo tak z całym przekonaniem powiedział mi tata. Kim zatem był ów Zajączkowski, pierwszy małżonek Alicji, który był się „haniebnie powiesił” tuż po przesiedleniu do Soliszki? Dlaczego tacie nic nie mówiło to nazwisko? Powinien chyba wiedzieć, że je-

go matka była wdową po samobójcy Zajączkowskim. Zwłaszcza że miało to miejsce w jego rodzinnej wsi, gdzie wieszanie się nie było chyba do tego stopnia na porządku dziennym, iż nikt tego nie spaścił i potem, gdy ojciec już podrósł, uczynnie mu owego faktu nie zrelacjonował. Nawet gdyby babcia z całych sił chciała to zataić...

Jedno pytanie rodziło drugie, powodując w mojej głowie niebotyczny mętlik. Uznałam, że tymczasem spróbuję poszukać odpowiedzi w kufrze. Rozsupłałam zatem pierwszy plik papierów, zawierający, jak się okazało, same tylko rachunki: za materiały budowlane, przywozy, wywozy, projekty, instalacje i wszystko, co wiązało się, jak na moją głowę, z budową domu. Rachunki opiewały na nazwisko Alicji... Zajączkowskiej!!! Daty, o ile dały się odcyfrować, wskazywały z grubsza na początek lat sześćdziesiątych.

- Boże! - czując, że znowu drętwieję od dołu, zmieniłam pozycję z kucznej na „siad turecki” i wbiłam paznokcie w pulsujące skronie. - Boże, cóż to wszystko oznacza? - załkałam bezradnie. - Przecież, do cholery, jeśli w tych czasach Alicja nosiła nazwisko Zajączkowska, tata musiał o tym wiedzieć! Nie ma cudów, żeby przy jakiejś okazji to nazwisko w jego obecności nie padło. Nie-ma-cu-dów! - przekonywałam sama siebie. - Ale przecież, kiedy spytałam ojca o niejakiego Zajączkowskiego, nie miał o nim bladego pojęcia! I wierzę mu, przecież znam tatę jak samą siebie... Więc w co tu się gra, do cholery??? - to pytanie zadałam sobie całkiem głośno, jakby licząc, że ktoś mi na nie odpowie.

Nie, nie powinnam się w tym grzebać. Przypomniałam sobie teraz prośbę taty i napomnienia Grażynki. Nie powinnam! - skrytykowałam się z rosnącym niesmakiem i wprost proporcjonalnym poczuciem totalnego ogłupienia. - Ale... No właśnie. W ramach tego „ale” rozerwałam kolejny plik papierów. Te były już znacznie bardziej prywatne. Pobieźnie rzuciwszy na nie okiem, stwierdziłam, że jest to dość powściągliwa, rzekłabym nawet: ostrożna korespondencja miłosna. Zawierała dość zawalowane wyznania, skrobane jakby w pośpiechu na luźnych kartkach i kawiarnianych serwetkach. Wyglądało na to, że owemu rozkwitającemu uczuciu towarzyszyły rozmaite przeszkody i bariery, natury głównie etyczno-społecznej. A widzisz, babciu! - westchnęłam z pewną satysfakcją, domyślając się, iż chodzi tu o jej romans z Ernestem. - Oto los własnego syna bumerangiem ci się wrócił!

Poczułam teraz nagłą awersję do swoich poczynań oraz niechęć do własnego, jak do tej pory myślałam, i lubianego przeze mnie dziadka. Ułożyłam z grubsza wszystko tak, jak było, i zamknęłam kufer. Poza wieloma niemiłymi doznaniem nie znalazłam w nim niczego, co pozwoliłoby mi rozproszyć mrok dręczącej niewiedzy...

•

Po kolejnej zafundowanej mi przez babcię nieprzespanej nocy doszłam do wniosku, że z taką wiedzą ni żyć, ni umierać. Czuję, że natrafiłam na mur, za którym czai się coś przeraźliwe niewiedomego, wymagającego albo natychmiastowego zagrzebania się w odmętach jakiejś naprędcie zbudowanej codzienności, albo przedarcia się na drugą stronę i stawienia mu czoła... Nie bardzo wierzyłam w to pierwsze, bo cóż mogłoby mi dostarczyć na tyle intensywnych doznań, by stłamsić szok, w jaki wprawiła mnie zawartość kufra?

Szczerze mówiąc, poza próbą popadnięcia w nałóg alkoholowy nic innego nie przyszło mi do głowy. To znaczy owszem, przyszło, jednakże wymyślona przeze mnie, chyba nawet logicznie, „intensywność doznań” kojarzyła mi się wyłącznie z rzeczami, które z kolei nie kojarzyły mi się z brakiem problemów... Skoro zatem odpada powyższa opcja, rozmowa z tatą nie wchodzi w grę, a kontakt z Rafałem Sochowiczem jest raczej niemożliwy, pozostaje mi jedynie... wyjazd do Soliszki! Ojciec co prawda twierdził, że nie ostał się tam już nawet kamień na kamieniu, ale przecież, u licha, ciągle żyli tam jacyś ludzie! Wioska ponoć to była niewielka, ale dla mnie im mniejsza, tym lepiej.

Aby nie dać się strawić gorączce bezmyślnego pośpiechu, postanowiłam działać systematycznie. W pierwszej kolejności zrobiłam to, co dało się zrobić za pomocą telefonu, a zatem: rezerwację biletu kolejowego do Zielonej Góry oraz rezerwację w tamtejszym hotelu. Nie przewidywałam dłuższego pobytu poza domem, niestety, z uwagi na około siedmiogodzinną odległość od celu, musiałam być poza domem przynajmniej jedną całą dobę. Przy tej okazji po raz pierwszy w życiu uświadomiłam sobie, jak to przyjemnie nie musieć się liczyć z każdą złotówką. Uświadomiłam sobie, że kwota, która dzięki hojności babci zasilała moje konto, pozwoliłaby mi śmiało i bez większego uszczerbku odbyć tę eskapadę taksówką. Taki gest wydał mi się jednak nieco... świętokradczy. Ot, kwestia nieprzyzwyczajenia. Wrzuciłam więc na jakiś boczny

tor myślowy małą dygresję, że będę musiała kiedyś przez chwilę poszastać forszą na niedosięgnięte dotychczas fanaberie: drogie, mało praktyczne i niekoniecznie w dobrym guście.

Żeby zobaczyć, jak to jest, kiedy człowieka stać. Ciągle zastanawiając się jeszcze, jak by to było, wyszłam z domu i pobiegłam do... autobusu. Pociąg odchodził o piętnastej, miałam więc wystarczającą ilość czasu na załatwienie przed wyjazdem paru spraw.

Z sercem w gardle pokonywałam kolejne kondygnacje bloku przy Radzikowskiego, gdzie przez lata mieściło się moje „małżeńskie gniazdko”, zasiedlone do niedawna, jakby to dalej metaforą pociągnąć, przez spasionego nielota kakapo i makolągwę. Pora dnia była taka, że jeśli Bylec rzeczywiście podjął jakąś pracę, powinien być raczej nieobecny. W zasadzie było mi wszystko jedno, dysponowałam bowiem ciągle pełnoprawnym kompletem kluczy. Piotrka nie było. Nie oznaczało to, oczywiście, że przebywa poza domem w celach zarobkowych, niemniej jednak osłupiałam już na progu w takim samym stopniu, jakbym właśnie zastała go przy jakiejś robocie. Mieszkanie zrobione było na błysk: na czystusięńkich parkietach leżały idealnie odkurzone dywany, wypucowana do boleści kuchnia lśniła nieziemskim blaskiem, w oknach zaś pyszniły się bielutkie, starannie udrapowane firany. Zajrzałam kolejno do każdej szafy. Wszędzie panował wzorowy ład i porządek, a schludna męska garderoba, w zależności od swej natury, wisiała na wieszakach bądź leżała starannie ułożona na półkach. Wnętrze lodówki natomiast przechodziło niewątpliwie największy okres świetności w swoim lodówczanym żywocie. Na sztywnych z wrażenia nogach udałam się do swojego pokoju celem zabrania resztki moich rzeczy. Głównie laptopa, z garderoby pozostał mi bowiem jedynie płaszcz zimowy, dwa golfy z owczej wełny i sandały. Dla przyzwoitości naskrobałam informację, że byłam i wzięłam co moje, by natychmiast po wyjściu umieścić wszystko, poza laptopem rzecz jasna, w śmietniku...

Grażynkę zastałam, zgodnie z przewidywaniem, w czasie przerwy na śniadanie. Wpakowałam się jak do siebie, wprost za regały, i utkwiłam nad nią bez słowa.

- Babciu, babciu, czemu masz takie wielkie oczy? - zażartowała na widok mojej głupiej miny.

- Uszy też mam wielkie, jakbyś się lepiej przyjrzała - odparłam ponuro. - I łeb. A tak w ogóle chciałam ci powiedzieć, że wyjeżdżam.

- Dok... ok... ok... Dokąd? - wydukała wreszcie, wykrztuszając na talerzyk kawałek jajka na twardo. - Jak to? Wyjeżdżasz?

- No. Jadę tropić korzenie i proszę cię, nie mów mi, że nie! - zastrzegłam od razu. - Wtym kufrze były takie rzeczy... Takie rzeczy... że bez operacji na otwartym organizmie się nie obejdzie! I w ogóle, tyle się porobiło, że strach myśleć!

- Co się na ten przykład porobiło? - Grażynka jakby ochłonęła nieco.

- Z takich bardziej lajtowych numerów to ci powiem, że Piotrek był u mnie. Umyty, wystrojony i gdzieś pracujący. Prosił, żebym do niego wróciła.

- A to akurat nic dziwnego. Wróżką nie jestem, a przepowiedziałam ci go nie dalej jak trzy dni temu. Pozuje i łże, to oczywiste. Po prostu: zabrakło mu niańki, sprzątaczkki i kucharki. I zaopatrzenia, przede wszystkim.

- I byś się zdziwiła! Właśnie wracam z zupełnie niespodziewanego najścia na swoje byłe mieszkanie. Chcesz sobie może również powiększyć oczy, bezboleśnie i całkiem za darmo? To pójdz ze mną.

- Tylko mi nie mów, że zastałaś go przy jakiejś czynności innej niż jezenie!

- Nie. W ogóle go nie zastałam. Za to w mieszkaniu miał tak, jak za moich czasów w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia!

Nie wiem, czy na to właśnie liczyłam, w każdym razie Grażynkę na moment całkowicie zamurowało.

- Stara się! Naprawdę się stara! - dorzuciłam bezlitośnie.

- Może on mnie rzeczywiście na swój sposób kocha?

- No chyba że na swój... - zgodziła się na odczepnego.

- Czyżbyś to z nim jechała tropić swe korzenie?

- O, taka prędką to ja znowu nie jestem. Sama jadę. Nie chcę, żebyś się martwiła, gdyby ci strzeliło do głowy odwiedzić mnie pod nieobecność. I... na wszelki wypadek nie mów o tym nikomu...

- No jasne! A nie mogłabyś... naszkicować, choćby w skrócie, o co chodzi? I co było w tym kufrze?

- W skrócie się nie da, a ja mam pociąg o piętnastej. Naszkicuję ci, jak wrócę. Pojutrze. Nie gniewaj się, kochana, obiecuję za to solidną relację przy piwnicznych zasobach. Aha, i dzięki za fachowca od krat. - Cmoknęłam przyjaciółkę z dubla.

- Okratował ci wszystko porządnie? - spytała z troską.
- Wszystko! Mysz się dosłownie nie przecisnę!

7. Święta męczennica i umęczona jawno- grzesznica

Jednostajne kołysanie pociągu szybko pchnęło mnie w objęcia mocno zaległego i uczciwie zasłużonego snu. Towarzystwo z przedziału, po wiejsku z wyglądu uczciwe, nie napawało lękiem o mój mizerny dobytek. Wszelkie dokumenty i zasoby płatnicze umieściłam w miejscu tak osobistym, że najsubtelniejsza nawet próba złodziejskiej penetracji postawiłaby mnie na równe nogi. Wbrew wszelkim obawom zatem, a nawet najbardziej logicznym przewidywaniom, zamiast zdręczać się myślami o niedawnych oraz przyszłych wydarzeniach, spędziłam całą podróż na przyjemnym, próżniaczym relaksie.

Zielona Góra powitała mnie lekką mgiełką i jesiennym, wieczornym chłodem. Hotel Polan mieścił się całkiem blisko dworca. Rażny spacer po siedmiogodzinnym bezruchu przywrócił mi jasność umysłu, dzięki której w miarę szybko uzupełniłam plan działania na najbliższy rano. Ograniczał się on w zasadzie do zamówienia budzenia na szóstą oraz taryfy na siódmą. Cała reszta, niestety, nie ode mnie już zależała...

Leżąc w wygodnym, szerokim łóżku, po raz pierwszy odczułam na własnej skórze subtelne tchnienie luksusu, który od teraz mógł w zasadzie stać się moją zwyczajną codziennością. Jednak mimo usilnych wysiłków wyobraźni, jakoś nie bardzo potrafiłam się z nim utożsamić. No bo jak można tak żyć, kiedy nagle wszystko ma się na wyciągnięcie ręki? Do tej pory przecież wszelkie moje działania wokół tak zwanych dóbr materialnych okupowane bywały nie lada wyrzeczeniami. Taki zakup pralki automatycznej na przykład. Raty za to ustrojstwo comiesięcznie pochłaniały jakiś najmniej nieodzowny element mojej garderoby: a to wiosenne palto, a to parę nowych butów, to znowu torebkę, że już o kremach i innych mazidłach lepszej jakości nie wspomnę. Jakże wściekały mnie wówczas reklamy, przekonujące ustami wychudzonej

modelki, że przecież jestem ich warta! Owszem! Tyle że pralki automatycznej czułam się jakby warta o wiele bardziej! Kiedy tylko skończyłam spłacać „automat”, wysiadła mi kuchnia gazowa. Nie zdążyłam wziąć nawet jednych nietkniętych spłata kredytu poborów i apiać, od nowa! Tym razem diabli wzięli zimowe palto, potem wiosenne botki i, rzecz jasna, torebkę, że już o kremach i mazidłach nie wspomnę... Potem Bylec zarekwirował mi swoją połowę telewizora. Moja sama z siebie poszła razem z nią... Nabyłam więc najmniejszy i najtańszy telewizorek, jaki tylko udało mi się znaleźć, oczywiście na raty. Tymże sposobem cały mój żywot kręcił się wokół ciułania, uwieńczanego każdorazowo intensywnym, acz krótkotrwałym szczęściem. Zakup przedmiotu moich aktualnych pragnień i potrzeb łączył się bowiem zawsze w jakiś niewytłumaczalny sposób z pojawieniem się kolejnej potrzeby albo wręcz palącej konieczności. Nie umiałam więc sobie teraz kompletnie wyobrazić, że nagle mogę ot, tak, pójść do sklepu i nabyć, cokolwiek by to było, w dodatku za gotówkę!

Na tę myśl usiadłam gwałtownie na łóżku. Elegancki hotelowy pokój i otaczające mnie dookoła proste, lecz wysmakowane sprzęty sprawiły, że poczułam się obco. Nie w tym pokoju. W sobie... Miałam co prawda świadomość, że ja to ja, wiedziałam, gdzie jestem i w jakim celu, ale czułam się tak jakoś... obok siebie. Jakby już nie ta sama, ale jeszcze nie inna. I nie podobało mi się to uczucie. W tym hotelu po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że od teraz wszystko będzie już inaczej. I nie dlatego, że babcia umarła, że zamieszkałam w jej domu, że odeszłam od Piotrka, że zwolniłam się z pracy, że odziedziczyłam kupę kasy. To wszystko było jeszcze do ogarnięcia umysłem, bo były to żywe, namacalne fakty. Najbardziej przeraziły mnie te nieuchwytnie, ale nieuchronne zmiany, które zajdą we mnie samej pod wpływem tych, które już zaszły... Bo jak tu żyć, kiedy raz na zawsze utraciłam swoje dotychczasowe żelazne wytyczne oraz cele, kiedy wszelkie moje materialne potrzeby straciły posmak notorycznego szarpania się z codziennością? Oczywiście, mogę teraz na nowo urządzić dom, umeblować od piwnic po strych, chadzać do kina, teatru, kupować i czytać książki, spotykać się z Grażynką, podróżować... Wylizyłam sobie wszystkie te możliwości półgłosem, by lepiej je sobie uświadomić. Jednak nic spośród tych rzeczy jakoś do mnie głębiej nie trafiało. Nie niosło ze sobą, o ironio, porównywalnego posmaku przeżyć z tymi, które zapewniało mi moje „po-

przednie” życie. I nieważne, jakiego rodzaju emocje towarzyszyły tamtym przeżyciom, ważne, że nie dawały poczucia pustki... Takiej jak teraz.

Wydawało mi się bowiem, że najpóźniej jutro wieczorem, już w swojej własnej pościeli, znając odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące niejasnej przeszłości babci Alicji, ponownie doświadczę dostatniej, acz dotkliwej i płytkiej beczynności... Z pewną ulgą poczułam w tej chwili lekkie zmulenie umysłu, zwiastujące nadchodzący sen. Przyłożyłam głowę do poduszki, układając się na boku, w ulubionej, embrionalnej pozycji, kiedy zadzwonił telefon. Miły męski głos poinformował mnie, że prosiłam o budzenie o szóstej.

- Wiem, proszę pana - odparłam w słuchawkę. - Dziękuję bardzo.

Moszcząc się na powrót w pościeli, zastanowiłam się, dlaczego facet uznał za stosowne przypomnieć mi o tym w środku nocy...

- O, niech cię! - Rzucając odruchowo okiem na zegar, ze zdumieniem stwierdziłam, że nie w środku nocy, tylko o szóstej właśnie. - Trudno - mruknęłam pod nosem. - Widać tak mi już będzie pisane, życie w nocy i spanie za dnia...

Nie dyskutując dłużej z zegarem ani też z własnym organizmem, wzięłam letni prysznic i zastanowiłam się poważnie, co na siebie włożyć, pod kątem psychologicznym. Czy wybierając się na spytki pomiędzy wiejską ludność, lepiej mi pójdzie z pozycji „swojskiej kobitki”, czy raczej powinnam zaprezentować się jako światowa dama? Po krótkich przemyśleniach postanowiłam ubrać się jak człowiek. To znaczy w dżinsy, sweter i buty na płaskim obcasie.

Kiedy zbiegłam na dół, taksówka już na mnie czekała. Rzuciłam ogólnikowo, dokąd chcę jechać, gdyż sama niewiele więcej wiedziałam. Pomyślałam, że jeśli szczęście dopisze mi w równym stopniu, jak pogoda, jeszcze dziś zamknę temat rodzinnych perturbacji, by już nigdy więcej do niego nie wracać... Dręczyło mnie parę bardzo konkretnych pytań, na które zamierzałam uzyskać równie konkretne odpowiedzi. I bez względu na to, czego się dowiem, na tym zamierzałam poprzestać. Zakładałam, oczywiście, że być może przyjdzie mi się uporać z czymś nieprzyjemnym, wstydliwym czy wręcz haniebnym... Jednak uważałam taką ewentualność za znacznie łatwiejszą niż życie w niewiedzy, a konkretniej walka z własnym popędem do pozyskania tej wiedzy. Wydawało

mi się wtedy, że jestem nastawiona na każdą, najbardziej dziwną bądź najgorszą nawet prawdę...

Poprosiłam taksówkarza, żeby odnalazł w Soliszce najbardziej „główny” sklep spożywczy i tam mnie zostawił. Nie chciałam go zatrzymać, przewidując, że mogę zabawić tu nawet kilka godzin. Dowiedziawszy się uprzednio, iż funkcjonuje tu całkiem sprawnie działające połączenie autobusowe z Zieloną Górą, podziękowałam facetowi, spokojna o swój powrót do hotelu.

Wieś rzeczywiście na oko sprawiała wrażenie niewielkiej. Typowe „poniemieckie” domy dość zwartym szpalerem oblegały obie strony szerokiej brukowanej drogi. Stan budynków był tu dość różnorodny: od zadbanej, porządnie wyremontowanych domków w przeróżnych odcieniach pastelii, poprzez szare, od lat nietknięte ludzką dłonią domiszcza w stanie „jak je Niemiec stworzył”, aż po chylące się ku ruinie chałupki, wielgaśne, używane bądź nie, stodoły, a także znacznie większe budowle, których najwyraźniej nikt nie chciał lub przeciwnie: chciało zbyt wielu... W rozwidleniu dwóch dróg, tej brukowanej i drugiej, jakby odrobinę podrzędnej, stał upragniony przeze mnie sklep o charakterze wielobranżowym. Pod sklepem, na niskim, oskubanym z tynku murze spoczywało trzech mężczyzn, korzystających aktualnie z zasobów branży spożywczej. Weszłam do środka. Ekspedientka, uwijająca się w obsłudze dość długiego ogonka, nie była, niestety, typową, starszawą wiejską sklepową. Zresztą, w całej kolejce nie wypatrzyłam nikogo, kogo mogłabym z uwagi na wiek skutecznie pociągnąć za język. Rozczarowana tym pierwszym, rozmijającym się całkowicie z moim wyobrażeniem punktem programu, nabyłam drożdżówkę z serem i pod pretekstem posilenia się usiadłam na zewnątrz, na wolnym od biesiadników murku. Mężczyźni, jak na komendę, zlustrowali mnie spode łba.

- Dzień dobry! - przywitałam się ze sztucznym uśmiechem.

- Dobry! - odpowiedzieli niemal jednocześnie.

- A pani... To eee... Do nas tak turystycznie czy w gościnę do kogo? - zagaił po chwili jeden z nich.

- Mam nadzieję, że w gościnę. Tylko że nie bardzo wiem, gdzie mieszkają ci, do których przyjechałam... Stąd pochodzi moja rodzina... Ale wyprowadzili się dawno temu, a ja postanowiłam odnaleźć ślady moich przodków.

- No to paniusia od Niemców pewnie, co? Rodzinnego domostwa poszukuje? - rzucił drugi.

- A nie, skądże! - zaprzeczyłam gorliwie. - Moi dziadkowie przybyli tutaj z Polesia. Potem wyjechali na południe kraju, tam pomarli, a ja tak sobie, z ciekawości samej... W zasadzie, można powiedzieć, głównie turystycznie, chciałam obejrzeć wieś, w której mieszkała moja babcia, ale może i przy okazji krewnych jakichś odnaleźć...

- Taż jaki kłopot? - zdziwił się trzeci. - Tutaj wszyscy wszystkich znają, wystarczy nazwisko przodków powiedzieć, ot i po problemie.

- Babcia za panny nazywała się Firejko. Po pierwszym mężu Zajączkowska, a po drugim Ledwień - wyrzuciłam na wszelki wypadek jednym tchem wszystkie jej prawdziwe i domniemane nazwiska.

Mężczyźni bez słowa spojrzeli po sobie.

- Bo wie pan, babcia owdowiała i wyszła za mąż powtórnie - dorzuciłam prędko, sądząc, iż w tę wyraźną konsternację wprawiła ich wzmianka o dwóch mężach naraz.

- Ano... - Pierwszy poczochnął się pod beretem. - Paniusia pewna jest na mur, że ta babcia zamieszkiwała w Soliszce?

- Pewna! A bo co?

- Bo to, że tu takich nie ma. I nie było. No, chyba że całkiem dawno i na całkiem krótko. Inaczy my by wiedzieli. A nie wiemy!

- Jak... to... - zachłysnęłam się zdumieniem. - Babcia na pewno, na sto procent tu mieszkała! Owszem, dawno, ale dość długo! Co najmniej dwadzieścia lat!

Mężczyźni znów spojrzeli po sobie.

- Czyli że do kiedy?

- Do siedemdziesiątego roku to na bank! Facet w berecie wolno pokręcił głową.

- Niemożliwe... Taż i ja by pamiętać musiał. W siedemdziesiątym podstawówkę w sam raz akurat ukończył.

- Ale... Ani Firejko? Ani Zajączkowska? Ani Ledwień? - zebrałam łamiącym się głosem. - Nikt taki nigdy tu nie mieszkał???

- Pani pójdzie, o tam... - mruknął facet bez beretu i wskazał w stronę drogi. - Aż do zakrętu. Za stodołę, jak to wielgaśne drzewo stoi, taka nieduża, na sińko pobielona chałupa jest. O Plaszczuka Leona pani zapyta. One z żoną najstarsze we wsi, ich popyta. Bo jakby okazało się, że

my czego nie pamiętamy, Plaszczuki pamiętają na pewno. A jak one czego nie wiedzą, to nikt nie wie...

•

Widok chaty Plaszczków miodek spłynął mi na serce. Domek był rzeczywiście nieduży, drewniany, na kamiennej podmurówce, od frontu pomalowany na niebiesko. Niski ganeczek z trójkątnym zwieńczeniem odznaczał się na tym tle misternym azurem z czarnego jak smoła drewna. Oplatająca je miejscami czerwonożłota winorośl w sposób absolutnie idealny komponowała się z całością: przezroczystym błękitem lśniącej w jesiennym słońcu fasady, zetlącą czernią drewnianych podcieni oraz omszałym kamieniem dźwigającego chatynkę cokołu.

Od furtki do chaty prowadziła wąska ścieżka, wydeptana w poprzekanej różnymi kwieciami trawie. Nie wiedzieć czemu, zachciało mi się płakać. Urzekające swą naturalną prostotą piękno zupełnie mnie zaszokowało... Tym bardziej że byłam zdecydowanie nieprzygotowana na taki widok. Mało tego, bladego pojęcia nie miałam, że jestem uwrażliwiona estetycznie na tego rodzaju... bogactwo ubóstwa.

Zamulona nieco przez wrażenia wzrokowe myśl poprowadziła mnie w głąb ogrodu, skąd docierały do mnie niewyraźne odgłosy rozmowy. Dostrzegłam dwoje staruszków zbierających w kosze drobne czerwone jabłka. On, niski i krępy, w spłowiałych, połatanych na zadku spodniach, flanelowej koszuli i kapeluszu, ona - drobna, w kwiecistej chustce z frędzlami, długiej do kostek, ciemnej sukni i fartuchu. Oboje stanowili uzupełnienie sielskiego obrazka tak oczywiste, że zatrzymałam się w pół kroku, nie chcąc burzyć tej idealnej harmonii.

- Niech będzie pochwalony - krzyknęła do mnie kobieta, dostrzegłszy mnie w końcu.

- Na... wieki wieków - odparłam z wahaniem. - Ja do państwa Plaszczków... Czy... mogłabym na moment przeszkodzić?

- A o co rozchodzi się? - spytała, drepając ku mnie i wycierając ręce w fartuch.

- Ja się nazywam, proszę pani, Ledwień - tym razem postanowiłam najpierw po bożemu się przedstawić. - Przyjechałam do Soliszki, bo tu mieszkali kiedyś moi przodkowie... i... mnie powiedziano, że państwo tu wszystkich znacie, od samego początku...

- Pochwalony! - W tym momencie dołączył do nas staruszek. - A w czym dzieło, Jania? - zwrócił się do żony.

- Krewnych, po mojemu, szuka - odparła, celując we mnie palcem. - Jak mówiła? Że Litwień?

- Ledwień - powtórzyłam głośno i wyraźnie.

Stary Plaszczuk wolno, z namysłem pokręcił głową.

- Pomnisz ty, Jania, jakich Ledwieniów? - znów zwrócił się do żony. - Bo ja ni czorta... Ani w zub!

- Ani ja. - Plaszczukowa szeroko rozłożyła ręce. - Ale wy może z daleka? Głodna, zdrożona? Wyjditi do domu, barszcz na ogniu ciepły stoi, pampuchy świeżuchni, a i placek ze śliwko jeszcze znajdzie sie...

- Nie... Dziękuję, bardzo państwo uprzejmi, ale jedyne, czego mi potrzeba, to informacja. Boże jedyny, przypomnijcie sobie, proszę! To dla mnie bardzo ważne!

- A... Po czemu tak, co? - zdziwił się Plaszczuk. - Krewne to krewne, żyjo czy nie, zwidsi czy zwidti, wszystko adnio. Niczego ty nie zminisz. Tu, w Soliszce priesjełość zakończyła się biezpawrotni i nowe nastalo. Czasu nie wierniosz, ludi ku żywym nie powiernieszsa. Ty już obydwie-ma nogami w nowym żywiosz, tak i uże nie twoje strapienie. Już nie bradiaga, nie banderowka proklata, ale swoja, zjemlaka. Ty rozumiesz? Tak i na co tobie szukać takich istorii? A?

- Muszę, proszę pana - odparłam zasepiona. - Muszę!

- Za czym? - zdziwił się ponownie Plaszczuk.

- Bo... muszę! - powtórzyłam, nie czując siły ani chęci wyjaśniania kierujących mną powodów.

- Rady, nie rady, my o takich nie słyszeli - oznajmił kategorycznie staruszek. - W Soliszce nie mieszkali żadny Ladwieni. My z Janio, od czasu gdy tutaj osiedlili sie, do dziś dnia w tej samej chałupie żyjemy. Soliszka sioło nieduże, tu każdy każdego zna, a jak kto obcy pokaże sie, wieść szybciej wiatru leci.

- To niemożliwe! - jęknęłam ze zgrozą. - Przecież... moja babcia tu lata całe mieszkała, tu urodził się mój ojciec, tu się zakochał w mojej mamie... Całkiem niedawno rozmawiałam z nim na ten temat. Nie okłamałby mnie, bo po co? No, chyba że jest tu gdzieś w okolicy jeszcze jakaś inna Soliszka...

- Nie ma! - zaprzeczyła zdecydowanie Plaszcukowa. - Ta jedna jest. Jakie imię waszej babci było? A ojca?

- Babci, Alicja. Tata ma na imię Bronisław, mama nazywa się Anna, z Wierskich.

Staruszkowie sprawiali teraz wrażenie autentycznie zmartwionych. Domyślałam się, co to oznacza.

- A może mieszkali tu jacyś Zajączkowscy? - spytałam z resztką nadziei. - Podobno tak się nazywał pierwszy mąż babci, ale o nim nic więcej nie wiem... Tylko tyle, że... - zebrałam się w sobie do niechętnego wyznania - ...że... się powiesił.

Plaszcukowa usiadła na najniższym stopniu prowadzącym na ganek i zamyśliła się głęboko.

- Powiesił... - powtórzyła półgłosem. - A był taki jeden, co powiesił się... Zaraz jak my tu zamieszkali. Ty pamiętajesz, Lońka? - zwróciła się do męża. - Był taki! Rok zaledwie tu wydzierżył, Grzeško Stajanek w swoim sadu, na jabłoni noco znalazł jego. Był.

- Był... - powtórzył w zamyśleniu pan Leon. - Ale ani on Zajączkowski, ani Ledwień. Diwak jakiś. Cichy, milkliwy, od ludzi stronił...

- A miał może jakąś żonę? - ożywiłam się nieco.

- Niby miał... Ale kto to wie...

- Ni żone, ni siostry, a czort jeich zna! Oba siebie warty byli! - dorzuciła Plaszcukowa. - Czudaki i dziwadła!

- Pomiluj, kobieto!!! - zgromił ją Plaszcuk, przeżegnawszy się ukradkiem. - Taż o świętyj mówisz!

- Ano, o świętyj! Ale święte przecie nie takie same, normalne, jak my wszystkie - zmitygowała się szybko i całkiem sprytnie.

- Jakiej... świętej? - spytałam zdeorientowana.

- Naszej! Dobrodziejki, patronki i męczennicy - objaśnił z wielkim szacunkiem w głosie Plaszcuk. - Kaplice dla wsi ona przigostiła. Ufundowała, znaczy... Dziś uże ta kaplica w całkiem spory kościół porosła, ale jako taka stoi, jak stała.

- I co się z nią stało? Z tą... męczennicą?

- No jakże to? - zdziwił się Plaszcuk. - Męczeńsko śmiercio pomarła. Taż i święta ona! Tutejsze księża po prawdzie zakazują kult jej praktykować, że niby poprawnie wyświęcona nie została się, ale ludzie swoje

wiedzo. Bo modły różne, intencje i prośby do niej zanoszone skuteczność swojo niepodważalno posiadają...

- A jeśli można spytać, jak się ci... No, ten co się powiesił i ta święta męczennica, nazywali? - wpadłam mu w słowo, raczej bez nadziei na sukces.

- Trusy na nich wołali - wyszeptał apatycznie pan Leon.

- Trus i Trusowa - uściślił, jakby coraz bardziej przejęty.

- Tchórzy, znaczy się, po waszemu - dodała Plaszczukowa.

- Po tomu Lońka tak zmarkotniał. Bo on w te naszo święto bardzo mocno wiare ma, a jakże to być może, aby święta tchórz nazywała się?

Plaszczuk, słuchając wywodu żony, raz po raz wzdychał solidnie, przytakując z powagą.

- Ale księża modłów do niej zakazują... A ona święta! Prawilna, święta męczennica!

Wywoławszy niechcący głęboką melancholię w duszach małżonków, uznałam, że niestety, niczego konstruktywnego się tutaj nie dowiem. Pożegnałam się więc uprzejmie i ruszyłam wolno w stronę przystanku autobusowego. Z determinacją wypytywałam jeszcze wszystkich spotykanych po drodze ludzi, ale nikt, dosłownie nikt, nie znał wymienianych przeze mnie osób.

Do odjazdu autobusu brakowało szczęśliwie tylko czterdziestu minut. Podłamana totalnym niepowodzeniem mojej misji usiadłam na smętnym fragmencie niegdysiejszej ławeczki. W zasadzie mogłabym wykorzystać ten czas na obmyślenie planu „b”, ale nic poza powtórnią wizytą u ojca nie przyszło mi do głowy. A to było całkowicie niedopuszczalne. Choćby miało mnie skrócić na dziesiątą stronę, z całą pewnością wiedziałam, że tej jednej, jedynej rzeczy nie zrobię. Nigdy więcej nie wdam się już w rozmowę z tatą na ten temat. A skoro tak, muszę sobie po prostu odpuścić...

Kiedy podjechał autobus, byłam już niemal pogodzona ze swoją decyzją. Zająłam wolne miejsce przy oknie z zamiarem kontemplowania krajobrazu. Taksówkarz, który przywiózł mnie tu o poranku, jechał chyba nieco inną trasą, gdyż moim oczom co rusz ukazywały się obiekty, których przedtem nie widziałam. Nagle w pewnym oddaleniu od drogi spostrzegłam coś jakby znajomego... Za zdewastowanymi resztkami metalowo-kamiennego ogrodzenia sterczał czerwony, częściowo zapad-

nięty dach z charakterystycznymi symetrycznymi „jaskółkami”. Niby dom jak każdy inny, jednak było w nim coś, co poruszyło mnie do głębi. Kiedy autobus łagodnym łukiem skręcił w prawo, mogłam rzucić okiem na dom od frontu. Ruina wyglądała jak po pożarze. Puste czeluście okien, ziejąca czernią framuga drzwi, osmalona elewacja robiły przynębiające wrażenie... Jakie to smutne – pomyślałam. Niegdyś pewnie ten dom tętnił życiem, rozbrzmiewał echem rozmów, chronił bezpiecznie mały świat swoich mieszkańców, stanowił obiekt troski, przedmiot dumy, a dziś panoszą się w nim jedynie ohydne pająki i drobne gryzonie... Na tarasie zaś goszczą wyłącznie pokrzywy i osty... – Na... tarasie... – powtórzyłam półgłosem, wpatrując się w umykające za moimi plecami kamienne kolumny. To był przecież... To był przecież, u licha jasnego, dom ze zdjęcia znalezionej w kufrze babci!!!

– Boże jedyny! – wrzasnęłam, lekceważąc wszelkie konwenanse. – Czy ktoś z państwa wie, co to jest za dom? Co to był... za dom? – poprawiłam się, wstając z siedzenia. – Ludzie kochani! Jeśli ktoś wie, to niech mi powie, błagam! – krzyczałam, mając kompletnie w nosie, co myślą sobie o mnie współpasażerowie. Byłam nawet gotowa zatrzymać autobus i wysiąść, a nawet wyskoczyć bez zatrzymywania. Już miałam wprowadzić ten ostatni zamysł w czyn, kiedy kątem oka spostrzegłam, że przepycha się w moją stronę jakiś mężczyzna.

– I jak? Znalazła pani swoich przodków? – rzucił bez wstępnych grzeczności.

– Nie – burknęłam, konstatuując jednocześnie, że w Soliszce rzeczywiście wieści rozchodzą się „szybciej wiatru”.

Po chwili jednak rozpoznałam w swoim rozmówcy faceta w berecie spod sklepu, tyle że bez beretu, ale za to w kapeluszu.

– Nikt ich tu nie pamięta – dodałam łagodniej i wzruszyłam ramionami. – Nawet Plaszczuki. Wie pan może, co to za dom? – wskazałam głową za siebie.

– Ano pewnie! Wszyscy wiedzą! Straszliwe, nawiedzone domisko!

– To pewnie wie pan także, do kogo należał?

– A jakże! – odparł zadowolony, że tym razem dysponuje interesującymi mnie informacjami. – Do diablicy z piekła rodem!

– To... znaczy? – zająknęłam się, czując jednocześnie mrowienie na plecach.

- Taka jedna, tfu, pobudowała się tu onego razu. Też zdaje się, za przeproszeniem paniusi, rodzinnego gniazda szukała. Niemka, powiadali. Nijak jej było nasze ziemie odzyskane opuszczać, to się jak bumerang zawróciła. I znalazła... czego nie szukała.

- Nie mógłby pan jaśniej? - ponagliłam niecierpliwie.

- A bo to da się jaśniej, kiedy o diabelsko rzecz idzie? Róż nie gadało: a to, że pomsty na tutejszej ludności jej zachciało się, a to, że chuć przyrodzono tylko tako ogromno miała... Ja tam nie wiem, w każdym razie jak się w te wille sprowadziła, źle się dziać zaczęło. Baba chłopów cudzych na pokuszenie wodzić zaczęła, starych, młodych, aby w gaciach miał co trzeba. Jedno jej przyznać należy, zdatna babka była, na twarzy i sama w sobie, aligancka, z kulturo... Kształcona, bogata... Taż i chłopcy latali jak głupie do miodu. Raz tylko jeden złapała się za taki zakazany owoc, że bokiem jej wylazł.

- Czyli? - spytałam, nie bardzo wiedząc, czy facet mówi dosłownie, czy w przenośni.

- Ułapiła sobie na koniec młodzika, syna największego gospodarza w okolicznych wsiach, jedynaka, co to nadziejo i ostojo rodu miał zostać się, i tak jego omotała, że świata poza nią nie widział.

- Nie gospodarza, ino młynarza! - nie wytrzymała kobieta siedząca przede mną. - I nie w okolicznych wsiach, ino we Wizmowie!

- A co tam! - dorzuciła jej sąsiadka. - Gdzie by nie ułapiła, dobrze Józek gada. Bokiem jej wylazł! Na ament!

- Nie bajdurz mi tu, Halinka, kiedy mówię, że gospodarza, to wiem! - rozsierdził się Józek.

- Mły-na-rza! - upierała się Halinka.

- Wsio za jedno! Grunt, że jej bokiem wylazł! - obstawała przy swoim neutralna.

Poczułam, że temat zaczyna się rozmydlać i że moje szanse dowiedzenia się, jaki związek miał ów dom z moją babcią, maleją z każdym kilometrem dzielącym nas od Zielonej Góry.

- No dobra, ale jak jej wylazł? - zdecydowanie przerwałam kłótnię.

- Miała ona tako gosposie, nasza kobitka była, cicha, skromna, bogobojna, to i co rusz napominała swojo panio względem jawnogrzesznego żywota - rzuciła prędko neutralna. - Ale ot tak, z cicha, skromnie, po katolicku... Tylko na ten jeden raz nie zdzierżyła i powiedziała, że po je-

ji trupie, ale niewinnego młodzika bałamucić nie będzie! I tak też się stało. Zarzezała frau niebogie jak prosiaka... Trupa, znaczy się z niej uczyniwszy... Potem chałupinę jej dla zatarcia śladów z dymem puściła.

- Tę chałupinę? - spytałam zdziwiona, sądząc, iż kobieta ma na myśli mijany przed chwilą dom.

- A, nie! Tą to już my same! - pochwaliła się, skromnie spuszczać oczy.

- Zamknij jadaczke, kobieto! - zgromił ją mój współpasażer.

- Bo co? - zaperzyła się. - Nibyś mądry, a głupi! Dawno to było, a jak dawno, to i dla organów nieprawda! Sie paniusia nie trapi - zwróciła się do mnie z uśmiechem. - Ja wszystko opowiem! No i koniec końców, narodowa sprawa zrobiła się, nie? Tak my jej, prawem wojennym, podobnie uczynili. Chałupe noco szczelnie od zewnątrz wyzamykali, Józko Krupa snopek słomy przytaskał, Antoniuk trochi ropy od traktora i nieszczęśliwy wypadek przy pracy frau spowodowali my...

- I co? Spaliła się? - spytałam zdławionym głosem.

- Całkowicie! Do ostatniego pazura!

Poczułam, jak cała krew odpływa mi szemrzącym strumieniem do stóp.

- A można wiedzieć - odezwał się po chwili głuchoj ciszy mężczyzna - za czym ten dom tak paniusi na oczy rzucił się?

- Nie wiem... To znaczy, wiem. - Chrząknęłam niepewnie.

- Znalazłam w rzeczach mojej babci zdjęcie tego domu. Jak jeszcze był cały i zdrowy... Tylko za choinkę nie umiem pojąć, jaki ona mogła mieć związek z tym wszystkim.

- Ta panina babcia Ledwieniowa-Zajączkowska? - zabłysnęła doskonałą pamięcią mężczyzna.

- No.

- Żadnego pewnie! Raz, że nikt tu o takiej nie słyszał, a dwa, że zdjęcia tego dziwadła robił, kto mógł, turyści zwłaszcza, jakby była co najmniej wieżo Elfa w Paryżu. Tak mogło być! - dodał z powagą.

- Ta... służąca frau nazywała się Trus?

- O, ho, ho! - zarżał donośnie. - Znaczy się, już pani naszo opowieść od Plaszcuków wcześniej zasłyszeć zdążyła?

- Nie całkiem - przyznałam, stwierdzając jednocześnie, że pora mi wysiadać. - Tylko z tą połową o „świętej męczennicy”...

- Aaaa... - facet mruknął z zadowoleniem. - To jednak na coś i my przydali się?

- Jasne - potwierdziłam, gramoląc się z siedzenia. - Nawet bardzo. Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, jak nazywała się ta... frau? - spytałam z jakąś racjonalnie niewytłumaczalną obawą.

- Kler. Mówili na nią: frau Kler. Znaczy się, po naszymu chyba Klara...

•

Wbiegłam do hotelu w przysłowiowych podskokach, uświadomiwszy sobie nagle, że nie przedłużyłam pobytu, a tak zwana doba hotelowa skończyła się kilka godzin temu. Wkraczałam więc do holu, mając przed oczami duszy stertę swoich rzeczy zalegających korytarz oraz grzebiących w nich do upojenia rozmaitych boyów, pokojówki i kucharki. W szaleńczym pędzie ku recepcji napotkałam nieoczekiwaną przeszkodę: dużą, miękką i o całkiem ładnym zapachu...

- Jezus Maria! - syknęłam, odbijając się gwałtownie od tego czegoś, a właściwie lecąc już tyłem ku bezkresnym przestworzom.

- Niezupełnie - usłyszałam nad sobą męski głos i w tej samej chwili silne ręce ustawiły mnie do pionu. - Witam, pani Klaro! - przywitał się zaraz potem układnie.

- Czy ja śnię, upadłam na głowę, czy może już całkiem nie żyję? - dałam gościowi do wyboru trzy proste pytania.

Oto bowiem o ćwierć kroku przede mną stał w całej okazałości, nie kto inny, jak... Rafał Sochowicz!

- Na szczęście nie zdążyła pani upaść - odparł beztrósko, przypisując sobie tym samym zasługę uratowania mojego żywota. Bezcelnie i pyszałkowato!

- Co pan... tu robi? - spytałam wreszcie. - Śledzi mnie pan?!

- Ależ skąd! - oburzył się fałszywie. - Widać tak się złożyło, że przyjechaliśmy tu jednocześnie za sprawą samego przeznaczenia... Obawiam się jednak, że gdybym zaproponował pani teraz krótką rozmowę, zostanę potraktowany zimnym lodem... Czyż nie?

Facet, korzystając z mojego totalnego ogłupienia, w sposób wyraźnie daleki od szczyrych intencji sondował moją skłonność do wynurzeń. W tym momencie przebiegło mi naraz przez głowę sto tysięcy myśli,

przy czym jedna z nich miała mglisty charakter wspomnienia, że nie dalej jak przedwczoraj tenże Sochowicz był mi do czegoś niezbędnie potrzebny...

- Zaraz... - mruknęłam dość ugodowo. - Najpierw zobaczę, czy nie wyrzucili mnie z hotelu, a jeśli nie, zostanę jeszcze do jutra...

- Pani życzy sobie przedłużyć? - spytał przysłuchujący się nam recepcjonista, ten sam co wczoraj.

- Ja... sobie? Przedłużyć? - będąc nadal w lekkim szoku, nie od razu załapałam, o co mu chodzi. Czyżbym miała czegoś tak ewidentnie za mało, aby rzuciło mu się w oczy?

- Jedną dobę? Dwie? - indagował uprzejmie.

- Jedną! - wrzasnęłam w nagłym olśnieniu. - Albo nie, dwie. Sama nie wiem...

- Mogą być dwie - zgodził się recepcjonista. - Jakby pani zmieniła zdanie, to się skróci. Nasz hotel jest bardzo elastyczny, droga pani. Zawsze twarzą do gościa!

- I chwała Bogu - mruknął Rafał ze skrywaną uciechą. Spojrzałam na niego. Stał obok mnie murem, z dość dziwnym wyrazem twarzy.

- To jak? Idziemy? - spytałam i nie czekając na odpowiedź, ruszyłam przed siebie.

Sochowicz, jakby z lekkim niedowierzaniem, ostrożnie stąpał za mną. Pchnęłam szybko drzwi do pokoju, stwierdziwszy uprzednio, że moje rzeczy nie walają się po korytarzu.

- Pan siada! - rzuciłam i udałam się do łazienki celem zebrania myśli.

Spotkanie z Sochowiczem nie dało mi szansy na zebranie do kupy rezultatów dzisiejszej eskapady. Ba, nie pozwoliło mi się nawet porządnie przerazić, że już o zniechęceniu oraz załamaniu nie wspomnę... Zupełnie odruchowo uczesałam się i umyłam zęby. Klara! Tak! Cała ta frau Kler vel Klara drażyła mi umysł, nie pozwalając się na niczym skupić... Czy moje imię i jej imię mają ze sobą jakikolwiek związek? - pytałam sama siebie, czyszcząc papierem toaletowym prawy but. - Jeden przypadek to jeszcze przypadek - mruczałam pod nosem, szorując umywalkę - ale czy dwa przypadki w jednym przypadku to w dalszym ciągu przypadek? Ten dom z babcinego zdjęcia, ona, jej imię...

Usłyszałam ciche skrobanie w drzwi. – Przepraszam najmocniej. Czy pani dobrze się czuje?

– Ja?!!! Tak... Ale muszę sobie przypomnieć, po co był mi pan potrzebny. Proszę dać mi jeszcze kilka minut!

Wtym momencie właśnie sobie przypominałam, że chciałam z nim najzwyczajniej pogadać. Gdyż uznałam, że spośród wszystkich zainteresowanych sprawą on właśnie najbardziej się do tego nadaje.

– Dobrze – westchnął Rafał i odszedł od drzwi.

– Albo nie! – nagle zmieniłam zdanie. – Już jestem gotowa – oznajmiłam, sadowiąc się w fotelu obok.

– No więc?

– No więc... zdecydowałam się na rozmowę.

– Świetnie. Ale wie pani co? Może ja zacznę. Doszedłem do wniosku, że z panią nie można tak... ogródkami. Trzeba normalnie, zagrać w otwarte karty!

– O? – zdziwiłam się niemal szczerze. – To znaczy że w Krakowie, w domu babci grał pan w zamknięte?

– Niezupełnie... Powiedzmy, że nie zdążyłem sięgnąć po właściwą talię. – Rafał roześmiał się uroczo, co natychmiast przypomniało mi, jak bardzo go nienawidzę...

– No dobra – warknęłam z niechęcią. – To bierz się pan za tę talię. Słucham.

– Pewnie panią zaskoczę... ale powiem bez żadnych wstępów! Ja... Po prostu... Kocham panią!

Wytrzeszczyłam na niego oczy tak straszliwie, że o mały włos nie wyłeciały mi z oczodołów.

– Tak! Kocham panią, od chwili kiedy panią po raz pierwszy ujrzałem. I nic na to niestety nie poradzę. Jest pani moim ideałem kobiety, intelektu, urody, poczucia humoru, sposobu chodzenia, tembru głosu, spojrzenia – absolutnie wszystkiego i w każdym calu, czym kobieta dysponować powinna...

Korzystając z mojego dokładnego osłupienia, Sochowicz plótł trzy po trzy i niewątpliwie snułby te bzdety dalej, gdybym wreszcie nie odzyskała władzy nad strunami głosowymi.

– Powaliło pana czy co?!! – ryknęłam nagle moim „cudownym tembrem głosu”. – Kocha mnie pan, że tak to w skrócie ujmę, od pierwsze-

go wejrzenia? Na miłość boską, miejże, chłopcze, szacunek do mojego opiewanego przed chwilą intelektu! Ileż pan miał wówczas, pięć lat? I ja mam w te banialuki uwierzyć?

- Dwanaście - odparł ze spokojem.

- Co?

- Kiedy się w pani zakochałem, miałem dwanaście lat. Widywaliśmy się oczywiście o wiele częściej niż tylko na pogrzebach, tyle że ja byłem dla pani niewidzialny. Przezroczysty! Ale pamiętam każdą swoją wizytę u ciotki Alicji, każde nasze spotkanie, do dziś jestem w stanie opisać je z najdrobniejszymi szczegółami, łącznie z tym, co miała pani wówczas na sobie... Kiedy stałem się wystarczająco dorosły, by móc uderzyć w konkury, pani była już na dobre mężatką... Jak tylko dowiedziałem się o waszym rozwodzie, zjawiłem się natychmiast. Ale i to nie był dobry moment. Później bywałem trochę za granicą, jeszcze później, kiedy ojciec zaczął drażnić przeszłość Ernesta, dołączyłem do niego, bo to... bo to dotyczyło też jakby pośrednio i pani... Kiedy zmarła Alicja, powiedziałem sobie: teraz albo nigdy! I wszystko popsuł mi ten przeklęty spadek!

- Przeklęty czy nie przeklęty, muszę przyznać, że pański ojciec pogrywa sobie o wiele bardziej fair. Przynajmniej wali prosto z mostu. A może... tak się umówiliście? Że on mnie młotkiem, a pan marchewką, co?

- To oczywiste, że tak właśnie pani sobie myśli - oznajmił Rafał. - Jeśli o mnie chodzi, może pani oddać wszystko, co do złotówki pierwszemu lepszemu żebrakowi. Dla mnie byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby wyszła pani z tej historii bez złamanego centa. Ja również mam dość zasobne konto, a do tego całkiem niezły regularny dochód. Proszę mi wierzyć, że mogę zapewnić swojej żonie bardzo wygodne życie.

- Żo... żonie? Czy to są może jakieś mętnie zakamuflowane oświadczenia?

- Jeszcze nie. - Uśmiechnął się, czym od nowa totalnie mnie wkurzył. - Ale przyjdzie czas, kiedy dojrzeje pani do odpowiedzi na to pytanie.

Zawrzało we mnie. Zakipiało i zadymiało. A kiedy Sochowicz dotknął mojego ramienia, znów poczułam coś jakby porażenie prądem, w dodatku bezpośrednio ze słupa wysokiego napięcia. I chyba miałam dosyć...

- Drogi panie! - wysyczałam mu w twarz skondensowanym jadem. - Nie życzę sobie podobnych ekscesów! Ani równie durnych gadek! Zamierzałam porozmawiać z panem o babci, ale jak widzę, wszelkie moje próby zmierzają donikąd!

- Oczywiście, możemy porozmawiać o babci - zgodził się prędko, widząc chyba, że przeholował.

- No więc? Co pan wie? - spytałam tylko dlatego, żeby znów później nie żałować.

- A pani?

- Byłam dziś w tej... Soliszce. Niepojęta rzecz, ale nikt tam o babci nie słyszał! Dotarł pan tam może?

- Nie. - Rafał zmarszczył brwi. - Jeszcze nie. Do tej pory szedłem zupełnie innym tropem. I tam, dokąd trafiłem, jak najbardziej o niej słyszano...

- To znaczy?

- Zupełnie niczego się pani nie dowiedziała? - odpowiedział pytaniem.

- Owszem... Ale raczej nie na temat - przyznałam niechętnie. - Opowiadano mi o jakiejś babie, która zamordowała inną babę, w zamian za co wieś dokonała na niej samosądu. Intrygujące w tym wszystkim jest tylko to, że ta morderczyni mieszkała w domu, który znalazłam na zdjęciu w rzeczach babci, a na dodatek miała na imię tak samo jak ja.

Spojrzałam wyczekująco na Rafała, ale on milczał. Z dostojną powagą na obliczu najwyraźniej przeżuwał coś wewnątrz.

- I co? - ponagliłam. - Czy to się jakoś łączy z pańskimi wiadomościami?

- Nie wiem jeszcze... - odparł w zadumie.

- Wobec tego proszę mi teraz powiedzieć, co pan wie.

- Nie - oznajmił krótko i zdecydowanie.

- Nie? No chyba pan żartuje! Dlaczego nie?! - Uniosłam się z fotela. - To ja się tutaj wywnętrzam, spowiadam, a pan... A pan co? - Dosłownie zatykało mnie ze wzburzenia.

- Bo widzi pani, ja znam trochę późniejszy odcinek całej historii. Rzeczowy i konkretny. Nie można mieszać jakichś niejasnych, nieudokumentowanych pogłosek z faktami. To może zaciemnić prawdziwy obraz rzeczy.

- Zaciemnić? To pan mi tu ściemnia, ile wlezie! Normalnie i bezczelnie! Alicja była moją babcią i to ja mam prawo cokolwiek o niej wiedzieć! Znacznie większe niż pan! Żądam odpowiedzi na moje pytanie!!!

- Dobrze - rzekł z westchnieniem Rafał. - Powiem pani. Ale pod warunkiem, że jutro wróci pani ze mną samochodem do Krakowa, a potem razem zajmiemy się całą resztą.

- Do Krakowa? A pan tam po co? - wyraziłam niezbyt uprzejme zdziwienie.

- Ponieważ obecnie tam mieszkam.

- Przecież... przyjechaliście razem z ojcem... skądś tam...

- Owszem, nawet nie skądś tam, tylko skądś tu. Ale jakiś czas temu kupiłem w Krakowie mieszkanie i... jestem na etapie organizowania nowego miejsca pracy. Dlatego właśnie dziś tu jestem, w celu, że tak powiem, dokonania ostatecznego szlif. No więc? Wraca pani ze mną?

Spojrzałam na niego nieufnie, a nawet wręcz podejrzliwie.

- Jakos mi się nie chce wierzyć, że to nasze spotkanie jest czystym przypadkiem...

- I tu się pani myli. Sam byłem mocno zaskoczony! - odparł bez mrugnięcia powieką.

- Taaak?

- Tak.

- Wobec tego ja może zaproponuję panu jedynie słuszny kompromis: mogę obiecać, że od dziś będziemy w kontakcie, ale wrócę sama, pociągami! A teraz proszę nie odwracać kota bawelną do góry, tylko rzetelnie streścić, co pan takiego odkrył!

Rafał wiercił się przez chwilę w fotelu, jakby rzeczywiście miał mi do przekazania nie lada sensację.

- Otóż - zaczął po chwili i na tym poprzestał.

- Otóż - powtórzyłam dobitnie i przyjął demonstracyjną pozę uważnego słuchacza.

- Tak... jak już mówiłem, Ernest zmienił nazwisko w siedemdziesiątym pierwszym roku, zgodnie zresztą z pani domniemaniem, że chciał w ten sposób coś ukryć...

- No! - ponagliłam w obawie, że znowu utknie na dłuższy czas. - Co chciał ukryć?

- To, że związał się... z własną pacjentką. Dlatego zrezygnował z posady ordynatora i wyjechał do Krakowa. Już jako Ernest Ledwień.

- Też mi rewelacja! - prychnęłam z pogardą. - A od kiedyż to lekarzom nie wolno wiązać się z pacjentkami?

- Oczywiście, że wolno - odparł cicho Rafał. - Tylko że, widzi pani... W przypadku... szpitali psychiatrycznych rzecz może wyglądać nieco inaczej...

•

Po powrocie do domu, mniej więcej w momencie, kiedy przekroczyłam próg, a może nawet już wtedy, gdy dłużyłam kluczem w zamku, zjawił się Bylec. Z pretensjami, że nie uprzedziłam go o wyjeździe, podbarwionymi jednakże czułym odcieniem niepokoju. Tym razem wystrojony był na sportowo, przy czym, jak poprzednio, równie ślicznie wymyty i ogolony. I jakby jeszcze szczuplejszy...

- Czaileś się przez cały ten czas pod moimi drzwiami czy jak? - spytałam, puszczając go przodem.

- Nie... To znaczy... tak! - odparł niejasno. - Zaglądałem po prostu od czasu do czasu.

- Aha... Rozgość się, wrzucę tylko ten bagaż do swojego pokoju i zaraz wracam.

- Boże, kochanie, jaka ty musisz być zmęczona! - Piotrek niemal jednocześnie wyrwał mi z ręki torbę oraz zdarł ze mnie kurtkę.

Tę drugą zawiesił natychmiast na wieszaku, co do torby zaś oznajmił, że nie zając. Zanim się spostrzegłam, postawił wodę na gaz, zakręcił się po kuchni, by po chwili uraczyć mnie całą górą kanapek.

- Mała przekąska - oznajmił. - Gdybyś miała ochotę na coś ciepłego, też się zrobi.

Chryste! Jak chodzi o temat żarcia, to on jest naprawdę maestro! - pomyślałam bez szczególnej złośliwości.

- I? Jak ci tam było, gdziekolwiek cię poniosło? - spytał, ściskając mnie za rękę.

Na to zbyt gwałtowne wspomnienie mojego wojażu ścisnęło mi krtań i zwilżyło oczy. Piotrek przytulił mnie bez słowa, a ja w jakimś sierocym odruchu przylgnęłam do niego całą sobą.

- No, już... Już, maleństwo. Widzisz teraz, że moja dziewczynka nie powinna być sama w takim dużym świecie! - szeptał czule, głaszcząc mnie po włosach. - Prawda? To jak? Wprowadzisz się do mnie z powrotem, czy może ja bym...

- Nie wiem, Piotruś - westchnęłam, walcząc z rosnącą kluchą w gardle. - Na razie jeszcze nie wiem. Pozwól mi się zastanowić.

- Jasne! - zgodził się prędko i poszusował w stronę wyjącego czajnika. - Ile tylko zechcesz, ale daj mi chociaż cień nadziei!

- No wiesz... Zarówno cień, jak i nadzieja są nieodłącznymi towarzyszami człowieka. Od narodzin po śmierć - odparłam, wgrzając się w kanapkę. - A swoją drogą, zadziwiasz mnie ostatnio, Piotrek. Byłam u ciebie, wiesz?

- Wiem. Znalazłem kartkę.

- Całkiem nieźle sobie teraz mieszkasz. I tego właśnie nie potrafię pojąć. W zasadzie logika powinna mi podpowiedzieć, że to moja osoba była ci przeszkodą w... no, w tym wszystkim, co robisz obecnie, a nie robiłeś do tej pory.

- No co ty, Klarcia! - Piotrek wyraźnie się zmieszał. - Właśnie odwrotnie! Ja to wszystko robię, żebyś wróciła! Widzisz, jak mieszkaliśmy razem, mimo że po rozwodzie, jakoś nie uzmysławiałem sobie tego... eee... tak bardziej... panoramicznie. Bo przecież byłaś. Wychodziłaś, wracałaś, gadaliśmy ze sobą i wszystko było niby jak zawsze. Ale kiedy odeszłaś, zacząłem patrzeć na nas z innej strony. Z... mojej! - wyznał nieśmiało.

- I co ci wyszło?

- No cóż... Jeśli chcesz ujrzeć teraz akt samobiczowania, proszę bardzo. Należy mi się. Wolałbym jednak pominąć ten punkt programu i wyrazić czynami wnioski, do jakich doszedłem. O, właśnie, à propos! Przecież ja mam coś dla ciebie.

- Sięgnął do kieszeni kurtki i wyszarpnął z niej ogromniastą czekoladę z bakaliami.

- Dzięki - mruknęłam bez entuzjazmu, jako że w tym momencie Piotrek załapał u mnie mały minus. Powinien przecież pamiętać, że nie lubię czekolady...

- No więc? Powiesz mi, gdzie byłaś, co porabiałaś? Oczywiście, jak nie masz ochoty, to nie. - Od razu się zaasekurował, by nie wyjść ani na

obojętnego, ani na wścibskiego.

- No to nie - odparłam krótko.

Piotrkowi jednak moja wycieczka najwyraźniej nie dawała spokoju, gdyż całkiem widocznie gryzł się w sobie oraz wił.

- Oczywiście - szepnął z wysiłkiem.

- Wiesz co? Bardzo ci dziękuję za troskę, opiekę, kanapki i w ogóle... ale jestem trochę zmęczona. Chciałabym się położyć. Może... pogadamy sobie innym razem? - zaproponowałam z lekkimi skrupułami.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - A może wybralibyśmy się kiedyś... Dokądś... Do kawiarni, kina, teatru? Co o tym sądzisz?

- Może. Kiedyś... - odpowiedziałam niezobowiązująco, gdyż kompletnie nie wiedziałam, co o tym sądzić. I to w aspekcie znacznie szerszym niż wizyta w teatrze...

Po wyjściu Piotrka upchnęłam całą zawartość podróźnej torby w koszu na brudy i udałam się do łazienki celem szczegółowego zbadania swojego wyglądu. Przyglądałam się sobie uważnie w różnych pozach oraz konfiguracjach, zarówno całościowo, jak i detalicznie. Nie dostrzegłam w trakcie tych oględzin nic szczególnie odrażającego, ale także nic fascynującego. Ot, baba po trzydziestce, ni gruba, ni chuda, ciemna blondynka o szarych oczach, pełnych ustach, całkiem jeszcze nienadgryziona zębem czasu pod względem kurzych łapek czy innych, nabytych fałd i zmarszczeń. - Cera całkiem okej - stwierdziłam, wydymając policzki jak facet w trakcie golenia. - Szyja też... Biust? - zawahałam się przez chwilę, po czym przeprowadziłam popularny test, używając zamiast ołówka szczoteczki do zębów. Wetknięta kolejno pod każdą pierś wypadała uparcie...

Oślanając dłonią nie wiadomo przed kim miejsca newralgiczne, przemknęłam do siebie. Z przybornika do szycia wyłuskałam centymetr krawiecki i pomknęłam z powrotem do łazienki. Wyszło mi, że różnicę pomiędzy talią a biodrami i talią a biustem mam wręcz modelową! Poddane badaniu za pomocą równie chałupniczego testu nogi także zdały egzamin. Złączone równo w stopach i kolanach objawiły mianowicie trzy konieczne wymagane szczeliny: między udami, kolanami a łydkami oraz łydkami a kostkami.

Po zakończeniu tej szczegółowej samoanalizy miast popaść w błogie zadowolenie, zaczęłam się bezlitośnie łąać.

- Durniu ostateczny! - plwalam sobie w twarz do lustra.

- Czy tobie się aby we łbie nie przewraca? Przecież to, że czegoś nie masz, flindziu zakichana, nie oznacza jeszcze, że coś masz! Nie masz zmarszczek? Sadła? Krzywych giczołów? I co?! Wszystko to, śmojdo nieczesana, nie jest jeszcze jednoznaczne z posiadaniem powalającej urody! A to dupek jeden, lalusz, amoroso od siedmiu boleści! A, nie! Od ośmiu, niech ma! - przerzuciłam się gładko z siebie na Rafała.

Goła jak święty turecki i wściekła jak rój szerszeni na zmianę zawodziłam i przeklinałam. Nie tak to miało być! Po jaką cholere mi się ten Rafał przyplątał? Zdecydowanie byłoby lepiej siedzieć na zadku, jak mądrzy ludzie radzili! Pochylona w stronę lustra miotałam najgorsze znane mi obelgi, koncentrując wszystkie swoje negatywne uczucia na młodym Sochowiczu. Tak było prościej. Zamiast rozdrabniać się na ich rozmaite źródła, szeregować pod względem intensywności, znieawidziałam gościa za cały świat. Bezczelny lowelas! Jak on śmiał wciskać mi podobny kit, że niby tak mnie kocha, na zabój, niemal od niemowlęctwa. A do tej pory co? W celibacie żył? Czystość sobie poprzysiągł dogonna, że jak nie ja, to żadna?

Kiedy rozszalałe emocje nieco we mnie ostygły, otuliłam się szlafrokiem i wpełzłam pod koc. Zaczęłam myśleć jakby racjonalniej, choć tak naprawdę nie chciałam, a nawet nie powinnam myśleć w ogóle. Bo nieproszona o nic pamięć jęła mi teraz podsuwać rozmaite scenki z udziałem Rafała Sochowicza. Wistocie, teraz uświadamiałam sobie coraz jaśniej, że natykałam się w swoim życiu na tego chłopaka dość często, szczególnie w wakacje. Najwidoczniej spędzał u babci rokrocznie kilka letnich dni, a może nawet tygodni... Wysiliwszy się nieznacznie, skojarzyłam nawet te jego oczy, wlepione we mnie jak ciele w malowane wrota. I nie było to jakieś dorabianie ideologii po fakcie, gdyż rzeczywiście, teraz przypominałam sobie wyraźnie ówczesną irytację czatującym notorycznie w pobliżu młodzieńcem. Wtedy był dla mnie jakimś mało absorbującym uwagę dzieciakiem. I tak pewnie zostało na dłużej, bo jak już sobie raz zakodujemy w głowie, że ktoś jest w porównaniu z nami gówniarzem, to będzie nim zawsze, nawet kiedy stuknie mu siedemdziesiątka, podczas gdy nam - na przykład - siedemdziesiąt trzy... A może on naprawdę kochał się we mnie na zabój? - przemknęło mi przez głowę. Na podstawie w miarę pewnie umiejscowionych w czasie faktów, policzyłam pobieżnie, jaka może być między nami różnica wie-

ku. Wyszło mi z grubsza, że dziewięć lat... A skoro tak, gostek nie dobił nawet trzydziestki! No, chyba że obchodził już w tym roku urodziny... Tak czy owak, wyglądał mi na zdecydowanie młodszego, ale być może wszystko za sprawą zakodowanego w mózgu gówniarza...

Spróbowałam sobie teraz przypomnieć, w kim ja się kochałam, mając dwanaście lat? No tak, w bratanku sąsiadki, studencie polonistyki. Relacja wiekowa podobna...

Drażniło mnie strasznie, że tak to wszystko analizuję, gdyż powinno mi być dokładnie obojętne, co facecik sobie do mnie ma. Ale swoista kobieca logika domagała się potwierdzenia szczerości jego wyznań. Bo w gruncie rzeczy on mi wyglądał na bardzo inteligentnego i chcąc mnie jakoś omamić w celach grabieżczych, powinien był zmyślić znacznie lepszą historyjkę niż to grubymi nićmi szyte love story. Jeśli zaś to, co mi zapodał, zmyślił wyłącznie, aby mnie zmamić, jest ostatnim durniem albo mnie uważa za skończoną meduzę. Albo... mówił prawdę! I kocha się we mnie od lat! Tak czy siak, nic mi z tego. Jeśli już miałabym dopuścić do siebie myśl o jakimkolwiek mężczyźnie u boku, Piotrek miał zdecydowane pierwszeństwo. Nie! W tym momencie zdecydowane pierwszeństwo w moich myślach ma babcia! – obrugałam się nieprzyjemnie.

- I ta jej historia... z zakładem psychiatrycznym.

- Boże mój, Boże, cóż to się nawyrabiało?! – załkałam dramatycznie, przeciągle oraz rozdzierająco. Dla spokojności sumienia.

8. Elektryczne dreszcze czy boczuś na cebulce?

- Nie rozumiem. - Grażynka wytrzeszczyła na mnie oczy znad filiżanki.
- Mówisz, że ten młody, śliczny, zasobny, kocha się w tobie, a ty go za to nienawidzisz?

- Nie. Mówię, że on mówi, a to zdecydowana różnica! - Pochyliłam się w jej stronę coraz bardziej wnerwiona.

Od godziny co najmniej wyłuszczałam jej jak komu głupiemu cel i przebieg mojej wizyty w Soliszce, ale ona jak pijawka uczepiła się wątku Rafała. Nie zrobiła na niej wrażenia ani święta męczennica, ani umęczona jawnogrzesznica, ani też nowy psychiatryczny wątek z życia Alicji. Tylko i wyłącznie młody Sochowicz!

- No dobra, ale jak mówi, to chyba wie? - zdziwiła się debilnie. - Nie sądzisz?

- Nie!!! To znaczy owszem, wie, ale ja nie wiem! A to, że mówi, jeszcze nic nie znaczy!

- Ojejku, i czemu ty tak do niego od razu z pazurem? Jesteś wolna, całkiem jeszcze niczego sobie, mogłabyś przecież dać mu szansę...

- Nie!

- Bo?

- Bo go nienawidzę!!!

- Wiesz co? - Grażynka rozejrzała się na boki po małej przytulnej kawiarence. - Siedzimy tu raptem pięć minut, a ty już chyba ze sto razy zdążyłaś powiedzieć: nie. Spójrz, tam na prawo, jaka ładna para. I wcale nie taka znowu spod igły... A tam? - Ruchem głowy wskazała stolik po lewej. - Dwie ładne pary. Jak myślisz, gdyby te panie tak jak ty posiadały w swoim słowniku tylko jedno słowo na literę „n”, szczebiotałyby sobie teraz przy blasku świec, pożerane wzrokiem przez swoich samczyków?

- Grażynka! Gdyby szczytem moich marzeń miało być pożarcie przez samczyka, wróciłabym do Piotrka! I daj mi spokój, okej?

- A wiesz ty co? - Przyjaciółka wpiła się wzrokiem w moją twarz. - Ja rozumiem, czemu on cię tak wkurza. Bo wyzwala w tobie emocje, z którymi sobie nie radzisz! Tak! - dorzuciła triumfalnie. - No wiesz... te elektryczne dreszcze, motyle, nadciśnienie i inne...

- Przestań! - syknęłam zniesmaczona. - Mówiłam tylko o negatywnych wyładowaniach, żadnych motyli nie było! I w ogóle, zmieniłaś mi kontekst!

- Nieważne. Negatywne czy elektryczne, powiedz mi, czułaś się może tak kiedyś przy Piotрку? - ciągnęła temat uparcie, jak muł.

- A co to ma do rzeczy?

- A to - Grażynka wolno i jakby z namysłem pociągnęła maleńki łyżeczek kawy - że sporo cię w życiu ominęło. Jeśli zaś chodzi o twój rozwój na płaszczyźnie damsko-męskiej, jesteś jak kilkunastoletnie dziewczę. Z dolnej granicy w dodatku. Czy ty znasz te wszystkie... pierwsze, zapierające oddech spojrzenia? Wstrząs pierwszego pocałunku? Te myśli, w których, choćbyś nie chciała, jest zawsze i wyłącznie jakiś on? To nagle wyludnienie świata, kiedy wszyscy inni poza nim nagle przestają istnieć?

- Co ty bredzisz? - Spojrzałam na nią jak na ufoludka.

- Nic. Po prostu, jeśli cała twoja motywacja związania się z chłopem polegała na zrobieniu ojcu na złość, nic dziwnego, że moja mowa jest dla ciebie chińszczyzną. Daruj, ale nie sądzę, abyś przy swoim byłym zaznała czegokolwiek z tych rzeczy... Dlatego teraz wściekasz się na Bogu ducha winnego faceta, bo nie rozumiesz swoich własnych reakcji. A człowiek z reguły, jak czegoś nie rozumie, woli wziąć nogi za pas. I tak, moja droga, jest z tobą. Cicho! Jeszcze nie skończyłam! - udaremniła mi cisnącą się na usta ripostę. - Mowa ciała, moja droga, ot, co! Ja przecież widzę, jak ty o nim mówisz! Jak tylko wchodzisz na jego temat, nagle cała jesteś inna. Inne gesty, pozy, mimika, ton głosu...

- Dość! - zaprotestowałam odrobinę zbyt głośno. - Babko-swatko! Jak długo ty jesteś bez chłopca? Lata całe. Czemuż zatem nie dążyłaś do tych... zapierających oddech wstrząsów? Odkąd tylko cię pamiętam, zawsze byłaś solówką.

- Owszem, dążyłam... - Grażynka wyznała tak smętnie, że zrobiło mi się łyso. - Ale do mnie jakoś mężczyźni nie lgnęli. Może ich onieśmielałam albo co? Wyobraź sobie, że jeszcze do pięćdziesiątki miałam nadzieję, że jakiś mi się pod rękę nawinie... A ty sama zobaczysz, jeszcze parę lat, a posypiesz się jak piasek w klepsydrze i wtedy pożałujesz!

- I tu cię mam! - Nareszcie wyszłam na prowadzenie. - Owszem, posypię się, bez niego czy z nim, bo takie jest prawo przyrody. A on przeciwnie! Nadal będzie młodym atrakcyjnym mężczyzną. I co wtedy?

- Ja bym się teraz nad tym w ogóle nie zastanawiała - rzuciła kolejnym rewolucyjnym poglądem Grażynka. - W najgorszym razie masz przed sobą dziesięć lat pozytywnych uniesień.

Więc łap, co los daje, i szarp, ile wlezie! Bo tyle twojego. Jeśli się z góry nie uprzesz, że ma to być miłość aż po grób, tylko pełnoprawny, demokratyczny związek dusz i ciał, wyniesiesz z niego tylko to, co najlepsze. Uwierz mi! Ja bym osobiście nie rujnowała mostu, na który jeszcze nie weszłam. I wiesz co? Chyba... ci zazdroszczę! - Westchnęła z taką prawdą w oczach, że zdjęły mnie nagłe wyrzuty sumienia.

Kiedy rozstawaliśmy się pod drzwiami kawiarni, oczywiście w jak najlepszej komitywie, załagał mi się w głowie dość prostacki, acz uparty zamysł. Zamiast, jak wcześniej planowałam, udać się nieśpiesznym spacerkiem w stronę Salvatora, popędziłam do Rossmanna. Tam napakowałam pełny koszyk rozmaitych specyfików dla pań w moim przedziale wiekowym, po czym uiściłam za nie taką kwotę, że ugięły się pode mną kolana. Opuściłam zatem sklep na nieco krótszych niż zazwyczaj nogach i realizując swój wcześniejszy zamysł, pieszo udałam się do domu. Trasa była wystarczająco długa, abym zdołała przekonać samą siebie, że cały ten taskany przeze mnie toból zdecydowanie mi się należy. Od dawna. Mnie i tylko mnie, wyłącznie dla lepszego samopoczucia, relaksacji oraz dźwignięcia mocno nadszarpniętego przez lata poczucia własnej wartości. Oczywiście bez najmniejszego związku z Sochowiczem, Piotrkim ani jakimkolwiek innym przedstawicielem opozycyjnego gatunku... Miałam tylko nadzieję, że nie najdzie mnie już dzisiaj żaden gość i że będę mogła spokojnie wypróbować cały świeżo nabyty kosmetyczny asortyment. Z ogromną radością stwierdziłam, że pod moimi drzwiami nie tkwi absolutnie nikt. Popędziłam na górę i z wciąż zwisającą u łokcia siatą odkręciłam nad wanną kurek z gorącą wodą...

•

Leżąc w pościeli, świadoma, że oto wreszcie znajduję się we własnym łóżku, przeciągnęłam się z lubością, nie otwierając oczu. Nikły poblask wdzierający się pod powieki sugerował, że dzień rozpoczął się pięknym, jesiennym słońciem. Nie miałam najmniejszego powodu ani też szczególnej potrzeby wyrywać się z tego błogostanu. To znaczy, nie miałabym, gdyby nie zadzwonił telefon... Bez pośpiechu wygramoliłam się z łóżka, ale zamknięte do tej pory z własnej woli oczy nadal nie chciały się otworzyć. Podtrzymując palcem lewą powiekę, dotarłam wreszcie do aparatu.

- Słucham? - rzuciłam niechętnie.

- Witam! To ja, pani Klaro, mężczyzna, na którego jest pani bezwzględnie skazana! - poinformował mnie telefon przyjemnym męskim głosem Rafała Sochowicza. - Chciałbym się z panią pilnie zobaczyć. Zresztą, zgodnie z umową, mam pani przyzwolenie na wizyty w ściśle określonym wspólnym celu...

- Chwileczkę!!! Ale gdzie, kiedy?! - wcięłam się gwałtownie w tę radosną orację.

- Teraz - odparł beztróska.

- Jak to: teraz? Przecież ja jeszcze śpię! - zaprotestowałam. - O takiej porze nie chadza się z wizytami!

- O jakiej? - roześmiał się Rafał. - Przecież już pełnia dnia, słońce wysoko, ruch na mieście niemożliwy! Proszę spojrzeć za okno. Albo na zegar.

- Ha! - rzuciłam i umilkłam.

- To znaczy?

No właśnie - przebiegło mi przez myśl. Żebym to ja wiedziała... Ale nie wiedziałam i nie zamierzałam mu się z tego zwierzać. Bo cóż miałam powiedzieć? Że nie wiadomo z jakiego powodu nie mogę spojrzeć ani za okno, ani na zegar?

- Hej! Pani Klaro, jest pani tam? - przypomniał się głos po drugiej stronie.

- Jestem.

- No więc? Mogę wpaść?

- Dobrze... Ale... Dopiero za godzinę!

- W porządku - ucieszył się. - A zatem, do zobaczenia! Akurat - mruknęłam do siebie, usiłując wyłuskać spod powieki choć jedną gałkę oczną. Odłożyłam słuchawkę i sunąc po ścianie, udałam się do łazienki. Tak jak przypuszczałam, moja nagła dolegliwość była po prostu opuchliwą powiek, ale jej rozmiar oraz zasięg przeszedł moje najśmielsze obawy! Otóż, symetrycznie, po obu stronach nosa tkwiły dwie wielkie banie wielkości co najmniej dobrze wyrośniętych kajzerek.

- A niech to jasna cholera! - Teraz dopiero dotarło do mnie z względną jasnością, że tej przykrej przypadłości nabawiłam się własnoręcznie, za pomocą któregoś z nabytych wczoraj specyfików. Dotarło do mnie również, że nie dalej jak za czterdzieści minut obejrzy mnie sobie w takim stanie Rafał Sochowicz.

- Dobrze ci tak, ośle jeden! - sarknęłam z umiarkowaną satysfakcją.
- O, tak! Jesteś tego warta!

Oprócz monstrualnych torbieli tkwiących w oczodołach na moim łbie zalegało coś w rodzaju czepka pływackiego, z przyplaskanych ze wszystkich stron, tłustych strąków.

- Alergia! - zdiagnozowałam naprędce. - Alergia na jakiś zakichany składnik całej tej zakichanej serii!

Umyłam się prędko w lodowatej wodzie, ubrałam, uważając, czy aby nie wdziewam jakiejś sztuki na lewą stronę bądź tył na przód. Miałam niewiele czasu, by zrobić coś z włosami, zaczesalam je więc do tyłu i ukreśliłam z nich coś w rodzaju niewydarzonego precla. Dość oryginalnej całości dopełniły ogromniaste przeciwsłoneczne okulary po babci. Widząc zajeżdżający pod bramę samochód, pomyślałam, że przecież wcale nie musiałam się na tę wizytę godzić...

- Dzień... - zaczął Rafał i umilkł.

- No. Dzień jak co dzień - odrzekłam, radując się przewrotnie, że widząc mnie w takim stanie, raczej trudno mu będzie udawać płomienne uczucie.

- Wejdz! - poleciłam, jakoś bezwiednie omijając słowo „pan”.

- Co ci... się stało? - spytał z przejęciem Sochowicz, w podobnie uproszczonej formie.

- Nic. A dlaczego?

- Eeee... Wyglądasz... wygląda pani ...

- Okej, może być już bez tej „pani”. I wiem, jak wyglądam.

- Gestem ponagliłam go do wejścia. - Zresztą tematem obrad jest chyba moja babcia, a nie ja! - zaznaczyłam oschle.

Celowo oraz złośliwie nie zaproponowałam niczego do picia, pragnąc wyrzucić na swoim gościu wrażenie mocno zaabsorbowanej jakąś niechętnie przerwana czynnością.

- I? Masz jakiś plan działania? - zaczęłam z marszu.

- Taaak - odparł z wahaniem. - Doszedłem do wniosku, że musimy tam pojechać jeszcze raz. Oboje i na dłużej.

- Do tego... psychiatryka? - spytałam z niejaką obawą.

- Nie. Do tej Soliszki.

- Bo?

- Bo tylko tam możemy poskładać wszystko do kupy. Ja mam samochód, jakieś tam informacje i szczery zapał, a ty masz mocno ugruntowany cel.

- No dobra. - Spojrzałam na niego, uchylając odrobinę swoje menstrualne okulary. - Masz informacje i zapał. A jaki masz w tym interes?

- Cóż... - zawahał się Rafał. - Powiedzmy, że... wyłącznie turystyczny. Korzystając z chwili wolnego czasu, chętnie wybiorę się na małą wycieczkę.

- Aha... I co? - postanowiłam na razie nie drążyć tematu.

- I tak sobie wymyśliłem, że w zasadzie z Soliszki jest tylko rzut beretem do twojej kuzynki Bernadki, a także, choć w drugą stronę, do państwa Dziejków.

- A w czymże oni mi pomogą? Kotłowali się tu przecież prawie miesiąc i poza sporym zamieszaniem niczego sensownego w sprawę nie wnieśli...

- Owszem. - Rafał zakręcił się na krześle. - Ale wówczas nikt nikogo nie chciał słuchać. Każdy się palił tylko do wyłuszczenia własnych racji, a już przecież wtedy, gdyby podejść do rzeczy metodycznie, udałoby się może jakieś wątki powiązać.

- Tak, tylko po co?

- A teraz po co? - spytał z przekąsem.

- Teraz... Wyszły na jaw takie rzeczy... Takie sugestie... Że ja muszę je wyjaśnić! Inaczej nie zaznam spokoju. Zresztą... Babcia tego chciała.

- Babcia tego chciała? - powtórzył jak echo Sochowicz.

- Na to wygląda. Babcia chciała, a tata mi zabronił. I na podstawie tych dwóch sprzecznych komunikatów zrodziła mi się pewność, że w mojej rodzinie jest jakaś makabryczna tajemnica...

- W to nie wątpię - westchnął Rafał. - Już choćby ten szpital daje do myślenia. Jak sądzisz, czy ona mogła mieć jakieś problemy natury psychicznej? Takie wiesz... wymagające leczenia zamkniętego?

- A skąd! - oburzyłam się szczerze. - Poza lekkimi objawami zdziwacza pod koniec życia nic jej nie dolegało!

- Wobec tego ja bym od tej kwestii zaczął.

- Zaczął?! Jeszcze niedawno twierdziłeś, że to jest wątek na potem! A skoro tak, to najpierw Bernadka!

- Okej, ty decydujesz. Ale wiesz, że to potrwa... jakieś trzy dni? - spytał, przy czym ślepią zajarzyły mu podejrzanie.

- Jakieś dwa - odparłam krakowskim targiem. - I co z tego?

- To - uśmiechnął się tajemniczo - że będziemy mieli okazję bliżej się poznać...

- Może lepiej, ale bliżej to już na pewno nie! - zaprotestowałam przezornie.

- Niech będzie i tak - zgodził się Rafał i roześmiał tym swoim uśmiechem, za który gotowa byłabym mu oczy wydrapać.

- Ja mam nadzieję - wycodziłam wolno - że nie obiecujesz sobie, iż ja w trakcie tej wycieczki pozwolę się ogłupić i omamić?

- Absolutnie! - odparł z podejrzaniem poważną powagą.

- Wobec tego - oznajmiłam, wstając - ustal jakiś termin, a ja się dostosuję.

- W porządku. - Poderwał się z miejsca, wyczuwając kulturalnie, że wyczerpał swój czas oraz moją cierpliwość.

Zaraz po jego wyjściu zdjęłam pijące mnie za uszami okulary i korzystając z niewielkich szczelinek, które tymczasem wytworzyły mi się między powiekami, odprowadziłam go wzrokiem zza firanki. Musiałam w końcu przyznać sama przed sobą, że facet ma wszystkie atuty męskiej urody... Przy okazji zastanowiłam się nad tłumionymi emocjami, które rzekomo, zdaniem Grażynki, we mnie budzi, co doprowadziło mnie do nieszczęsnego zestawu nabytych kosmetyków. W porywie uzasadnionej złości potruchtałam do łazienki celem dokonania terapeutycznej dewastacji całego tego chłamu. Złapałam najpierw spore, baniaste

pudełko kremu, za pomocą którego tak drastycznie obniżyłam sobie poziom urody na twarzy. Tuż przed rąbnięciem nim o podłogę kątem oka dostrzegłam napis, który jakby nieco mnie wyhamował.

- Od-ży-wka-do-wło-sów - przesyłabizowałam głośno, a potem jeszcze raz i jeszcze raz... - O, kurczę, skoro tak, to włosy pewnie potraktowałam kremem regenerująco-rozświetlającym! - zawołałam z niedowierzaniem. - A niech cię, głupia torbo!!! Ty nawet damą nie umiesz być porządnie, jak się okazja nadarzy!

Ustawiłam na półce równiutkim rzędem zrehabilitowane specyfiki i mocno przybita swoją niekobiecością poczłapałam do kuchni, z zamysłem obłożenia oczu płatkami nasączonymi naparem z herbaty.

Niemal natychmiast po wyjściu Rafała zjawił się Bylec. Przytaskał torbę wiktuałów i bez szczególnych wstępów jał rozmieszczać je tematycznie w lodówce.

- Pomyślałem sobie - wysapał, unosząc się z pozycji kucznej - że ty, biedactwo, pewnie zupełnie o siebie nie dbasz! Daj jakiś garnek, ugotuję ci rosółku. Kim był ten facet? - kiwnął głową w stronę drzwi.

- Mój kuzyn ze strony dziadka - zeznałam, niemal zgodnie z prawdą. - I przeciwnie, właśnie zaczęłam o siebie dbać. Nawet całkiem intensywnie! A ty co? Śledzisz mnie może? Ponadto wydawało mi się, że masz teraz jakąś pracę. Na jakieś dziwne zmiany chyba, bo o każdej porze jesteś pod ręką! - wyżyłam się na nim.

- Mówiłem ci, Klarcu - Piotrek spojrzał na mnie z wyrzutem - że mam własną firmę. Z mojej strony wystarczy tylko dozór nad ludźmi. Czyżbyś mi nie wierzyła?

- No cóż... Wszystko wskazuje na to, że masz wreszcie jakieś pieniądze, i to jedyne, co za tobą przemawia.

- Boże drogi, kochanie, jaka ty jesteś nieufna! - jęknął z malowniczym cierpieniem na twarzy. - Ale ja ci obiecałem, że zasłużę sobie jeszcze na ciebie! Zobaczysz!

- Ano, może zobaczę...

Wobec takich deklaracji usiadłam przy stole w kuchni nad filiżanką kawy i patrzyłam, jak mój były realizuje swoją obietnicę. Piotrek kroił, mył, skrobał i przyprawiał. Kiedy spod przykrywki wypływała pierwsza aromatyczna smużka pary, dość sprawnie umył wszystkie narzędzia pracy i usiadł naprzeciw mnie.

- Płakałaś? - spytał, lustrując mnie uważnie.

- Nie, nie płakałam, opuchłam. Bo... - nie wiedziałam, co by tu zmyślić - zjadłam coś tak potwornie słonego... że zgromadziło mi wodę!

- Jak ci zgromadziło?!

- Normalnie. Nie wiesz, że nadużywanie soli gromadzi wodę w organizmie? I się puchnie...

- Ojej! I co teraz? - przejął się Piotrek.

- Nic. Wydalę i będzie okej.

- Aha... To ja ten rosół zrobię bez soli w takim razie.

- Świetnie! - ucieszyłam się z trudem. - Zrób bez soli. A... i wiesz co? Znowu będę musiała wyjechać na kilka dni. Więc nie martw się o mnie tym razem, dobrze?

Piotrek przeżuwał coś w sobie intensywnie, nie wiedząc pewnie, jak ugryźć temat, by nie popsuć sobie nowo nabytego wizerunku.

- Mam nadzieję, że... Że nie masz jakichś problemów?

- wystękał w końcu.

- Nie. Jadę w odwiedziny do mojej nowo poznanej krewnej, Bernadki. Wiesz, tej, co była na stypie - rzuciłam kolejną półprawdą. - Nie na długo, na parę dni.

- Jak chcesz, mogę ci w tym czasie podlewać kwiatki. I pilnować domostwa - zaoferował z zapalem.

- Dzięki, ale wszystko to wzięła już na swoje barki Grażynka - zełgałam, sama nie wiem czemu.

- Ale po co? Przecież od tego, żeby cię wspierać i wspomagać, jestem ja, twój mąż!

- Nie, Piotrusi. Ty masz własne sprawy na głowie. Nie zamierzam cię nadwerężyć.

Po dość długiej, acz kurtuazyjnej wymianie zdań Piotrek dał sobie spokój. Jego wizyta zakończyła się ceremoniałem wspólnego spożycia rosółu bez soli i serią gorliwych deklaracji.

Udręczona nadmiarem przejawów męskiego zainteresowania z ulgą zamknęłam za nim drzwi. Teraz chciałam tylko za wszelką cenę odebrać myśli od bieżących wydarzeń, wygrzebałam sobie zatem z kufra Alicji *Przeminęło z wiatrem* i tak wyposażona wpakowałam się na powrót do łóżka. Kiedy rozległ się dźwięk telefonu, postanowiłam nie odbierać. Po namyśle jednak sięgnęłam po słuchawkę, w obawie, aby jakiś

troskliwy bliźni nie postanowił sprawdzić osobiście, co też się ze mną dzieje.

- Hej! Tu Rafał Sochowicz - usłyszałam już całkiem dobrze znany głos. - Dzwonię, bo mówiłaś, żebym ustalił termin wyjazdu, a ty się dostosujesz. A więc ustaliłem: dziś wieczorem.

- Żartujesz chyba?! - jęknęłam boleśnie. - Już? Tak szybko?

- Nie mówiłaś, że ma być wolno - wyłgał się dość logicznie.

- To jak? Jedziemy? Rano będziemy u Bernadki.

- No dobra... Muszę się tylko trochę spakować.

- Pomalutku! Masz czas co najmniej do północy. Nie będziemy przecież zrywać kobiety z łóżka o jakiejś głupiej godzinie.

- Aha... - zgodziłam się niemrawo. - Niech będzie. Kolejny majowy robotnik - sarknęłam, odkładając słuchawkę. - Kiedy te facety chodzą do pracy, skoro zawsze i na wszystko znajdują czas?

Po czym, nie zmieniając planów, z zimną krwią oraz babciną książką pod pachą, wróciłam do łóżka.

•

Kiedy bladym świtem mijaliśmy tabliczkę z napisem Głuchów, okoliczny krajobraz spowijała gęsta mgła. Nagle przeleciało mi przez głowę, że może i Bernadka Zajączkowska okaże się nagle jakimś wirtualnym bytem? Niesamowity widok za oknem samochodu działał na wyobraźnię... Mleczne opary, snujące się po ziemi od strony pól przywodziły na myśl czarcie uroczyska, z których nie ma powrotu dla zbłąkanych wędrowców... Spojrzałam z ukosa na Rafała, ale on, napotykJąc mój wzrok, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu - oznajmił. - Jak się spało?

Szczerze powiedziawszy, nie spało się wcale, udawało jednak całkiem nieźle... Nie miałam ochoty na żadną konwersację, a już nie daj Boże na snuce opowieści o sobie oraz wysłuchiwanie analogicznych wynurzeń. Zamknąwszy więc oczy, pogrążyłam się w rozmaitych, bezładnych myślach, od czasu do czasu popadając w krótką, płytką drzemkę.

- Dziękuję, całkiem nieźle - odparłam, ziewając dyskretnie.

- Szkoda, że nie zostawiła numeru telefonu, uprzedzilibyśmy ją przynajmniej. - Trochę łyso zrobiło mi się teraz na myśl o tak nagłym i nie-

spodziewanym najeździe na Bernadkę.

- Trudno - odparł Rafał. - Zostawiła adres, a to nas poniekąd... upoważnia do złożenia jej wizyty.

- No, od biedy można się w ten sposób wytłumaczyć. Przed samym sobą.

Rafał bez słowa skręcił w boczną, piaszczystą drogę i zatrzymał samochód.

- A tymczasem - oznajmił - zapraszam cię na małe plenerowe śniadanko. Zmarudzimy tu do jakiejś ósmej, a ponadto zapobiegniemy kłopotliwemu burczeniu w brzuchach.

- Mnie nie burczy - mruknęłam ponuro, obserwując, jak Rafał uwija się przy bagażniku, przekształcając go zgrabnie w coś w rodzaju prowizorycznego bufetu.

- Proszę uprzejmie: kawa, kanapki, ciastka.

Stałam nad całym tym kulinarnym dobrodziejstwem jak ostatni łoś, plując sobie w brodę, że to nie ja pomyślałam o prowiancie na drogę. Ale nie pomyślałam. Mało tego, potrzeby mojego organizmu były w tej chwili jakby wręcz przeciwne...

- Posłuchaj, Rafał... - zaczęłam niepewnie.

- Spokojnie, częstuj się - przerwał mi beztrąsko. Rozejrzałam się uważnie dookoła. Niestety, jak okiem sięgnąć, nie było żadnego krzaczka ani innej przyzwoitej rośliny. Sama trawa.

- No, co jest? - Wręczył mi kubek z kawą.

Pomyślałam w popłochu, że jeśli teraz obciążę pęcherz choćby jedną dodatkową kroplą, niechybnie dojdzie do tragedii.

- Nie chcesz? - zdziwił się Rafał. - Ja bym się o tej porze kubkowi aromatycznej kawki nie oparł!

Muszę przyznać, że i mnie było trudno. Jednakże mój wybór pomiędzy chęcią a przymusem był zdecydowanie przesądzony.

- Wiesz? Ja chyba na chwilę usiądę w samochodzie. Nie chce mi się ani pić, ani jeść...

- Źle się czujesz? - przeraził się Rafał. - Jest ci słabo?

- Nie... Tak... - odparłam bez sensu, mocno krzyżując nogi.

- Boże! Zaraz! Z tyłu jest apteczka! - Miotał się w popłochu. - Jakie krople? Żołądkowe? Nasercowe? A może... polopiryne? - oferował koledwo cały posiadany asortyment.

- Nic!!!

- Klara! - Złapał mnie za rękę. - Ależ ty jesteś blada! Dureń ze mnie. Żeby ciągać cię w taką podróż bez żadnego przystanku! Moja ty... małeńka... biedna... O, mam wodę! Niegazowaną, chcesz?

- Zlituj się! - jęknęłam ze łzami w oczach. - Nie mów nic o żadnych płynach, błagam!

Rafał spojrział na mnie przenikliwie, po czym błyskawicznie zwinął cały majdan, wsiadł do samochodu i ruszył z kopy ta. Po kilku minutach staliśmy na niemal identycznej drodze, z tym że po obu jej stronach rozpościerał się uczciwy las.

- Proszę uprzejmie - rzekł, otwierając mi drzwi.

Udałam się w leśne ostępy krokiem godnym i spacerowym, by, jak tylko straciłam z oczu czarny samochód Rafała, wpaść w szaleńczy galop. Wracając, już naprawdę wolno i spacerowo, myślałam o całym tym idiotycznym incydencie. Bo, po pierwsze, jego troska o mnie, która się przy tej okazji objawiła, była jakaś taka... spontaniczna i normalna. Nie miała w sobie nic z patosu ani wyreżyserowanego dramatyzmu, z jakim okazywał mi swoje uczucia Piotrek... Po drugie, takt, z jakim prosto i skutecznie rozwiązał mój głupi problem, obudził we mnie cieplejsze uczucia. Zdziwiona własnym brakiem skrępowania sięgnęłam teraz po kubek z kawą oraz po wypchaną zieloną sałatą bułkę.

- Lubisz jarzyny? - spytałam.

- Uhm - odparł, przełykając to, co miał w ustach. - Lubię. Ogółem zresztą jestem za zdrowym, naturalnym jedzeniem.

- A... boczuś na cebulce? Goloneczkę pod piwko? Jajecznikę na kiełbasie? - sondowałam, cały czas mając przed oczami, nie wiadomo czemu, rozmaite preferencje Bylca.

- Czasem. Ale bardzo rzadko, powiedziałbym: okazjonalnie. A dlaczego?

- Tak sobie pytam - westchnęłam, odwracając wzrok.

Bo niby jakim prawem i po co ciągle porównuję ich obu? Ta najwyraźniej silniejsza ode mnie tendencja zaczynała mnie już denerwować.

- Jedźmy - zaproponowałam, spoglądając na zegarek.

- Chciałabym mieć to już za sobą.

Kiedy pokazały się pierwsze zabudowania, odczytałam z kartki numer domu Bernadki i zaczęłam z uwagą wypatrywać tabliczek na bu-

dynkach.

- Wygląda na to, że maleją... Stój! Stój! - wrzasnęłam nagle, dostrzegając na poboczu podrygującego raźnie wyrostka.

- Eee... Bartoszek? - krzyknęłam przez uchylone okno, w nagłym olśnieniu przypominając sobie jego imię.

- Ciocia!!! - zawołał chłopak radośnie i wpakował się do samochodu. - Jedzicie do nas? A to się mama ucieszy! Mogę z wami?

- Pewnie - roześmiał się Rafał. - Myślisz, że się ucieszy?

- Jasne! Dziadek też!

- A co ty tak wcześniej na nogach? - zdziwiłam się, gdyż dzisiaj akurat wypadła dzień wolny od nauki. Z racji długiego weekendu.

- Bo mnie mama posłała z mlekiem do takiej jednej. Zawsze jej nosimy, ale już właśnie wracam. - Teraz pan skręci w prawo, o, ten żółty dom to nasz, ale zajeżdża się od tyłu - poinstruował Rafała.

- Wiesz co? My chyba tutaj zaczekamy, a ty leć i uprzedź mamę, że przyjechaliśmy - zaproponowałam, dając kuzynce czas na ewentualne ogarnięcie chałupy oraz samej siebie.

Nie chcąc czynić bliźniemu, co mogło być mu niemiłe, postanowiłam nas zaanonsować. Osobiście bowiem życzyłabym sobie wiedzieć ciut wcześniej, że za chwilę wtargną na mój teren obcy ludzie. Po niedługiej jak na kobietę chwili zza rogu domu wyłoniła się Bernadka. Całkiem elegancka i na oko zupełnie zadowolona.

- Witam, witam! - uśmiechnęła się szeroko. - A cóż to krewniaków tak niespodzianie do nas sprowadza?

- Przepraszam... Że niespodziewanie... - tłumaczyłam w przerwach na siarczyste buziaki - ale tak... wyszło. Bo numeru telefonu, niestety, pani nie zostawiła.

- Niedopatrzenie takie. Z pośpiechu - rzuciła szybko Bernadka i zabrała się do równie siarczystego powitania Rafała.

Domek Bernadki urządzony był skromnie, ale gustownie i schludnie. Obszerna kuchnia, do której zostaliśmy zaproszeni, pełniła chyba rolę pokoju dziennego, salonu oraz centrum towarzysko-biesiadnego. „Kuzynka” zakręciła się energicznie i po chwili zostaliśmy uraczeni naturalnym, wiejskim śniadaniem. Konsumowałam w milczeniu, zastanawiając się, jak by tu trącić o interesujące mnie tematy, żeby nie wyszło zbyt obcesowo.

- Pani Bernadko, czy moglibyśmy sobie trochę pogawędzić o... o babci Klary? - wyręczył mnie w prosty sposób Rafał.

- Jest parę spraw, które chcielibyśmy wyjaśnić...

- No właśnie - przerwała mu Bernadka. - I ja się nad tym wszystkim po przyjeździe z pogrzebu zastanawiałam. Podpytywałam nawet tatkę, bo państwo tak się sprzeczałyście o te nazwiska i w ogóle, że już w końcu nie wiedziałam, czy to ta nieboszczka, czy nie ta... Ale przecież, z drugiej strony, uwiadomieni zostaliśmy i o dacie, i o miejscu pochówku. To chyba przecież ktoś by się aż tak nie pomylił...

- Zostaliście uwiadomieni? Jak? Przez kogo?

- Nie wiem... - zawahała się Bernadka. - Telegrama przyszła, ale choćbym ją wam pokazać chciała, to już jej nie ma. W piec z innymi papierzyskami poszła. To... ja może lepiej tatkę przywiozę.

Po chwili Bernadka wtoczyła do kuchni siedzącego na wózku starszawego, wychudzonego mężczyznę, opatulonego grubym pledem w czerwoną kratę.

- Wnuczka Alicji nas odwiedziła, tatku!!! - krzyknęła mu wprost do ucha. - Twojej stryjny, znaczy! Ale niech się tatko nie denerwuje, ona przecież niczemu niewinna!!!

Mężczyzna zlustrował mnie niechętnym wzrokiem, a ja zastanowiłam się, czemuż to miałabym być winna bądź nie.

- Tak... Wnuczka Alicji - powtórzył z namysłem i jakby się nieco rozpozgodził. - Podjęła ty, Bernadka, gości uczciwie?

- A, tak, tatku. Naszykowałam wszystkiego, jak trzeba - ogarnęła dłonią gęsto zastawiony stół.

- Samogonki utoczyła?

- Oj! O tym nie pomyślałam! Ale jeśli państwo chcieliby skosztować domowego trunku, to ja raz-dwa przyniosę.

- Ja dziękuję, prowadzę - zaasekurował się Rafał. - Chyba że Klara sobie życzy...

- Może kapeńkę, jeśli łaska - zgodziłam się dość ochoczo, sądząc, że przy użyciu niewielkiej ilości rozmowa potoczy się różniej.

- Wy z Krakowa? - spytał po wyjściu córki, o ile dobrze zapamiętałam, pan Grzegorz.

- Tak, z Krakowa - potwierdziłam. - Kawał drogi tu do was!

- Ano, kawał...

- Ale pogoda za to całkiem ładna jak na tę porę roku!

- Ano, ładna - zgodził się staruszek.

- A państwo od zawsze... to znaczy, od przesiedlenia, w tym Głuchowie?

- Ano, zawsze...

- Alicja, o ile mi wiadomo, była... żoną brata pańskiego ojca?! - ryknął w jego stronę Rafał, przerywając moje kurtuazyjne wysiłki. - To znaczy, pański stryj był z nią żonaty?!

- Był, tfu, świeć Panie nad jego duszo. Jakby nie był, to może i do dziś dnia na tym padole by pozostał sie! Ale zachciało sie jemu przeche-ry jednej, ładna była, i owszem, ale nie dla naszego Staśka!

- Darujcie państwo - wtrąciła Bernadka, stawiając na stole butelkę i kieliszki - ale w tatce jest trochę zadawnionego żalu...

- Żalu?! - wrzasnęła całkiem żwawo staruszek. - Przecie ta baba ku śmierci pchnęła rodzzonego mego stryja! To co, wdzięczność powinie-nem ku niej mieć?

- Jak pchnęła? - spytałam cicho.

- Klara pyta, jak to się stało!!! - przełożył na odpowiednie decybele Rafał.

- Jak... Póki w Bieżance siedzieli, wszystko było jak sie przynależy. Stasiak zakład stolarski miał, gotówka była, że w sam raz, chałupa ni-czegowata, ona dama, kierowniczką szkoły, to i poważanie było we wsi jak mało u kogo. A tu jak raz władze każo wybierać: w te albo nazad! Polak ty czy Ruski? Co było robić? Wyjeżdżać strach, zostać jeszcze gorszy... Koniec końców uznalim, że lepiej samemu wyjechać, niżli cze-kać, aż oni wywiozo... My wszystkie z polskich korzeni, tak i ojciec mój z rodziną i stryj Stasiak z Alicją na zachód Polski popadli. One w Solisz-ce, a my w Głuchowie rozlokowane zostały...

Pan Grzegorz umilkł i wskazał gestem na flaszkę z „samogonką”. Bernadka podskoczyła ku niemu rażno, poprawiła pled pod plecami i wetknęła w rękę kieliszek z lekka mętnego trunku.

- I co?! Co było dalej?! - ponagliłam niecierpliwie.

- Ano, dalej... - Pan Grzegorz jednym haustem wychylił swoją „samo-gonkę” i strząsnął na podłogę pozostałe w kieliszku krople. - ...Dalej to już bieda z nędzą nastąpiła. Kto do roboty na roli i przy trzodzie nawykły był, ten poradził. Ale cóż tu robić takiej damie jak stryjna Alicja? Po-

czątkowo roboty w szkole uchyciła się, a stryj Stasiek na życie zarabiał. Trochę ziemi u nich było, to jak umiał, tak obrabiał, koniec końców krów parę, świniaka i drobiu małowiele dorobili się. Ale na suknie i kapelusze nie stawało! Tak i Stasiek za parobka do obcych podnajmował się, mebli, jak komu trzeba było, strugał, ale tu wszystko po Niemcu zostało, to i zapotrzebowanie na stolarkę było niewielkie. On by jej nieba rad przychylić, tak w nią zapatrzony był, ale jej wciąż mało było i mało... Pretensje miała, że jej „na odpowiednim poziomie” utrzymać nie potrafi. Tak i Stasiek do kielonka zaglądać zaczął... Zamiast w chałupie po robocie babskiego jazgotu słuchać, do nas zajrzał, a i do innych ziomków w gości zaszedł. A kiedy w końcu baba rękę na niego podnosić zaczęła, na honorze mu czynem, także i słowem ubliżyć, Staśko popuścił i sznur na szyję zarzucił... Dziesięć lat ja podówczas miał, ale co użył, to użył... Że już o ojcu swoim, którego jednego braciszka pomiędzy czterema siostrami posiadał, nie wspomnę... – Staruszek otarł kciukiem kąciki oczu. – Także to i historia... Bernadka, wódki!

Wychyliłam i ja, wstrząśnięta do głębi zasłyszaną opowieścią. – Że też jej się taki chłop nie dostał jak mój Bylec – pomyślałam gorzko. – Poznałaby szybciotko, jaka jest rola kobiety względem męża... Nie mogąc złapać oddechu po siarczyście mocnym napitku, trąciłam dyskretnie Rafała.

– I co się później z nią stało?! – spytał, w lot łapiąc, o co mi chodzi.

– Później... To tego... Sama różowymi paznokietkami w ziemi ryć musiała, aby głodem nie pomrzeć, wcześniej posadę w szkole utraciwszy.

– Ale czemu? Czemu utraciwszy?! – dociekałam lekko sztywniejącymi ustami.

– A bo to niespotykane swarliwa niewiasta była! Rządzić wszędzie chciała, tak i na koniec w szkole nie zdzierzyli jej. We wsi ludzie rade patrzyli, jak z wielkiej damy w czuczeło ostatnie pomału zamienia się, całkiem jeszcze w młodym wieku krasę swoję zatraciwszy. A kiedy w końcu łeb w górze nosić przestała, ktoś raz powiedział, że to już nie żadna pani Zajączkowska, tylko zwyczajna szara Trusia. I tak już się jej zostało, Trusiowa to, Trusiowa tamto...

– Jak??? Jak pan powiedział? – skoczyłam na równe, choć nieco chwiejne nogi. – Bernadka, wódki!!! – zażądałam, jak przed chwilą jej ojciec.

- No... Trusiowa! - powtórzył Grzegorz. - Zając takoj, co to ukradkiem miedzo pomyka...

Wychyliłam drugi kieliszek do dna i szarpnęłam Rafała za łokieć.

- Musimy do Soliszki!!! Teraz, natychmiast! - zawołałam.

- Zaraz, moment - przystopował mnie łagodnie. - A co się potem z nią stało? - zwrócił się rzeczowo do pana Grzegorza.

- Potem? Potem w służbu popadła u jakiegoś bogatego gospodarza. I dalej nie wiadomo - staruszek rozłożył szeroko ręce. - Kiedy pomarł Jaśko Pałobuch, co do nas czasem z Soliszki zajechał, wieści urwały się. Taż nie bardzo my się z Bernadko zdziwili, kiedy telegrama o jej śmierci aż z Krakowa przybyła. - Ot - pomyśleliśmy - wielka dama, tak i koniec końców do wielkiego miasta ujechała...

Rafał spojrział na mnie spod oka i widząc moje zniecierpliwienie, zasignalizował koniec wizyty.

- No cóż, przed nami długa droga i w sensie dosłownym, i w przenośni - zwrócił się na poły do mnie, na poły do gospodarzy. - Tak czy inaczej, na nas już pora!

Cmoknął zamaszycie Bernadkę w rękę, pana Grzegorza uściskał serdecznie.

- Jakbyście byli kiedyś państwo w Krakowie, zapraszamy serdecznie z rewizytą - rzucił jeszcze zdawkowo.

- Szkoda, że tak prędko wyjeżdżacie - westchnęła Bernadka. - U nas i zanocować jest gdzie, i do pozwiedzania też by się coś znalazło... Choćby opodal, w Klępsku...

- Dzięki serdeczne, Bernadko, ale rzeczywiście długa droga przed nami. - Objęłam ją mocno. - A gdzież to się Bartoszek podział?

- O! Tam! - wskazała ręką za okno. - Przy samochodzie waruje. My auta swojego nie posiadamy, a chłopak bardzo zainteresowany jest motoryzacją...

Kiedy przyszła kolej na obściskanie Bartoszka, uświadomiłam sobie, że powinniśmy byli kupić mu choć trochę słodyczy... Postanowiłam szybko naprawić to małe faux pas i życząc mu spełnienia marzeń, wciśnęłam w rękę dwie stowy.

- Nie ma sensu jechać teraz do Soliszki - upierał się Rafał - kiedy o rzut kamieniem mamy Dziejków!

- No to co, ale ja mam trop! Czujesz? Ta zamordowana święta to przecież Zajączkowska! Co prawda w Soliszce tłumaczyli sobie tę jej ksywkę jako „tchórz”, a nie „trusia”, ale to zbyt grubymi nićmi szyty zbieg okoliczności! Bo po ichniemu „trus” znaczy „tchórz” i widać tak się jakoś z czasem przetransformowało! Teraz rozumiem, dlaczego nikt tam nie słyszał o Alicji Zajączkowskiej! Bo tak to do niej przyłgnęło, że w końcu zapomniano jej prawdziwego nazwiska!

- Trop tropem, ale skoro ta twoja Tchórzowa vel Trusiowa została świętą męczennicą, nie może być twoją babcią - stwierdził rzeczowo. - Bo twoja babcia zeszła z tego świata w sposób absolutnie naturalny, całkiem niedawno i w dodatku na twoich oczach.

- Dobra - obstawałam przy swoim. - Babcią nie była, ale miała z nią niewątpliwie jakiś związek. Wspominałam ci przecież, że znalazłam w jej rzeczach jakieś rachunki wystawione na nazwisko tej Zajączkowskiej!

- Klaro - oświadczył Rafał uroczyście, biorąc mnie za rękę. - Ja bym ci również nieba przychylił, jak ten powieszony nieborak swojej wielkiej damie. I właśnie dlatego pojedziemy teraz do Dziejków. A nuż dowiemy się tam czegoś, co będzie miało również swój dalszy ciąg w Soliszce? I? Będziemy tak latać, w tę i nazad?

- Już ty mi niczego nie przychylaj - burknęłam pod nosem.

- A jeśli chodzi o niebo, to musisz przyznać, że to raczej ona mu go przychyliła, nie odwrotnie... Dobra, niech ci będzie. Jedziemy do Dziejków, ale obawiam się, że w międzyczasie ciekawość rozerwie mnie na strzępy.

- O, ho, ho! - zaśmiał się Rafał. - Jeszcze o takim przypadku nie słyszałem.

- No więc nie tylko usłyszysz, ale i będziesz miał okazję zobaczyć na własne oczy!

Korzystając z prostego, pustego odcinka drogi, Rafał puścił kierownicę i obiema rękami przytulił mnie do siebie.

- Nic z tych rzeczy, moja śliczna - szepnął mi w ucho.

- Mam zamiar przejąć cię w całości, nienaruszoną i nietkniętą!

Mocny uścisk jego ramion zaparł mi dech w piersiach do tego stopnia, że nie wiedziałam, czy mam krzyknąć, aby złapał za kierownicę, oburzyć się na owo „przejąć”, czy też wyszydzić określenie „nietkniętą”... – „Tłumione emocje” – przeleciała mi jeszcze przez głowę diagnoza Grażynki. Pierwsze dreszcze czegoś tam, migotanie komór i wzrost ciśnienia... Czyżby to było to?

– Hejże! – Rafał potrząsnął mną lekko. – Mam nadzieję, że niczym cię nie uraziłem?

– Owszem! – Zdjęłam jego ręce ze swoich ramion i ulokowałam je z powrotem na kierownicy. – Urażasz mnie cały czas, od pierwszego spotkania! – wybuchnęłam gwałtownie. – Jesteś podstępny i pokrętny! Opowiadasz mi jakieś rzewne bzdety, zamulasz umysł i w ogóle nie wiadomo, o co ci chodzi!

– Przeciwnie – odparł cicho. – Od naszej... przedostatniej rozmowy jak najbardziej wiadomo.

– Przestań!!!

– Nie.

– Przestań, bo jak się wścieknę, to... to... wysiądę!

– Dlaczego, Klaro? Powiedz mi, ale tak zupełnie serio i szczerze: dlaczego z takim uporem mnie od siebie odpychasz? I co tak naprawdę stoi na przeszkodzie, żebyś w ogóle raczyła spojrzeć na mnie jak na kobietę? Nie jestem już dwunastolatkiem... – szepnął z jakąś dziwną, przesywającą dreszczem tkliwością w głosie. – To, co mówiłem o swoich uczuciach do ciebie, jest najprawdziwszą prawdą, możesz mnie nawet poddać testowi na wykrywaczu kłamstw. Poza tym jesteś wolną kobietą i możesz ułożyć sobie życie, jak zechcesz.

– Mogę. I ułożę sobie, zapewniam cię! – warknęłam, siląc się na lodowaty ton.

– Klaro... – Rafał wziął mnie za rękę. – Ja nie odpuszczę, nie łudź się. Po raz pierwszy jestem tak blisko ciebie, po raz pierwszy wszystko układa się tak, że nie zaprzepaszczę swojej szansy! Kocham cię!

– Cicho bądź! – wrzasnęłam. – Nie chcę tego więcej słyszeć, nie chcę, rozumiesz?!

Rafał zatrzymał samochód i niemal przemocą wywlókł mnie na zewnątrz. Stał naprzeciw i kładąc mi ręce na ramionach, zmusił, żebym spojrzała mu w oczy.

- Bo? - zapytał krótko.

- Bo nie zamierzam się już z nikim wiązać, bo... jestem za stara i... bo cię nienawidzę! - wykrzyczałam, zalegając mu na torsie.

- Nieprawda - szepnął, całując mnie delikatnie w okolicach ucha. - Nie jesteś za stara, jesteś piękna, cudowna... Ty się po prostu boisz, boisz się swoich uczuć, tego, co będzie za parę lat, boisz się mnie... I wcale mnie nie nienawidzisz!

- Bzdury - odparłam stłumionym głosem, z twarzą schowaną w jego kurtkę. - Kolejny diagnosta mi się tu znalazł...

- O? Czyżby już ktoś wcześniej przejrzał twoje odczucia?

- Taka jedna. Ale ona jest pielęgniarą, to myśli, że wszystkie rozumy pozjadała...

- Wobec tego ja jestem bardziej kompetentny. Jestem... psychoterapeutą - wyznał, jakby trochę nieśmiało.

- Co? - Odskoczyłam od niego jak oparzona. - A więc takie klocki? Zakichana rodzinka spełnionych i niedoszłych medyków! Nic dziwnego, że mnie tak fachowo... pod włos! Ale ja się nie dam! Mam jeszcze instynkt samozachowawczy!

Rafał pociągnął mnie za sobą, usiadł na przydrożnym, omszałym pniu i posadził mnie sobie na kolanach.

- Okej, masz instynkt samozachowawczy. I pewnie właściwą dozę tak zwanej kobiecej intuicji. No więc jak sądzisz, co jest moim prawdziwym celem, jeśli chodzi o ciebie?

- No... Spadek... - bąknęłam niepewnie, gdyż kwestia spadku już dość dawno i dość ewidentnie upadła.

- Jesteś pewna?

- Nie.

- Więc?

- Nie wiem! Pojęcia nie mam, ale jakiś musisz chyba mieć, skoro z uporem godnym lepszej sprawy włóczył się za mną od śmierci babci!

Rafał nie uściślił mojej wypowiedzi, tylko jeszcze mocniej objął mnie w talii.

- No właśnie - szepnął. - Mam. Tylko czemu, zamiast przyjąć go do wiadomości, wolisz doszukiwać się jakichś absurdalnych i pokrętnych wyjaśnień?

Nie wiem – pomyślałam. Wiem – sprostowałam uczciwie. Bo jest właśnie tak, jak mówi. I jak mówiła Grażynka... Odkrywam w sobie uczucia, jakich nigdy dotąd nie zaznałam...

– Jedźmy już – powiedziałam głośno. – Robi się chłodno. Bez słowa wsiedliśmy do samochodu i bez słowa dojechaliśmy do wsi, nazwanej nie wiadomo czemu Podłą Górą.

To znaczy z pewnością było wiadomo, ale nie mnie i nie w tej chwili.

Augusta Dziejkę zastaliśmy w trakcie przedwieczornego obrządku. Akurat maszerował z dwoma wiadrami w stronę obory. Na nasz widok najpierw niepomiernie się zdziwił, by po chwili zupełnie bezzasadnie się uradować.

– A! Państwo z Krakowa! – rzucił się ku nam, stawiając wiadra na ziemi. – Pewnie skarb odnaleźli! Władzia, a pójdz tu do nas! Władzia!!!!

Wobec braku odzewu małżonki uśmiechnął się przepaszająco.

– Ot, i masz ci ją! Pewnie *M jak miłość* ogląda... Ale zaraz przywołam kobietę do porządku, aby coś na stół uszykowała.

– Nie, niech się pan nie fatyguje – powstrzymałam go w pół kroku. – Nie znaleźliśmy skarbu. Ale jak znajdziemy, na pewno damy znać – dorzuciłam szybko, widząc gwałtowną przemianę w jego fizjonomii.

– Jesteśmy właśnie w trakcie poszukiwań – dodał Rafał.

– Brakuje nam jednak paru informacji, dlatego pozwoliliśmy sobie odwiedzić państwa...

– Władzia!!! – wrzasnął znowu pan August. – A chodź mi tu prędko! Limoniady by ty chociaż gościom wyniosła – sarknął z wyrzutem pod adresem wyłaniającej się z domu kobiety.

– Nie, nie trzeba – zaoponowałam kategorycznie. – Usiądźmy może na ławeczce, wieczór taki pogodny...

Zapatrzyłam się w czyste, bezchmurne niebo, upstrzone nielicznymi jeszcze gwiazdami. Głos Rafała dobiegał do mnie jakby z oddali.

– Właśnie, tu, na ławce będzie w sam raz. Chcielibyśmy, wie pan, dowiedzieć się czegoś o tej służącej, która uciekła ze skarbem.

Otrzeźwiona gwałtownie spojrzałam na niego z podziwem, gdyż mnie oba te wątki jakoś się nie skleiły. Pan Dziejko usiadł na podejrzanej kondycji drewnianym siedzisku, robiąc miejsce Rafałowi, ja umościłam się obok, a jego żona, Władysława, zawisała na samym skraju.

- Jak tylko o tym wspomnę, to mnie krew, panie, zalewa! Tak nas podstępnie okraść! Obrabować uczciwych ludzi! - zaczął Dziejko od wylewania żalów. - Niby cicha taka, skromna, pokorna, a jakie to się pażerne i przebiegłe na koniec okazało!

- Nie wie pan, jak się nazywała? - spytałam, jakby od niechcenia.

- Kto, znaczy się? - Dziejko spojrział nieco zbity z tropu najpierw na Rafała, a później na mnie. - Służąca owa czy panina babcia?

- Służąca, rzecz jasna! - odparłam z lekkim zniecierpliwieniem. - Jak się nazywała moja babcia, drogi panie, to my sami wiemy!

- Taaak? - Bo mnie się zdaje, że jeszcze niedawno mieli państwo jakieś wątpliwości... - nawiązał do sprzeczek, jakie miały miejsce pomiędzy nim, mną, Sochowiczem seniorem oraz Bernadką. - Ale ja i w jeden, jakoż i w drugi kwestii pomocnym być mogę... - dorzucił wyniośle.

- Dziękuję uprzejmie - wycedziłam. - Chodzi nam jedynie o nazwisko tej... co uciekła ze skarbem.

Dziejko spojrział na mnie spode łba.

- Ze skarbem toż właśnie paniusi szanownej babcia nieboszczka nawiąła! Sługa go zrabowała tylko. Trusiowa jej było.

- Trusiowa... - szepnęłam, trącając dyskretnie Rafała. - Ale jak to, tak, zwyczajnie w biały dzień pańskiego przodka obrabowała? Przemocą czy jak?

- Gdzie tam w biały! I nie przemocą, tylko podstępem, mówię! - warknęła Dziejko z wyraźną złością. - Bo to, paniusiu szanowna, było tak: ojciec rodzonej matki mojej, znaczy się, dziad mój, zaniemógł na nogi. Gangrena, mówili, wdała się. One akurat, dziadkowie moi, w Soliszce zasiedlili się, a my tu, w Podłej Górze. Sporo nas w domu było, tak i rozumiecie państwo, jak okazja nadarzyła się, co by taką kupą na jednej gospodarce nie siedzieć, no to my poszli w swoje strone, oni w swoje... Ale kiedy babce pomarło się, dziadek sam ani rusz poradzić nie mógł, tak i gosposię najął. Kobięcina niczego, bogobojna, prosta, przy tym schludna i dość obrotna nawet była. Robiła przy dziadku, co się należało, sprzątała, gotowała i nawet cały ten wstydlivy obrządek przy nim sprawowała. Kto by pomyślał, że taka na cztery łapy kuta okaże się, a? Jak tylko dziadkowi pogorszyło się, tak go otumaniała, że całuski skarb jej oddał. Calusieńki!!!

- To pański dziad miał taki wielki skarb? - zdziwił się Rafał.

- O, jeszcze jaki! - zakrzyknął August. - Złoto, dulary, brylanty! Ho, ho! Bogactwo, że normalnemu człowiekowi nawet nie śniło się! Bo taka się jemu, panie, chałupa w udziale przypadła. Ze skarbem ukrytym... - Westchnął z goryczą.

- Ojciec mój, paniusiu, do ostatniego tchnienia odżałować nie mogłem, że to nie my ją wzięli. Ale skąd było wiedzieć? Rudera, panie! Spora, i owszem, ale dach cieknący, piece w ruinie, mebli tyle, co łóżko jedno, szafa i stół z kulawymi stołkami!

- Czemu wobec tego państwo sami się dziadkiem nie zajęliście? - zdziwiłam się. - Przecież wtedy na pewno wam oddałby cały ten skarb!

- A bo to śniło się komu, że on na złocie sypia? Sam się nie chwalił, to i pytać nie było o co. Coś tam raz jednego gadał, żeby go do siebie, do Podłej Góry wziąć, a on się nam bogato wywdzięczy, ale kto by tam słuchał! Czasem tylko się zastanawiałem, czym on tej słudze swojej płaci, ale koniec końców do niczego nie doszli. A tu masz, jak raz baba furmanką z jednym takim przyjeżdża i woła, że z dziadkiem źle, że niby pożegnać wypadałoby się. Tatkowi jakoś nie po drodze było, matula także nieczasowa kobieta, bo to, rozumie pani, gadziny doglądać trzeba, pole obrabiać... Dość, że mnie, wyrostka małoletniego, posłano. A on tylko jakby na to czekał, wyrzeszczał, że wielki majątek posiada, który dla krewnych swoich oddać miał, ale skoro obca kobieta przez te wszystkie lata obrządek przy nim sprawiała, jej co do grosza daruje. I pomarł! Przyjechał ja z płaczem do domu i mówię, co i jak. Tatko żadną siłą wiary dać w moje słowa nie chciał, ale w jakiś czas potem my się dowiedzieli, że dziadowa sługa kaplicę w Soliszce buduje. Tak i pojechalim o swoje upomnieć się, ale ona, złodziejka jedna, oszustka parchata, ani gadać z nami nie chciała! Podobno że drugie pół skarbu przyjaciółce, nieboszczce waszej, znaczy się, oddała. I szlus! Słyszał to kto podobne rzeczy? - zbulwersował się Dziejko. - Żeby taki kawał grosza, ot, tak, bez dania racji komu obcemu oddawać? I tak to nas, prawowitych spadkobierców, z majątku wyzuto... A dalej, sam pan wiesz. Jak się dowiedzieliśmy o pogrzebie nieboszczki, nadzieja zaświtała na odebranie choćby kawałka majątności naszej, tak i my z żoną Władysławą do Krakowa wyruszyli...

Dziejko umilkł i zasępił się na twarzy, z miną skrzywdzonego jagnięcia. Spojrzeliśmy po sobie z Rafałem i jak na komendę oboje wstaliśmy z ławki.

- No cóż, wobec tego my się już będziemy żegnać. - Rafał wyciągnął rękę do Augusta, żonę jego zaś Władysławę szarmancko cmoknął w rękę.

- Ale jakby co, tego, panie, to będziecie o nas, sierotach pokrzywdzonych, pamiętać?

- Oczywiście, będziemy - odparłam, widząc, iż Rafał nie kwapi się do odpowiedzi.

Doszliśmy do samochodu w milczeniu, przetrawiając w sobie, każde na swój sposób, zasłyszane dzisiaj rewelacje.

- Dziwnyyyyy jest ten świaaaaaat! - zaintonował Rafał całkiem niezłym głosem, sadowiąc się za kierownicą.

- Ano, dziwny! I im dalej w las, tym więcej drzew - powtórzyłam zasłyszane kiedyś od niego samego porzekadło.

- Oj, tak - przyznał. - I w dodatku żadnej prostej ścieżki. A swoją drogą, dość... dwoista była ta nasza Zajączkowska.

- Ja bym powiedziała, że nawet troista! Z jednej strony dama i jędza, która własnego chłopca zdręczyła na amen, z drugiej poczciwa babina i oddana sługa niedołęznego, obcego faceta, z trzeciej zaś, według Dziejki, podstępna oszustka i złodziejka.

- Według Dziejki! - zachnął się Rafał. - Przyznam, że zawsze zdumiewał mnie ten rodzaj mentalności.

- A mnie chyba... nie zdumiewał... To co teraz? Do Soliszki? - spytałam bez przekonania, z uwagi na porę, jaka całkiem niespodziewanie nastąpiła.

- Nie, moja droga. Teraz znajdziemy sobie jakiś hotel i porządnie się wyśpimy. Okej?

W tym momencie uświadomiłam sobie, że on siedzi już za kółkiem niemal całą dobę. - Ależ ze mnie egoistyczna jednostka - skrytykowałam się w duchu. Egoistyczna i samolubna...

- Okej - zgodziłam się głośno, czym wywołałam u Rafała grymas lekkiego zdziwienia.

•

Jeszcze przed dwudziestą drugą zdołaliśmy dotrzeć do Zielonej Góry, do tego samego hotelu, w którym tak nieoczekiwanie wpadłam onegdaj na

Rafała. Nasze pokoje, mimo że jak najbardziej oddzielne, sąsiadowały ze sobą przez ścianę.

- Ależ ty musisz być zmęczony! - zasugerowałam, by nie kusić losu.
- Należy ci się porządna dawka snu!

- Nie jest tak źle - roześmiał się Rafał. - A podsumowanie zebranego materiału? Analiza i synteza? Szkic sytuacyjny? Plan działania na jutro? Osobiście proponuję krótkie merytoryczne zebranie przy lampce szampana. U mnie czy u ciebie?

- Serio? - spytałam, nie wiedząc, jak wyłgać się od tej propozycji.

- Bardzo serio. Trzeba ustalić, co już wiemy, co się potwierdziło, co możemy sobie darować i w oparciu o całokształt sprecyzować, czego teraz szukamy...

Wiedziałam, że Rafał w pewnym sensie robi mnie w bambuko i że owo spotkanie jest raczej pretekstem niż celem samym w sobie, uznałam jednak, że warto trochę pogadać na gorąco. Poprzysięgłam sobie równocześnie, że nie dam się sprowadzić na manowce żadnych innych tematów, a w razie czego zawsze mogę wyjść.

- U ciebie - zdecydowałam. - Rozpakuję się tylko, odrobinę odświeżę i zaraz jestem!

- Wporządku. Wobec tego ja zrobię to samo i zamówię bąbelki. Jesteś głodna?

- Nie, co ty! Jeszcze mi całkiem nie doszło do żołądka to, czym napchała nas Bernadka!

- I za to cię lubię - roześmiał się Rafał.

Za co? Że mało jem? - dedukowałam, biorąc szybki prysznic. Może i tak... Może on lubi niedożywione kobiety, anorektyczki, bulimiczki, bulimiczkiczki... Jako psychoterapeuta ma prawo do tego rodzaju skrzywienia... W ostateczności uznałam, że przy okazji go o to zapytam.

Rafał, jak to facet, uwinął się widać z toaletą zdecydowanie szybciej, gdyż oprócz wyświeżonego oblicza zaprezentował się również jako dobry organizator. Na małym stoliku stała bowiem butla szampana oraz multum rozmaitych przekąsek.

- I jak? - zapytał radośnie.

- Względem czego? - Zawahałam się, nie wiedząc, czego oczekuje: pochwał na swój temat czy zachwyty nad obfitością stołu.

- No, ogólnie.

- Ogólnie raczej ujdzie - orzekłam ostrożnie, co przygasiło nieco promienną radość na jego obliczu.

- Nie lubisz szampana? Czy owoców morza?

- Lubię...

- Oryginalny, francuski. - Podstawił mi flachę pod nos.

- Snob - zaszemrałam pod nosem. - A ty lubisz niedożywione, czy tak?

- Co? Krewetki? - Rafał rozejrzał się dookoła. - Nie, wolę raczej większe...

- Kobiety!!!

- A, nie, to raczej mniejsze. - Przyjrzał mi się dziwnie.

- Dlaczego?

- No tak, czyli zgadłam! Skrzywienie zawodowe! - zawołałam z satysfakcją.

- Czy mogłabyś mi... powiedzieć... o czym mówisz? - spytał Rafał, mocując się z korkiem.

- O twoich gustach i o twojej pracy. - Rozparłam się beztrosko w fotelu. - A w zasadzie o twoich gustach ukształtowanych przez pracę.

- No co ty?! - Zastygł nagle z butelką w ręce. - Ty myślisz, że podobają mi się niedożywione kobiety, gdyż spotykam takie z racji swojej pracy? - zebrał zgrabnie w kupę moje sugestie i uformował je w równie zgrabne pytanie.

- Aha.

- A na jakiej podstawie doszłaś do takiego wniosku, jeśli można spytać?

- Bo powiedziałam, że nie jestem głodna. A ty mi na to, że za to mnie lubisz.

- Jezu! - Roześmiał się Rafał całą pierśią. - Chodziło mi o sposób, w jaki to powiedziałaś. Pamiętam, że kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, oniemiałem z wrażenia... Ale kiedy po raz pierwszy cię usłyszałem, oniemiałem jeszcze bardziej! Twój sposób mówienia, komentowania rzeczywistości, opisywania zdarzeń był tak oryginalny i zabawny, a przy tym jasny i działający na wyobraźnię, że dosłownie widziałem każde wypowiedziane przez ciebie słowo! I to nieodmiennie mnie w tobie fascynuje. Za to właśnie cię lubię, a ko...

- Zamknij się, dobrze? - poprosiłam, może nieco zbyt głośno.

- A koch...

- Dość!!!

- A kocham za całokształt - dokończył bez mrugnięcia okiem.

- Idę sobie! - zagroziłam, ale on złapał mnie za rękę.

- Jesteś moją pierwszą miłością, niegdyś może niedojrzałą i trochę naiwną, która weszła ze mną w dorosłe życie, razem ze mną wzrastała i dojrzewała... I po każdej kolejnej próbie stworzenia mniej lub bardziej stałego związku, kiedy okazywało się, że jakaś tam ona nie jest tobą, a ja przy niej nie jestem sobą, wracałaś do mnie, jak najpiękniejszy sen... Silniejsza, potężniejsza i im bardziej nieosiągalna, tym bardziej upragniona...

- Skończ! Bo naprawdę wyjdę!!! - wrzasnęłam, siląc się na groźną powagę.

- Dobrze, już nie będę, obiecuję - odparł, bezczelnie krzyżując palce.

Na szczęście jednak wypuścił mnie z rąk, sama bowiem nie miałabym już siły, by się z nich uwolnić...

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko usiąść, zrobić adekwatną minę do adekwatnej pozy i zaczekać na tego szampana oraz na rozwinięcie właściwego tematu. Tym razem Rafał wykazał się doskonałym wyczuwaniem chwili.

- A zatem, Zajączkowska i ta służąca od skarbu to jedna i ta sama osoba - zaczął, podając mi lampkę musującego trunku.

- To oczywiście! - prychnęłam, żeby mu się nie wydawało, że sam odkrył tę Amerykę.

- No tak. Tylko gdzie w tym wszystkim twoja babcia? Przyznam, że cały czas chodzi mi po głowie przyjaciółka, której Zajączkowska oddała skarb. Tak zresztą sugerował Dziejko... Mówiłaś, że nikt nie umiał ci powiedzieć, jak się nazywała?

- Zgłupiałeś?! - oburzyłam się szczerze. - Ona była jakąś flądram ostatniej wody, uwiodła młodzika, skarb łyknęła jak swój, a służbę umęczyła na śmierć! Poza tym wiadomo, jak miała na imię: Kler! I została spalona. Dawno już jej nie ma.

- No właśnie, a to jej imię? I twoje imię? Zbieg okoliczności?

- Pewnie tak. - Westchnęłam. - Już prędzej bym uwierzyła, że babcia była tą Zajączkowską, ale przecież nie mogła umrzeć dwa razy, nie?

- Hej! To może być to! - zapalił się Rafał. - A może Dziejki tak ją przyduszali, że sfingowała swój zgon i rzeczywiście zwiłała?

- A Ernest? A szpital w Ciborzu? No, chyba że ukryła się przed Dziejkami w psychiatryku? Nie sądzę, żeby w tamtych czasach skórka była warta wyprawki...

- No tak - skapitulował pod ciężarem własnych, jakby nie było, odkryć. - Masz rację. Ale tak czy inaczej, coś musi być na rzeczy, w końcu chyba nieprzypadkowo ktoś powiadomił tych wszystkich ludzi o pogrzebie Alicji... I w dodatku tak się składa, że ich historyjki całkiem zgrabnie się pokrywają.

- Piechotko! To sprawka tego huncwota, jej starego kumpla! - zawrzałam nerwowo. - On chyba dawał mi nawet coś takiego do zrozumienia, ale ja wówczas skupiłam się na czymś zupełnie innym... Jestem pewna, że to on ich tu zwlókł. Tylko po co?

- No przecież sama mówiłaś, że babcia czegoś tam od ciebie chciała - rzucił Rafał moim własnym argumentem.

- Bo to jest chyba jedyne realne wytłumaczenie całej tej kołomyi!

- Na razie wygląda na to, że tak. - Rafał zamyślił się. - Kto to jest Piechotko?

- Taki jeden. Kumpel babci, jak mówię. A co?

- Nie dałoby się pociągnąć go trochę za język?

- Tu nic nie wskóramy, niestety. On pary z gęby nie puści, jeśli mu babcia zakazała. Prędzej by sobie ozór odgryzł, niż pisnął słówko. Taki typ. A poza tym ja się nie zniżę do żebrania u tego zwariowanego starszka, szczególnie że ma pewnie teraz ze mnie niezły ubaw!

- Trudno, jakiś tam wątek w końcu mamy... Trochę niejasny i całkiem bez kontekstu, ale za to dość wiarygodny. Wobec tego jutro ruszamy do Soliszki! Tam popytamy bardziej szczegółowo o frau Kler. Może z kolei od niej posnuje się jakaś nitka, której można będzie się uchwycić...

- Jakieś krótkie te wnioski - stwierdziłam ironicznie. - I dość mizerny plan działania jak na tak poważną konferencję.

- Cóż zrobić? Jest, jak jest - odparł, wzdychając z udawaną rozpaczą. - Tak czy inaczej, szampana należy wypić, żeby nie stracił na wartości. Daj lampkę!

- Jeśli obalimy tę flaszkę we dwoje, to ja marnie widzę swój jutrzejszy los! - zaprotestowałam, jednak niezbyt kategorycznie.

- Bez obawy! Szampan szybko uderza do głowy, ale i szybko wietrzeje.

- Jeśli o mnie chodzi, to niekoniecznie. Mam chyba bardzo szczelny organizm...

- Masz... Bardzo... eee... estetyczny organizm - wycedził Rafał ostrożnie, by nie spłoszyć mnie znowu jakimś obcesowym komplemtem.

- Od środka? - zdziwiłam się, gdyż określenie „organizm” kojarzyło mi się raczej z wnętrzem ludzkiej powłoki.

- Nie, od wierzchu.

- To znaczy, że co? Że co ja mam na wierzchu? Wątrobę? Nerkę? A może widać mi przełyk?

- Skądże! - roześmiał się Rafał. - Na wierzchu masz... całą swoją urodę.

- Bzdura! - wykrzyknęłam oburzona, po czym uświadomiłam sobie, że nie miał na myśli tego, co mnie akurat przyszło do głowy, i dla odmiany wybuchnęłam śmiechem.

Nagle zrobiła się całkiem przyjemna atmosfera, Rafał zaczął opowiadać rozmaite historyjki ze swojego życia, śmiał się sam z siebie tym swoim urokliwym śmiechem i przy lada okazji to łapał mnie za rękę, to czochrał po włosach, to znów przytulał mocno. Udawałam, że w ferworze rozmowy wcale tych gestów nie zauważam, bo szczerze mówiąc, było mi z nimi całkiem dobrze... To ten cholerny szampan - przemknęło mi przez oszołomioną głowę. - Nie powinnam była go pić!

A kiedy wstałam, by sięgnąć po stojącą na uboczu tackę z oliwkami, on również wstał, położył mi dłonie na biodrach i niebezpiecznie głęboko zajrzał w oczy. Miałam świadomość, że powinnam się teraz odsunąć, strząsnąć z siebie te jego dłonie, ale jakby wbrew sobie, a jednocześnie jak najbardziej w zgodzie z sobą, stałam bezwolnie w oczekiwaniu nieuchronnego... Dreszcz pierwszego pocałunku - wytłumaczyłam sobie ów stan wewnętrznego rozdygotania. Rafał wolno przybliżał swoją twarz, a moje rozdygotanie osiągnęło jakąś dziwną formę, skupioną w dodatku w okolicach biodra.

- Komórka! - zorientowałam się, gwałtownie przywołana do rzeczywistości.

Teraz już bez trudu uwolniłam się spod hipnotycznego wpływu Rafała i wydłubałam telefon z kieszeni spodni. Wzięłam go ze sobą na wypadek, gdyby dzwoniła Grażynka, ale żeby nie psuł nam konferencji, wyłączyłam dzwonek, zostawiając tylko wibrację. To nie była jednak Grażynka. To był SMS od Piotrka.

„Klarcu moja jedyna - pisał - mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku i wizyta u kuzynki udana. Kocham, tęsknię, pa”.

- I dzięki ci Boże! - jęknęłam, odczytując tę wiadomość jako znak z nieba.

Jeszcze trochę, a zdradziłabym męża! - pomyślałam z niesmakiem. - Byłego, co prawda, ale zaślubionego przed ołtarzem, i który, w przeciwieństwie do mnie, nadal jest mi wierny i wciąż mnie kocha!

- Co się stało? - zaniepokoił się Rafał.

- Nic. Na szczęście nic się nie stało! Idę do siebie, dobranoc!

- Ale... Klara! O co chodzi? Jeśli cię uraziłem, to wybaczone, ale ja... ja...

- Nie uraziłeś mnie. - Uśmiechnęłam się blado. - Jestem już zmęczona, a ty pewnie jeszcze bardziej. No to... do jutra!

Obróciłam się na pięcie i zostawiając Rafała w lekkim osłupieniu, udałam się do siebie.

9. Frau Kler

Poczawszy od dość późnego śniadania, a potem przez całą drogę do Soliszki nie rozmawialiśmy prawie wcale. Rafał, skonsternowany pewnie moim wczorajszym nagłym zwrotem, nie nagabywał mnie i nie nakłaniał do wymiany zdań na żaden temat. Być może czuł, że ta niewymuszona cisza między nami będzie zdecydowanie mniej męcząca niż wymuszony dialog... A może po prostu wpadł w zadumę, jak ja...

Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby nie ten SMS od Piotrka. Czy rozmowa też by nam się nie kleiła, a może wręcz przeciwnie? Wszystko nabrałoby innego sensu, smaku, takiego właśnie, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam? Zastanawiałam się również nad tym, dlaczego mając dziś całkowicie czyste sumienie, nie odczuwam z tego powodu jakiegoś szczególnego komfortu? Dlaczego? Być może zbyt szybko doszłam do wniosku, że już się nie okłamuję. Że wyzbyłam się towarzyszącej mi od lat bezwzględnej, często jednostronnej lojalności, bezkrytycznego poczucia obowiązku oraz szampowego pojmowania słowa „przyzwoitość”. I chyba zbyt szybko przestałam zapierać się sama przed sobą, że facet, który teraz siedzi obok mnie, nie budzi we mnie żadnych emocji... Nie do końca wy parte, hołubione przez wiele lat wartości stanowiły przykry dysonans wobec tego, co się powoli we mnie kłuło... Było to zdecydowanie przykre uczucie, wciskające mnie w coraz bardziej mikrą szczelinę pomiędzy pragnieniem a powinnością, wszystko jedno: dobrze czy źle pojmowaną, jednakże uwierającą boleśnie. Bo Piotrek się starał. Starał się jak nigdy. Rafał też się starał, ale Piotrek miał wobec mnie jakby... prawo pierwokupu! Kompletnie nie potrafiłam teraz uporządkować własnych uczuć, ba! Zupełnie nie umiałam się w nich rozeznaczyć! Wszakże to, co czułam do Rafała, było zupełnie innego rodzaju niż to, co czułam względem Piotrka. No właśnie...

- Przeżułam jeszcze raz, powoli, ostatnią myśl. Moje uczucia do Rafała oraz moje uczucia względem Piotrka... I w tym chyba tkwiło sedno

sprawy. Bo z jednej strony, tak jak radziła Grażynka, coraz bardziej byłam skłonna uszarpać coś jeszcze z życia dla siebie, rzucić się w wir tego, co nieznane i niepewne, ale tak... do końca! Całą sobą! I może nawet odcierpieć później uczciwie, ale przeżyć „to coś”. Z drugiej zaś strony mogłam nie narażać się na to nieznane i niepewne, dokończyć swój żywot u boku poślubionego niegdyś faceta, co prawda bez uniesień, ale i bez ewentualnych uczuciowych dramatów... Praktycznie bilans wychodził mi jakby na zero: na jednej szali brak ewentualnego nieszczęścia, na drugiej brak ewentualnego szczęścia...

Spojrzałam kątem oka na Rafała. Prowadził samochód spokojnie, w nienaturalnym skupieniu. Czułam, że moje serce powoli owija chłodny kokon, i doskonale rozpoznałam to uczucie... Niegdyś z trudem wypracowany zawiły mechanizm, później zaś odruch następujący całkowicie samoistnie we właściwych momentach. To znaczy w chwilach zagrożenia: rozpaczą, żalem, poczuciem krzywdy i beznadziei. Widać mój wewnętrzny czujnik uznał to, co właśnie zaczynało się we mnie rodzić, za niebezpieczne dla mojej psyche... Nie starałam się temu przeciwdziałać, wiedziałam, że teraz łatwiej będzie mi podjąć właściwą decyzję.

- Jesteśmy - oznajmił krótko Rafał. - A teraz dokąd?

- Skręć... w prawo - wyrwana z zamyślenia, w pierwszym odruchu uznałam, że trzeba znowu zajechać pod sklep.

Rafał bez słowa wypełnił moją dyspozycję, tym razem jednak oba murki przy sklepowych schodach świeciły pustkami. Moich znajomków z poprzedniej eskapady nie było ani na zewnątrz, ani wewnątrz.

- Wobec tego... Może pojedźmy w tamtą stronę? - wskazałam przed siebie, gramoląc się na powrót do samochodu.

- Wobec czego?

- Ostatnio stąd zaczęłam, więc pomyślałam, że spotkam tu tych samych bywalców - odparłam, nie patrząc mu w oczy.

- Ale skoro ich nie ma, może od razu pojedźmy do tej willi? To znaczy, do tego, co z niej zostało... Przypuszczam, że tam też będzie kogo podpytać.

- Okej - zgodził się Rafał. - Prosto?

- Na razie prosto. A tak w ogóle, jedź trasą autobusu. To było gdzieś po drodze. Niedaleko.

W miarę, jak teren robił się coraz bardziej rozpoznawalny, odczuwałam coraz większy ucisk w żołądku i wyższych partiach. Kiedy dojrzałam z daleka czerwony dach, wrażenia opanowały mnie do tego stopnia, że nie byłam w stanie wydukać, aby Rafał zatrzymał samochód.

- Hej... - szepnęłam tylko, a on, najwidoczniej czytając z mojej twarzy, zawrócił wolno i podjechał pod kamiennie-metalową bramę.

- Dobrze się czujesz? - spytał, pomagając mi wysiąść z samochodu.

- Tak sobie... Nieszczególnie...

- Klaro! - Rafał ujął w dłonie moją twarz i dopiero wtedy spostrzegłam, że nie jest ani obrażony, ani zawstydzony, tylko po prostu cholernie smutny. - Wierz mi lub nie, ale doskonale rozumiem twój stan ducha. - Mówił wolno i cicho. - Przepraszam. Nie powinienem być... taki obcesowy. Wybacz. Postąpiłem jak... gówniarz!

- Ja nie mam żadnego stanu ducha. I nie masz czego rozumieć ani za co przepraszać - wyartykułowałam z trudem. - To nie ma najmniejszego znaczenia...

- Klaro?!?! - przytulił mnie mocno, a ja poczułam, że zbiera mi się na płacz. Wyglądało na to, że całkiem już straciłam nad sobą kontrolę. Intensywność ostatnich wydarzeń, bezład uczuć i natłok myśli wywołały we mnie poczucie całkowitej bezradności i nieznanego dotąd rodzaju lęku. I wszystko to razem wzięte wydało mi się jakieś głupie, nierealne... Śmierć babci, Bernadka, Dziejkowie, Rafał i ja oraz to dziwne miejsce... Jakby nie było na świecie lepszych, a przynajmniej bardziej znajomych miejsc, w których mogłoby się człowiekowi przydarzyć coś równie idiotycznego...

- Klaro - powtórzył po dłuższej chwili Rafał. - Naprawdę, nie mam pojęcia, co mógłbym ci teraz powiedzieć. Nie pozwalasz mi mówić o moich uczuciach, nie pozwalasz mówić o sobie ani o mnie, ani o nas... Nie pozwalasz patrzeć sobie w oczy... A ja... - przytulił mnie jeszcze mocniej - ...Gdyby dało się poznać cudze uczucia, jak da się wyczuć gorączkę albo puls, nie musiałbym mówić ani słowa!

Jak to dobrze, że jednak nie można! - pomyślałam. - Bo gdyby on tylko wiedział... Boże mój, gdyby on wiedział!

- A państwo, za przeproszeniem, do kogo? - rozległ się nagle tuż za plecami Rafała lekko schrypnięty kobiecy głos.

- Chcielibyśmy obejrzeć ten dom, jeśli można - zareagował szybko, rozluźniając uścisk na mojej talii.
- Ten? Ten dom? - zdziwiła się babina. - Ale tam nikt nie zachodzi! Bo to państwo nie wiecie, że w nim straszy? - dodała ciszej.
- To znaczy, że tam w ogóle nikt nie wchodzi? - spytałam, otrząsając się powoli z transu. - Od dawna?
- A w ogóle, nie chodzi! Od nigdy. Może z raz czy dwa desperaty jakiegoś odważyli się po wódeczce, ale więcej nikt.
- I co mówili? Te desperaty?
- Nic nie mówili, bo już przed północo wzięli nogi za pas. Widać tak tam straszno...
- No dobrze, ale kto tam straszy? I dlaczego? - przejął pałeczkę Rafał.
- Krowę, panie, na pastwisko prowadzę! - Kobieta potrząsnęła trzymanym w ręce łańcuchem, który, jak się teraz okazało, połączony był drugim końcem ze stojącym opodal łaciatym monstrum.
- Aha... - stropił się Rafał, nie mogąc widocznie doszukać się w tym fakcie interesującego nas wątku. - To znaczy... Nie ma pani czasu?
- Eeee, czas to mam! Krowę przecie prowadzę, a ona zegarka, panie, nie ma! - zarechotała ucieszenie. - A tam - wskazała na willę - jedna taka grasuje! Ze trzydzieści parę lat będzie! Albo i więcej! Pokutuje, zna czy się, czy coś. Za grzechy, znaczy.
- Frau Kler?
- Nie wypowiada pani tego imienia!!! - wrzasnęła baba i z lękiem spojrziała za siebie.
- Słyszałam, że ta frau młodzianka jakiegoś uwiodła i służącą zabiła... - wyrwało mi się.
- Młodzianka?! - oburzyła się kobieta skrzekliwie. - Dziecinę niewinną, cherubka takiego, co żywot mógłby mieć, że ho, ho! Ojcie bogate, do szkół jedynaka przeznaczyły, ale ta, jak uczepiła się jego, całkiem mu we łbie pomieszała! Żenić z nią nie chciał się!
- I z tego powodu służącą zabiła? - spytałam, chcąc skonfrontować poprzednie wiadomości.
- A jak! Ona nie lubiała, jak jej kto moralnością oczy wycierał. Ludzie co prawda gadały, ale tak, jeden drugiemu i nie za głośno, żeby się

jej na pazury nie nadzieć. Jedna tylko skromna sługa odwagę miała, tak i za odwagę zginęła...

- Wie pani - rzekł z wahaniem Rafał. - Jedni mówią, że sługa, drudzy, że przyjaciółka...

- Bo przyjaciółka!!! Ale jako sługa! - uniosła się kobieta, parszkając na boki. - Toż ona ją tu sprowadziła z daleka, pieniędzy na ten dom ofiarowała, sprzętała, gotowała, na każdą posługę była! A ta, jak tylko w piórka porosła, dawaj pomiatać staruszką jak barachłem ostatnim! I tak na koniec nią pomiotła, że się bez ducha ostała! A tam, o! - machnęła ręką w przeciwną stronę drogi - nieboraczki chałupina stoi.

- To, co sterczy z tych krzaków? - Spojrzałam w kierunku czterech kamiennych słupów i tkwiących pomiędzy nimi resztek drewnianych bali.

- To.

- Ale, widzi pani, ja nie rozumiem jednego - wtrącił Rafał.

- Dlaczego ta kobieta, skoro tyle miała pieniędzy, żeby dom wybudować, nie wybudowała go dla siebie?

- Bo to panie, święta niewiasta była! Cicha, skromna, na grosz nie-pazerna. Najsampierw kaplicę pobudowała, a potem przyjaciółkę, która w nędze popadła, sprowadziła, tak ją wywianowawszy! Tfu! - Babina splunęła siarczyście, na co trzymana na łańcuchu krowa zaczęła niecierpliwie płaszać.

- W kościele tablice mogo obejrzeć, jak chco.

- Jaką... tablicę? - spytałam, nieco zbity z tropu.

- Ano, tako. Pamiątkowo, że kaplice ufundowała. Wmurowali, będzie temu ze cztery lata. Już, już, Stukrotka! Zaraz pójdziemy! - uspokoiła zwierzę i splunęła powtórnie. - A jak państwo chco, to niech zwiedzajo, tu nikt jeich nie zatrzyma. Ale nerwy trzeba mocne mieć!

- W takim razie jest szansa, że wszystko w tym domu zostało na swoim miejscu - powiedziałam, jak tylko właścicielka Stukrotki oddaliła się od nas drobnym truchtem.

- Chodź! - Rafał podał mi rękę, napierając jednocześnie ramieniem na zardzewiałą bramę. - Zobaczymy!

Podążałam wolno obok niego, omijając na wprost suche pokrzywy, rozplenione dziko, niegdyś ozdobne krzewy i swobodnie panoszące się tu zielsko. Z urokliwego obrazka uwiecznionego na zdjęciu, które znalazła

złam w kufrze babci, nie pozostało nawet śladu. Przeciwnie: baśniowa atmosfera tego zakątka zmieniła się w paskudne, emanujące zewsząd mroczne fluidy... Weszliśmy na schody prowadzące na taras, wciąż jeszcze otoczony kamiennymi kolumnkami, po czym bez najmniejszego trudu dostaliśmy się do wewnątrz. Zarówno drzwi wejściowe, jak i wewnątrz obszernego holu nosiły wyraźne ślady szalejącego tu niegdyś pożaru. Ogień nie strawił jednak wszystkiego ze szczętem: im wyżej, tym mniejsze były wyrządzone przez niego szkody. Taki stan rzeczy mógł sugerować, że rzeczywiście ogień został podłożony przez kogoś z wewnątrz, ale ugaszony w miarę szybko, nie rozprzestrzenił się z jednakową siłą na cały dom.

Puste otwory drzwi z framugami prowadziły do salonu, stamtąd zaś do kuchni i przylegającej do niej niewielkiej spiżarni. Po przeciwnej stronie holu znajdowały się jeszcze trzy pomieszczenia, z czego jedno z całą pewnością było łazienką, dwa pozostałe zaś mogły być pokojami dziennymi, garderobami bądź jednym i drugim. Tu zniszczenia były największe, wskutek czego trudno było rozeznąć, co mieściło się w nich ongiś. Obeszliśmy w skupieniu calutki parter, po czym Rafał skierował się w stronę prowadzących na górę, na szczęście nie drewnianych schodów. Na moje oko mogło to być lastriko, granit albo nawet... marmur. By lepiej poznać gust i zasobność byłej właścicielki, wystarczyło się schylić i przetrzeć zalegającą na nich warstwę sadzy i kurzu... Nie miałam jednak na to ochoty. I tak czułam się jak intruz, wdzierający się ukradkiem na cudzy teren, by pod nieobecność gospodarza napaść swoją niezdrową ciekawością całą intymnością jego życia...

Na piętrze znajdowały się trzy spore pokoje, prawie nietknięte niszczycielskim żywiołem. Jeden z nich szczególnie przykuł moją uwagę. Była to niewątpliwie damska sypialnia, o czym świadczyła całkiem nieźle zachowana stylowa toaletka z wielkim lustrem, a właściwie jego bogato rzeźbioną ramą. Centralny punkt pokoju stanowiło ogromne łóżko z dwiema nocnymi szafkami po bokach, co mogło sugerować, iż jego właścicielka nie spędzała tu samotnych nocy... Cały dom i umeblowanie, jakie się w nim zachowało, były dość nietypowe jak na przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Prawdziwe, albo tylko stylizowane, antyki zdradzały tęsknotę za solidnym, przedwojennym luksusem...

Podeszłam do uchylonej szafy i zajrzałam do środka. Wewnątrz wisiała jedna suknia i długie, mocno nadgryzione zębem czasu futro ze

srebrnych lisów. Tylko tyle.

- Ktoś tu chyba jednak szabrował - szepnęłam. - Niemożliwe, żeby ta frau miała tylko tyle garderoby.

- Aha - odparł Rafał z wahaniem. - Spójrz! - Otwierał kolejno liczne szuflady toaletki. - Żadnych kosztowności, kosmetyków, niczego... Albo frau straszy tutejszych bez większego przekonania, albo...

- Albo?

- Sama to wszystko zabrała!

- No co ty, jak? Przecież spłonęła tutaj żywcem!

Rafał zamyślił się głęboko i zaczął sukcesywnie przeszukiwać każdy mebel, spacerując od pomieszczenia do pomieszczenia.

- Ej? O co chodzi? - spytałam, nie mogąc się doczekać żadnej konkluzji.

- Nie wiem... - westchnął po chwili. - Mam jednak jakieś mgliste wrażenie, że frau tutaj nie zginęła. Nie chciałbym wyciągać zbyt pochopnych wniosków, ale to jest po prostu... mało prawdopodobne!

- Bo?

- Bo zbyt wiele rzeczy przeciw temu przemawia. Zniszczenia są znacznie mniejsze, niż wygląda to z zewnątrz. Tak naprawdę spłonęły tylko dwa pomieszczenia, te na dole. Być może właśnie od tamtej strony ktoś podłożył ogień.

- Na przykład wrzucając oknem butelkę z benzyną lub coś w tym rodzaju?

- Na przykład.

- Ale gdyby frau oberwała taką butelką, sfajczyłaby się przecież w parę minut!

- I według ciebie tak właśnie było?

- A nie mogło?

- Owszem, mogło, ale gdzie są w takim razie jej szczątki?

- Nie ma! Bo spłonęła... do ostatniego pazura! - rzuciłam cytat, zasłyszany wcześniej od miejscowych.

- No właśnie - przyznał Rafał. - I to jest moja pierwsza wątpliwość. Nie mogło nie pozostać po niej żadnego śladu! To niemożliwe!

- A druga?

- Druga jest podobna do twojej. Za mało tu po niej pamiątek: ciuchów, przedmiotów codziennego użytku, takich tam różnych... babskich

gadżetów.

- Bo rozkradli!

- Jakby mieli rozkraść, to rozkradliby porządnie. Albo zdemolowali. Sama musisz przyznać, że jednak parę całkiem cennych rzeczy zostało. Choćby to futro. Meble. Sprzęty kuchenne i naczynia. Nie byle jakie: porcelana, srebro, kryształy. Pralka, kuchenka elektryczna. Całe wory mąki, cukru i ryżu. W tamtych czasach ograbienie samej spiżarni mogło być bardzo opłacalne. Nie, Klaro. Mnie się zdaje, że frau nie tylko nie zginęła w tym pożarze, ale nawet miała czas, by zupełnie sensownie się spakować! Zauważ, czego tutaj brakuje! Ciuchów, ewentualnych kosztowności i drobiazgów codziennego babskiego użytku. Akurat tyle, ile można zmieścić w niewielkim podręcznym bagażu...

- Albo... w kufrze...

- Albo w kufrze. - Rafał spojrzał na mnie zdziwiony.

- Nie! Nieprawda!!! To jakieś bzdury, mgliste domniemania!!! - wybuchnęłam tak gwałtownie, że Rafał odruchowo cofnął się o krok. - To niemożliwe, Rafał!!! To... to... wszystko twoje mętne domysły!!!

- Ale... Klaro! Co się stało? O co chodzi? - spytał, jak tylko odzyskał głos.

- Bo ona spaliła się na śmierć! Tak jak mówią! Niestety, przykre to, ale nie mogło być inaczej! Ona nie mogła przeżyć tego pożaru!!! Nie mogła uciec!!!

- Dla...czego? - spytał zdumiony.

- Bo gdyby wówczas zginęła, to... to nie mogłaby być moją babcią!!! - wyłkałam, rzucając mu się na pierś. - Ona... nie była... moją babcią! Rozumiesz?!!!

- Boże mój, ależ ja... nie powiedziałem, że nią była! Masz rację, to tylko niejasne domniemania! - Ścierał niezręcznie cieknące mi po policzkach łzy. - Nawet nie zamierzałem sugerować niczego takiego! Hej? O co chodzi?!

Rafał był wyraźnie skonsternowany i nawet jakby przestraszony. Na wszelkie sposoby próbował teraz łagodzić wrażenie swoich słów, plotąc jakieś nieistotne bzdety, które tylko potęgowały moje rozgoryczenie.

- Chodź!!! - Pociągnęłam go za rękaw w stronę sypialni.

- Coś ci pokażę!

Wyłuskałam z kieszeni zdjęcie, które znalazłam przed chwilą na dnie szafy. Nie miałam zamiaru pokazywać go Rafałowi, zostawiając je do późniejszych, samotnych rozważań, ale nagle doszłam do wniosku, że muszę zmierzyć się z tym tu i teraz.

- Spójrz! - przystawiłam sobie do twarzy poźółkły kartonik, przedstawiający dokładnie tę samą kobietę, której podobiznę znalazłam w rzeczach babci. Fotografia była identyczna... Jedną ręką trzymałam portrecik, drugą zaś odgarnęłam do tyłu włosy i zwinęłam na czubku głowy.

- No, spójrz!!! - Wepchnęłam mu w rękę moje znalezisko. Podobieństwo do kobiety ze zdjęcia odkryłam już wcześniej, niejednokrotnie i z uwagą kontemplując tę twarz.

- Przecież... To jesteś ty! - wyjąkał zdumiony Rafał.

- Ja? Nie, to nie ja. To frau Kler, mój panie. Identyczną fotkę mam w domu. Z podpisem. Ta leżała sobie tutaj, w szafie...

Rafał usiadł na zakurzonej haftowanej narzucie na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Usiadłam obok niego.

- Nie masz nad czym dumać - powiedziałam, już całkiem spokojnie. - Ani czym się załamywać. Pomogłeś mi odkryć prawdę. Nie powiem, że nie boli, ale jest, jak jest, i nic tego nie zmieni. Z każdym twoim słowem rosło we mnie takie podejrzenie, a zdjęcie jest już tylko kropką nad „i”. Powinnam cię przeprosić za mój wybuch, ale to była taka... krótka, intensywna, ale i ostatnia walka z samą sobą. Teraz wiem już wszystko.

- Klaro... - Rafał położył głowę na moim ramieniu. - Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Wszystko wie tylko ona... My możemy jedynie nadal snuć przypuszczenia. Jak widzisz, jedna legenda o frau już upadła. Przynajmniej ta o jej śmierci. Za chwilę może się okazać, że to, co na jej temat mówi się dzisiaj, jest jedynie efektem narastającej przez dziesięćki lat ploty...

- Nie, Rafale. Wszystko się zgadza. Babcia... - tutaj zacięłam się na chwilę - babcia naprawdę musiała... zabić tę Trusiową. Nieważne, z zimną krwią, w afekcie czy przez przypadek. Dlatego wyładowała w psychiatryku. Tam poznała Ernesta, on się w niej zakochał, załatwił jej jakoś koniec odsiadki i oboje bryknęli w świat. Nic dziwnego, że Ernest zmienił nazwisko, zerwał kontakt z rodziną i zatarł za sobą wszelkie ślady. To logiczne... I wiesz co? Wtym kontekście logiczna wydaje mi

się nawet ostatnia wola babci. Być może ciążyło jej to przez całe życie? Może nie raz zbierała się, żeby mi o tym opowiedzieć... Ale się w końcu nie zebrała. Widać jednak nie chciała wlec tego ze sobą na tamten świat... Może wydawało się jej, że musi zostawić to komuś... W spadku...

- Przesadzasz - mruknął Rafał. - Wszystko to jakieś takie... zbyt gładkie się nagle zrobiło...

- Nie, nie w afekcie! - ciągnęłam niestrudzenie. - Ona zabiła ją rozmyślnie! Pamiętam! O, tak! Teraz przypominam sobie różne jej powiedzonka i dziwaczne zdarzenia! Alicja nie cierpiała takich świętoszkowatych, steranych życiem kobiecinek! Mawiała o nich: „szmacichy proklatyje”, „babichy kościelne”, „światyje karowy”! A żebraczki i domokrażczynie działały na nią jak płachta na byka! Jak jej jakaś weszła w drogę, babcia potrafiła puścić taką wiązanekę, że hej! Kiedyś, gdy jeszcze wychodziła na miasto, podeszła do nas starsza, okutana w chustę biedota z wyciągniętą dłonią... Ty wiesz, co babcia wtedy zrobiła? - Nagle z niezwykłą jasnością stanęły mi przed oczami rozmaite scenki z przeszłości, wplatając się akuratnie w fabułę mojej hipotezy. - Grzmotnęła ją laską przez plecy! Dasz wiarę? Normalnie, łup babinę między łopatki...

- To wszystko jeszcze nic nie znaczy! - próbował wtrącić się w mój wywód Rafał.

- ...i jeszcze na nią nawrzeszczała: „paszła won, bo jak sobaku ubju!”.

- I co? - skapitulował najwyraźniej.

- Pytałam ją potem, rzecz jasna, dlaczego tak ją potraktowała, a babcia na to, że nie cierpi „proklatych darmojedów” i że póki kto ręce do roboty ma, niech się za robotę bierze, zamiast robić z siebie sierotę bożą i niedorajdę.

- No dobrze. - Rafał wstał i pochylił się nade mną.

- A gdzie w tym wszystkim „niewinny młodzianek”? Sądziś, że Alicja, będąc już po czterdziestce, naprawdę zarwała sobie jakiegoś nieletniego Adonisa?

- Co? - spojrzałam na niego jak malowane ciele, ponieważ ten jeden wątek mi umknął. I w żaden sposób nie współgrał z całością...

- I że dla niego byłaby zdolna do tak strasznej zbrodni?

- Nie... To musi być jeden z elementów, którymi okrasili całość miejscowi - szukałam pośpiesznie wytłumaczenia dla tej kwestii. - Albo... całkiem bezpodstawne posądzenie, oparte na jakichś głupich pozorach, które wieś kupiła jako bulwersującą sensację. I... i... ta święta męczennica mogła ją na przykład zadrećcać, nachodzić, umoralniać, aż... aż babcia nie wytrzymała i ją trzasnęła czymś konkretnym. Oczywiście bez morderczych zamiarów, ale stało się i już! Właśnie! I dlatego miała taką awersję do utrapionych życiem, świątobliwych staruszek!

- Wiesz co? - Rafał usiadł ponownie i objął mnie ramieniem. - Każda z twoich wersji jest w jakimś stopniu prawdopodobna. I im nowsza, tym bardziej. Ale mnie mimo wszystko żadna do końca nie przekonuje. Bo między tymi wszystkimi wersjami są na tyle duże luki, by się mogło okazać, że frau Kler nie miała z twoją babcią nic wspólnego. Albo bardzo niewiele i w dodatku przez przypadek. Nie sądzisz?

- Nie wiem - przyznałam. - Chciałbym, żeby tak było, ale nie wiem przede wszystkim, co mam teraz zrobić.

- Jeśli pytasz mnie o radę, to ja bym na twoim miejscu jeszcze raz szczegółowo przepytiał ojca.

- Przecież byłam już u niego!

- Dobrze. Dobrze, Klaro. - Rafał musnął ustami moje czoło. - Oczywiście, zrobisz, jak będziesz uważała. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie jesteś z tym wszystkim sama.

- Tak. Tak właśnie zrobię - zgodziłam się apatycznie.

- Jak?

- No, tak właśnie. Jak będę uważała...

•

Po powrocie do hotelu rozlokowaliśmy się w moim pokoju przed telewizorem. Rafał znalazł jakiś film i uznał, że w ten sposób najlepiej będzie odciążyć umysł po pełnym różnorodnych emocji dniu. Oczywiście, był to nie do końca prawdziwy powód. Raczej pretekst do wspólnego spędzenia wieczoru, a jednocześnie w towarzystwie swoich i tylko swoich myśli...

Starłam się nie patrzeć na Rafała, by nie sprowokować kolejnej bezsensownej rozmowy. Ale gdy po dłuższej chwili rzuciłam okiem w jego stronę, okazało się, że... zasnął! Mogłam wgapiać się teraz w niego

bezkarnie, lustrując każdy szczegół twarzy, napawać się idealną harmonią spoczywających na kolanach dłoni, policzyć pieprzyki w rozchyleniu koszuli na piersi. W jego śnie nie było niczego z tej wulgarnej intymności, jaką zazwyczaj obserwuje się u śpiących współpasażerów pociągu. Oddychał miarowo, cicho, ledwo dostrzegał nie. Długie ciemne rzęsy rzucały cień na pokryte kilkugodzinnym zarostem policzki. Rafał musiał być po prostu nieziemsko zmęczony – uświadomiłam sobie ten fakt z niejaką przykrością. – Zmęczony wielogodzinną jazdą, historią babci Alicji, w którą uwikłał się z sobie tylko znanych powodów, a wreszcie... mną i moimi skrajnymi zachowaniami. Uświadomiłam sobie również, że przecież on też coś odczuwał, też miotał się wewnątrz, mimo tak doskonale udawanego spokoju. O czym śnił? Chyba o niczym, sadząc z braku jakiegokolwiek mimiki... Patrzyłam teraz na jego dłonie, tak często, przy lada okazji obejmujące mnie w talii, głaszczące po włosach, twarzy... Wpatrywałam się w usta, które wczoraj wieczorem nagle znalazły się raptem o kilka centymetrów od moich, i poczułam gwałtowne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Wiedziałam, co to było. To była... miłość. Nie wiem, jakim cudem udało się Grażynce tak obrazowo opisać wszystkie te objawy, ale odczułam je teraz wyraźnie. Wszystkie naraz... Możliwe, że już za pierwszym razem, kiedy tak nieuzasadnienie wkurzył mnie swoją aparycją, urokiem, elokwencją, czułam już to, co teraz. Ale wypierane skutecznie przez dziwny rodzaj agresji, nie umiało się przebić do mojej świadomości. Dopiero ta nagła, niespodziewana bliskość, nakręcana z dnia na dzień wspólnymi sprawami, powoli wydarła ze mnie całą głębię uczuć. Wiedziałam jednocześnie, że nie możemy być razem. Nie umiałam sobie odpowiedzieć dlaczego, ale to było dla mnie pewne. Jedynym, rysującym mi się mgliście powodem była różnica wieku między nami, niestety, w tę niewłaściwą stronę... Ale od kiedy zaczęliśmy ze sobą przebywać, kiedy nie ujawniły się z tego tytułu jakieś rażące zgrzyty w spojrzeniu na świat, poglądach, temperamencie, dojrzałości życiowej – jakoś przestałam ją dostrzegać. Nie! – westchnęłam ci chutko. Tak czy owak, nic by z nas nie było...

Czułam, że muszę jak najszybciej przerwać tę kontemplację, bo jeszcze trochę, a wpakuję mu się po prostu na kolana, zamknę w ramionach i nie wypuszczę... Już nigdy!

– Kocham cię – szepnęłam niemal bezdźwięcznie. Cudowny, dobry, subtelny i taki... rozumiejący – dodałam w myślach. Wtym momencie

Rafał otworzył oczy i napotkał wlepiony w siebie mój wzrok.

- Hej! - Uśmiechnął się przeproszająco. - Chyba mi się... troszeczkę padło.

- Troszeczkę - przyznałam zmieszana. - Ale nic dziwnego, działasz ostatnio na wysokich obrotach.

- No, nie sam przecież. Trzeba mnie było po prostu stąd przegonić. Ty z pewnością też potrzebujesz snu. - Podniósł się wolno z fotela.

Stanęłam naprzeciw niego jak głupia, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć. Miałam wrażenie, że na mojej twarzy malowały się teraz wszystkie najskrytsze myśli.

- Wobec tego... dobrej nocy! - rzucił, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi.

Jak to dobrze - pomyślałam - że człowiek jednak nie ma dostępu do umysłu drugiego człowieka... Bo... gdyby on wiedział, że stoję tu, ukryta za maską totalnego wyczerpania, a w gruncie rzeczy topię się pod jego spojrzeniem jak wosk... Gdyby wiedział... Nie byłoby już dla nas odwrotu!

10. A jednak prawo pierwokupu

Szósty zmysł Bylca, jaki rozwinął się w nim po mojej wyprowadzce, nieustannie wprawiał mnie w zdumienie. Facet, który przez kilkanaście lat wspólnego pożycia nie potrafił domyślić się absolutnie niczego, a już w szczególności niczego, co dotyczyło mnie, nagle zaczął przejawiać zdolność, graniczącą wręcz z jasnowidzeniem... Czekałam na niego. Tym razem naprawdę chciałam, żeby przyszedł. Toteż, jak tylko zdołałam przepakować zawartość podróźnej torby bezpośrednio do pralki, nie zdziwiłam się specjalnie, dostrzegając go przez okienko w łazience. Piotrek maszerował rażno od strony ogrodu, objuczony obiecująco. Nie zdążyłam zrobić jeszcze zakupów, a to, co było w lodówce przed moim wyjazdem, nie nadawało się już do spożycia. Wychodząc z dawno wypracowanego założenia, że najpierw obowiązki, a później cała reszta, doprowadziłam swój żołądek do stanu głodowych mdłości. Rafał proponował co prawda przystanek w małej przydrożnej knajpce, ale ja się zaparłam. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu, choć tak naprawdę jak najszybciej uwolnić się od jego niezdrowego towarzystwa. Teraz potrzebowałam wyłącznie spokoju i poczucia stabilizacji, czegoś, co kojarzyło mi się z dobrze znanym, choć niekoniecznie idealnie płaskim gruntem pod nogami. Takie poczucie mógł dać mi tylko Piotrek. Znałam go w końcu na wylot i potrafiłam przewidzieć prawie wszystko, co mógł mi w życiu wywinąć. I, co najważniejsze: w każdej sytuacji umiałam sobie z nim poradzić. Tak naprawdę, nie był mi potrzebny w tej chwili żaden facet, jednak obwarowanie się Piotrkiem dawało mi w miarę pewne zabezpieczenie przed zakusami Rafała. I... zakusami na Rafała...

Zbiegłam szybko na dół i otworzyłam drzwi, zanim Piotrek zdążył nacisnąć dzwonek.

- Hej! - zawołałam z połowicznym entuzjazmem. - Mam nadzieję, że masz w tych siatach coś do jedzenia, bo padam z głodu!

- A mam, mam! - ucieszył się Piotrek. - Zdobywczy pakiecik swojszczyzny: kaszaneczka, salcesonik, pasztetowa... Palce lizać!

- To wchodź prędko - zachęciłam z nieco przygaszonym zapalem.

Jak to jest z tym jego nowym zmysłem? - zastanawiałam się w drodze do kuchni. - Zjawia się na zawołanie, jakby czytał w moich myślach, a jednocześnie nie pamięta, że nie cierpię tego rodzaju wiktuałów!

Piotrek pokroił sprawnie przytaskany z sobą „pakiecik swojszczyzny” i rozłożył na talerzykach.

- Nie masz czasem do tego... jakiejs jarzyny? - spytałam z nadzieją. - Sałaty? Pomidorka?

- Klarciu, a po co psuć zielskiem tak doskonały smak? Jest świeży chlebuś, herbatka i to wszystko, czego nam potrzeba do szczęścia! - oznajmił i zabrał się z zapalem do jedzenia. - Masz musztardę?

- Mam. Jest w lodówce - westchnęłam, obkładając kromkę chleba plastrami pasztetowej. - Dzięki, Piotrus, za... twoje dobre chęci.

- Nie ma za czo! - skwitował z pełnymi ustami. - Grunt to szprawicz komusz radoszcz, nie?

- Ano, grunt - przyznałam bez przekonania. - Posłuchaj, Piotrek... Jeśli ty nadal chcesz... to znaczy, jeśli w dalszym ciągu chciałbyś, żebym do ciebie wróciła, to ja się zastanowiłam.

Piotrek wytrzeszczył na mnie oczy i odłożył na bok niedojedzoną kanapkę.

- Jasne!!! Jasne, że chcę! - zakrzyknął w euforii. - To jak? Kiedy się do mnie wprowadzasz?

- Nie, to ty wprowadzasz się do mnie. Jeśli masz życzenie, oczywiście.

- Boże mój, Klarciu! Jaki ja jestem szczęśliwy! - Rzucił się na mnie przez stół! - O niczym innym nie marzyłem! Mogę? Naprawdę mogę?

- Możesz.

- To w takim razie ja... leczę po swoje rzeczy. Zaraz będę!

- Chwila, pomau! - zgasila jego nadmierny zapal. - Najpierw zjedz, a potem zamówimy taksówkę. Nie będziesz chyba taskał swojego dobytku przez całe miasto!

- Dużo tego nie ma, przecież sama wiesz. - Zmieszał się nieco. - Ob-skoczę autobusem.

Tu również Bylec troszkę mnie zadziwił, ponieważ, jak mi się zdawało, przeciwstawił własne wygodnictwo całkiem racjonalnej oszczędności.

- Jak chcesz. Ja w tym czasie przygotuję ci jakąś szafę i miejsce w łazience na szczoteczkę do zębów...

Kiedy Piotrek pędził w podskokach do autobusu, zabrałam się do działania. Nikt mnie nie gonił, ale robota dosłownie paliła mi się w rękach, aż iskry leciały. Uprzątnęłam dokładnie całe piętro, skupiając się w miarę możliwości wyłącznie na wykonywanej pracy. Od czasu do czasu studziła mój zapał myśl, że powinnam zameldować swój powrót Grażynce, ale coś mnie od tego silnie odstręczało. Oczywiście wiedziałam co: konieczność zdania szczegółowej relacji z mojej eskapady. A potem wysłuchania milionów wyrzutów, z których najmniej pięć szóstych byłoby całkowicie uzasadnione. Z drugiej strony zaś gryzło mnie sumienie, że tak beztrosko pozwalam jej się o siebie zamartwiać. Nie mając siły dłużej tak się z sobą szarpać, rzuciłam w kąt trzymaną w ręku ścięgę i wystukałam SMS:

„Hej, już jestem, cała i zdrowa. Wkrótce się odezwę i pójdziemy dokądś poplotkować. U mnie wszystko OK!”.

Treść wiadomości sformułowałam z całą premedytacją. Teraz Grażynka będzie przez dłuższy czas dyskretnie milczeć, w przekonaniu, że oto spędzam upojne chwile w ramionach Rafała.

- Ja w każdym razie nic takiego nie napisałam - mruknęłam, wracając do szorowania kafelków.

„To świetnie! Życzę szczęścia i czekam na relację” - odpisała, zgodnie z przewidywaną interpretacją.

Dom czekał na Piotrka wypucowany i lśniący. Zaczynało się ściemniać, a jego ciągle jeszcze nie było.

- Co jest, u licha? - zaniepokoiłam się półgłosem.

Może nie tyle jego nieobecnością, ile całkowitym wyczerpaniem gospodarskich zajęć. Obawiałam się bowiem, że jeśli on zbyt długo się nie pojawi, a ja nie znajdę sobie na ten czas czegoś do roboty, w końcu zacznę myśleć. A tego nie chciałam z całych sił! Potrafiłam co prawda skutecznie odeprzeć od siebie wszystkie cisnące się do głowy tematy, jednak pod warunkiem, że miałam jakąś fizyczną alternatywę. Niestety, nie miałam...

Powoli zaczęła mi się więc rysować przed oczami twarz Rafała, z tym szczególnym wyrazem oczu, kiedy oznajmiłam mu, że nie chcę się już z nim spotykać. W żadnej sprawie i pod żadnym pretekstem. Wyczekałam z tym do samego Krakowa, żeby nie dawać nam czasu na bezowocne dyskusje. Rafał nie protestował. Bez słowa pocałował mnie w rękę, a potem bez słowa pomógł mi wytaskać z samochodu bagaże i zaniósł pod same drzwi. Teraz pomyślałam, że być może lepiej jednak byłoby, gdyby stawał okoniem, wyklócał się czy coś w tym rodzaju. Taki obrót sprawy pozwoliłby mi nawymyślać jakichś kontrargumentów, w które w końcu sama mogłabym uwierzyć... A tak, zamiast ulgi zaczęły kłuć się we mnie rozmaite wątpliwości. Bo a nuż, gdy mnie trochę lepiej poznał, obraz tamtej Klary, hołubionej w umyśle przez lata, tak bardzo odbiegł mu od wyobrażeń, że najzwyczajniej sobie odpuścił? Albo... po prostu: odszedł dla mojego dobra? Żeby nie dorzucać mi jeszcze jednego, niełatwego, uczuciowego dylematu? A może tylko dał mi trochę czasu? I zjawi się za kilka dni, jakby nigdy nic...

- Piotrek, gdzie ty jesteś, u cholery? - warknęłam pod nosem, czując, że jeszcze chwila, a oddam się bez reszty żrącym myślom.

Piotrka jednak nadal nie było. Teraz, dla odmiany, zaczęło mnie kusić, by ponownie przejrzeć zawartość kufra. Udałam się więc do gabinetu dziadka i właśnie zamierzałam wywlec kufer spod stołu, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Wepchnęłam szybko kufer na miejsce, zamknęłam gabinet na wszystkie zamki i zeszłam na dół.

- Jestem! - wysapał Bylec, uginając się pod ciężarem walizy. - Przepraszam, że tak długo to trwało, ale musiałem załatwić jeszcze parę spraw.

- W związku z twoim biznesem? - spytałam, domyślając się, że pewnie skoczył jeszcze do swojej nowej pracy.

- No tak, z biznesem właśnie! - potwierdził i wtoczył swój bagaż przez próg. - Prowadź! - zarządził radośnie i skierował się ku schodom.

- A... Nie tam. - Zagrodziłam mu drogę. - Bo wiesz, Piotruś... Uznałam, że na dole będzie ci wygodniej. Jest tutaj wystarczająco duży pokój, z łazienką, do kuchni blisko... i w ogóle... Zresztą, to w końcu nie mieszkanie w bloku, dlaczego więc nie mielibyśmy skorzystać z całego tego ogromnego metrażu? - dorzuciłam rubasznie.

- Eeee... Jasne! Jasne, czemu nie? - ucieszył się dostatecznie przekonany do moich racji.

- Wobec tego czuj się jak u siebie! - rzuciłam zwyczajową formułkę, otwierając przed nim kolejne szafy, szafki, a na koniec drzwi łazienki. - Zostawiam cię samego, rozpakuj się swobodnie. A jak skończysz, wpadnij powiedzieć mi dobranoc!

W czasie, kiedy Piotrek się zadamawiał, wzięłam długą, aromatyczną kąpiel. Zaopatrzona w kubek zielonej herbaty i jedną z babcinych powieści, umościłam się w łóżku. Trzeba przyznać, że wyrko Alicji było bardzo wygodne. Jakąkolwiek pozycję bym w nim przyjęła, ciało natychmiast dopasowywało się do niezwykle posłusznego mu materaca. Inną dobrą stroną jej sypialni był sposób rozmieszczenia nocnych szafek. Ktoś urządził to tak zmyślnie, że wszystko, w co tylko zamarzyłoby mi się wyposażyć przed snem, było dosłownie na wyciągnięcie ręki: z mojej prawej strony stała lampka nocna, było też miejsce na kubek i komórkę. Z tyłu, na wysokości zagłówek, mieściła się wąska półeczka, na której trzymałam książki, talerzyk z ciastkami i wodę mineralną. Po przeciwnej stronie łóżka była jeszcze jedna szafka, z identyczną lampką. Tam trzymałam chustki do nosa, tabletki przeciwbólowe i syrop na sen. Ot, tak, profilaktycznie...

Przejrzałam spis treści i uznałam, że książka może być nawet ciekawa. Ledwie przeczytałam notę „od autora”, kiedy drzwi sypialni otworzyły się cicho i stanął w nich mój były ślubny. Wyświeżony, w schludnej piżamie, wyglądającej trochę jak połyskliwy garnitur.

- No to jestem - szepnął cicho.

Zdziwiona zmierzyłam go wzrokiem od stóp do głów. Tego jednego nie przewidziałam. Po dwóch latach od rozvodu obecność Piotrka nie kojarzyła mi się już z tym obszarem działalności... Teraz jednak, skoro sama zaproponowałam mu reaktywację naszego związku, podobne fanaberie mogły mu przyjść do głowy... Najwyraźniej biorąc moje osłupienie za objaw szczerzego zachwyty, Piotrek całkiem już śmiało podążył w moją stronę. Niegdyś „te rzeczy” bywały na porządku nocnym, Bylec bowiem, poza tym, że lubił jeść, lubił także seks. Podchodziłam do tego jak do każdej innej powinności wpisanej z urzędu w życie statecznej mężatki. Mój ślubny na szczęście nie wymagał ode mnie żadnych ckliwych ani innych karkołomnych zachowań, nie miał też pretensji o brak werbalnego akcentowania szału miłosnych uniesień. Był... mó-

więc po wojskowemu, zawsze gotowy do boju, nie gustował w zawilej taktyce i prędko osiągał cel...

Teraz jednak najwyraźniej postanowił zmienić podejście do sprawy. Usiadł na brzegu łóżka i zamiast, jak miał do tej pory w zwyczaju, bezpośrednio wpakować się na mnie, jął mnie gładzić swoimi ogromniastymi dłońmi po twarzy i szyi, wolno zmierzając w stronę przepastnego dekoltu koszuli. Ale to nie były te dłonie! Smukłe, z długimi palcami, o delikatnych, wąskich paznokciach... Spod tych dłoni nie sypały się iskry, one nie przyprawiły mnie o utratę tchu! Mięśniste, wilgotne wargi Piotrka miażdżyły moje usta, jak mu się pewnie wydawało, w namiętym pocałunku. Tylko że... To nie były te usta, które nieustannie pojawiały się pod moimi powiekami, jak tylko zamknęłam oczy... Czulałam się strasznie, wściekła na swoją uległość, całkowicie i totalnie wbrew sobie, a przecież nie dalej jak w południe to właśnie sobie wybrałam! W przekonaniu, że jest to najśluszniejsza decyzja z możliwych! Żywoć z niechcianym facetem w zamian za namiastkę świętego spokoju! Znosiłam więc z zaciśniętymi zębami kolejne karesy Piotrka, coraz wyraźniej odczuwając absurd swojego położenia. W sensie dosłownym i przenośni... Bo gdyby nie to, gdyby tylko nie to, wszystko byłoby w porządku!

- Sorki, Piotruś, ale nie mogę!!! - Usiadłam gwałtownie, wyslizgując się z jego uścisku. - Jeszcze nie teraz! Muszę... się przyzwyczaić.

- Ale do czego się tu przyzwyczajać, rybeńko moja? - spytał, siadając obok. - Już nie pamiętasz, jak nam kiedyś było ze sobą wspaniale?

Nie!!! - miałam ochotę krzyknąć ile tchu w sprofanowanej piersi.

- Wiesz... Tyle czasu minęło... Muszę się jakoś... na nowo rozkręcić - odparłam zamiast tego.

- Tym się nie martw. - Piotrek na nowo przyssał się do mojej szyi. - Od czegoż w końcu masz swojego byczka?

Na sam dźwięk tego wyrazu, którym zwykł określać siebie w podobnych sytuacjach, potężnie mnie zemdliło.

- Nie o to chodzi. - Odepchnęłam go delikatnie, siląc się na maksymalny spokój. - Sam mówiłeś, że dasz mi czas... I wystarczyło mi go akurat na tyle, by dojrzeć do decyzji o wspólnym zamieszkaniu - ciągnęłam łagodnie, kontrując go jego własnymi obietnicami. - Ale nie doj-

rzałam jeszcze... hm... do pełni naszego związku. Zaczekaj jeszcze trochę, proszę!

Przez malujący się na twarzy Piotrka wyraz tkliwej wyrozumiałości na moment przedarł się błysk wściekłego rozczarowania. Mignął i zgasł. Okiełznanie własnych reakcji kosztowało go pewnie wiele wysiłku, a to znaczy, że w dalszym ciągu się starał...

- Dobrze, Klarus - zgodził się dość prędko i bez żadnego „ale”. - W takim razie dobranoc!

- Dobranoc. - Odetchnęłam z ulgą i przepychając z wysiłkiem swój umysł na inne tory, podjęłam przerwana lekturę.

•

Obudziłam się jeszcze przed świtem. Po raz pierwszy od swojej śmierci przyśniła mi się babcia. Wbrew wszystkiemu radosna i pogodna, przyszła do mnie tu, do swojego domu, na herbatkę. Mimo że byłam na nią ewidentnie obrażona, ona jakby kompletnie nie zwracała na to uwagi. Energicznie krzątała się w kuchni, mówiąc coś do mnie bez przerwy. Nie zapamiętałam z tej paplaniny ani słowa, pozostało we mnie jednak wrażenie, że babcia opowiadała mi o czymś w wielkim podnieceniu, jak ktoś, kto wrócił z bardzo emocjonującej podróży. Zdumiała mnie ta jej niczym nieuzasadniona beztroska i dziecinna wręcz radość. Miałam do niej żal, że oto teraz, kiedy obarczyła mnie wszystkimi swoimi grzechami, sama, lekka jak obłoczek, płąsa sobie wokół mnie, kompletnie nie przejmując się moją sytuacją. Na koniec wycalowała mnie siarczyście i jakby w wielkim pośpiechu opuściła dom rażnym krokiem. Siłę i zapach tych jej pocałunków odczułam niemal fizycznie.

Mając pewność, że Piotrek jeszcze śpi, zakradłam się do gabinetu dziadka i najciszej jak potrafiłam przetaskałam kufer do sypialni. Wyjęłam ostrożnie na dywan wszystko, co zdołałam już wcześniej obejrzeć, i dobrałam się do najniższych warstw. Leżały tam już tylko rozmaite papiery, ułożone luzem i przewiązane wstążeczką bądź poupychane w kopertach. Głównie były to rachunki i rozmaite, odręczne wyliczenia, bez dat i nazwisk. Czego dotyczyły te wyliczenia, nie miałam pojęcia. Czyżby wszystko, co mogłoby mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, spłonęło w tamtym domu? Rzuciłam okiem na leżące na dywanie przedmioty: książki, bibeloty, stare, zmurszałe kosmetyki... Były to rzeczy, które mogły być pod ręką kobiety, znajdującej się akurat w sypialni. No i ciuchy

czy biżuteria, ale tych, z przyczyn oczywistych, nie mogło być w kufrze. Jeśli babcia zabrała je ze sobą, zostały z pewnością potraktowane użytkowo... Skoro zaś zabrała ze sobą wszystko, czego nie strawił ogień, to by oznaczało, że żadne dokumenty, mogące potwierdzić moje przypuszczenia, już nie istniały... Oczywiście oprócz tych, które można było odnaleźć w miejscach obiektywnych, jak... karta choroby ze szpitala psychiatrycznego, akty urodzin, ślubów oraz zgonów... Nie byłam pewna, czy jestem aż tak zdeterminowana, by przechodzić po raz trzeci taką drogę krzyżową. Zresztą, chyba nie było po co. Od chwili, kiedy Rafał zasugerował mi kolejną wizytę u ojca, ta myśl puchła we mnie niczym drożdżowe ciasto. Jeszcze nie całkiem skonkretyzowana, ale już zupełnie solidnie wyrośnięta.

- A co ty... - Piotrek wparował do pokoju bez uprzedzenia i stanął w progu, ogarniając wzrokiem cały otaczający mnie bajzel. - A co ty, nie schodzisz na śniadanie? - dokończył jakby nigdy nic.

- Już? - zdziwiłam się. - A która to godzina?

- Wpół do ósmej. Ale jak usłyszałam, że już wstałaś, nasmażyłem jajecznicę.

- Dziękuję, zaraz schodzę. - Zbierałam prędko porozrzucane badziewie. - Momencik. Dwie minuty! Wrzucę tylko na siebie szlafrok i schodzę! Bądź tak dobry, zagrzej mi szklankę mleka w mikrofali! - wydumałam naprędce życzenie, którego Piotrek z pewnością nie mógł przewidzieć i uprzedzić.

- Mleka? - zdumiał się. - Do jajecznicę?

- No, tak! Tak właśnie ostatnio lubię!

Piotrek oddalił się niechętnie, a ja błyskawicznie uporałam się z przeniesieniem kufra i zamknięciem gabinetu. Na dywanie pozostała szaroniebieska koperta, która najwidoczniej zawieruszyła mi się pomiędzy fałdami koszuli. Wepchnęłam ją pod materac, z zamiarem odłożenia na miejsce w dogodniejszym momencie.

- Pyszna jajecznicę! - zachwyciłam się na wstępie, chcąc jak najdalej odplłynąć od tematu, który mógłby się zrodzić na bazie zastanego przez Piotrka widoku. - Zawsze się zastanawiałam, co ty do niej dodajesz? Jest jakaś taka... inna! Puszysta!

Bylec spojrział na mnie spođe łba, gdyż najprawdopodobniej ociupinkę przeholowałam.

- Nic takiego - odparł smętnie. - Troszkę masełka, cebulki i przyprawy.

- Aha. Super! - Uparcie trzymałam fason.

- Proszę, masz tu swoje mleko - sięgnął za siebie z półobrotu.

- Dzięki! - Złapałam szklanke i z całych sił wstrzymując odruch wymiotny, wychyliłam do dna.

- Ktoś do ciebie przyjechał? - Piotrek, poruszony jakimś widokiem za oknem, zerwał się od stołu.

- Nie sądzę. Chyba że Grażynka?

- Samochodem? Czarnym?

- Ktokolwiek to jest - ruszyłam z kopyta ku górze - powiedz, że mnie nie ma!

- A jeśli to coś ważnego? - zaniepokoił się Piotrek.

- Ja nie mam ważnych spraw! W każdym razie nie aż tak ważnych, żeby się z kimś użerać o tej porze!

Na tyle prędko, na ile pozwoliły mi drżące kolana, pobiegłam do mojej sypialni. Zdążyłam jeszcze dojrzeć zza firanki rozmawiającego z Piotrkim Rafała. Bylec tłumaczył mu coś ekspresyjnie, gestykulując i przestępując z nogi na nogę, Rafał zaś sprawiał wrażenie biernego słuchacza. Po krótkiej chwili po prostu odwrócił się, poszedł do samochodu i odjechał.

- Hej! Klara!!! - krzyknął Bylec z dołu. - To był ten twój kuzyn! Nie bardzo dawał się spławić, ale w końcu jakoś mi się udało!

- Przedstawiliście się sobie?!! - odkrzyknęłam ciekawa, czy Rafał wiedział, z kim ma do czynienia.

- Tak!!! Powiedziałem mu, że jestem twoim mężem i że tu mieszkam razem z tobą!!! Co tam robisz?

- Mam zamiar wziąć prysznic i się ubrać!!!

- Aha. Jakbyś mnie nie zastała na dole, to znaczy, że poszedłem do pracy!!!

- Masz tu klucze, zamknij za sobą drzwi! - Zrzuciłam mu zapasowy komplet. - Będą już twoje.

Odczekałam w łazience na odgłos zatraskiwanych drzwi i ruszyłam ku schowanej pod materacem kopercie. Nie chciało mi się już dzisiaj grzebać w kufrze. Zamierzałam wrzucić ją na miejsce, a potem gruntownie rozważyć sens ewentualnej wizyty u rodziców. Zanim jednak

wprowadziłam swój zamiar w czyn, otworzyłam kopertę i zajrzałam do środka.

Wewnątrz był mocno podniszczony dokument, a konkretnie... Dowód osobisty! Wydany w Zielonej Górze, dnia 15 czerwca 1949 roku, na nazwisko... Alicji Klary Firejko! Data urodzenia: 11 XII 1926 roku. Miejsce urodzenia: Bieżanka, ZSRR. Stan cywilny: wolny. Zawód: nauczycielka. Zameldowanie: Soliszka, powiat Zielona Góra, numer domu 129.

- Zaraz, zaraz! - Zakręciło mi się w głowie i usiadłam z impetem na łóżku. - Co to właściwie oznacza?

Miałam teraz wielką ochotę skonsultować się z Rafałem, ale szybko to sobie wyperswadowałam.

Przede wszystkim, babcia miała na imię Klara!!! Czyli

Kler! - to była pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy. Co prawda na drugie, ale miała!!! - perorowałam sama do siebie.

- Dowód został wydany na dwa lata przed urodzeniem mojego ojca. A zatem, była jeszcze wówczas panienką... Podeszłam z dzierzonym w rękę dokumentem do okna, celem uważnego obejrzenia zdjęcia... Na nieco wyblakłym i pożółkłym kartoniku bez większego trudu rozpoznałam kobietę z portretu. Młodszą, szczuplejszą, ale bez wątpienia tę samą... Moją babcię. Moją babcię... morderczynię! Nie wiedziałam, skąd znały się z tą nieszczęsną Trusiową i skąd u licha ta niepociumana ofiara losu ściągnęła do Soliszki swoją oprawczynię, uznałam jednak, że mam już teraz wszystkie dowody, iż tak właśnie było... W zasadzie nie obchodziły mnie szczegóły. Bo nie ma żadnego wytłumaczenia dla osoby, która odbiera drugiemu człowiekowi życie. Nie ma takich racji, które mogłyby usprawiedliwić podobny czyn...

Upchnęłam dowód w kopercie, kopertę wsadziłam z powrotem pod materac, padłam na łóżko i zaniosałam się histerycznym szlochem. Targał mną cholerny żal do całego świata. Że pozwolono mi tak żyć! Roić jakieś tam swoje młodzieńcze mrzonki, zakładać rodzinę, borykać się z bzdetami bez znaczenia i przez te durne bzdety czuć się nieszczęśliwą, podczas gdy to wszystko było jak... usypywanie kopczyka na mogile obcej, Bogu ducha winnej kobiety! Czułam żal do babci, że nie zebrała się w końcu na odwagę i nie opowiedziała mi o tym wszystkim. Byłby to z pewnością nie mniejszy szok, ale gdyby padło z jej ust chociaż jedno słowo na ten temat, gdyby powiedziała dlaczego, byłoby mi może nieco

łatwiej... A może próbowała? Może nasza ostatnia rozmowa zmierzała właśnie ku temu? Babcia wspomniała wówczas, że całe jej życie toczyło się bez sensu, że ulegała wpływom i pozwalała sobą manipulować. W każdym razie coś koło tego... Przestrzegala mnie także, żeby nie słuchać się ni kogo i robić to, co uważam za słuszne – usiłowałam teraz przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z tamtej rozmowy. I że zostawia mi coś w spadku... Nie, babcia nie zamierzała mi się z niczego spowiadać – uznałam. Ona mnie tylko przygotowywała na te wszystkie... pierepałki!

Jeszcze większy żal miałam do taty. Bo on wiedział o wszystkim doskonale. Znał tę historię z autopsji. Był już przecież dorosłym facetem, więc nie mógł o niczym nie wiedzieć! Nie mógł nie wiedzieć, do cholery, że jego własna matka zarzezała jakąś niebogę i nie mógł nie wiedzieć, że wylądowała w szpitalu dla umysłowo chorych! Przecież owe akcje, z tego, co pobieżnie ustaliliśmy z Rafałem, działały się w jakiś rok czy dwa po moim urodzeniu! A oboje moi rodzice mieszkali jeszcze wtedy w Soliszce albo przynajmniej w najbliższej okolicy! To wiem już z całą pewnością, przecież, do jasnej ciasnej, urodziłam się w Świebodzinie!!! Czemu tam? Błedego pojęcia do tej pory nie miałam i na ten temat również nikt mnie nie raczył oświecić. Dziś mogę jedynie pokójaryzyć pewne miejscowości, pod kątem bliższego lub dalszego sąsiedztwa...

Wiłam się na łóżku, łkając w poduszkę. Postanowiłam twardo i nieodwołalnie złożyć ojcu wizytę. Ale nie po to, by o cokolwiek pytać. Po to, by patrząc mu w oczy, wyrzucić z siebie całą tę bezsilną gorycz...

•

Do powrotu Piotrka zdołałam się jako tako uspokoić i z grubsza ogarnąć. Zrobiłam nawet zakupy oraz obiad, złożony w większości z jarzyn i warzyw. Bylec ani się skrzywił. Zasiadł do stołu, umywszy nawet ręce.

- I co tam? - zagaił. - Jak spędziłaś dzień?

- Intelktualnie - wycedziłam, co od biedy mogło być nawet zgodne z prawdą. - A ty?

- A ja... fizycznie. - Roześmiał się. - Musiałem poprawić małą partaninę po moich fachowcach.

- O? A co wy właściwie robicie?

- Kładziemy kafelki w willi pod Krakowem. Mówię ci, jaką chawirę sobie facet stawia! Ten twój domek to przy niej pikuś! W każdym razie roboty tam będziemy mieli na dłuższy czas.

- I codziennie musisz ich doglądać? Tych swoich pracowników? - podpytywałam, mając w tym określony cel.

- Nie, no, bez przerwy nad nimi nie stoję. Ale muszę wpaść od czasu do czasu, sprawdzić, co i jak, ustalić to i owo z właścicielem. W końcu, jakby nie było, jestem prezesem firmy!

- Wypiął dumnie pierś.

- Aha... Bo widzisz, zamierzam wybrać się do rodziców...

- Tak? Kiedy? - ożywił się Piotrek niebezpiecznie.

- Jutro. Na jakieś dwa, trzy dni - naciągnęłam na wszelki wypadek, żeby zniechęcić go do towarzyszenia mi w tej podróży.

Obecność Piotrka przy zaplanowanej przeze mnie konfrontacji byłaby co najmniej niewłaściwa. W gruncie rzeczy zamierałam wrócić najpóźniej następnego dnia, a potem wyłgać się jakoś z tej zmiany planów.

- Och... To szkoda... Naprawdę szkoda... Chętnie bym z tobą pojechała. Ale trzy dni niestety nie wchodzi w rachubę. Rozumiesz, młoda firma, ludzie jeszcze nie całkiem sprawdzeni...

- Nie martw się. Dam sobie radę, rodziców od ciebie pozdrowię, a jak tylko będziesz miał kilka luźniejszych dni, pojedziemy razem.

- Naprawdę? Pozdrowisz ich? I powiesz, że znowu jesteśmy razem? - nie dowierzał.

- Pewnie! No, chyba że nie chcesz?

- Ależ chcę! Niech się staruszkowie ucieszą, że ich córce znów zaczyna się układać!

Przełknęłam tę uwagę w milczeniu i zajęłam się jedzeniem.

- Smakuje ci? - spytałam po chwili.

- Może być... Mięsa trochę mało, ale całkiem smaczne! Komórka ci dzwoni, słyszysz? - Piotrek nadstawił ucha, próbując zlokalizować kie-runek piskliwego larum.

- Kurczę, rzeczywiście. - Poderwałam się niechętnie od stołu, nie przewidując niczego dobrego.

Zanim dobiegłam na górę, komórka umilkła. Takich nieodebranych połączeń okazało się osiem, z nieznanego numeru. Był też SMS. Już po pierwszych słowach zorientowałam się, że to Rafał.

„Czy to prawda, że wróciłaś do męża? Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś? – pisał z wyrzutem. – Czy mimo to moglibyśmy się spotkać i porozmawiać? Obiecuję, że nie będę zagrażał Twojemu małżeństwu. Podaję Ci na wszelki wypadek adres mojego gabinetu...”.

Poniżej były wspomniane namiary oraz podpis: Rafał. W pierwszym odruchu zamierzałam usunąć wiadomość, zamiast tego jednak nacisnęłam „odpowiedz” i odpowiedziałam:

„Wybacz, ale nie widzę powodu, dla którego miałabym opowiadać Ci się z moich decyzji. Nie widzę też potrzeby spotkania. Uważam, że nasza wspólna misja już się zakończyła. Klara”.

Wiadomość była może trochę ostra, ale miała być przecież przede wszystkim skuteczna...

Babcia Alicja wywołała w mojej duszy i umyśle niewyobrażalny zamęt, sprawiła, że poczułam się z tym wszystkim cholernie wyobcowana, że obcy stali mi się moi najbliżsi... I teraz trzeba było coś z tym zrobić. Miałam w zasadzie trzy wyjścia: wziąć wszystko na swoje barki i zagryźć się na śmierć, popaść w zbawienny odmęt obłędu albo na nowo wyłuskać z tej płataniny zdarzeń jakąś siebie, oddzielić cudze grzechy od własnych, głęboko pogrzebać cudze utrapienia. A z tego, co mi pozostanie, wygospodarować choćby maleńki obszar, na którym mogłabym zacząć żyć, użerając się wyłącznie z własnymi problemami... Mój instynkt samozachowawczy uparcie optował za trzecim rozwiązaniem. Uznałam zatem, że jest mi teraz potrzebny intensywny duchowy peeling. I że muszę wydrzeć z siebie wszystko, co zdarzyło mi się od śmierci babci. Absolutnie wszystko!

Do takich wniosków doszłam w trakcie szykowania obiadu. Siekając wściekle kapustę pekińską, ścierając na tarce marchewkę, zalewając się łzami przy krojeniu cebuli – kładłam podwaliny pod swój nowy świat. Za pomocą jarzyn, których pasjami nie znosił Bylec, samowolnie wprowadzałam w nasz związek jego pierwszy w życiu kompromis...

Całe popołudnie oraz wieczór spędziliśmy z Piotrkim przed telewizorem, oglądając wszystko jak leci. Od czasu do czasu przelatywało mi przez myśl bolesnym skurczem, że powinnam zadzwonić do rodziców i tym razem uczciwie się zapowiedzieć. Odkładałam to jednak z godziny na godzinę, wciągając się na siłę w akcję jakiegoś filmu z dużą dawką przemocy. Piotrek bardzo widocznie przeżywał każde kolejne trzaśnie-

cie w mordę głównego bohatera, zaciskał usta i dłonie, aż białły mu kostki.

- Ejże, wyluzuj, nic mu nie będzie! - uspokoilał go litościwie.

- Tak? Widziałas już ten film? - spytał, spoglądając nerwowo na ekran.

- Nie. Ale to jest Claude Van Damme. Za drogi aktor, żeby go mieli tak prędko utłuc.

- Pleciesz, Klarciu. A może założeniem tego filmu jest, aby zwyciężyło zło?

- Nie sądzę. Wówczas Van Damme byłby tym złym. Bo to on zawsze zwycięża.

- Daruj, ale to, co mówisz, jest okropnie cyniczne!

- Może. Ale w każdej prawdzie jest sporo cynizmu - oznajmiła, wstając. - Idę do siebie.

- Coś cię gryzie? - zaniepokoił się Piotrek.

- Nie, skąd. Muszę tylko zadzwonić do rodziców i jeszcze się z grubszą spakować. Późno się zrobiło.

- A, tak... - przypomniał sobie o moich planach. - O której masz pociąg?

- O siódmej trzydzieści.

- Pomóc ci w czymś? - zaoferował się uczynnie.

- Nie, dzięki.

- Wobec tego odwiozę cię na dworzec. Pojedziemy autobusem czy zamówić taksówkę?

- Naprawdę, nie musisz się fatygować, dam sobie radę.

- Spojrzałam na niego ciepło.

Piotrek tracił bowiem z mojego powodu całkiem solidne mordobicie, a gdybym skorzystała z jego propozycji zamówienia taryfy, umknęłyby mu jeszcze co najmniej trzy. To oznaczało, że ewidentnie się dla mnie poświęca. Znając zaś jego zamiłowanie do tego typu filmów, mogłam śmiało uznać, że poświęca się niemal heroicznie... Istniała więc nadzieja, że ten kawałek mojego życia, który miał się opierać na powtórnym związku z Bylcem, będzie jednym z łatwiejszych. Jeszcze nigdy dotąd się nie zdarzyło, aby mój były ślubny darował sobie jakąkolwiek przyjemność na rzecz drugiej osoby, a jeśli już cokolwiek dla mnie zrobił, hołubił ów wyczyn przez całe lata, wywijając mi nim przed oczami ni-

czym sztandarem. Nowy Piotrek był zupełnie do siebie niepodobny i wytrzymał już w tym niepodobieństwie tak długo i tak konsekwentnie, że jego metamorfoza powoli stawała się dla mnie faktem...

- Nie martw się o mnie, Piotrusi. - Pogłodziłam go po twarzy. - Rób swoje, dbaj o dom, a jak wrócę, wybierzemy się do teatru. Okej? - przypomniałam sobie rzuconą kiedyś przez niego propozycję. - Albo do kina. Jak zechcesz.

Rozmięczona tą jego troską, skłonna byłam obejrzeć razem z nim dowolną rąbankę w dowolnym wykonaniu. Bylec uścisnął mocno moją dłoń i zanim ponownie skupił się na szybkostrzelnym Claudzie, jeszcze raz wyraził żal, że nie może mi towarzyszyć.

11. Mama mówi...

Wszystko, co sobie umyśliłam poprzedniego, zahaczającego o głęboką noc wieczoru, rozsypało mi się w proch na widok rozradowanej twarzy mamy. Zaplanowana tak drobiazgowo w wyobraźni scenka zaczynała się bowiem nieodmiennie od stojącego w drzwiach ojca. Tak było mi po prostu łatwiej. Począwszy od kontaktu wzrokowego, z którego tata z pewnością wyczytałby, z czym do niego przyjechałam, poprzez wprowadzony tym sposobem klimat, aż po nieśmiało początkowo pretensje, urastające do coraz ostrzejszych zarzutów...

W drzwiach jednak stała mama, jak zawsze krucha, cicha, i niestety, bardzo moim widokiem uszczęśliwiona.

- Wejdz, córeczko! - zachęciła mnie gestem, by zaraz potem zawiśnąć na mojej szyi. - I co tam u ciebie? Nie przyjeżdżasz, nie dzwonisz... Mamy z Bronkiem nadzieję, że ten brak wieści nie oznacza niczego złego? - Jak zwykle w większości wypowiedzi podparła się ojcem.

- A... gdzie tata? - spytałam, rozglądając się wokoło.

- Poszedł na pocztę z opłatami. Powinien zaraz wrócić, przecież wie, że przyjeżdżasz. Tak strasznie się ucieszył!

Czułam się coraz bardziej niezręcznie. Mama się ucieszyła, tata się ucieszył, a ja znów przyjechałam z całą premedytacją im tę radość zburzyć. Być może już na zawsze... Jakże to wszystko odbiegało teraz od mojego wyobrażenia! Zamiast być wojowniczą i gniewną, stałam na środku przedpokoju skulona i niepewna. I całkiem bliska rezygnacji ze swoich planów...

- Hej, córcia! Zdejmijże kurtkę, rzuć tę torbę i wchodź! Zaraz zrobię herbaty. A może wolisz kawę? - krzyknęła mama już z kuchni.

Na całe moje szczęście, a raczej na szczęście dla moich postanowień, w tym momencie zachrobotał klucz w zamku i wszedł ojciec. I jak tylko na mnie spojrzał, wszystko zaczęło się dziać zgodnie ze scenariuszem.

- Dzień dobry, Klaro - przywitał się z powagą i nawet nie spróbował mnie przytulić.

Nasze odwieczne porozumienie dusz podpowiedziało mu najwidoczniej, że oto już wiem, i że nie przyjechałam z taką sobie, kurtuazyjną wizytą, ale z czymś, czego już wcześniej się obawiał, a od czego z całych sił już raz próbował mnie odwieść. Po raz pierwszy w życiu widziałam go tak niepewnego: stał przede mną, nie zdjęwszy nawet płaszcza, i czekał. Na tę scenę weszła mama z tacą w ręku i dołączyła do nas, również zastygając bez ruchu. Nagle poczułam się odpowiedzialna za całą tę sytuację, a co za tym idzie, zobowiązana do zrobienia czegokolwiek.

- To co... Wejdziemy do pokoju? - zaproponowałam.

- A może wolicie posiedzieć w kuchni?

- Wszystko jedno - mruknął pod nosem tata, odwracając się ode mnie pod pretekstem zdjęcia płaszcza.

Usiadłyśmy z mamą przy kawie, a tata poszedł umyć ręce. Tempo, w jakim wykonywał tę czynność, jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że zna prawdziwy cel mojej wizyty.

Kiedy wszedł i spojrzeliśmy na siebie po raz drugi, dostrzegłam, że w jego oczach poza głębokim smutkiem jest coś jeszcze... Jakby iskierka nadziei.

- No i? Co nam powiesz ciekawego? - spytał matowym głosem.

- Ja myślę, tatku, że ty wiesz. Że wiesz, co wam powiem. A właściwie... tobie!

- Mów więc - rzucił z krótkim westchnieniem.

- Jak byłam u was ostatnio, prosiłam cię, żebyś opowiedział mi wszystko, co wiązało się z babcią - rzuciłam na początek z nieśmiałą pretensją. - Chciałam wiedzieć, kim są ci ludzie upominający się o spadek, skąd się wzięli i jak naprawdę wyglądała sprawa z nią i z Ernestem. Bardzo mi zależało na tym, tatusiu! Miałam dość niejasnych aluzji, rzucanych mi w twarz przez obcych ludzi, chciałam usłyszeć to wszystko od ciebie! - stopniowo podnosiłam głos. - Ale to, o czym wówczas raczyłeś mnie poinformować, było jedną wielką kupą półprawd i niedomówień, a całą najistotniejszą resztę zbyłeś milczeniem! Czy tak?!

- Mogłem się domyślić, że kiedyś wreszcie do tego dojdzie - mruknął tata.

- A teraz? Co mi powiesz? - ciągnęłam, nie wnikając w sens jego słów. - Że nie wiedziałeś, że babcia zamordowała tę nieszczęsną kobietę? Że nie wiedziałeś, że umieszczono ją za ten wyczyn w szpitalu dla umysłowo chorych? I że tam właśnie poznała Ernesta? I że dlatego właśnie zmienił nazwisko i wyjechali razem na drugi koniec kraju? Ja tam byłam, tatusiu. Byłam w Soliszce. Tam na dźwięk jej imienia jedni spluwają, a drudzy robią znak krzyża! Wiedziałeś o tym? No?! Teraz ty mi powiedz!!!

W pokoju zapanowała martwa cisza. Ojciec nerwowo przebierał palcami, mama siedziała z wzrokiem wbitym w podłogę.

- Wiedziałem - odparł w końcu. - Ale chciałem... Oboje chcieliśmy ci tego oszczędzić. Bo co by ci dała taka wiedza? Po co by ci to było? Co się stało, to się nie odstanie, i ani ja, ani ty niczego już nie zmienimy. Jedynie, co mogłem zrobić dla ciebie, to trzymać cię od tego wszystkiego jak najdalej...

- To pięknie, tatusiu! - sarknęłam. - Ale ja też już czasu nie zawrócę i nie wymażę z pamięci tego, czego się dowiedziałam! Od obcych ludzi!

- Cóż ja ci mogę teraz powiedzieć? - Tata spojrzał mi w oczy z tak głębokim żalem, że ciarki przeszły mi po kręgosłupie. - Tyle jedynie, że bardzo mi przykro...

- Opowiedz mi, jak było z tym morderstwem. - Z trudem wyrzuciłam to z siebie. - I... Dlaczego?!

I znów chwilę trwała przykra cisza. Mama z opuszczoną głową niestrudzenie mieszała łyżeczką w filiżance i był to jedyny dźwięk, jaki dał się słyszeć w pokoju.

- Dla mnie do dziś to jest niepojęte. - Tata objął skronie drżącymi dłońmi. - Straszne... I czasem... jeszcze śni mi się po nocach...

Umilkł ponownie i zamknął oczy, jakby gromadząc pod powiekami tamte obrazy.

- Któregoś letniego wieczoru... ona... - podjął z widocznym wysiłkiem - wybiegła z domu, wyglądała jak w amoku... Byłem akurat w ogrodzie. Musiałem nieźle nią potrząsnąć, żeby wreszcie powiedziała, o co chodzi. Miała podrapaną twarz i dłonie, włosy w nieładzie i... obłęd w oczach. Jak tylko odzyskała głos, zaczęła krzyczeć, że pozbyła

się tej kobiety raz na zawsze! Że już nikt nie będzie wścibiał nosa w jej życie i wypominał cudzej łaski! – „Nie ma jej już! – krzyczała. – Zginęła, przepadła, nie żyje!”. A ja... stałem tak przed nią, nie wierząc w to, co widzę i słyszę, powoli jednak poddając się faktom. Sukienka, którą miała na sobie, była doszczętnie podarta, brudna i mokra. Ręce poranione, posiniaczone i uwalane trawą i błotem...

– Ale przecież... Ta Trusiowa była podobno jej dobrodziejką?! Z tego, co wiem, babcia zawdzięczała jej wszystko, co miała! – wpadłam mu w słowo.

Ojciec smętnie skinął głową.

– Owszem. Tak było.

– I co? Co ona na to? Wytłumaczyła jakoś ten swój postępek?

– Właśnie! – Tata dla odmiany prychnął z ironią. – Krzyczała, że uśmierciła w końcu tego tłumoka, który krępował ją i tłamsił, bo sam nie potrafił żyć, a drugim nie pozwalał. I że to wszystko, co od niej dostała, i tak należało się wyłącznie jej!

– No ale... w czym ta kobiecina babci przeszkadzała? Poszło im może... o tego... młodzieńca? – zahaczyłam o najmniej wiarygodny dla mnie do tej pory wątek.

Tata spojrzał na mnie jakoś tak... boleśnie i umilkł.

– Tato!!! – ponagliłam podniesionym głosem. – Czy twoja matka, będąc mocno dojrzałą kobietą, rzeczywiście uwiodła sobie dla zabawy jakiegoś gówniarza?

– A potem, nie wiadomo skąd, zjawiała się milicja – podjął na nowo, ignorując moje pytanie.

Nie przerywałam mu tym razem, a on snuł swoją opowieść jak w transie.

– Nie wiem, jak długo tak staliśmy, ile czasu trwała ta przepychanka pomiędzy nami... Pytałem, gdzie to się stało, chciałem dokąś biec, ale ona za żadne skarby nie chciała mnie puścić. Powtarzała tylko: Nic tam po tobie, Broniś! Już jej nie ma, ona już głęboko, nie ma jej! Nic tam po tobie! Już po kłopotcie... – i tak w koło. Potem przyjechała milicja. Pewnie ktoś ze wsi coś widział albo słyszał i zawiadomił władzę. I tak to było! Ot, i tyle! Zabrali ją, wywieźli, potem przyplątał się ten

Ernest, a dalej to już wiesz...

Tata umilkł i zapatrzył się martwo w stół.

- A ten... Gówniarz? - spytałam cicho. - To prawda? Mama wprawiła swoją łyżeczkę w jeszcze intensywniejszy wir, wychlapując zawartość filiżanki na obrus. Coś najwyraźniej gęstniało w powietrzu. Nagle, uderzając łyżeczką o spodek, wyprostowała się i spojrzała na ojca z taką desperacją w oczach, jakiej przez całe swoje życie u niej nie widziałam.

- Ja powiem! - Oznajmiła hardo. - Powiem, Bronuś!

- Daj spokój, Ania! - Tata złapał ją za rękę.

- Nie! Nie dam spokoju! - Mama wyrwała się i na wszelki wypadek stanęła po drugiej stronie stołu.

- To nie może tak być, Bronuś! - rzuciła zdecydowanie.

- Jak już mówić, to do końca! Bo z takich... sekretów tylko kłopot na kłopot wyrasta, i ty sam o tym wiesz! A Alicja wcale nie była taka! Chcesz, żeby Klara teraz myślała, że ona tak sobie, dla jakiegoś widzi-misię zabiła? Tego chcesz? A zresztą, pewnie prędzej czy później i tak wszystkiego się dowie!

Ojciec spojrzał niechętnie na matkę, potem na mnie, wstał wolno od stołu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Klaro... - Zostawiona samej sobie mama straciła nieco poprzedni rezon. - Bo widzisz... To, z tym młodym chłopakiem, to prawda jest. Tylko że to był... To był... Twój ojciec!!! - wybuchnęła nagle z nową siłą. - Tak! To on był tym gówniarzem, o którego pytałaś!

- Jak to? - bąknęłam, czując, że cały świat wiruje mi w głowie. - Ty mi chcesz powiedzieć... że tata uwikłał się w kazirodczy związek ze swoją matką?

- Nie, nie w kazirodczy. - Mama głośno nabrała powietrza w płuca. - Bo... Bo Broniek nie jest synem Alicji. On jest... jej mężem! Do dziś! To znaczy, teraz już wdowcem...

Pomyślałam, że mama najzwyczajniej oszalała. I że to ja jestem temu winna. Ponieważ ja właśnie zafundowałam jej dzisiejsze traumatyczne przeżycie... I że w swojej wrażliwości po prostu nie zniosła drugiej takiej rodzinnej pogawędki...

- Tak, Klaro. Taka jest prawda. - Pochyliła się teraz nade mną. - Dlatego nigdy nie wzięliśmy ślubu, bo Broniek był już po prostu żonaty. Do końca. A ty nie jesteś jej wnuczką. Ty jesteś... córką Alicji i Bronka!!!

- Co ty mówisz... mamó? - Z minuty na minutę byłam coraz bardziej przerażona. - Proszę cię, przestań!

- Ja przestać mogę. - Mama wzruszyła ramionami. - Ale przecież to ty chcesz się wszystkiego dowiedzieć!

- Przepraszam, mamó, oczywiście, mów dalej...

- Kiedy Kler albo, jak wolisz, Alicja, zamieszkała w Soliszce, w tej swojej wielkiej willi, Broniek miał siedemnaście lat. Chodziliśmy wtedy ze sobą, jak to się dzisiaj mówi. Oboje mieszkaliśmy w sąsiedniej wiosce, w Wizmowie. Ale pech chciał, że Broniek ją gdzieś zobaczył, na jakimś odpuszcie, a może festynie czy czymś takiego. I dosłownie oszalał! Fakt, przepiękna była z niej kobieta, elegancka, wytworna, jakby z innego świata. Tyle że o dwadzieścia pięć lat od niego starsza! Nie wiem, jak on to zrobił, bo nigdy nie pytałam. Dość, że po roku uganiania się za nią zostali parą... W tajemnicy, oczywiście, ukradkiem, ale jak to na wsi, niczego na dłużej nie ukryjesz. Najpóźniej chyba ja się dowiedziałam, ale tak to zwykle bywa... Bardzo cierpiałam, córeczko, bo kochałam tego mojego Bronka jak nikogo w świecie! Właściwie byliśmy już jakby po słowie, nasi rodzice się znali, odwiedzali, on kończył technikum weterynaryjne, ja byłam w szkole dla przedszkolank. To, że się pobierzemy, było dla nas wszystkich oczywiste i od dawna planowane. A tu masz! Jak grom z jasnego nieba spada na mnie, że mój ukochany, jedyny, od dawna ma już inną... I to jaką? Taką, co by mogła być jego matką! Nie będę ci mówić, Klarus, co ja przeżyłam! Co... ja przeżyłam...

Tu mamie załamał się głos, jakby cała ta historia wydarzyła się zaledwie wczoraj. Nie przerywałam jej już ani nie ponaglałam. Powoli słowa mamy zaczynały układać się w szokującą, ale prawdopodobną całość.

- A... jego rodzice? A moi? - ciągnęła. - A co na wsi się działo? Największy raban robiła właśnie ta Trusiowa. Może czuła się za to odpowiedzialna? A może wstyd jej było za taką przyjaciółkę? No i potem się okazało, że Alicja w ciążę zaszła. Wzięli prędko ślub, ale nie we wsi, tylko w Zielonej Górze... Oboje z Bronkiem tak sobie myślimy, że o to właśnie im musiało pójść. Szczegółów nikt oczywiście nie zna i nigdy nie pozna, ale my tak to sobie wytłumaczyliśmy: Trusiowa jej pewnie porządnie nagadała, Alicję poniosło, no i stało się... Ale wiesz, co ja ci dziś powiem, dziecko? - Mama ukradkiem spojrzała na drzwi. - Ja tę Kler... Znaczą, Alicję, nawet chyba rozumiem... Oni się naprawdę kochali! On ją, a ona jego. To była wielka miłość! I ona z tej miłości zabiła. Ja też tak Bronka kochałam. Tak bardzo... że czasem mi się wydawało... że gotowa byłabym... ją zabić... - szepnęła z wyraźnym z lękiem w oczach. -

I dlatego nie osądzaj jej, córeczko. Nie nasza ludzka to rzecz. Bronkowi też nie miej niczego za złe. On po prostu cię chronił jak umiał najlepiej!

- A... co było potem? - spytałam zdławionym głosem.

- No cóż, dalej to już tylko Bronek mógłby ci opowiedzieć. Ja mogę dodać tyle, że po roku zjawił się u mnie i spytał, czy go jeszcze zechcę. Ale nie samego... I od tej pory jesteśmy już razem. We trójkę. Ja wiem, że Bronek nigdy mnie nie pokochał tak, jak kochał ją. Ale mnie to wystarczy, Klaruś. Jestem szczęśliwa tak, jak jest. Tylko nie wiem, co teraz z nami będzie... córeczko? - Mama spojrzała na mnie wilgotnymi oczami.

- Jak będzie? Tak jak jest, mamusiu! - Objęłam ją za kruche ramiona i z całej siły przytuliłam do siebie. - Jakże mogłoby być inaczej, kochana moja, dobra...

Trwałyśmy w tym niemym uścisku bardzo długo, przekazując sobie w ten sposób wzajemną wdzięczność i jednocześnie upewniając się nawzajem, że nic się między nami nie zmieniło.

- Pójdę po niego - pierwsza odezwała się mama.

Po znacznie krótszej niż przewidywałam chwili do pokoju wszedł ojciec. Chmurny i poważny, a jednocześnie jakiś taki... mniej wyniosły.

- Powiedz mi teraz, tato, jak to się stało, że babcia zostawiła cię dla Ernesta? - spytałam bez wstępów.

- Jak? Normalnie! - wybuchnął tłumionymi do tej pory emocjami. - Ten drań się w niej zakochał. To był zwyczajny szantaż! Wezwał mnie do siebie i zaproponował układ: albo z niej zrezygnuję, w zamian za co on uchroni ją przed kryminałem, załatwi chwilowy pobyt w szpitalu i później jakoś ją z tego wymanewruje, albo stwierdzi w orzeczeniu, że w chwili zabójstwa była jak najbardziej poczytalna, i wyląduje w kryminale. W tamtych czasach, córko, za morderstwo można było dostać czapę! Albo, w najlepszym razie, dożywocie. W moich rękach leżała decyzja o jej dalszym losie. Jedyna możliwa decyzja, zresztą. Utargowałem z tego tyle, że zostałaś ze mną, nie z nimi. Nie wyraziłem także zgody na rozwód. A kiedy Alicja zaczęła słać do mnie z Krakowa listy i błagać, żebym pozwolił jej się z tobą widywać, wymogłem na niej przysięgę, że nigdy, w żadnej sytuacji, do końca swojego życia nie powie ci, że jesteś jej córką. I nie powiedziała, ale... jak widzisz, znalazła sposób.

- No a ona? Tak łatwo z ciebie... z nas, zrezygnowała?

- Przypuszczam, że i jej nie było lekko, Klaro. Ale wybór miała taki sam jak ja. Wybrała więc inny rodzaj więzienia. U boku tego skurczybyska!

- I nie mogła od niego uciec? Później na przykład, jak się wszystko przedawniło?

- Mogła - westchnął ojciec. - Pewnie mogła, ale dokąd i po co? Żeby znowu zrujnować nam wszystkim życie? Alicja, chcąc nie chcąc, zrzekła się do ciebie praw, Ania zaraz po urodzeniu cię przysposobiła... Są sytuacje, moje dziecko, do których nie ma odwrotu!

- Straszne to wszystko, tatusiu - jęknęłam zszokowana.

- I tak bardzo niewiarygodne! Ale dobrze, że wreszcie poznałam całą prawdę. Wiesz, jak wybierałam się tu do was, byłam przekonana, że wykrzyczę ci w twarz te wszystkie kręactwa, że pokłócimy się na zabój, a ja stąd wybiegnę i nigdy już nie wrócę. Teraz jednak nie czuję już tak samo. Jesteście mi tak samo bliscy jak przedtem. Oboje.

Tak czułam rzeczywiście. Nie powiedziałam im tylko jednego: jak trudno będzie mi się z tą prawdą uporać. Jak trudno pogodzić z nowymi faktami...

Przegadaliśmy we trójkę niemal do świtu. Odgrzaliśmy takie tematy, na jakie dawniej nawet nie przyszłoby nam do głowy normalnie, szczerze pogadać. Wróciła przy okazji kwestia moich nieszczęsnych medycznych studiów. Dopiero dzisiaj, wiedząc to, co wiem, pojęłam, skąd się wziął i na czym polegał ówczesny żelazny upór taty. Kompletnie niepomowny zresztą bez prawdziwego, historycznego kontekstu. To nie była próba realizacji jego własnych niespełnionych ambicji. Miałam dzięki tym studiom stanąć w szranki z jego odwiecznym rywalem Ernestem. Według mrzonek ojca miałam zostać lekarzem, a może nawet doktorem nauk medycznych, o wiele zręczniejszym, znacznie wybitniejszym i sławniejszym. Ja, córka Bronisława i Alicji. Ernest nie miał własnych dzieci i na tym polegała taty przewaga. Przy wszystkim, co miał tamten, a czego nie miał tata, Ernest nie mógł jednego: spełnić się dzięki potomkowi. A ojciec tak. Tyle że obrał totalnie chybioną drogę. Niegdyś marzyło mi się, że zostanę architektem. Sądzę, że na tym polu mogłabym nie tylko zrealizować swoje pragnienia, ale i przy okazji zadośćuczynić ambicjom taty. Ale on chciał, aby moje zawodowe sukcesy były jak najbardziej porównywalne z osiągnięciami Ernesta. Finałem tych

sporów było moje małżeństwo z Piotrkim, jak się wkrótce okazało, także bezdzietne.

- Ktoś kiedyś powiedział, że najbardziej spośród wszystkich grzechów głównych Bóg nie lubi pychy - rzuciłam z zadumą. - I jeśli jakimkolwiek motywem ludzkiego działania jest pycha właśnie, szybko uciera człowiekowi nosa!

- Masz do mnie o to żal? - spytał tata.

- Nie, już chyba nie - odparłam z wahaniem.

- Możesz. Masz do tego pełne prawo - stwierdził wielkodusznie.

- Dzięki. Ale wiesz, jak teraz patrzę na całą naszą rodzinę, dochodzę do wniosku, że mój żywot to w gruncie rzeczy jedna błoga sielanka!

•

Zgodnie z moimi przewidywaniami, przerażająca wiedza, jaką zyskałam po spotkaniu z rodzicami, dotarła do mojej

świadomości, dopiero kiedy zostałam z nią sama. Dopóki byli przy mnie ojciec i mama, mogłam wyrzucić z siebie każdą myśl, każdą wątpliwość, by natychmiast otrzymać z ich strony jakiś kojący odzew. W formie wyjaśnienia, pociechy bądź choćby współdziału w moich rozterkach. Teraz, wlokąc się na piechotę z dworca, ciągle kołatała mi się po głowie myśl, że moja babcia, ta drobna, filuterna staruszka, energiczna i pogodna, miła i serdeczna, była morderczynią! Zaraz po tej, wielokrotnie powracającej do mnie konkluzji, następową o sprostowanie, że nie babcia przecież, lecz mama! Mój umysł najwyraźniej nie mógł lub nie chciał przyswoić owej wiadomości, dlatego wciąż od nowa i od nowa, pomiędzy ustawiczną analizą ostatnich zajęć, musiałam uświadamiać sobie ten nowy dla mnie stan rzeczy, każdorazowo szokujący tak samo.

Z nieba leciała paskudna śnieżna papka, wlokłam się ulicą Floriańską w przemokniętych botkach, ugięta pod ciężarem podróźnej torby. Ale takiego umartwienia było mi chyba trzeba. Wydawało mi się, że gdybym czuła się teraz komfortowo fizycznie, niewspółgrająca ze stanem ciała psychika zostałaby obciążona jeszcze bardziej. Mijane po drodze kafejki i sklepy kusily ciepłym, oświetlonym wnętrzem. Przystawałam od czasu do czasu przed którymś, przerzucając bagaż z jednego, zdrętwiałego ramienia na drugie. W pewnym momencie rozbłysło we

mnie pytanie: w imię czego w zasadzie tłukę się tak po mieście w nasiąkłych lepkim błockiem butach i zdecydowanie ubiegłorocznej kurtce? Przecież moje konto z miesiąca na miesiąc obrasta konkretną gotówką, a ja poza jednym kosmetykowym szaleństwem oraz tym, co absolutnie niezbędne, nadal tkwię po pachy w absurdzie dawnych przyzwyczajzeń! Zdecydowanym ruchem pchnęłam oszklone drzwi dużego salonu z damską konfekcją i weszłam do środka. Pod wpływem wzroku młodych, wymuskanych ekspedientek poczułam się trochę jak owa ladacznica z *Pretty woman* w podobnej scenie. Szybko podniosłam jednak głowę i zdecydowanym krokiem ruszyłam w gąszcz uginających się pod ciężarem strojów wieszaków.

- Można u państwa płacić kartą? - rzuciłam w przelocie w stronę jednej z tych lalek.

- Oczywiście. - Dziewczyna spojrzała na mnie bez szczególnej uniżoności.

Nie wiem, co nagle we mnie wstąpiło, ale chyba moje sponiewierane ego domagało się teraz zbombardowania wrażeniami dokładnie przeciwnymi. Dla równowagi.

- Wobec tego poprosiłabym panią o pomoc. Noszę rozmiar trzydzięści sześć.

- Czego? - podeszła do mnie w końcu, lekko zdziwiona.

- Wszystkiego - odparłam. - Butów też.

- A... co panią interesuje?

Nie zamierzałam wprowadzić baby w jeszcze większą konsternację, ruszyłam więc przed siebie, zatrzymując się przy poszczególnych sztukach garderoby, ona zaś wyławiała spośród nich mój numer. Łapałam wszystko jak leci, bez mierzenia, i zarzucałam dziewczusze na ramię. Przy końcu tej niecodziennej rundy ekspedientka wyglądała jak jeden wielki ruchomy tobół.

- Które z tych rzeczy... zechce pani przymierzyć? - wysapała, tocząc się ku ladzie.

- Żadnych. Proszę to po prostu dodać. Zsumować i zapakować.

Dziewczyna stuknęła w kasę na tyle długo, że postanowiłam jeszcze rzucić okiem na stoisko z obuwem. Tam załatwiłam sprawę podobnie: pędząc przed sobą objuczoną pudłami i pudełkami ekspedientkę, wróciłam, zanim poprzednia uporała się ze sczytywaniem cen z metek. Prze-

biegło mi przez myśl, że powinnam być może nabyć to i owo dla mojego Obecnego Byłego, ale salon niestety nie dysponował męską garderobą. Odłożyłam więc ten wielkoduszny gest na następny raz.

- Dostarczacie do domu? - spytałam, dziwując już się teraz samej sobie.

- Taak - odparła z wahaniem dziewczucha, ogarniając wzrokiem nieprawdopodobną kupę nabytego przeze mnie towaru.

Bez słowa podałam jej kartę, zanotowałam na podsuniełym świstku swój adres i opuściłam podwoje salonu krokiem wyborowej modelki. Na dworze natychmiast zrobiło się jakby cieplej i przyjemniej. Eksces z zakupami okazał się całkiem mądrym posunięciem, przynajmniej od strony psychologicznej. Uszczupliłam dość pokaźnie zalegającą mi na koncie kwotę, co dało mi poczucie pewnej rekompensaty za straty moralne. Mogąc zaszastać taką forszą, dźwignęłam nieco poczucie własnej wartości, materialnej tylko co prawda, ale zawsze to już coś. Ponadto przez pozostały odcinek drogi do domu miałam zajęte myśli, próbując sobie przypomnieć kolory i fasony nabytych sztuk. Jediną rzeczą, jakiej w ten sposób nie zyskałam, była radość z ich posiadania...

Właściwie cieszyłam się już tylko z tego, że oto za moment będę już we własnych pieleszach, w przyjemnym ciepełku, marzyła mi się gorąca herbatka i wygodne łóżko Alicji. Na szczęście, czego przez chwilę obawiałam się podczas wizyty u rodziców, nie nabrałam do tego domu niezdrowej awersji. A nawet jakimś cudem utożsamiałam go teraz z błogim, zacisznym azylem... mało tego, o wiele bardziej niż przedtem czułam, że jest to mój dom. Mój i tylko mój!

Dostrzegając z daleka miodowe światło w oknach na piętrze, skostatowałam z ulgą, że Piotrek jest już w domu. Perspektywa wspólnej kolacji w jego zwyczajnym, może nawet trochę nudnym towarzystwie dała mi poczucie względnego spokoju. Bo oto za moment zostawię za drzwiami wszystkie destrukcyjne uczucia i myśli, zjem kanapkę z czymś tłustym i niezdrowym, świadomie delektując się banalną prostotą naszego odwiecznego konfliktu...

Strząsnęłam z kaptura mokrą śnieżną breję i pomagając sobie nogą, jednocześnie otworzyłam drzwi i wepchnęłam do holu swój podręczny bagaż. Światło w kuchni się nie paliło, co mogło oznaczać, że Piotrek jest jeszcze przed kolacją. W pierwszym odruchu miałam zamiar krzyk-

nać, że już jestem, ale na wypadek, gdyby mój były zasnął przed telewizorem, postanowiłam nieco dyskretniej zasygnalizować swoją obecność. Włożyłam kapcie i udałam się na górę. W istocie, telewizor jazgotał na pełny regulator. Po kilku krokach zatrzymałam się, bo coś mi tu jednak nie pasowało. No, chyba że telewizor zaczął nagle przemawiać głosem Piotrka...

- Ale przecież ja nie podawałem żadnych konkretnych terminów - ryknął.

- Nie? To podaj teraz, proszę cię bardzo! - odryknął ewidentnie damski i jakby znajomy głos.

Nie zwykłam podsłuchiwać cudzych rozmów, ale fragment tego dialogu sprawił, że zastygłam bez ruchu.

- Czy ty sobie myślisz, że wszystko zależy wyłącznie ode mnie? Tu trzeba... w białych rękawiczkach!

- A niechby i w zielonych - zgodziła się dama. - Tylko zrób coś wreszcie! Ja mam już dosyć utrzymywania ciebie i tej twojej żonuni. Płacenia za prezenciki, kwiatki-sratki i kolacyjki...

Pokonałam bezszelestnie kolejne dwa schody i skonstatowałam ze zgrozą, że ów dialog toczy się... w mojej sypialni!

- Ale, Pysiu - wymiękał Piotrek. - To przecież tylko inwestycja! Dla nas, na przyszłość!

- Wiem, Pimpusiu. - Tutaj dama również zaczęła spuszczać z tonu. - Tylko żeby nie okazała się bezterminowa!

- No co ty... Pysieńko - uderzył w tak delikatne struny, jakich mnie nigdy dotąd nie zdarzyło się słyszeć. - Przecież to ty mi powiedziałaś o skarbie, a że przy okazji sama stałaś się moim skarbeńkiem, to wiesz... Na uczucie nie ma rady, jak śpiewa Banaszak Hanna!

Zawrzała we mnie krew. Nie bawiąc się dłużej w żadne ceregiele, pchnęłam drzwi i wparowałam do środka. Widok, jaki ukazał się moim oczom, omal nie zwałił mnie z nóg! Bo oto na mocno skotłowanym łóżku Alicji spoczywał Bylec, jaki Panu Bogu wyszedł, a na krześle przy toalecie rozpierała się pani Pietraszko, w moim szlafroku, wymachując moją kredką do ust!

- Witam - rzuciłam krótko i usiadłam w fotelu między nimi.

- Klara! A ty... co tu... Czemu już przyjechałaś? - wyjąkał Piotrek, który z powodu szoku nawet się nie zakrył.

- Tak się złożyło - odparłam z niezwykle kosztownym spokojem. - I... chyba... całkiem nieźle się złożyło.

- Ale to nie jest tak, jak myślisz! - Jak tylko odzyskał język w gębie, rzucił utartą w podobnych sytuacjach formułkę.

- Wiem, że nie jest - wycodziłam wolno i wyraźnie. - Po prostu: leżysz i pozujesz pani Pietraszko do aktu, a ona cię uwiecznia. Moją szminką. Ale nic dziwnego, przecież nie trzymam w sypialni farb i pędzli!

W tym momencie, uświadomiwszy sobie swoje położenie, Piotrek wy-szarpnął spod siebie kawał prześcieradła i otulił nim skrzętnie miejsca zwane wstydliwymi.

- To był podstęp, tak? - spytał ze znacznie większą pewnością w głosie. - Zwykły, paskudny podstęp?!

- Całkiem możliwe... - odrzekłam w zadumie. - Najpierw zdarłam z ciebie ubranie, a potem przywlokłam przemocą opierającą się sąsiadkę. Albo najpierw przywlokłam, a potem zdarłam. Nie wiem. Nie pamiętam!

- Klara, nie rób sobie jaj! - oburzył się Bylec. - Dobrze wiesz, o czym mówię! Niby wyjechałaś, niby na trzy dni, a tu masz! Nagle jesteś! Uknąłś to z premedytacją, prawda?

- Nie osłabiam mnie, Piotrusi! - Zatrzęsło mną od środka.

- Według ciebie, gdybym wróciła za te trzy dni, wszystko byłoby okej? Ładnie posprzątane, zero obcych bab w sypialni... A ty czekałbyś na mnie z kwiatami, zasponsorowanymi przez... e... jak to brzmiało? Twoją Pysieńkę? Dobrze mówię?

Pietraszkowa malowniczo spąsowiała na gębie, Piotrek zaś, dla kontrastu, wyraźnie przybladł.

- Od dawna jesteście ze sobą? - zwróciłam się do czerwonej jak letni zachód słońca Pietraszkowej.

- Tak... To znaczy, nie. Mniej więcej od pogrzebu pani Ledwieniowej. Ale poznaliśmy się wcześniej. I to pani nas z sobą zapoznała!

- I chwala mi za to... - mruknęłam pod nosem. - Wobec tego zdrówka pani życzę. Z całego serca!

Domyślałam się, w jaki sposób ta para skumała się z sobą. Oczywiście, połączyła ich pazerność na legendarny skarb! Pietraszkowa, opiekując się babcią przez jakieś dwa ostatnie lata jej życia, musiała zasły-

szeć na ten temat jakieś ploty. Może liczyła nawet na jakiś zapis? Pewnie na pogrzebie nadarzyła im się okazja do wymiany wzajemnych żali na temat wielkiej kasy, która mogłaby, ale nie stanie się ich udziałem... Reszta już była prosta i klarowna. Nic dziwnego, że Bylec zawsze wiedział, kiedy zjawiałam się w domu, skoro pomieszkiwał sobie tuż za płotem...

- Myśleliście, że wystarczy mnie trochę obłaskawić, pociągnąć za język, a potem co? - zwróciłam się do obojga. - Miałam wam ten skarb oddać po dobroci, czy tylko wyjawić miejsce jego ukrycia?

- A ty co myślałaś?! Że ja głupi jestem? Że uwierzyłem w te bujdy, że babcia nie zostawiła ci złamanego grosza? - Piotrek wyraźnie zakończył już swoją komedię. - Od pół roku nie chodzisz do pracy, żyjesz sobie jak królowa, rozbijasz się po jakichś wczasach i za co to wszystko? Z zasiłku? Myślałaś, że się na to nabiorę?

- Wyjdźcie stąd natychmiast! - otworzyłam szeroko drzwi.

- Oboje! A ty - zwróciłam się do Piotrka - zabieraj się razem ze swoimi rzeczami. I proszę o zwrot klucza!

Miałam nadzieję, że Bylec, nie przewidując tak rychłego końca swojej roli, nie zdążył dorobić zapasowych.

- Won!!! - rozdarłam się na całe gardło.

Pietraszkowa pozbierała się w iście olimpijskim tempie, Bylec natomiast nieco się ociągał. Pani Janina czekała jednak na niego jak cerber, by natychmiast po wyjściu urządzić mu karczemną awanturę, której odgłosy słyszalne były u mnie jeszcze przez dłuższy czas.

Usiadłam przy stole w kuchni i zrobiłam sobie gorącej herbaty. Ochota na kolację przeszła mi wraz z ochotą do życia. Po dłuższej chwili bezmyślnego gapienia się w okno usłyszałam sygnał nadejścia SMS-a. Pomyślałam, że to pewnie Piotrek, który postanowił ponownie zmienić front i uderzyć w skruchę za pośrednictwem telefonu. A ściślej, o wiele bezpieczniejszej wiadomości tekstowej. SMS jednak był od Grażynki. Pytała, co u mnie, i kiedy skoczmy na umówione ploty. Odpisałam zdawkowo, że wkrótce. Właściwie bardzo chciało mi się teraz paść w czyjeś solidne, nieobowiązujące ramiona, ale wobec perspektywy wszystkich tych pewnych jak w banku „a nie mówiłam” przędko nacisnęłam opcję: wyślij.

Niemal w tym samym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Czyżby nie zaczęła nawet na odpowiedź? – pomyślałam z przestraszonym i powoli zakradłam się ku wejściu. Po drodze poza Grażynką przyszła mi na myśl cała masa ludzi, którzy mogliby teraz tkwić u mego progu. Tymczasem za drzwiami sterczał ktoś zupełnie inny: młody, obcy i dziwny...

- O co chodzi? – rzuciłam przez mikrą szparę w drzwiach.

- Czy tu mieszka pani Klara Ledwień?

- Mieszka.

- Mogłaby pani wobec tego otworzyć?

- A pan od kogo? – spytałam nieufnie.

- Od nikogo. Sama z siebie.

- Aha, to przepraszam. Kiepsko widzę w półmroku...

- Nie szkodzi. No to jak, mogę wejść?

- Celem?

- Celem dostarczenia zakupów! – Osoba zirytowała się nieco.

- Trzeba było tak od razu! – Prędko otworzyłam drzwi, wpuszczając ją do środka.

Rosła, wystrojona w amerykańską wojskową kurtkę i adekwatne buciorzy dziewczyna (w co musiałam raczej uwierzyć na słowo) złożyła mi u stóp liczne pakunki i podetknęła coś do podpisania. W trakcie tej czynności łypałam na nią ukradkiem, dziwując się w duchu tak niejednoznaczemu imażowi.

- Thanks – rzuciła ponuro, odbierając ode mnie potwierdzenie odbioru.

W jakimś nadprzyrodzonym przeblysku obdarowałam ją symbolicznym banknotem i odprowadziłam do wyjścia.

- Dzięki – przetłumaczyła mi za to na nasze.

Objęłam wzrokiem zajmujące spory kawałek holu sprawunki i westchnęłam zdziwiona, bo w tak zwanym międzyczasie zdołałam już o nich kompletnie zapomnieć.

Wtargałam wszystko na górę i sztuka po sztuce rozłożyłam na łóżku, uprzednio oczywiście wywaliwszy sprofanowaną pościel... Spojrzałam teraz na swoje dzieło i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dostrzegłam w tej kupie łachów nadspodziewaną logikę! Może dzięki zręczności obsługującej mnie ekspedientki, a może sensownie i tematycznie rozłożonemu w sklepie towarowi całkiem rozsądnie skompletowałam gardero-

bę! I pod względem różnorodności, i kolorystyki! Podniecona tym odkryciem złapałam pierwsze lepsze spodnie i współgrający z nimi, dość mocno wydekoltowany sweterek. Tak wystrojona wygięłam się do lustra.

- Pełnoprawna laska to ty już, Klara, może nie jesteś - mruknęłam pod nosem. - Ale podmianka twojej osoby na osobę Pietraszkowej musiała być w przypadku Bylca czymś solidnie umotywowana! Ha! - olśniło mnie nagle. - A ten włam do piwnicy? Ktoś rzeczywiście musiał wiedzieć, dokąd lezie i... po co...

W tym momencie, porzucając w pół kroku jakiś zawity płas, pobiegłam do gabinetu dziadka. Drzwi były zamknięte, tak jak je zostawiłam, kufer tkwił pod stołem, cały i zdrowy!

Znów pomyślałam o pani Pietraszko, doskonale znającej rozkład domu i okien... Przecież na pewno nieraz musiała schodzić do tej piwniczki!

- A może by jednak zaprosić Grażynkę? - drogą powyższych skojarzeń doszłam do niniejszej konkluzji. - Wypijemy małe co nieco, zakąsimy czymkolwiek i pogadamy... Może, jakbym jej tak od wejścia wytyczyła zakazany obszar tematyczny, obeszloby się bez kazań? - rozważałam szczegółowo.

Nie chciało mi się być teraz samej. Obawiałam się, że jak tylko położę się do łóżka, nie znajdę już sposobu na myślowe upiory... Mogłam, oczywiście, golnąć sobie solidnie przed snem, ale z braku doświadczenia w tej kwestii wolałam nie ryzykować. Nie znałam siebie po prostu od tej strony. A nuż, predestynowana genetycznie, popadnę w jakąś niepohamowaną agresję? Pierwsi kandydaci do mojego morderczego debiutu znajdowali się przecież tuż za miedzą...

Zrzuciłam kaptcie, włożyłam nowe zgrabne botki z jasnej skóry i zeszałam do kuchni. Podrasowałam nieco fryzurę i upudrowałam nos. Zamierzałam podjąć przyjaciółkę w pełnej krasie, która nie pozwoliłaby jej nawet na cień podejrzenia co do mojej rzeczywistej kondycji.

Całkowicie już zdecydowana co do reszty wieczoru, złapałam komórkę. Uczyniłam to jednak zbyt narowicie, gdyż telefon sam z siebie otworzył się na wiadomościach odebranych, i to w dodatku... na tej od Rafała!

Niewiele myśląc, a raczej nie myśląc wcale, wrzuciłam na siebie nowiotki płaszczyk i wybiegłam z domu...

•

Pod wskazanym w SMS-ie adresem znajdował się nowoczesny niewysoki blok mieszkalny, a nie żaden ośrodek zdrowia, jak mi się wcześniej uroiło. – Może on przyjmuje u siebie w mieszkaniu? – dedukowałam, pokonując kolejną kondygnację. Dochodziła dwudziesta, a według informacji Rafała jego gabinet czynny był do dwudziestej właśnie. Powinien zatem jeszcze przez dobrych dziesięć minut prostować czyjaś psyche...

Tabliczkę z jego nazwiskiem zlokalizowałam na drugim piętrze. Ponieważ zza drzwi nie dobiegał żaden odgłos, na wszelki wypadek usiadłam grzecznie w poczekalni, wyobrażając sobie, że właśnie teraz jakiś rozpostarty na kozetce nieszczęśnik dramatycznym szeptem wyjawia mu swoje najczarniejsze myśli i dewiacyjne tęsknoty...

Rozejrzałam się uważnie dookoła. Przyjemne, pastelowe odcienie żółci i zieleni, w których utrzymane było pomieszczenie, robiło całkiem niezły klimat. Prawdziwe, zadbane doniczkowe kwiaty wzbudzały zaufanie. Przynajmniej we mnie. Fotele były miękkie i wygodne, a gruby, puszysty dywan nadawał całości domowy charakter... Właśnie miałam sięgnąć po jakieś kolorowe pisemko, kiedy tuż przede mną zupełnie bezszelestnie zjawił się Rafał. Nagłe spotkanie wyzwoliło we mnie wszystkie tłumione dotychczas emocje...

– Zrób mi psychoterapię!!! – zażądałam bez wstępów. Rafał bez słowa pchnął drzwi do gabinetu, w którym... nie dostrzegłam żadnej kozetki!

Wobec takiej niespodzianki zrzuciłam z siebie płaszcz i padłam na sofę.

– Piętro wyżej jest moje mieszkanie – oznajmił, siadając obok. – Może tam poczułabyś się swobodniej?

– Ja nie chcę czuć się swobodnie! – odparłam z pretensją.

– Chcę czuć się... profesjonalnie!

– Ale ja... – Rafał spojrzał na mnie skonsternowany... – Ja tak nie mogę!

– Czego nie możesz? – spytałam zniesmaczona. – Przecież jesteś fachowcem!

- I właśnie tego nie mogę. Łączyć fachowych procedur z... z... - Tu spojrział na mnie niepewnie.

- Świat mi się zawalił!!! Mąż okazał się szujami, pazernymi wyłącznie na kasę... - wyrzuciłam z siebie jednym tchem, aby go przekonać.

- Szujami??? - Rafał zmarszczył w skupieniu brwi.

- Tak! Na spółkę z sąsiadką! Nie przerywaj mi!

- Okej...

- A moja babcia jest moja mamą, wiesz? - Spojrzałam na niego z lekkiem, uświadamiając sobie, jak to wszystko razem zabrzmiało. - I mordczynią!!! - dorzuciłam w desperacji.

- Mój tata był mężem mojej babci... A moja mama... nie jest moją mamą!!!

Rafał, mimo swoich deklaracji, jednak okazał się fachowcem. Z powagą wysłuchiwał mojego słowotoku i nawet powieka mu nie drgnęła...

- I co? - spytałam po chwili.

- No cóż... jeśli chodzi o twojego męża, ta kwestia jakoś mnie nie dziwi. Już dawno słyszałem o nim nie najlepsze opinie.

- Od kogo? Od Alicji? Też mi się... autorytet moralny znalazł! - prychnęłam gniewnie. - Czy ty nie słyszysz, co ja do ciebie mówię? Ona nie była moją babcią! Była moją mamą! Ale to nieważne. To wszystko jest już nieważne! Chodzi o to, że nie wiem, jak żyć! Znalazłam się w punkcie, z którego, w którąkolwiek stronę się obrócę, nie widzę żadnej perspektywy. A przynajmniej ja jej nie widzę... teraz. Po to tu przyszłam. Żebyś powiedział mi, korzystając z całej twojej naukowej wiedzy, co ja mam robić?

- Jeśli wszystko, co przed chwilą z siebie wyrzuciłaś, miało dla ciebie aspekt oczyszczający, to jest to dobry początek. Jednak warunkiem skuteczności całego procesu jest przede wszystkim zaufanie pacjenta do terapeuty...

- Przecież, do cholery, dlatego właśnie przyszłam do ciebie, a nie do kogoś innego! Bo ci ufam! - wykrzyczałam z pretensją.

- Ufasz? - spytał cicho i zajrzał mi w oczy.

Nie odpowiedziałam. Pozwoliłam mu natomiast wyczytać z nich wszystko, co się we mnie kryło. Rafał uniósł mi podbródek i tym razem nie wahając się zbyt długo, pocałował mnie w usta. Krótco, delikatnie, jakby czekając na moją reakcję. Zastygłam w bezruchu. Ten niespodzie-

wany gest sprawił, że poczułam nie tylko motyle w brzuchu, całe chmary motyli, ale także bicie wszystkich dzwonów świata, zaćmienia słońc, księżyców, przyływy i odpływy oceanów i inne szalejące żywioły...

Boże mój! - pomyślałam. - Skąd Grażynka u licha o tym wszystkim wiedziała?

Rafał nie pozwolił mi jednak na dalszą analizę mojego stanu uczuciowego. Pocałował mnie jeszcze raz, ale tak, że do cna straciłam oddech. Byłam pijana! Pijana tym wszystkim, co się ze mną działo, niby na jawie, a jednak jakby nie do końca... Tkwiłam w jakimś półśnie, z którego ani myślałam się przebudzić...

- Chodź - szepnął Rafał i podał mi rękę.

Podążyłam za nim jak w transie, nie do końca świadoma otaczającej mnie rzeczywistości. Pamiętam tylko, że plątały mi się nogi, gubił rytm niepewnych kroków, a jedyną pewną rzeczą była w tym wszystkim jego ciepła, mocna dłoń...

•

Po raz pierwszy od bardzo wielu dni obudziłam się bez posmaku goryczy ostatnich przeżyć. W pierwszym momencie, jak tylko otworzyłam oczy, pomyślałam, że jestem w jakimś hotelu. Tę myśl nasunęło mi nowoczesne, harmonijnie skomponowane wnętrze, przy maksymalnej oszczędności sprzętów: duże, niskie łóżko, prosta w kształcie szafa, a po przeciwległej stronie, wzdłuż całej ściany, coś w rodzaju niskiej konsoli. I tyle. Nie, był jeszcze obraz, który dostrzegłam, oglądając się za siebie. Ogromny, w ciepłych brązach, żółciach oraz czerwieniach i... nie wiadomo na jaki temat. Przy dość sporym uporze można było dopatrzeć się na nim anioła ogarniającego skrzydłami ziemski glob. Albo... sępa, porywającego z gniazda cudze jajo! Dopiero dywan, gruby, miękki i puszysty, przypomniał mi finał poprzedniego dnia... Zresztą, nawet gdybym nadal trwała w stanie tej zadziwiającej nieświadomości, w niecałą sekundę później i tak wszystko stałoby się jasne.

- Hej! - Rafał cicho wsunął się do pokoju. - Zaczynasz dzień od śniadania czy od kawy? Czy od jednego i drugiego? Na wszelki wypadek przygotowałam cały zestaw.

Miał na sobie jasne dżinsy, białoniebieską koszulę w nikiłe prążki swobodnie wypuszczoną na spodnie i był boso. Wyglądał jak... wytwór

najbardziej wymagającej, kobiecej wyobraźni!

- Nie patrz na mnie! - zażądałam w pierwszym odruchu.

- Bo?

- Bo kobieta w moim wieku o tej porze dnia wymaga pewnej... rekonstrukcji!

Rafał roześmiał się i zamiast dyskretnie się oddalić, usiadł na brzegu łóżka.

- Bzdury pleciesz, wiesz o tym? Ty akurat nie wymagasz absolutnie niczego poza moim szczerym zachwytem!

W tym momencie zrobiło mi się wszystko jedno. Przestałam się krygować i kiedy spostrzegłam, że nie jestem całkiem sauté, usiadłam również. Spojrzałam na niego z powagą, ale jego oczy w dalszym ciągu iskrzyły filuterną radością.

- A niech sobie mnie ma taką, jak chce - pomyślałam. Skoro mu się podobam, jego sprawa! Bo przecież z facetami jest tak - przypomniałam sobie jakąś kolejną filozofię Grażynki - że można wyglądać lub nie wyglądać, gotować smacznie i estetycznie albo wytwarzać glutę z półproduktów, dominować bądź ulegać - oni i tak kierują się swoją niepojętą logiką, w wyniku której mogą tkwić po grób u boku najgorszego koczkodana lub też porzucić bez mrugnięcia okiem najwyższej jakości okaz kobiety. Do tych drugich najpewniej zaliczała się moja przyjaciółka, tworząc przez całe lata rozmaite teorie damsko-męskie, w oparciu, rzecz jasna, o przypadek własny...

- O czym myślisz? - Rafał położył mi rękę na półnagim ramieniu.

- Ach, tak sobie - westchnęłam, wracając do rzeczywistości. - O życiu chyba.

- No to jak? Kawa? Herbatka? Czy pełny kawalerski zestaw śniadaniowy?

- Tylko kawa. I jeśli pozwolisz, skorzystam z łazienki.

Łazienka Rafała, jak wszystko, co już tu widziałam, była również nowoczesna i funkcjonalna. Użyłam męskiego żelu pod prysznic, męskiego szamponu do włosów i męskiego antyperspirantu. Wrzucając z powrotem na siebie sporych rozmiarów podkoszulek Rafała, odruchowo zaczęłam nucić: „Kiedy byłam małym chłopcem, hej!”. Dla przywrócenia tożsamości jak najszybciej przebrałam się we własną odzież.

Piliśmy kawę w milczeniu, on, zastanawiając się pewnie, co mnie trapi, ja zaś, zamiast uczciwie się trapić, bo przecież miałam czym, na nowo przeżywałam fragment po fragmencie uniesienia wczorajszego wieczoru.

- Hej, ale ty przecież musisz iść do pracy! - ocknęłam się nagle, kojarząc niejasno godzinę wskazywaną przez ścienny zegar z godziną otwarcia gabinetu.

- Wręcz przeciwnie, moja miła - uśmiechnął się Rafał.

- Dziś sobota, a zatem mamy dla siebie dwa całusieńkie dni!

- Jak to... całusieńkie?

- Tak to, że przed upływem pierwszego etapu terapii cię stąd nie wypuszczę! - odparł beztrąsko, wrzucając do zlewu puste filiżanki.

- Ale to niemożliwe! - zaprotestowałam przerażona.

- Przecież ja nie mam tutaj ze sobą niczego, żadnych ciuchów na zmianę, kosmetyków, tylko tyle, co na sobie!

- I nic nie będzie ci potrzebne. A zwłaszcza - musnął delikatnie ustami moją szyję - ciuchy!

- Nie żartuj sobie, proszę! - mruknęłam skonsternowana.

- Ja nie żartuję - oznajmił Rafał z powagą. - Spędzimy te dwa dni razem, nie rozstając się na krok! Wiem, że gdybyś wyszła choć na chwilę, z pewnością znów zdarzy ci się coś takiego, że tylko sięść i płakać! A zgodnie z moimi planami od dziś w naszym życiu nie ma już miejsca na żale.

Podkreślone przez Rafała słowo „naszym” przyjemnie załaskotało mnie w okolicach serca.

- A właśnie. - Spojrzał na mnie uważnie. - Trzeba by chyba pogadać o tym, o czym zaczęłaś mówić wczoraj. Wiesz, o tej babci, co to niby jest twoją mamą i... tak w ogóle.

- Nie chce mi się - mruknęłam apatycznie. - Zresztą sam powiedziałeś, że nie ma miejsca na żale.

- Owszem, ale jeżeli stało się coś, co tak głęboko tobą wstrząsnęło, musisz to z siebie wyrzucić. Nie możesz tego ot, tak, wyprzeć ze świadomości, bo to wróci. Prędzej czy później, w takiej czy innej formie da o sobie znać. Wierz mi. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile ludzie mają dziwnych, całkiem poważnych problemów na bazie upchniętych w pod-

świadomość przeżyć i związanych z nimi nieświadomionych lęków, kompleksów czy wręcz obsesji!

- Czy nie zdarzyło ci się nigdy... - patrzyłam na niego i słuchałam jego wywodu, a moje myśli zupełnie niechcący powędrowały na inny tor.
- No, czy nie zdarzyło ci się...

- Co?

- Że... podczas twojej pracy, jak by to powiedzieć... - Nie bardzo wiedziałam, jak ugryźć temat, aby było jasno i w miarę taktownie. - Że pacjentka przyszła z jakimś problemem i w trakcie terapii... eee... że tak powiem, nabawiła się innego?

Rafał spojrzał na mnie baranim wzrokiem, by po chwili pojaśnić na twarzy gwałtownym olśnieniem.

- Nie - odparł krótko i zbyt mało jak na mój gust wyczerpująco.

- Niemożliwe - szepnęłam.

- Owszem, możliwe - zapewnił z powagą. - Ja sobie po prostu nie pozwalałam na żadne pozamerytoryczne relacje. A jeśli już się zdarzy, że wyczuwam chęć przekroczenia tej granicy, czym prędzej podsyłam pacjenta koledze. Lub koleżance. I vice versa, jakby co. Zadowolona?

- Pa... cjenta? - spytałam podejrzliwie.

- Mówię ogólnie - skwitował pośpiesznie. - A teraz opowiadaj.

- No właśnie... Nie moglibyśmy tego zostawić? Przecież już wszystko jest okej, jakoś to przetrzymałam i żyję. Sam zresztą widzisz, że szat nie rozdieram!

- Widzę. - Rafał przykucnął obok mnie. - Ale i znam cię o wiele lepiej, niż myślisz.

- O? Czyżbyś zdążył postawić mi jakąś kolejną diagnozę? - prychnęłam z ironią.

- Może... nie diagnozę - zaczął ostrożnie - ale chcąc nie chcąc, poczyniłem pewne obserwacje. Jesteś... A raczej bywasz dość rozchwiana emocjonalnie. W jednej chwili potrafisz cieszyć się z czegoś na maksa, a za moment masz już całkiem solidny dołek. Na zmianę ekscytujesz się czymś bądź totalnie opadasz. Budujesz jakieś wizje przeszłości, by w jednej sekundzie całkowicie zmienić front.

- Pleciesz! - wzburzyłam się szczerze. - A ja uważam, że jestem silna, konsekwentna i całkowicie... jednotorowa emocjonalnie! Czy ty myślisz, że mogłam sobie kiedykolwiek pozwolić na jakieś głupie wahania

nastrojów? Widać niewiele o mnie wiesz... To zawsze ja byłam opoką mojego byłego małżeństwa: kucharką i hydraulikiem, siostrą miłosierdzia i ślusarzem, kochanicą i elektrykiem... To ja wzięłam sobie na barki opiekę nad... e... Alicją, ze stoickim spokojem przyjmowałam jej każde kolejne widzimię, wspierałam, opatrywałam i dbałam o cały dom. W przychodni, w której pracowałam, byłam jedną z najsolidniejszych rejestratorek: punktualną, uprzejmą i ogółem, świetnie zorganizowaną!

- Właśnie - westchnął Rafał, sadzając mnie sobie na kolanach. - Z tego, co mówisz, jasno wynika, że zawsze żyłaś w poczuciu rozdarcia pomiędzy sobą a kimś, wiecznie czułaś się za coś lub za kogoś odpowiedzialna. I, paradoksalnie, cały ten kierat utrzymywał cię w równowadze. Ale w twoim życiu nastąpiła nagle radykalna zmiana, a nawet wiele zmian, w większości traumatycznych. A to sprawiło, że twój pozornie zahartowany organizm sobie po prostu odpuścił...

- Chcesz powiedzieć, że posiadam predyspozycje do dziedzicznego fiksum dyrdum? - Spojrzałam na niego ponuro.

- No tak - dodałam w zadumie. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni, a w moim przypadku znacznie bliżej, niż ośmielałabym się przypuszczać...

- Klaro. - Rafał mocno splótł swoje palce z moimi. - Opowiedz mi o tym, dobrze?

Zaczęłam opowiadać, najpierw niepewnie, momentami rwącym się głosem, by wreszcie dać upust rozpierającym mnie uczuciom. W trakcie objaśniania prawdziwych relacji pomiędzy mną, mamą, tatą i... mamą Rafał bezwiednie wbijał mi paznokcie w nadgarstek.

- To niesamowite! - wyszeptał po chwili. - To wszystko jest tak absurdalne... Takie...

- Niewiarygodne - podrzuciłam uczynnie.

- Tak. Niewiarygodne - zgodził się. - Ale... przyznam ci się, że w którymś momencie naszych wojaży coś podobnego przebiegło mi przez myśl.

- Jak to? Co ci przebiegło?

- No... że tym młodzieńcem mógłby być twój ojciec. Bo nie wiem, czy zwróciłaś na to uwagę, ale nikt z naszych rozmówców, dosłownie nikt, nie poruszył wątku syna Kler albo, jak wolisz, Alicji. Jego po prostu w całej tej historii nigdzie nie było!

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo to była tylko krucha hipoteza. Ale przede wszystkim, nie umiałem połączyć tego w żadną w miarę sensowną całość. Jakkolwiek bym do tego podchodził i z którejkolwiek strony rozpatrywał, zawsze robiła mi się luka. Zapełniło ją dopiero odkrycie, że jesteś... jej córką, a nie wnuczką. Tak czy inaczej, gdyby twój ojciec się w końcu nie przełamał, śmiem twierdzić, że nikt nigdy nie doszedłby prawdy...

- Wiem... Właśnie à propos, co tam u twojego taty? Nadal to draży?

- Niestety. - Rafał zmarkotniał jeszcze bardziej. - Mam wrażenie, że ten spadek stał się dla niego jakąś idée fixe. Obłożył się wszelkiej maści prawnikami i radcami, którzy na konto jego urojonej fortuny ciągną z niego ile wlezie. Obawiam się nawet, że jest już mocno zadłużony.

- Szkoda staruszka - westchnęłam. - Bo z tego, co wiem, zapis babci jest prawnie nie do ruszenia. A czy ty nie mógłbyś mu tego jakoś wyper-swadować?

Rafał z powagą pokręcił głową.

- To niemożliwe, Klaro. On teraz już żyje tylko tym. Za daleko za-brnął, po prostu.

Przez chwilę siedzieliśmy w całkowitej ciszy, zatopieni każde we wła-snych myślach. Nagle Rafał wstał i przerzucił mnie sobie przez ramię.

- Ejże! Dokąd to? - wrzasnęłam zaskoczona.

- Najpierw do barku - oznajmił, porzucając mnie na sofie w salonie.
- A potem... może przyjdzie nam do głowy coś ciekawego?

Nie bardzo wiedząc, co dokładnie ma na myśli, zarumieniłam się na wszelki wypadek aż po czoło.

- Jesteś urocza, wiesz? - zamruczał jak kocur, wciskając mi w rękę lampkę koniaku. - Za koniec przeszłego i początek nowego!

- Czyli? - spojrzałam na niego z wahaniem.

Rafał przybrał minę terapeuty, którą z grubsza zdążyłam już poznać.

- Mam taką jedną prywatną maksymę: należy zostawić w spokoju rzeczy, na które nie mamy żadnego wpływu, a potem zakasać rękawy i zabrać się do tych, które od nas zależą. I tak właśnie powinno być w twoim przypadku. W miejsce wartości, które ci się tak gwałtownie zdewaluowały, odnaleźć nowe, wytyczyć sobie nowe cele, zbudować wokół siebie coś trwałego i pewnego. Ale przede wszystkim uświadomić sobie, że cokolwiek by się działo, masz mnie!

Po tej przemowie mój terapeuta odstawił puste kieliszki i uśmiechnął się do mnie w sposób, który też już znałam...

•

No i wieczorem pojawił się problem, którego właśnie się obawiałam. Dumałam nad nim już podczas kolacji, a w trakcie brania prysznic wpadłam po prostu w regularną panikę. Sytuację, w jakiej teraz osobiście się znalazłam, znałam jedynie z filmów. Tam nigdy nie pokazywano, jak kobieta, znalazłszy się ad hoc pod męskim dachem, radzi sobie w kwestiach higieniczno-intymnych. A konkretnie: z brakiem odpowiedniej ilości bielizny na zmianę...

Być może jakaś młoda, pełnokrwista dzierlatka obeszlaby się bez niej, mnie jednak taka myśl napawała jedynie płomiennym zażenowaniem. W ciągu całego dnia ze dwa razy przyszło mi do głowy, że mogłabym po prostu nabyć niezbędny asortyment w jakimś pobliskim sklepie. To rozwiązanie miało jednak dwa rodzaje solidnego przeciw: po pierwsze, Rafał z pewnością uparłby się, by mi towarzyszyć, po drugie, nawet gdyby się nie uparł, wymógłby na mnie opowiedzenie się, dokąd idę i po co. Z grubsza na jedno wychodziło... Gdyby w dodatku nie skojarzył tego zakupu z palącą potrzebą, biorąc ją mylnie za chęć epatowania go koronkowymi fiubździami, chyba padłabym trupem ze wstydu! Z powyższych powodów właśnie nie poszłam i nie nabyłam, ale kompromitacja groziła mi w dalszym ciągu! Gdybym była u siebie, zrobiłabym najzwyczajniej w świecie małą przepierkę i wysuszyła na kaloryferze. Ale jakże tu, w wytwornej łazience eleganckiego mężczyzny wyeksponować solidnej konstrukcji bawełniane hajdawery w niebieskie stokrotki? Albo lekko rozwleczony biustonosz z bazaru? Plułam sobie teraz w brodę, że moje zakupowe szaleństwo nie było bardziej szczegółowe! Ale cóż, jakby człowiek wiedział, że się wywali, toby sobie usiadł...

Wobec braku innych perspektyw zrobiłam tę przepierkę, a wstydliwą ekspozycję nakryłam ręcznikiem. Pomyślałam sobie, że jeśli jakoś zasygnalizuję Rafałowi, co znajduje się pod spodem, to on tam w poczuciu przyzwoitości nie zajrzy. Wystawiłam więc spod ręcznika kawałek ramiączka biustonosza, a z drugiej strony kawałek zapięcia z trzema haftkami.

Po uporaniu się z jednym problemem natychmiast pojawił mi się drugi. Wczoraj, zmordowana do upadłego nadmiarem różnego rodzaju

przeżyć, zasnęłam zwyczajnie jak mops. Dziś jednak sprawa nie była aż tak prosta. Przyszło mi bowiem do głowy, że ja może chrapię? Albo gadam przez sen lub zgrzytam zębami? Bylec co prawda nie zgłaszał mi nigdy podobnych zachowań, ale może tylko dlatego, że sam chrapał jak cholera i mógł w ten sposób zagłuszać moje nocne narowy... A jeśli to Rafał chrapie? Ta myśl była równie przygnębiająca. Nie dlatego, żeby miało to zburzyć coś w naszych najnowszych relacjach, ale... zarówno moje, jak i jego chrapanie zdecydowanie ujęłoby coś z nieskalanej estetyki stabilizującego się między nami uczucia...

- Hej, Klaro! Żyjesz? - Rafał delikatnie zastukał w drzwi.

- Już wychodzę! - odkrzyknęłam, wyrwana nagle z myślowego kierunku.

- Ależ ja cię nie poganiam - uspokoił mnie. - Martwiła mnie tylko ta głucha cisza!

Mimo wszystko uwinęłam się dość prędko, starłam mokre pacie z podłogi oraz kabiny prysznic i ruszyłam w kierunku dobiegających mnie odgłosów.

- Przyniosłem telewizor - oznajmił radośnie Rafał. - Ja co prawda mało oglądam, ale pomyślałem, że może razem rzucimy na coś okiem?

- No to rzucajmy - zgodziłam się ze średnim entuzjazmem.

- A co dają?

- Sama wybierz. - Podał mi pilota.

Pobiegałam po kanałach i zdecydowałam się na dokument o jakiejś egipskiej mumii.

- Jesteś pewna, że to właśnie chcesz oglądać? - szepnął mi prosto w ucho.

- Jasne. Każdy program z zakresu kosmetologii jest dla kobiety interesujący!

- Cha, cha! - zaśmiał się Rafał. - Byłoby śmieszne, gdyby nie zawierało pewnej głupiej aluzji!

- Cha, cha! - zawtórowałam ponuro. - Byłoby śmieszne, gdyby ta aluzja nie zawierała pewnej dozy prawdy!

- Nie wiem, czy wiesz, ale kompleks wieku u kobiet to już w dzisiejszych czasach przeżytek! Coraz więcej pań spełnia się w okolicach czterdziestki i za żadne skarby świata nie zdecydowałyby się na cofnięcie czasu.

- Ja też nie... Mimo wszystko!

- Boże mój, jak ja bym chciał mieć swój udział w zmianie twoich poglądów! - Rafał niebezpiecznie przekroczył granicę swojej połowy łóżka. - Mam? Powiedz, że mam! - nalegał.

- Nie powiem! - poszłam w zaparte.

- Nie powiesz czy nie mam?

- Nie powiem!!! - powtórzyłam bezwiednie, w pierwszej chwili nie łapiąc zasadniczej różnicy obydwu stwierdzeń.

- Tak się cieszę - wyszeptał półzartem, ciągle zmniejszając dystans między nami. - A wiesz ty, że już samo poczucie własnej atrakcyjności tę atrakcyjność znacznie zwiększa?

- Nie... wiem... - odparłam na bezdechu.

- A czy ty wiesz, w jaki sposób kobieta najskuteczniej nabiera poczucia własnej atrakcyjności?

- Nnnie...

Wtym momencie jak przez ścianę usłyszałam, że w telewizji ni z tego, ni z owego leci jakiś kabaret. Najwidoczniej pilot wysunął mi się z ręki i upadając, sam przełączył programy...

•

Z niemą fascynacją obserwowałam Rafała krzątającego się wokół porannej kawy. Oprócz całej tej kuchennej zręczności, którą posiadał również Bylec, on, w przeciwieństwie do niego, miał jeszcze swoisty wdzięk. Siedziałam tak od dłuższej chwili, z nogami podciągniętymi pod brodę, skrywając bezpiecznie całe ciało pod ogromniastą męską koszulą. Nie wyrywałam się, by pomóc mu w przygotowaniu śniadania, a moje sumienie nawet się nie zająknęło na ten temat... Było mi przyjemnie i wygodnie. Zresztą, Rafał wyglądał tak, jakby każda czynność sprawiała mu niebotyczną radochę. Ze śpiewem na ustach kroił chleb, przemierzał się między meblami tanecznym krokiem, stawiając przede mną kolejne talerzyki, przybierał pozy usługowego kelnera. Ogarniałam te sceny z coraz większym zachwytem i czułością. Czułam się tak dobrze, jak... nie pamiętam kiedy! Wszystkie nasze zachowania względem siebie były naturalne i niewymuszone: niewymuszone były rozmowy, brak rozmów nie był martwą, uwierającą ciszą, a każdy gest wpływał z obopólnej potrzeby. Czułam, że w istocie wchodzę w jakiś nowy etap

swojego życia, a w każdym razie nabieram całkiem nowych, nieznanych doświadczeń. Ze wszystkich sił odpędzałam zjawiające się jeszcze chwilami lęki i wątpliwości.

Co najwyżej uszarpię z życia co się da i nikt mi tego nie odbierze – powtarzałam sobie uparcie złotą myśl Grażynki.

– Powiedz mi, co czujesz? – spytał Rafał, siadając wreszcie naprzeciw mnie.

– A... dlaczego? – wyjąkałam w obawie, że inspirację do tego pytania mógl zaczerpnąć z wyrazu mojej twarzy.

– Chciałbym wiedzieć, po prostu. Bo bardzo, ale to bardzo mi na tobie zależy! Wiesz?

Spojrzałam na niego spode łba, nie bardzo wiedząc, jak sobie z tą odpowiedzią poradzić. Jakoś nigdy dotąd nie miałam ani potrzeby, ani też konieczności wywnętrzania się przed kimkolwiek. Ale Rafał nie był kimkolwiek...

– To może najpierw ja ci powiem – zaproponował po dłuższej chwili mojego milczenia. – Bo ja... tak sobie siedzę, patrzę na ciebie i wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę! Nie masz pojęcia, ile odmian podobnej scenki powstało w mojej wyobraźni na przestrzeni lat... Ile przeprowadziłem z tobą wyimaginowanych rozmów, ile kilometrów zdeptaliśmy w czasie zmyślonych spacerów... A teraz jesteś tu, na wyciągnięcie ręki, tak samo piękna jak zawsze, ale tym razem realna... I moja! Wiesz, że ubiegłej nocy nie zmrużyłem oka? Patrzyłem, jak śpisz, napawałem się twoją obecnością, a to wariackie, nieokiełznane szczęście w zupełności zastąpiło sen. Klaro?

– Rafał zabrał mi drżącą konwulsyjnie łyżeczkę do cukru i pocałował mnie w rękę.

– A ja – zaczęłam ostrożnie – właściwie nie wiem, co czuję. To znaczy wiem, tylko nie umiem tego nazwać za pomocą używanych do tej pory słów. Ale spróbuję. Jest mi... po prostu dobrze. Tak jakoś... ciepło i cicho. I radośnie, ale jednocześnie trochę straszno...

Rafał pokiwał z namysłem głową.

– Nie będę ci niczego deklarował, Klaro. – Ścisnął mocniej moją dłoń. – Ale zobaczysz! Wkrótce sama zobaczysz, że zostanie ci już tylko radośnie!

Wtuliłam się w jego silne, opiekuńcze ramię i pozostaliśmy tak przez dłuższą chwilę. On ze swoim „radośnie”, a ja – ze swoim „straszno”...

Reszta dnia upłynęła nam w równie niepokojąco sielskiej atmosferze. Obiad zjedliśmy w restauracji, a potem, korzystając z nadspodziewanie ładnej pogody, niemal do wieczora włóczyliśmy się Plantami. Coraz silniej czułam, że ten oto, zbyt młody, zbyt przystojny i zbyt doskonały mężczyzna coraz silniej zawraca mi w głowie. Bez najmniejszej żenady pozwoliłam mu się obejmować w tali, w biały dzień, niemal w środku miasta. I znowu przypomniła mi się sentencja Grażynki o wyludnieniu świata, kiedy nagle znikają inni ludzie i zaczyna istnieć tylko i wyłącznie jakiś on...

- Cholerka. - Muszę natychmiast wysłać SMS-a - oznajmiłam zdziwionemu Rafałowi. - Do koleżanki - dodałam na wszelki wypadek.

- Jasne - odparł pogodnie. - Chcesz usiąść? - wskazał w miarę czystą i suchą ławkę.

- Nie, dzięki. Wystarczy, że staniemy na chwilę. Szybko wystukałam wiadomość o treści:

„Jestem na etapie wyludnienia świata. Sorki za tak mizerny kontakt. Ploty aktualne, chyba już niedługo. Klara”.

Ledwie otrzymałam sygnał dostarczenia wiadomości, telefon odezwał się ponownie.

„Jak najbardziej rozumiem! Mną się nie przejmuj, poczekam cierpliwie. Życzę szczęścia!”

- Kochana Grażynka! - mruknęłam pod nosem.

- Kto? - zdziwił się Rafał.

- Ta koleżanka właśnie. Bardzo mądra i miła kobieta. Poznasz ją zresztą kiedyś, mam nadzieję.

- Ja też. I że w ogóle nasze światy wkrótce przenikną się nawzajem, że podzielimy się swoimi znajomymi, przyjaciółmi, wrogami i wszystkim, co niesie życie...

- Boże mój, jaki patos! - spojrzałam na niego z przyczajonym uśmiechem. - Ale nie myśl, że na tym jakoś skorzystasz! Bo ja mam tylko jedną przyjaciółkę i pięć tysięcy sztuk wrogów, a ty pewnie odwrotnie!

- A można wiedzieć, jakim sposobem dorobiłaś się takiej hałastry nieprzyjaciół?

- To proste. Ten gatunek rozmnaża się po prostu na zasadzie piramidy. Na początek wystarczy jeden, ale obrotny. Ja miałam nieco więcej szczęścia, bo... - tu wyhamowałam raptownie, gdyż w konkretniejszej wyliczance musiałabym zamieścić jego ojca.

- Bo?

- Bo... mój kapitał początkowy wynosił kilku naraz - wyjaśniłam i szybko zmieniłam temat. - Jutro skoro świt jadę do siebie!

- Po co? - spytał skutecznie zbity z tropu Rafał.

- Nie wiem. To znaczy wiem jedno: nie mogę tak w koło Macieju chodzić w jednych ciuchach. To przykre, wiesz?

- Okej! - rozpogodził się prędko. - Wobec tego wstaniemy ciut wcześniej, żeby uwinąć się przed otwarciem gabinetu.

- Uwinąć się? Z czym???

- No... z twoją przeprowadzką! Nie powinnaś przecież w trakcie terapii mieszkać sama, w tym ponurym domisku!

- Mrugnął do mnie łobuzersko.

12. Nie ma zwłok... nie ma sprawy?

Zaraz po wejściu do holu zorientowałam się, że coś jest nie tak. Nie bardzo umiałam pokojarzyć, co nie gra, ale coś ewidentnie nie grało... Fotel! - olśniło mnie po kilku sekundach. Stary fotel babci, w którym zazwyczaj siadywała, przeglądając codzienną prasę, stał odwrócony tyłem do wejścia. Do tej pory nikt nigdy nie ośmielił się go ruszyć, gdyż babcia w trakcie codziennego herbaciano-gazetowego rytuału lubiła mieć w zasięgu wzroku wszystkie drzwi, a także schody prowadzące na piętro.

Pobiegłam do kuchni. Z kranu ciekła do zlewozmywaka cienka strużka wody.

- Przecież ja, do cholery, tego tak nie zostawiłam - mruknęłam, zakręcając kurek.

Wówczas mój wzrok padł na leżący na krześle ręcznik... cały upačkowany krwią!

- Rany boskie! - wrzasnęłam do stojącego za moimi plecami Rafała.
- Tu się wydarzył jakiś mord!!!

Rafał rzucił okiem na trzymaną przeze mnie krwawą szmatę, odsunął mnie od drzwi i popędził na górę.

- Nie! - Zatrzymał się gwałtownie przy gabinecie dziadka.

- Nie było żadnego morderstwa, był włam!

Tym razem ja wepchnęłam się przed niego i wpadłam do środka.

- Musiał się przy tym skurczybyk zranić. - Rafał wskazał na widniejące gdzieś tam czerwone mazię.

Drzwi do gabinetu Ernesta wywalone były razem z częścią framugi, biurko Ernesta miało powyrywane drzwiczki i szuflady, a obok niego leżał kufer z rozrąbanym po chamsku wiekiem...

Przykucnęłam nad stertą walających się opodal papierzysek, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

- Chcesz wezwać policję? - spytał rzeczowo Rafał.

- Nie... - odparłam z wahaniem, a on spojrzał na mnie tak, jakby domyślił się jednocześnie ze mną, czyja to sprawa. - Nie, nie będę wzywać policji - oznajmiłam już zdecydowanie. - Po co? Jak dla mnie, cały ten dom może zapaść się pod ziemię!

- Wobec tego zabierz, co ci potrzebne, i chodźmy stąd. - Rafał wyciągnął do mnie rękę.

- Zaczekaj! - Wpatrywałam się jak w obłędzie w porozrzucone świstki i karteluchy.

Miałam wrażenie, że mimo wielokrotnej penetracji kufra części z nich nie widziałam dotąd na oczy.

- Chodź, Klaro. - Rafał ponaglił mnie łagodnie. - Jeśli chcesz, wróci my tu później, ale teraz chciałbym zdążyć na czas do pracy.

Nagle mój wzrok spoczął na pożółkłej kartce formatu A4, zapisanej odręcznym kulfoniastym pismem. Zaczęłam czytać i poczułam, jak całe moje ciało stopniowo pokrywa się gęsią skórą...

- Klaro! Proszę, chodźmy już - niecierpliwił się Rafał.

- Zaraz, moment - odparłam bezwiednie, po czym uświadomiłam sobie, że jemu się rzeczywiście bardzo śpieszy. - Albo nie! Jedź sam, a ja... trochę tu ogarnę i przyjadę później.

- Chcesz tu zostać? Teraz? Sama? Mowy nie ma!

- Muszę!!! - Spojrzałam na niego błagalnie. - Zadzwoń do ciebie. Za godzinę! Albo nie, ty zadzwoń, bo ja nie znam numeru... - plotłam jak w gorączce.

Rafał niemal przemocą uniósł mnie z podłogi i postawił przed sobą.

- Boję się o ciebie, nie rozumiesz? - Przytulił mnie mocno.

- Wiem - wyszeptałam. - Wiem, ale nic mi nie będzie. Jeśli tu coś było do zrabowania, już dawno zrabowali. I nie wrócą. Dam sobie radę, obiecuję! A teraz muszę tu zostać. Muszę, zrozum!!!

Rafał wahał się przez dłuższą chwilę, wybierając między spóźnieniem się do pracy a chęcią zapewnienia mi bezpieczeństwa na wypadek kolejnej wizyty rzezimieszków.

- Okej - zdecydował. - Zostań. Ale przede wszystkim zamknij solidnie drzwi i nikogo nie wpuszczaj! Ja będę dzwonił od czasu do czasu.

Po jego wyjściu w pierwszym rzędzie obiegałam piwnice, ponieważ główne wejście nie nosiło śladów żadnego kombinatorstwa. Założone

przez pana Zbyluta kraty były nietknięte. Nietknięte były też drzwi prowadzące na taras, a zatem „ktoś”, kto gościł tu pod moją nieobecność, dysponował kluczem. Mimo to, zgodnie z zaleceniami Rafała, zamknęłam je, klucz zostawiłam w zamku, zabezpieczając się dodatkowo łańcuchem. Zrobiłam to tylko pro forma, ponieważ włamywacz, który tak okrutnie pastwił się nad moim dobytkiem, z całą pewnością nie był zdolny do podobnych ekscesów wobec żywej jednostki...

Wyrzucałam sobie teraz, że nie zmieniałam tego cholernego zamka! Byłam pewna, że Piotrek nie zdążył dorobić klucza, i pewnie rzeczywiście nie dorobił. Ale czemu durna, nie pomyślałam, że była opiekunka babci musiała mieć swój?! I to na bank, bo przecież nikt go jej nie odebrał...

Uczyniwszy zadość prośbie Rafała, wróciłam do porzuconych papierów. Obok kartki, którą przed chwilą miałam w ręce, dostrzegłam teraz drugą podobną. Obie nosiły ślad po zardzewiałym spinaczu, co sugerowało, że musiały stanowić jakiś komplet.

Ja, niżej podpisana Alicja Zajączkowska - odczytałam na głos - będąca przy zdrowym rozumie, ofiarowuję wszystko, co posiadam, dla przyjaciółki mojej, Klary Alicji Firejko i oświadczam, że nikt z żywych nie ma prawa co do woli mojej rościć żadnych pretensji.

Alicja Zajączkowska.

Pod spodem widniała nazwa miejscowości i data: Soliszka dnia 25 sierpnia Roku Pańskiego 1966.

Druga kartka była niemal identycznej treści, różne były tylko daty, nazwiska darczyńcy i obdarowanej.

Ja niżej podpisany Józef Paruzek, będący przy zdrowym rozumie, ofiarowuję wszystko, co posiadam, dla opiekunki mojej, Alicji Trusiowej Zajączkowskiej i oświadczam, że nikt z żywych nie ma prawa co do woli mojej rościć żadnych pretensji.

Józef Paruzek.

Soliszka dnia 11 marca Roku Pańskiego 1960.

Wyglądało na to, że oba zapiski były swoistymi testamentami, zredagowanymi i napisanymi podług tak zwanego chłopskiego rozumu, przy

czym drugi najwyraźniej wzorowany był na pierwszym. Usiadłam w kucki i wpatrzyłam się coraz bardziej szklistymi oczami na leżące obok siebie „legaty”.

- Oto mam przed sobą dwa nieszczęsne żywoty zupełnie obcych mi ludzi... Oba marnie zakończone, w cierpieniu i samotności - szepnęłam ze ściśniętym gardłem. - A pomiędzy nimi ten cholerski skarb! Kupa szmalcu, w jednym i drugim przypadku ofiarowana z wdzięczności i w nadziei, że oto być może uczynią kogoś szczęśliwym... Gówno, nie skarb! Fatum jakieś przekłete! - zakląłam na głos.

Pełzałam na czworakach, przerzucając bezmyślnie kolejne papiery w poszukiwaniu nowych rewelacji. Zastanawiałam się jednocześnie, jakim cudem przedtem ich nie zauważyłam? Zagadka wyjaśniła się wkrótce. Otóż kufer Alicji pod zblakłą atlasową wyściółką miał sporą, płaską kieszeń, która teraz, rozbebeszona dokładnie, ujawniła wszystkie swoje sekrety... Wciąż wystawały z niej jakieś papierzyska, najwyraźniej mało interesujące dla złaknionego cennego łupu rabusia. Wyjęłam ostrożnie sfatygowane kartki, które po bliższych oględzinach okazały się nadpalonym kajetem, bez okładek, z wierzchu praktycznie w całości zwęglonym. Ostrożnie zaczęłam przewracać jedną po drugiej, usiłując cokolwiek z nich odczytać. Niektóre dosłownie rozsypywały się w czarny pył...

Zabrałam zeszyt i przeniosłam się z nim do stołu. Z pierwszych, z trudem odcyfrowanych słów pojęłam, że trzymam w ręce... pamiętnik babci Alicji!!! Serce dosłownie podchodziło mi do gardła... Zapiski pokrywały się mniej więcej z okresem jej wprowadzenia się do willi w Soliszce.

...że dom spełnia wszystkie moje oczekiwania. Jest tu wszystko, czego mi potrzeba: salon, pokój dzienny, garderoby, dwie łazienki, trzy sypialnie. Umebłowanie jest równie eleganckie jak w moim rodzinnym domu. I ten ogród! Wciąż się nim upajam, wychodząc do niego wprost z salonu! Jest mnóstwo kwiatów, oryginalnych krzewów i cienistych drzew...

Dalej następuje szczegółowy opis każdego najdrobniejszego sprzętu, któremu towarzyszy nieustanny, pełen zdumienia zachwyt. Przewracałam kartkę po kartce, szukając bardziej istotnych notatek. Jeszcze przez

wiele stron Alicja opisywała ostateczną kosmetykę poszczególnych pokoi. Potem zabrała się chyba do kompletowania garderoby i tu znów następował opis każdej z nabytych sukienek czy par butów. Pomięłam kilka stron podobnych relacji i przeszłam do etapu fascynacji lekturą. Tu z kolei Alicja zabrała się do recenzowania przeczytanych książek. Przerzuciłam kilka kolejnych kartek. Później był opis świąt Bożego Narodzenia i pierwsza wzmianka o Trusiowej:

...siedziałyśmy razem przy stole, ja i ona, skazane na siebie chyba na wieczność. Zastanawiałam się, czy ona mogła być temu rada? Czy taka kobieta, zahukana, nieumiejąca patrzeć prosto w oczy, w tej swojej wiecznej chuścinie na głowie i wiecznym filcowym obuwiu, może być szczęśliwa? Czy można poczuć się spełnionym, jedynie patrząc, zamiast przeżywać, dając i nie oczekiwając w zamian niczego? Miałam przed oczyma jej wieśniaczą twarz i zastanawiałam się, czy to w ogóle możliwe?

Tak właśnie brzmiała zawarta w pamiętniku refleksja babci na temat Trusiowej. Sucha, beznamiętna i jakby wręcz nieżyczliwa...

Nagle zadzwonił telefon. Odszukałam w pośpiechu torebkę. Tak jak się spodziewałam, to był Rafał.

- Cześć, kochanie moje! Mam sekundkę wolnego czasu, więc postanowiłem spytać, czy u ciebie wszystko okej?

- Jak najbardziej - odparłam ze sztucznym entuzjazmem.

- Trochę tu sprzątam, wiesz? Staram się gdzieś poupychać to wszystko - kłamałam, uświadamiając sobie jednocześnie, że przed jego przyjazdem będę naprawdę musiała stworzyć choćby pozory porządku.

- Nie martw się o mnie - dorzuciłam.

- Prostuj tam sobie spokojnie utrapionych i nieszczęśliwych, a ja tu zrobię swoje.

Widać to, co mówiłam, przekonało go całkowicie, gdyż zupełnie spokojnie i bardzo cieplutko pożegnał się ze mną „tymczasem” i wrócił do swoich zajęć.

Wrzuciłam telefon do torebki i czym prędzej pobiegłam do pamiętnika. Od kolejnej kartki zaczynał się nowy, 1967 rok. Tutaj z kolei Alicja opisywała długie, zimowe wieczory, od czasu do czasu uatrakcyjniane spacerami po okolicy, tradycyjną już lekturą bądź słuchaniem muzyki

z gramofonu. Była wyraźnie zafascynowana Sławą Przybylską i Anną German. Pomiędzy peanami na cześć swoich ulubionych wykonawczyń zamieszczała nawet teksty poszczególnych utworów. Miałam wrażenie, że Alicja-Klara powoli zaczyna się po prostu nudzić w swojej złotej klatce... Utwierdziła mnie w tym przekonaniu nieco późniejsza nota o konieczności zakupu telewizora. Dalej są już równie wzniosłe i egzaltowane wynurzenia, ale nic osobistego. Pomyślałam, że ten dziennik prowadzony był z założeniem, że ktoś kiedyś go przeczyta, i miał na celu jak najkorzystniejsze wykreowanie wizerunku jego autorki... Nie było bowiem w tej pisaninie żadnych potocznych wyrażań, żadnych wschodnich naleciałości ani typowych babcinych powiedzonek, które przecież znała i chętnie operowała nimi do samego końca. Potrafiła jednak posługiwać się doskonałą polszczyzną, czego wyraz dawała niejednokrotnie w wymagających tego sytuacjach, i takiego języka używała właśnie tutaj. Kolejną notę na temat Trusiowej znalazłam dopiero gdzieś w połowie roku.

Cóż za prowincja! Jakaż obcesowość! – żaliła się babka.

- Tutejsi ludzie są coraz bardziej mną zaciekawieni i posuwają się nawet do tego, by zaglądać mi przez ogrodzenie! Nieszczęsna Trusiowa prawie codziennie jest nagabywana na mój temat! A cóż we mnie i moim życiu takiego intrygującego? Nawet gdyby nieboga miała życzenie zaspokoić ich ciekawość, wystarczyłyby raptem cztery nudne zdania...

W tej krótkiej wzmiance dość mocno mnie uderzyło, że babcia, tak jak wszyscy, nazywa swoją przyjaciółkę Trusiową.

Była w tym jakaś pogarda, choć może tylko dość wyraźny dystans... Bo przecież kiedyś tam, kiedy rzeczywiście istniały między nimi innego rodzaju relacje, Trusiowa miała i imię, i nazwisko! A skoro obie były niegdyś nauczycielkami – w nagłym przebłyску zaczęłam łączyć ze sobą pewne fakty – niewykluczone, że mogły się rzeczywiście przyjaźnić również na gruncie prywatnym. Dopiero cała ta straszliwa akcja przesiedleńcza je rozdzieliła, by później, na nieszczęście dla Trusiowej, znów się odnaleźć...

Pod koniec lata Alicja zaczęła się bawić. Już jakby trochę przestało jej przeszkadzać prostactwo tubylców, w związku z czym zaczęła bywać na festynach i potańcówkach. Śmieszyło ją nabożne zainteresowanie ze strony mężczyzn, zawiść żon i zachwyty wiejskich dzierlatek. Do końca

zeszytu zostało raptem parę kartek i zanosilo się na to, że już nic istotnego się nie wydarzy. Przebiegłam oczami pozostałe stronic.

...pod drzwiami znów znalazłam kwiaty. Doprawdy, ten smarkacz zaczyna mnie rozczulać!

Kiedy mój wzrok padł na te słowa, zaczęłam gorączkowo kartkować zeszyt do tyłu. Ale wcześniej nie było żadnej wzmianki na temat owego „smarkacza”. Później, owszem, głównie on był już przedmiotem jej wy-nurzeń. Alicja pisała o nim najpierw w tonie żartobliwo-pobłaźliwym, aczkolwiek dość sporo i najwyraźniej bardzo chętnie. Sprawa jakby zaczęła się rozkręcać z początkiem następnego roku, kiedy wyraźnie zma-gała się z rosnącą ku niemu przychylnością. Z coraz rzadszych, ale utrzymanych w coraz bardziej „ludzkiem” tonie notatek wynikało, że za-kochała się na zabój:

27 września

Boże mój, wiem, jakie to niewłaściwe, rozkochać w sobie tak młodego chłopaka, ale cóż mam z tym począć, skoro i ja życia bez niego nie widzę? We wsi już wiedzą. Omijają mnie jak trę-dowatą. Obgadują do Trusiowej, odsądzają od czci i wiary! Ciekawe, ile z tych świątobliwych bab okazałoby się mocnymi wo-bec tak wielkiego uczucia? Jestem jednocześnie szczęśliwa i tragicznie nieszczęśliwa. Jestem kochana i kocham! Ale za ja-ką cenę, Boże? Dlaczego dozwoliłeś mi ulokować swoje uczucia w tak nieodpowiednim mężczyźnie? Jestem bezsilna wobec swo-jego serca, tak rozpaczliwie bezsilna! On oczywiście mnie wspiera, pociesza, ale to przecież prawie dzieciak jeszcze! Wczoraj byliśmy w Zielonej Górze, w restauracji, i tam całkiem niespodziewanie mi się oświadczył. Przyniósł pierścionek, mó-wił, że wkrótce kupi obrączki. Co robić? Może gdybyśmy rze-czywiście wzięli ten ślub, pokazałabym wszystkim, że nie jest tak, jak sobie myślą? Że on nie jest dla mnie jedynie zabawką? Co robić?

Ostatnie zdania podkreślone były grubą krechą, pisane widać pod wpływem silnych emocji. Kolejna notatka poprzedzona była sporą prze-

rwą w czasie, widać Alicja była mocno zajęta... Jednak wydarzenie, o którym w niej wspomniała, było ze wszech miar godne odnotowania:

12 czerwca

Jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko!!! Boże mój, nigdy nie myślałam, że jeszcze zostanę matką! Bronek cieszy się jak wariat i już się zastanawia, gdzie będę rodziła. W końcu poród w moim wieku może wymagać lepszych fachowców niż wiejska położna. Na razie zostało ustalone, że dziecko przyjdzie na świat tam, gdzie weźmiemy ślub. To przecież nawet całkiem logiczne. Bronek dosłownie nosi mnie na rękach, dogadza i dokarmia. Teraz już wiem, że miłość nie zna przeszkód, a szczęście nie ma wieku!

W tym momencie znowu zadzwonił telefon. Nie odebrałam. Cała w wypiekach chciałam jak najszybciej doczytać do końca. Przecież Alicja pisała tutaj także o mnie! To nie była jakaś głupia, niechciana wpadka! Ona autentycznie cieszyła się z mojego przyjścia na świat!

Przewróciłam kartkę, ale na odwrocie już nic na ten temat nie było. Później znów przerwa i następny entuzjastyczny wpis:

2 sierpnia

Jesteśmy już po ślubie! Nie będziemy tego ukrywać. Mój ukochany mąż od dziś zamieszka razem ze mną i już od teraz wszystko będzie dobrze. Już nie będę się bać ani wstydzić. Siedzimy sobie we dwoje w salonie, on w ciemnym garniturze, a ja w mojej ślubnej sukni z kremowej koronki. Stół zastawiony jest przepięknie! Trusiowa tak wszystko cudnie przygotowała. Mimo rozdarcia pomiędzy ludźmi ze wsi a moim „grzesznym” żywotem, nadal chyba jest po mojej stronie. Jest szampan, świece i wyłącznie zimne przekąski. Nie będę przecież biegła do kuchni w dniu własnego wesela, nie chcę też, aby Trusiowa kręciła się dziś między nami! Jestem taka podekscytowana! O tak! Jedyne, czego było mi trzeba, to tego naszego pierwszego, legalnego sam na sam!

Następny wpis, niestety, nie zapowiadał się już tak radośnie...

28 sierpnia

A jednak, nie mogę tak żyć. To jest labirynt bez wyjścia, ślepa ulica z urwiskiem u kresu! Być może mój stan mnie tak uwrażliwia, ale nie potrafię już słuchać spokojnie tego, co ludzie opowiadają do Trusiowej. Tych potwarzy, kalumni, podłych oszczerstw i wymysłów! Dlaczego? Za co? Czy kobieta w moim wieku nie może być tak zwyczajnie, bezkarnie szczęśliwa? Czy moje szczęście kogoś boli? Ja wiem, że nasze małżeństwo jest nietypowe, może nawet szokujące. Ale czy to powód, aby je nam zniszczyć? Do mnie co prawda nikt nie przychodzi, mnie nie czynią wyrzutów, nie mają odwagi. Wszystkie obrzydliwości pod moim adresem wygłaszają do Trusiowej. Już nie umiem, nie potrafię tego znieść. Wszystko to drażni mnie do granic możliwości. Drażni mnie ta nieopisana zależność i ona sama, niezguła, żyjąca moim życiem. Nie mogę nawet wyjechać, bo ona nie zostanie tu beze mnie. Nie mogę jej stąd wyekspediować, bo ona beze mnie nigdzie się nie ruszy...

Moja komórka zadzwoniła ponownie. Wrzuciłam ją razem z torebką do sypialni i zamknęłam drzwi.

...Coraz częściej myślę o tym jednym, jedynym rozwiązaniu, dochodząc do wniosku, że nie ma na tym świecie miejsca dla nas obu. Przecież ludziom zdarzają się różne nieprzewidziane wypadki! Ta pokusa spędza mi ostatnio sen z powiek, podsuwając wyobraźni rozmaite wersje wydarzeń. Wiem tylko jedno, muszę ratować siebie! Dla nas i dla naszego dziecka! Muszę ocalić naszą miłość za każdą możliwą cenę...

•

Rafał zastał mnie klęczącą obok kufra, w kamiennej pozie.

- Co ty wyprawiasz, Klaro? - spytał poirytowany. - Nie odbierasz telefonów, nie dajesz znaku życia, a ja od zmysłów odchodzę!

- Która godzina? - zapytałam apatycznie.

- Osiemnasta. Przesunąłem dwie wizyty, zamknąłem gabinet i przyleciałem jak wariat! Co się stało?

- Nic...

- Klaro? - Rafał obrócił mnie ku sobie. - Ty płaczesz?

- Nie - załkałam cicho. - Skąd. Szkoda... że ten dom naprawdę nie zapadł się pod ziemię! Już dawno powinno go piekło pochłonać z całym jego cholernym dobrodziejstwem!

- Ale... Dlaczego? - dopytywał się, coraz bardziej niespokojny. - Co tam znowu znalazłaś?

- Nic! Przecież mówię! - wykrzyczałam przez łzy. - Co najwyżej... Instrukcję obsługi do takich przypadków jak nasz!

I... takich przypadków więcej nie będzie, a w każdym razie w tej rodzinie!

- Boże mój, kochana, co ty mówisz? - Rafał przycupnął obok mnie.

- Mówię - spojrzałam mu prosto w oczy - że akurat! Że w samą porę! Ja nie zrobię podobnej głupoty jak... Alicja! Ona poszła za głosem serca, ale to był głupi głos i wszystko skończyło się tragedią! A teraz koło się zamyka... Ale ja jeszcze mam wybór, moja decyzja jeszcze przede mną! O, nie, Rafale! Lepiej trzymać się od takich ryzykownych związków z daleka! Na początku owszem, wszystko jest pięknie, ale kiedy zaczynają się pojawiać komplikacje, skutki mogą być nieprzewidywalne!

Rafał przez chwilę rozważał coś w sobie, po czym wstał i podniósł mnie z podłogi.

- Co to znaczy ryzykownych? - spytał, marszcząc brwi.

- Takich właśnie! Związków... nieodpowiednich kobiet z niewłaściwymi mężczyznami! Historia lubi się powtarzać, czyż nie? Los często pisze te same scenariusze!

- Rany boskie, Klaro! Między nimi była różnica dwudziestu pięciu lat, bo przypuszczam, że to masz na myśli... Ich historia wydarzyła się niemal pół wieku temu, w atmosferze totalnego ciemnogrodu! Przy nich my jesteśmy prawie rówieśnikami! Klaro! Opanuj się, błagam! - Rafał potrząsnął mną lekko, chwytając za ramiona. - I to była głupota, mówisz? Wiesz, co naprawdę było ich największą głupotą? Konformizm!

- Nie, ty nie wiesz wszystkiego! - Wcisnęłam mu w rękę kajet, otwarty na dwóch ostatnich zapiskach.

Rafał przebiegł szybko po nich wzrokiem i rzucił zeszyt za siebie.

- Właśnie o tym mówię, Klaro! Że nie potrafili obronić swojej miłości, stanąć odważnie naprzeciw całemu światu i zwyczajnie chrzanić to

głupie ludzkie gadanie!

- Przeciwnie! Ona miała to wszystko głęboko w nosie, ale ta Trusiowa...

- A dlaczegoż to owa Trusiowa miała być jej jedyną i uprawnioną przedstawicielką wśród ludu? Dlaczego Alicja kryła się w czterech ścianach, zamiast spacerować po wsi z podniesionym czołem i małżonkiem u boku? - sarkał. - Zapewniam, że najciemniejszy nawet tłumok prędko opatrzyłby się z takim widokiem i uznał go za normę. Bo najsmakowitsze nawet sensacje bardzo szybko ulegają rozkładowi pod wpływem światła dziennego!

- Nie, Rafał - wyszeptałam smętnie. - To znak. To nie jest przypadek, że ten dziennik odnalazł się akurat dzisiaj. Przeglądałam ten kufer wielokrotnie, czytałam świstek po świstku i niczego istotnego nie znalazłam! A kiedy sprawy między nami nabrały tempa, musiało stać się coś takiego, żeby zapiski Alicji wpadły wprost w moje ręce! To ostrzeżenie!

- Ale przed czym, na miłość boską?! - Rafał z minuty na minutę tracił resztki opanowania. - Możesz mi to wyjaśnić?

- Nie wiem. Ale wiem, że jeśli jest przyczyna, zawsze jest też jakiś skutek! Nie, nic z nas nie będzie, Rafale. Mówię ci to z całym przekonaniem i stanowczością!

- A ja ci mówię, z całym przekonaniem i stanowczością, że zrobię wszystko, żeby było inaczej! Choćbym miał... świat do góry przewrócić! Ja nie dam sobie odebrać ukochanej kobiety tak łatwo jak twój ojciec!

- Milcz! - wrzasnęłam histerycznie. - Na temat mojego taty proszę się nie wyrażać w ogóle! On tutaj ucierpiał najwięcej!

- I tu się akurat z tobą zgadzam!!! - Rafał podniósł głos.

- Klaro - odezwał się po chwili, już znacznie spokojniej. - Czy możesz mi powiedzieć, o co konkretnie ci chodzi? Gdzie w tym wszystkim - skinął głową w stronę kufra - znalazłaś argument, że my, ty i ja, nie możemy być razem?

- Znalazłam go w sobie! To wszystko razem mnie przeraża, paraliżuje, napawa obrzydzeniem i grozą! Wiesz, co ja teraz widzę? Krew!!! Alicję, Trusiową i tę straszną, niewyobrażalną tragedię! Przez faceta, rozumiesz?! Nie umiem ci tego inaczej wyjaśnić! Rzygać mi się chce! Brzydę się i nią, i sobą! Być może spotkaliśmy się w złym momencie, że... akurat moja babcia... a raczej... mama... Że to wszystko teraz wy-

szło na jaw, nałożyło się na siebie, pomieszało... Nie, Rafale. Ja nie chcę się już w nic wikłać. Jestem dojrzałą kobietą, dam sobie radę. Jutro wyjeżdżam do rodziców. Pozbieram się powoli, znajdę jakieś zajęcie i święty spokój. Sama.

- To szok, Klaro! - Rafał mocno objął mnie ramionami.

- Ale minie, zobaczysz!

- Nie. To nie szok, tylko świadoma decyzja! - Wyplątałam się z jego uścisku. - Proszę, zostaw mnie teraz samą...

Ignorując moją prośbę, Rafał chwycił mnie za rękę i sprowadził na dół, do kuchni.

- Usiądź! - zarządził i postawił czajnik na gazie. - Gdzie trzymasz herbatę?

- W tej zielonej puszcze - skinęłam głową w stronę szafki.

- Masz, zażyj to. - Podał mi małą, białą tabletkę.

Gorący płyn parzył mi usta, ale posłusznie zastosowałam się do jego polecenia. Rafał przez dłuższą chwilę gładził w milczeniu moją dłoń.

- Posłuchaj! - odezwał się wreszcie. - Wysłuchaj mnie w miarę uważnie i nie przerywaj, okej?

Skinęłam głową.

- Po pierwsze, przez kilka najbliższych dni nie podejmuj żadnych decyzji, nie tylko tych dotyczących nas, ale po prostu, żadnych. Pozwól sobie trochę ochłonąć.

Ponownie skinęłam głową. Kilka dni, okej. Tyle w zasadzie mogłam zrobić.

- Po drugie, nie masz najmniejszej pewności, że Alicja rzeczywiście kogokolwiek zabiła!

Wytrzeszczyłam na niego oczy, ale on gestem powstrzymał mnie od komentarza.

- Bo przecież - ciągnął - w jej pamiętniku nie ma na ten temat ani słowa! Są tylko jakieś mgliste, niejednoznaczne plany. A może zawarły jakiś układ i Alicja rzeczywiście ją dokądś wywiozła? Za takim tokiem rozumowania przemawia jeszcze jedna sprawa: nikt w Soliszce ani w okolicach nie wspomniał o grobie tej ich świętej męczennicy. Ja wiem, nie pytaliśmy o to, ale zauważ, że ludzie opowiadali o ufundowanej przez nią kaplicy jak o miejscu szczególnego kultu, o tablicy wmurowanej na jej cześć, jednym głosem opiewali jej zalety, ale nikt nie wspo-

niał o miejscu jej pochówku! Przecież, jak na lokalną świętą przystało, powinny się tam odbywać regularne pielgrzymki!

Tu już nie wytrzymałam i złamałam daną Rafałowi obietnicę.

- Rozumiem, że ty teraz będziesz się imał czego się da, ale mnie zwłoki Trusiowej nie są do niczego potrzebne! Wystarczy mi świadectwo własnego ojca, który tam wówczas był i widział! - wyrzuciłam z siebie jednym tchem.

- Gdzie był? Na miejscu zbrodni? I co widział, Klaro? Widział całe to morderstwo? - Uśmiechną się sceptycznie.

- Nie! Widział Kler, potarganą, zakrwawioną i rozhisteryzowaną! I słyszał z jej własnych ust, że zabiła Trusiową! Mówiłam ci przecież!

- No właśnie. Ale mówiłaś też, że ojciec nie widział zwłok.

- Bo je za-ko-pa-ła! Kapujesz? O tym też ci mówiłam!

- Ach tak - sarknął Rafał. - Frau Kler też przecież została zutylizowana do ostatniego paznokcia...

- O co ci chodzi właściwie?!

Chyba lek, który podał mi Rafał, właśnie zaczynał działać. Czułam, jak moja wojowniczość dość szybko zamienia się w apatię...

- Mam do ciebie prośbę, moja miła - rzekł, ignorując moje pytanie. - W zasadzie pół prośby, bo już częściowo wyraziłaś zgodę. Obiecałaś mianowicie, że nie będziesz w najbliższym czasie podejmowała żadnych decyzji.

- Pamiętam - mruknęłam niechętnie.

- Nie będziesz?

- Nie będę.

- Wobec tego... Bardzo cię proszę! Idź teraz na górę i wrzuć te wszystkie szpargały z powrotem do kufra. Ja - spojrzał na zegarek - wrócę tu za jakąś godzinę i zrobimy z całym tym majdanem porządek. Raz na zawsze!

- Ale... jak?

- Jak? - zawahał się Rafał. - Moim zdaniem nie było żadnej tragedii. Ale masz rację, głupota, i to niebotyczna, jak najbardziej. I ty chcesz ją dzisiaj powtórzyć: zaprzepaścić naszą przyszłość. Mam pewną... hipotezę, i ci ją udowodnię. Zobaczysz!

- To znaczy?

- Jeszcze nie wiem, a tymczasem zrób, o co proszę. Dobrze?

- Dobrze.

Rafał wyszedł, a ja zabrałam się do spełniania jego prośby. Szło mi opornie i niemrawo, zbierałam te kartki i zbierałam, a ich jakby ciągle przybywało.

- Ciekawe, czym on mnie naszpi... naszpico... naszpikulcykował?! - mruknęłam półgłosem, pełzając po dywanie.

Skupiłam się na swoim zajęciu tak mocno, że radowała mnie teraz niezmiernie każda ułożona równiutko obok siebie sterta. Kiedy już wszystko do ostatniego papierka pedantycznie postertowałam, włożyłam do kufra jedną kupkę po drugiej. Kufer wsunęłam pod stół, zdewastowane biurko Ernesta nakryłam haftowanym obrusem i zrobiło się całkiem gites...

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zeszałam do kuchni i dokończyłam na wpół zimną herbatę. Za oknem zaczęło się ściemniać. W mglistej poświacie ulicznej latarni dostrzegłam drobne, wirujące płatki śniegu. Zmartwiło mnie to trochę, choć właściwie nie umiałam sobie wytłumaczyć dlaczego. Według prognoz miało mieć się ku wiosnie, ale mnie było raczej wszystko jedno. Analizowałam zatem to swoje zmartwienie, nie mogąc w żaden logiczny sposób połączyć go z padającym śniegiem. Drogą jakichś niejasnych skojarzeń doszłam do wniosku, że zrobię sobie jeszcze jedną herbatę. Wzięłam w rękę czajnik i stanęłam przy zlewie. W tym momencie przy drzwiach wejściowych rozległ się nieziemski tumult. Z czajnikiem w dłoni całkiem spokojnie udałam się w stronę dobiegającego mnie hałasu.

- O? - zdziwiłam się na widok Rafała, strząsającego z przytupem śnieg z obuwia.

- I jak? Wszystko w porządku? - Wszedł do salonu, wlokąc za sobą chłodny powiew.

- Tak... Wporządku - odparłam, wlepiając wzrok w dzierzoną przez niego walizę. - Wyjeżdżasz dokądś?

- Na razie wprowadzam się do ciebie. - Uśmiechnął się, zaglądając mi w oczy. - Ale owszem, wyjeżdżam też. Jak się już lepiej poczujesz .

Zrzucił wilgotny płaszcz, zabrał mi z ręki czajnik i postawił na ogniu.

- Kawa? Herbata? - spytał.

- Herbata...

- Właśnie, herbata i jakaś kolacja do tego. Co my tu mamy?

- Zajrzał do lodówki, a potem przejrzał wszystkie szafki.

- Klara! Czy ty dziś w ogóle jadłaś?! Nie, oczywiście - skonstatował, nie czekając na odpowiedź. - Przecież tu niczego nie ma!

- Są! Su... sasu... supki chińskie! Cała masa! - oznajmiłam z wyższością.

Rafał uniósł moją twarz do światła i zajrzał mi w oczy.

- Dureń ze mnie - mruknął. - Powinienem był dać ci tylko połówkę... Ale nic to, zjesz coś i zaraz ci przejdzie...

Po jakimś bliżej nieokreślonym czasie w domu zjawił się młody człowiek z licznymi pakunkami w rękach. Rafał odprawił go szybko, rozłożył pakunki na stole, a one natychmiast zaczęły wydzielać nieziemsko przepiękną woń.

- Nie wiem, czy lubisz, ale musisz! - powiedział, podsuwając mi jeden z nich pod nos. - Pierś z kurczaka z ryżem i warzywami.

Jadłam powoli, z każdym kęsem coraz intensywniej odczuwając smak oraz przyjemne ciepło rozchodzące się po całym ciele. Po chwili z całą wyrazistością zobaczyłam przed sobą twarz Rafała, który był bez wątpienia zupełnie realny i na jawie. Szara mgła, którą miałam przed oczami, zaczęła ustępować miejsca żywym obrazom. Rafał spożywał w skupieniu, ale pod wpływem mojego wzroku przerwał i spojrzał mi w oczy.

- Smakuje? - spytał.

- Tak, bardzo dobre... Chyba byłam rzeczywiście porządnie głodna. Dziękuję.

- Kocham cię - oznajmił mi z tego, ni z owego.

Nie uciekłam spojrzeniem. Wytrzymałam. Patrzyliśmy tak na siebie, jakby mocując się wzrokiem.

- Pójdę na górę - bąknęłam. - Mam teraz ochotę na gorącą, relaksującą kąpiel...

- Myślę, że to ci dobrze zrobi. - Uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

Siedząc w wannie, powoli odtwarzałam w pamięci cały dzisiejszy dzień, a potem trzy poprzednie i jeszcze dwa wcześniejsze. W zasadzie chwile spędzone z Rafałem były tylko wagarami od codziennego życia, wypadem w nieznaną w trakcie paskudnie trudnej lekcji... Jakby nie było, mój problem nadal trwał, z krótkim przerywnikiem na łyk osobistego szczęścia, które niczego przecież nie zmieniało... Bo nie może zmienić!

- usłyszałam własny głos, wzmocniony echem odbitym od seledynowych kafelków.

- Owszem, może. - Nagle w drzwiach łazienki pojawił się Rafał. - I zmieni. Ja zmienię!

Zaskoczona jego nagłym wejściem, mimo że tkwiłam po samą brodę w pianie, skuliłam się odruchowo.

- Co tu robisz? - wyjąkałam po chwili.

- Jestem - odparł po prostu. - I tego właśnie nic nie zmieni. Nikt i nic!

Podszedł do mnie, kucnął przy brzegu wanny i wplótł palce w moje mokre włosy.

- Chodź, bo się rozpuścisz - szepnął mi w ucho, muskając je delikatnie ustami.

- Proszę, daj mi spokój. Chcę zostać sama! Sama w tym domu - spreyczowałam.

- Mowy nie ma. Wyjdiesz w końcu z tej wanny czy mam cię wyłowić?

- Odwróć się! - zażądałam.

- Nie - odparł kategorycznie i zamiast tego podał mi wielki kąpielowy ręcznik.

Wynurzałam się z piany partiami, otulając ręcznikiem kolejne części ciała. Nagle Rafał złapał mnie w pół i taką, jak stałam, mokruteńką jak nieszczęście, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Sprawiał wrażenie zupełnie niezrażonego moimi protestami i okrzykami oburzenia. Z każdą nową przychodzącą mi na myśl inwektywą zamykał mi usta mocnym pocałunkiem. Nasze słowno-siłowe zmagania nie trwały długo. Po chwili całkowicie zatraciłam się w jego ramionach, poddałam jego ustom, dłoniom, czułym szeptom... Świat zawirował znowu, a ja nie zrobiłam nic, aby go zatrzymać...

•

Następnego dnia razem ze śniadaniem Rafał zaaplikował mi jakiś syrop. Przytaskał to wszystko do mojego łóżka, w formie i postaci, która sugerowała, że wczesnym świtem musiał poczynić jakieś zakupy. Syrop miał mnie wzmocnić. Nie dociekałam, co konkretnie i w jaki sposób,

efekt w każdym razie był taki, że przespałam kolejne pół dnia. Kiedy się obudziłam, on siedział obok mnie.

- Przez cały czas tu jesteś? - spytałam, niezupełnie jeszcze przytomnie.

- Nie - uśmiechnął się. - Ale doglądam cię systematycznie.

- A... dlaczego nie jesteś w pracy?

- No cóż... powiedzmy, że mam tak zwaną wizytę domową.

- Pytam serio! Przecież nie możesz sobie chyba ot, tak zamknąć gabinetu i łazienki, dokąd ci się podoba?

- Ot, tak sobie rzeczywiście nie mogę. Ale to da się załatwić.

- No, to ja raczej marnie widzę twoją zawodową reputację!

- Spojrzałam na niego z dezaprobatą.

- Bez obawy. - Wzruszył ramionami. - Za reputację zawodową zabiorę się solidnie, jak załatwię ważniejsze sprawy.

- Nie obawiasz się, że stracisz stałych pacjentów?

- Na tym etapie działalności nie mam jeszcze czego tracić. Najbardziej się obawiam, że mógłbym stracić ciebie - westchnął ze smutkiem.

- A ty jesteś dla mnie tą ważniejszą sprawą.

- To znaczy że co? - Uniosłam się na łokciu. - Będiesz tu przy mnie tkwił, aż... aż... No właśnie? Aż co?

- Nie będę tkwił, kochanie moje. - Rafał pogładził mnie po twarzy. - Będę działał! Jutro wyjeżdżam, zaraz z rana. Mówiłem ci o tym, ale nie wiem, czy pamiętasz. Mam coś ważnego do załatwienia.

- Do...kąd wyjeżdżasz? - spytałam urywanym głosem, ponieważ przeraził mnie ten jego tajemniczy projekt.

- Mniejsza z tym. Nie pytaj. Wrócę najdalej za dwa dni.

- Ale po co wyjeżdżasz?! Tego też mi nie powiesz?

Rafał wygładził troskliwie fałdy na kołdrze, poprawił mi poduszkę pod głową i nie odezwał się ani słowem.

- Dobrze, jak sobie życzysz! Nie będę pytać - oznajmiłam urażona. - Uszanuję twoje tajemnice.

- Nie chodzi o żadne moje tajemnice. - Westchnął głęboko.

- Tylko... nie chciałbym poruszać na nowo... pewnych tematów. Jeszcze nie teraz.

- Ależ poruszaj, śmiało! - Zaśmiałam się gorzko. - One i tak są, czy się je rusza, czy nie!

Rafał wahał się, dłuższą chwilę wpatrując się we mnie z autentyczną troską.

- Zamierzam odszukać Alicję Zajączkowską.

- Ccc... co? Co zamierzasz? - W pierwszej chwili wydawało mi się, że się przesłyszałam.

- Mam zamiar - powtórzył Rafał, głośno i wyraźnie - odnaleźć niejaką Trusiową. I przywieźć ci ją tutaj, żywą lub umarłą, z jak najbardziej naturalnych przyczyn.

- Oszałałeś? A cóż to znowu za pomysł?! - Wystraszyłam się nie na żarty, mając przed oczami obraz Rafała uginającego się pod ciężarem zmurszałej trumny. - Chcesz ją ekshumować? Mało się nieszczęsna za życia nacierpiała, żeby jeszcze teraz zakłócać jej spokój?

- Źle mnie zrozumiałaś. Albo ja nie wyraziłem się jasno - pospieszył z wyjaśnieniem. - Jestem po prostu jakoś dziwnie przekonany, że cała ta Trusiowa gdzieś sobie żyje i nieźle się miewa, a jeśli już nie żyje, zmarła sobie całkiem zwyczajnie pod pierzyną i spoczywa w pokoju.

- Bzdury pleciesz! Coś ty sobie w ogóle... wykoncypowałeś?

- Ano to, że nie spocznę, póki nie wyjaśnię wszystkiego do końca. Klaro, ja sobie ciebie nie odpuszczę!!! Powtarzam to już po raz któryś z kolei. Jeśli z powodu tej historii masz hodować w sobie jakieś fobie, zatruwać umysł i duszę, przeżywać wszystko wciąż na nowo, to ja wykorzystam każdą jedną szansę. Bo coś mi mówi, że tutaj jest jakiś kant...

- Rafał... - szepnęłam przejęta. - Proszę cię, daj spokój! To naprawdę... niepotrzebne!

- Potrzebne, Klaro. Tobie, mnie, nam... Zobaczysz, jak wrócę, wszystko będzie inaczej. Tak czuję i tak będzie!

- Nie jedź - poprosiłam cicho. - Daj mi tylko trochę czasu... Postaram się sama z tym jakoś uporać i może za jakiś czas, kiedyś...

Wolno pokręcił głową.

- Już postanowiłem. Nie będzie żadnego „kiedyś, być może”. Będą fakty, dzięki którym przestaniesz utożsamiać siebie z Kler, a mnie z twoim ojcem. Bo w tym tkwi twój problem. Prawda?

Zignorowałam jego pytanie, uznając, że później się nad tym zastanowię...

- A jeśli tylko potwierdzisz, czarno na białym, że Alicja ją zabiła? Co wtedy? - spytałam.

- Tak czy inaczej niczego gorszego się nie dowiem - odparł ponuro. - Jedno jest pewne: będziesz moja, chcesz czy nie. Bo sama powiedz, czy niedobrze nam razem?

- Im też było dobrze - odparłam z ironią. - Do czasu...

- Z nami będzie inaczej!

- Bo?

- Bo ty nie jesteś Kler, a ja nie jestem Bronkiem! Rozumiesz? Musisz radykalnie oddzielić od siebie te dwie sprawy.

Na dźwięk jego słów jakiś dziwny dreszcz przebiegł mi po całym ciele.

- Rafał, nie jedź tam, proszę.

- Dlaczego?

- Bo... cię proszę! Zrezygnujesz z tej bezsensownej wycieczki?

- A ty? Zrezygnujesz z wyjazdu do rodziców?

- Nie. Ale poczekam do twojego powrotu, jak obiecałam.

- Wobec tego nie mam innego wyjścia.

13. Sekret Trusiowej

Wczoraj wczesnym rankiem wyjechał. Nie wiedział, że od dawna już nie śpię. W końcu syrop, którym systematycznie mnie poił, powinien działać jak należy. Widać jednak nie zmógł moich utrapień do końca...

Podczas gdy On niemal bezszelestnie poruszał się po domu, starałam się leżeć w całkowitym bezruchu, oddychając cicho i rytmicznie, jak we śnie. Niepotrzebne mi były żadne zbędne słowa ani ckliwe gesty. Wszystko, co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Czekałam w bezruchu na zgrzyt klucza w zamku, by wstać i wbrew danej Mu obietnicy znów dobrać się do kufra. Od teraz przestałam wypowiadać w myśli jego imię... Chciałam Go w ten sposób odrealnić, odcieleścić... Jeśli przyjdzie mi żyć bez niego, niechby funkcjonował w mojej pamięci jako On, mężczyzna o powoli zacierających się rysach twarzy, zapomnianej barwie głosu, a wszystko, z czym mi się skojarzy, będzie jedynie ciepłym muśnięciem w okolicy serca...

Delikatny pocałunek tuż przed Jego wyjściem był w jakimś sensie negacją moich myśli. Obietnicą, że będzie zupełnie inaczej, a jedyne „inaczej”, jakie mogłoby w tej sytuacji nastąpić, to całkowity zwrot ku dobru. Nie miałam pojęcia, co mogłoby się wydarzyć, aby taki zwrot był możliwy, ale podobno nie ma na świecie rzeczy niemożliwych... To my sami je stwarzamy poprzez wewnętrzne opory i zahamowania...

Od wczoraj snuję się po domu w kapciach i szlafroku. Donikąd się nie śpieszę, o nic nie zabiegam, a rytm mojego dnia reguluje jedynie burczenie w żołądku. Piję zimną kawę przy koślawym, pochylonym na jedną stronę biurku w towarzystwie portretu babci i przywołuję w pamięci obrazy z minionego półrocza, uzupełniając nimi niejasne do tej pory wątki mojego własnego życia. Babci właśnie, bo chyba nigdy nie będę umiała nazywać jej inaczej...

Po raz kolejny wyjęłam z kufra jej notatki i wolno, bez pośpiechu układałam na biurku. Kajet rozpadł się na luźne kartki, kiedy On trza-

snał nim o podłogę. Teraz było mi nawet łatwiej, bo umieszczając je obok siebie chronologicznie, miałam ogląd całości. Pomiedzy nimi starałam się układać inne papiery, opatrzone podobnymi datami, jakie figurowały na poszczególnych zapiskach. Nie wносиło to zbyt wiele w moją dotychczasową wiedzę, dawało jednak poczucie robienia czegośkolwiek w tej sprawie. Powoli zmieniało się także moje nastawienie do Alicji. Z każdą kolejną lekturą jej dziennika te same nakreślone pochyłym pismem słowa zyskiwały inne znaczenie. Jej najskrytsze wynurzenia dotyczące młodego kochanka z gorszących czy wręcz wulgarnych przeistaczały się w szczere do bólu dylematy zakochanej kobiety. Wewnętrzny dramat, jaki niewątpliwie rozgrywał się w jej duszy, stawał się powoli moim własnym dramatem, a lęki i obawy – moimi obawami... – Czy Alicja rzeczywiście miała obowiązek opowiedzenia mi się ze swojej przeszłości? – zastanawiałam się, z zupełnie innej już perspektywy. – Być może. W tych najistotniejszych kwestiach pewnie tak, ale nawet jeśli chciała to uczy nić, była związana daną ojcu obietnicą. Zatem to on niejako przejął ten obowiązek... A czy chciała? Tego nigdy już się nie dowiem... Spróbowałam postawić się w jej sytuacji. Czy ja miałabym odwagę wyznać swojemu dziecku coś podobnego? Po chwili zastanowienia doszłam do niepokojącego wniosku, że lepiej nie szukać odpowiedzi na to pytanie... Zamiast tego natychmiast zadałam sobie kolejne: czy ja w ogóle mam prawo ją oceniać? Potępiać, pogardzać... Przecież i ja, całkowicie wbrew zdrowemu rozsądkowi, uległam sporo młodszemu od siebie facetowi, a jedynym wytłumaczeniem tego stanu rzeczy było uczucie: silne, namiętne i... bezwzględne. Alicja też kochała, i to jak kochała! Może nawet tak bardzo, że w owym tragicznym momencie spotkania z Trusiową zatraciła poczucie rzeczywistości...

Maksyma, jaką powtarzałam sobie od Jego wyjazdu, że mam czas, zamiast dawać poczucie komfortu, nagle zaczęła mnie przykro uwierać. Nie tak sobie to wolne wyobrażałam. Zakładałam, że przemyślę na spokojnie parę spraw, że może odnajdę jeszcze w papierach babci coś istotnego, że raczej utwierdzę się w podjętej decyzji oraz niezłomnym przekonaniu co do jej słuszności, a po Jego powrocie będę mogła, patrząc Mu w oczy, oznajmić: wyjeżdżam. Wszystko to jednak dokładnie mi się rozlazło, a jakiś wewnętrzny, nieproszony i niezwykle nachalny adwokat nagle zaczął mi podsuwać argumenty w obronie przeciwnej strony sporu. Łapałam się na tym, że coraz częściej zaczynam przyznawać Mu ra-

cję i że zamiast uciekać, powinnam stawić wszystkiemu czoło: najpierw zrozumieć, potem uleczyć, a jeszcze potem spróbować zapomnieć. I zacząć żyć własnym życiem. Bo czy można cieszyć się szczęściem, o gorzkim posmaku niepewności, podszytym lękiem i irracjonalnym poczuciem winy... On mówił, że jeśli nie wezmę się z tym za bary, zostanie we mnie na zawsze. Będzie wracało w koszmarach, dawało znać o sobie w dowolnych momentach. Że ucieczka to żadne rozwiązanie... Obiecałam, że zaczekam. I dotrzymam słowa, niczego więcej przecież nie obiecywałam...

Wiedziona jakimś nagłym impulsem, sterowanym być może przez resztki kobiecego instynktu, złapałam za telefon i wybrałam numer Grażynki.

- Cześć, Klaro! - krzyknęła radośnie w słuchawkę. Milczałam przez krótką chwilę, usiłując dostroić dawno nieużywane struny głosowe do odpowiedniego tonu.

- Cześć. Mogłabyś wpaść do mnie?

- Jasne! - ucieszyła się. - Może być jutro? Postaram się wykroić trochę czasu, bo ostatnio...

- Jutro to będzie futro! - wpadłam jej w słowo. - Muszę się z tobą zobaczyć dzisiaj. Koniecznie!

- Boże, a coś ty jakaś taka? Stało się coś? - Grażynka dopiero teraz załapała, że ton mojego głosu nie jest adekwatny do tego, co ona sobie na mój temat wyobraża.

- Tak. To znaczy... i tak, i nie. No więc? Możesz przyjechać? Zwróć ci za taryfę.

- Dobrze, oczywiście, że przyjadę, i niczego nie będziesz mi zwracać. Powiedz mi tylko choćby na wstępie...

- Nie! Ani na wstępie, ani w rozwinięciu, ani w zakończeniu! - przerwałam jej ponownie. - Potrzebuję cię po prostu - dorzuciłam o łagodniej. - Wiele się ostatnio wydarzyło, ale o większości spraw nie chce mi się mówić. A o tym, o czym mi się chce, powiem ci na miejscu.

Grażynka rozłączyła się bez jednego słowa i najprawdopodobniej popędziła na postój. Zaledwie zdążyłam uprzątnąć papiery, nakryć biurko obrusem i wepchnąć pod stół kufer, rozległ się nieziemski łomot do drzwi. Zeszłam na dół po cichu i zajrzałam przez szybkę w drzwiach.

- Czemu łomoczesz, zamiast dzwonić? - spytałam na wstępie.

- Bo ci dzwonek nie działa. Nie wiesz o tym?

Nacisnęłam z całych sił guzik dzwonka, ale rzeczywiście nie działał. Widać jakoś się popsuł albo ktoś przy nim majstrował. W zasadzie było mi wszystko jedno.

Grażynka wolno wysuptywała się z płaszcza, łypiąc na mnie dziwnym wzrokiem.

- Co tak nic nie mówisz? - spytałam, kiedy stanęła niepewnie na środku holu.

- Bo tak cię zrozumiałam. Że mam nic nie mówić. To co ja mam ci powiedzieć, że ślicznie wyglądasz?

Zupełnie odruchowo rzuciłam okiem do lustra. Mój wygląd, w istocie, nie przedstawiał się imponująco. Rozczochrane włosy, krzywo zapięty szlafrok z na wpół wywleczonym paskiem, szare wełniane skarpety i do tego kaptcie z pomponami na fikuśnej szpileczce. Spojrzałam na Grażynkę, potem jeszcze raz na siebie i wybuchnęłam durnowatym śmiechem.

- Dobrze się czujesz? - spytała skonsternowana Grażynka.

- Nie! Nie czuję się dobrze - odparłam, padając jej w ramiona. - Chodź! Pójdziemy do kuchni.

- A... masz winko? Ja nie zdążyłam kupić, ale może jeszcze została ci się ociupinka?

- Nawet cała ociupina, tylko że ja nie mogę. Ale jak chcesz, to przyniosę dla ciebie.

- Jesteś... w ciąży? - Grażynie zaświeciły się ślepia.

- Wypluj to słowo!!! - ryknęłam jak dziki łoś.

Przyjaciółka odruchowo, acz posłusznie spełniła moje polecenie.

- Pluj jeszcze raz! Porządnie, tak żebym widziała! Grażynka nieśmiało, ale tym razem nieco obficie splunęła przez lewe ramię.

- Nie mogę, bo zażywam syrop na psychikę - objaśniłam, prowadząc ją do kuchni. - To co, chcesz?

- Nie, sama to nie. Ale możesz poczęstować mnie kawą. Krzątałam się w milczeniu między stołem i kuchennymi szafkami, a Grażynka kręciła się niecierpliwie, obserwując mnie spode łba.

- Klara!!! - wrzasnęła po dłuższej chwili. - Podaj mi chociaż wąski zakres tematyczny, w którym mogę się poruszać, bo mam wrażenie, że

siedzę tu jak ostatni przygłup! Dlaczego bierzesz ten syrop na psychikę? To się mieści w temacie czy nie?

- Nie - odparłam, stawiając przed nią kryształową cukiernicę. - Zakres jest tak wąski, jak tylko wąski może być facet.

- Aaaa - odetchnęła z ulgą. - Wobec tego na pewno nie chodzi ci o Piotrka.

- Jeśli chodzi o niego, to powiem ci tylko tyle, że siedzi obecnie u Pietraszkowej. Tej, która opiekowała się babcią.

- Puściłam mimo uszu jej zwyczajową złośliwość pod adresem mego byłego.

- Coś ty? - zdziwiła się Grażynka. - A po co?

- Teraz to już raczej po nic, no, chyba że odrabia pańszczyznę. Dużo by mówić - zirytowałam się nagle. - Ale w istocie nie o niego tu chodzi.

- A więc? O tego młodego i ślicznego? Tak?

- Tak - westchnęłam z niechęcią.

- No wiesz... Twoja ostatnia wiadomość była tak entuzjastyczna, że... Hm... Trochę zadziwia mnie twój obecny stan. Czy on coś ci zrobił? Znaczą się, coś złego?

- Tak! Zakochałam się w nim, świat mi przesłonił i wszystko inne, spętał wolę, pozbawił zdrowego rozsądku, samokrytycyzmu i poczucia elementarnej przyzwoitości! - wybuchnęłam gwałtownie. - I wiesz co? Pał sześć ten syrop! Idę do piwnicy.

- Pójdę z tobą.

- Nie, siedź tutaj. Tak będzie szybciej.

Wiedząc już, gdzie jest światło, i gdzie mieszczą się flaszki z winem, uporałam się z tym błyskawicznie.

- Otwórz. - Wręczyłam butelkę przyjaciółce. - I daruj, że nie pójde po kieliszki. Napijemy się ze szklanek.

Grażynka z niejakimi oporami rozlała wino, przy czym chodziło jej chyba o mój syrop, nie zaś o same, nieadekwatne do napoju naczynia.

- No i w czym problem? - spytała zwięźle.

- Grażynko... - zaczęłam ostrożnie - znam twój pogląd, że powinnam łapać, co życie daje, i... tak dalej! To motto towarzyszyło mi właśnie w ostatnich dniach. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, jak to się stało, ale po prostu... zaszalałam! Było wspaniale, cudownie, czułam się jak nigdy dotąd. Gotowa byłam dla niego postawić wszystko na głowie...

Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale kiedy on jest przy mnie, wszystko inne traci na znaczeniu...

- Rozumiem - potwierdziła Grażynka z powagą.

- Ale potem zdarzyło się coś takiego... o czym właśnie nie chcę mówić... i wszystko zaczęło się zmieniać. We mnie, od środka. To znaczy... zdarzyło się już wcześniej, częściowo, a potem jeszcze... przeżyłam innego rodzaju szok, dosłownie w jednym czasie i właśnie wówczas puściły mi hamulce...

- Nie mogłabyś mówić nieco jaśniej? - Grażynka przerwała moją nieskładną wypowiedź. - Bo jeśli miałabym wyrazić na ten temat swoje zdanie, dobrze by było, gdybym choć cośkolwiek zrozumiała...

- No więc tak. - Wzięłam głęboki oddech. - Mniejsza z tym. Chcę ci powiedzieć, że w takim właśnie momencie chwilowego załamania się uwikłałam. To znaczy, w niego. Wszystko trwało raptem kilka dni i było jak totalny odlot!

A potem przyszła refleksja: czy warto? Jak to się wszystko dalej potoczy, czy ma jakkolwiek przyszłość, a jeśli tak, to jak długą? Ja go w gruncie rzeczy prawie nie znam, nic o nim nie wiem! Dopóki jest przy mnie, ufam mu, wierzę w każde jego słowo, w szczerą jego uczuć, ale jak tylko znika mi z pola widzenia, opadają mnie wątpliwości. Zwłaszcza że... wciąż mam przed oczami bardzo jaskrawy, bardzo bliski przykład, że tego rodzaju związki... bywają bardzo niezdrowe!

- Przesadzasz - mruknęła Grażynka i siorbnęła solidnego łyka.

Zrobiłam to samo. Musiałam teraz mocno trzymać się w ryzach, by nie rozwinąć tematu Alicji. Nie zamierzałam co prawda trzymać tego do końca życia w tajemnicy, ale o ile znam swoją przyjaciółkę, zaczęłaby drążyć sprawę z taką intensywnością, że to, co naprawdę miało być istotą naszego spotkania, bezpowrotnie utonąłoby w cieniu tamtej historii.

- Dobrze, może przesadzam - zgodziłam się z grubsza.

- Ale w tej sytuacji mam prawo mieć jakieś obawy, prawda?

- W jakiej sytuacji?

- W jakiej? Musiałabyś go zobaczyć! I mnie!

- Ciebie widzę - stwierdziła rzeczowo Grażynka.

- Ale widzisz mnie osobno, bez niego! A skoro jego nie widzisz, to sobie wyobraź superprzystojnego faceta przed trzydziestką, elokwentne-

go, uroczego...

- Majętnego - dorzuciła Grażynka, przypomniawszy sobie jakąś moją wcześniejszą informację.

- ...majątnego, czarującego...

- I co?

- Wyobraziłaś sobie?

- No. Wygląda jak Paweł Deląg.

- Nie! - zamachałam jej ręką przed oczami. - To źle wygląda! On wygląda raczej... Częściowo jak Mel Gibson w młodszym wydaniu i częściowo jak Keanu Reeves. Tylko wyższy. Od Gibsona, rzecz jasna.

Grażynka siedziała z zamkniętymi oczami, cała purpurowa z wysiłku na twarzy.

- A toś mi zabiła ćwieka - jęknęła. - W żaden sposób nie potrafię tych dwóch ze sobą skrzyżować.

- To już nie krzyżuj! Nieważne. Wróćmy do tego, że wyobrażasz sobie jakiegoś młodego przystojniaka, podług własnego gustu. A obok niego babę przed czterdziestką. Taką sobie, przeciętną. I co?

- A może być sam Reeves? Bez Gibsona? - spytała Grażynka. - On mi jakoś tak bardziej podchodzi...

- Może być! - wrzasnęłam zniecierpliwiona.

- Z kim? Musisz mi jeszcze podsunąć odpowiednią czterdziestkę!

- Ze mną!!! - wrzasnęłam. - I co? Pasi ci?

Grażynka otworzyła z lekka przymglone oczka i przyjrzała mi się uważnie.

- Pasi! - odparła zdecydowanie. - Wiesz co? Z ciebie po prostu wyłazą zadawnione kompleksy. Czy twój Bylec obdarował cię kiedykolwiek jakimś komplementem? Czy miałaś dotychczas okazję zweryfikować swoją urodę na innym tle niż dom i robota? Zresztą, nie ma co daleko szukać. Nie mów, że nigdy nie zauważyłaś, jak doktor Skisławski wlepia w ciebie gały!

- Bo on we wszystkich wlepia! Grażynka machnęła niecierpliwie ręką.

- Dobra, polecę na skróty: Klara! Ty jesteś ładna, apetyczna babka, inteligentna, dowcipna, masz sporo wdzięku i wcale nie wyglądasz na swój wiek! I szczerze mówiąc, w ogóle się nie dziwię, że wreszcie jakiś chłop się do ciebie przyczepił. A że młody? Przystojny? Taki właśnie ci

się należy! On jest... twoim odszkodowaniem od losu za cały własnoręcznie schrzaniony żywot! Więc bierz, co dają, i nie wybrzydź! I nie łaż jak ta ostatnia fleja, jutro z samego rana zrób się na bóstwo, na wypadek gdyby cię ten twój luby miał ujrzyć na oczy.

•

Wypity na pusty żołądek alkohol w kompilacji z moim syropem zrobiły swoje. Obudziłam się z trzaskającym bólem głowy i paskudną kluchą w ustach. Mój nastrój był jeszcze gorszy niż dotychczas, gdyż oprócz przygnębienia psychicznego dorobiłam się dodatkowo bardzo niemiłych doznań fizycznych. „Bierz, co dają, i nie wybrzydź”. Ostatnie zdanie, jakie zapamiętałam z oracji Grażynki, odbijało się wewnątrz mojej głowy uporczywym echem. Ale jakby temu na przekór błąkała mi się na zmianę максима babci: „Nie słuchaj się nikogo, sama się i sama zbieraj żniwo!”. Ogromnym wysiłkiem umysłu przypominałam sobie, że miałam jakiś dziwaczny sen. Był w nim i On, i Babcia, doktor Skisławski oraz Piotrek. Nie bardzo potrafiłam odtworzyć sobie jego fabułę, w każdym razie babcia musiała niewątpliwie zabrać głos. I to było kolejne ostrzeżenie!

Usiadłam na łóżku na tyle gwałtownie, na ile pozwolił mi zdrętwiały kark. Słowa babci w kontekście wypowiedzi Grażynki miały bardzo wyraźną wymowę!

- Jasne, babciu, że nie będę - szepnęłam w stronę sufitu.

- Nikogo się nie będę słuchała!

Posłuchałam jednak Grażynki, o tyle, że po porannej kąpieli zrobiłam sobie detaliczną toaletę. Umyłam i ułożyłam włosy, wykonałam staranny makijaż z pastelowym akcentem na trupiobladych policzkach. I włożyłam sukienkę. Leżała doskonale, mimo że dokonując zakupu, nie chciało mi się jej przymierzyć. Miękka dzianina idealnie dopasowała się do mojej figury, odsłaniając co nieco od góry i odrobinę od dołu.

Bezlądna kombinacja mażgołów w chłodnych, zdecydowanych, ale przyjemnie harmonijnych kolorach dopełniała całości. Zrzuciłam kaptcie i włożyłam brązowe pantofle na obcasie. Wyjęłam z szafy niewielką, podróżną torbę i wrzuciłam do niej parę ciuchów, jakieś buty i trochę bielizny. Torbę wywlokłam do gabinetu Ernesta i wsunęłam pod nakryte obrusem biurko. Zamierzałam poczekać na Niego właśnie tu, w tym pokoju, na symbolicznym tle wszystkich moich utrapień, co, jak sądziłam,

znacznie ułatwi mi zadanie. Oczyma duszy widziałam siebie, jak z kamiennym spokojem stoję mu naprzeciw i oznajmiam:

- Jak widzisz, dotrzymałam słowa i wciąż jeszcze tu jestem. Ale skoro wróciłeś, moja obietnica traci na ważności, a ja odzyskuję prawo do podejmowania decyzji. A zatem: wyjeżdżam! I nie próbuj mnie zatrzymywać, to nieodwołalne!

Tu szerokim gestem odrzucam obrus, w jedną rękę biorę torbę, na drugą zarzucam płaszcz i korzystając z Jego chwilowego osłupienia, lekko zbiegam ze schodów. Aha, wcześniej jeszcze rzucam na stół klucze od domu, mówiąc:

- Zrobisz z nimi, co zechcesz....

Powtórzyłam w myśli powyższą scenkę jeszcze kilka razy, dopracowując szczegóły: gesty, pozy, ton głosu. Spodziewałam się Jego powrotu wieczorem i choć raptem minęło południe, zamierzałam trwać niezłomnie na posterunku i wykorzystać resztę czasu na utwalenie sobie zaplanowanej roli do granic pełnego zautomatyzowania, żeby nic ani nikt nie był w stanie mnie z niej wytrącić. Za którymś razem, przy geście rzucania kluczami coś jeszcze przyszło mi do głowy. Wytargałam spod stołu kufer i odnalazłam zapis Zajączkowskiej. Powoli i starannie, za pomocą jakimś cudem działającego jeszcze, Ernestowego pióra, zaczęłam przepisywać jego treść, z zachowaniem oryginalnej pisowni.

Ja, niżej podpisana Klara Ledwień, będąca przy zdrowym rozumie, ofiarowujęwszystko, co posiadam, dla...

Akurat zastanawiałam się, którego dzisiaj mamy, by wpisać pod spodem konkretną datę Roku Pańskiego, kiedy coś złapało mnie za ramię.

- Na miłość boską, Klaro! Co ty wyprawiasz?

Za moimi plecami, jakby nigdy nic stał On, w płaszczu i z całym ekwipunkiem. Na jedną króciutką chwilę straciłam rezon, ale już za moment stałam przed Nim i recytowałam jak z nut:

- Jak widzisz, dotrzymałam słowa i wciąż jeszcze tu jestem. Ale skoro wróciłeś, moja obietnica traci na ważności, a ja odzyskuję prawo do podejmowania decyzji. A zatem: wyjeżdżam!

- Ależ... Klaro! - Złapał mnie za ramiona i zajrzał głęboko w oczy.

- I nie próbuj mnie zatrzymywać, to nieodwołalne! - Dzięki staranne-
mu przygotowaniu mój wzrok był jak stal.

Klucze od domu rzuciłam na spisana właśnie ostatnią wolę.

- Zrobisz z nimi, co zechcesz - dodałam chłodno. Odrzuciłam obrus i schyliłam się po torbę, drugą ręką sięgając po zawieszony na krześle płaszcz.

- O, nic z tego, moja panienko! - Rafał zabrał mi torbę, złapał mocno w tali i usadził na krześle.

Zaskoczona jego nieprzewidzianą reakcją znów zaczęłam nazywać go w myślach po imieniu.

- Chcesz sobie ot, tak wyjść i nawet nie wysłuchasz, z czym wracam?

- Z niczym. Widzę to po twojej minie - odparłam, nadal trzymając fason.

- Masz rację, z niczym, ale to „nic” też jest warte opowiedzenia!!!

Staralam się z całych sił nie patrzeć teraz na Rafała. Na jego twarzy coraz intensywniej malowała się rozpacz i przestach, drżał mu głos i dłonie. Milczałam.

- No więc... Nie znalazłem jej. Ani żywej, ani też gdziekolwiek pochowanej - zaczął, krążąc nerwowo po gabinecie.

- Byłem także w szpitalu psychiatrycznym w Ciborzu, odszukałem jakiś personel z tamtych czasów, lekarza, pielęgniarkę i salową. Wszyscy dobrze pamiętali Alicję, ale nikt nie potrafił powiedzieć, z jakiego powodu tam trafiła. Sugerowali, że to była jakaś mocno utajniona sprawa... Salowa zapamiętała ją jako bardzo smutną i bardzo piękną kobietę, przesiadującą notorycznie przy okratowanym oknie. Nie była tam długo, jakieś pół roku. Pielęgniarka z kolei pamiętała, że wywieziono ją ze szpitala nagle, karetką. Długo jeszcze krążyły na ten temat pomiędzy personelem rozmaite domniemania i plotki, jednak nigdy nie dowiedziało się, o co w tym wszystkim szło.

- Jak to o co? O mnie. Wywieziono ją na pewno do porodu... To tyle?

- Tyle. - Rafał usiadł wreszcie i wsparł brodę na rękach, szczęki drgały mu nerwowo. - Ale co nas to, do jasnej cholery, obchodzi?! - krzyknął nagle, aż szyby zadzwoniły w oknach. - Ona miała swoje życie, a ty masz swoje. Powiedz - spojrzał na mnie takim wzrokiem, że nogi zadrżały mi w kolanach. - Naprawdę nie chcesz być ze mną? Popatrz na mnie, Klaro, i odpowiedz! Że ci nie odpowiadam pod jakimś względem, nie spełniam twoich oczekiwań, że źle ci ze mną! I że w ogóle jestem... do chrzanu! Wówczas ustąpię.

Milczałam, wpatrując się bezmyślnie w czubki coraz mocniej uwierających mnie pantofli.

- I? Nic mi nie powiesz? - spytał po chwili.

- Dobrze wiesz, że moje powody są zupełnie inne... I wcale nie chodzi mi o Alicję ani jej pogmatwany żywot! Ja po prostu nie widzę dla nas przyszłości. Owszem, może być fajnie, rok, dwa, a potem?

- Oczywiście, że chodzi ci o Alicję!!! - Rafał wstał i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. - Tu masz swoje powody!!! - wyszarpanął spod stołu kufer i kopnął go z całej siły. - W tej pieprzonej skrzyni! Kupę zmurszałych przesądów i cudzą przeszłość, która ma się nijak do twojego życia! Gdyby nie one, z pewnością spojrzalibyśmy na nas inaczej!

Nagle wpadł w jakąś dziką furję. Złapał za obrus przykrywający zmasakrowane biurko Ernesta i cisnął go w kąt, po czym oburącz chwycił biurko za blat i rąbnął nim w ścianę. Patrzyłam na to w największym osłupieniu, biurko Ernesta było bowiem ciężkie jak wszyscy diabli! Dębowy, antyczny mebel osunął się na podłogę, trzeszcząc oraz skrzypiąc. I wówczas stało się coś niepojętego... Z jego wnętrza jedna po drugiej zaczęły strzelać jakieś sprężyny, blaszki, zamki i Bóg wie co jeszcze, a na koniec z głośnym chrzęstem spod spodu, który był teraz wierzchem, wystrzeliła ku górze niewielkich rozmiarów szuflada...

Niemal skamieniałam z wrażenia, Rafał zastygł w pół kroku. Po chwili jednak odzyskał władzę w nogach, podszedł do szuflady i zajrzał do środka. Zanurzył w niej rękę aż po łokieć i moim oczom ukazała się spora, gruba, szara koperta.

- Co... to jest? - spytałam słabym głosem.

- Zaraz... - odparł, wertując jakieś wyjęte z niej papiery.

- Chwila, Klaro - poprosił i usiadł przy stole.

Oglądał papiery w skupieniu, a ja cierpliwie czekałam, obserwując jego zmieniającą się z sekundy na sekundę twarz. Rafał od czasu do czasu przecierał dłonią czoło, po chwili wstał, zdjął płaszcz i rzucił na krzesło. Natychmiast jednak powrócił do przerwanej lektury. Zaczynałam się powoli niecierpliwić...

- Powiesz mi wreszcie, co tam masz? - spytałam w końcu.

- To są... To jest właśnie to, czego tak usilnie i bezskutecznie szukałem! A powiedz mi... jak się nazywał ten gość... ten, który przekazał ci ostatnią wolę Alicji?

- Piechotko. A bo co?

- Roman?

- Roman. Ale co do jasnej...

- Zaczekaj jeszcze moment, proszę!

Rafał coraz szybciej przewracał kolejne kartki, oglądał jakieś tkwiące pomiędzy nimi świstki, marszczył brwi albo z niedowierzaniem kręcił głową. Miałam wrażenie, że trwa to całe wieki.

- Czy ty wiesz... co to jest? - zamachał mi wreszcie przed oczami plikiem papierów.

- Nie, ale bardzo na to liczę, że mi kiedyś powiesz! - burknęłam jadowicie.

- To jest karta choroby Alicji! Ernest zabrał ją ze sobą i ukrył przed światem!

- I... i... i co? - wyszeptałam w podnieceniu. - Co w niej jest? Rafał spojrział na mnie z dziwnym błyskiem w oku i zaczął się śmiać. Najpierw cicho i jakby trochę nieśmiało, potem coraz głośniej, by wreszcie przejść na całkiem swobodny, głośny rechot.

- Wyobraź sobie... - Ukląkł przy mnie i położył mi dłonie na kolanach. - Wyobraź sobie, że nie było żadnej Trusiowej! W ogóle! Taki ktoś nigdy nie istniał!!!

- Powaliło cię? - spytałam z lekkim niesmakiem. - Jak nie było, skoro była?

- Normalnie! Alicja Zajączkowska vel Trusiowa, a także Frau Kler i Alicja Firejko, po mężu Ledwień, to była jedna i ta sama kobieta!

- Oszalałeś - wyszeptałam cicho, łącząc niejasno jego niedawny atak szału z tym, co mówił teraz.

- Możesz uwierzyć mi na słowo albo sama przeczytać. Prościej jednak będzie, jak ja ci to streszczę.

- Okej, mów. - Uznałam, że przeczytać mogę w każdej chwili.

- Są tu całkiem obszerne notatki z wywiadu psychiatrycznego, jaki początkowo przeprowadził z nią inny lekarz. Dopiero później zaczyna się pojawiać nazwisko Ernesta. Otóż... Alicja Firejko w istocie przez trzy lata była żoną niejakiego Zajączkowskiego, który w czterdziestym ósmym roku popełnił samobójstwo. Od tej chwili zaczęła się dla niej droga w dół. Załamana i coraz bardziej zgorzkniała, dość szybko straciła posadę w szkole. Nieprzyzwyczajona do fizycznej pracy, próbowała

sobie radzić, jak mogła. Wyśmiewana przez ludzi we wsi, lekceważona i pogardzana, z czasem sama usunęła się poza nawias. Opieka nad tym chorym... Jak mu tam...

- Paruzkiem - podrzuciłam.

- Niech będzie - zgodził się Rafał. - No więc ta opieka była dla niej swego rodzaju normalizacją życia, namiastką stabilności, nędznej, bo nędznej, ale w miarę pewnej egzystencji. Dopiero jak facet umarł, obdarowując ją rzeczywiście bajeczną fortuną, zaczęła mieć problem. Na początek zmieniła nazwisko na panieńskie.

- Jak ja... - szepnęłam. - Po rozwodzie babcia mnie właśnie na to namówiła!

- Tak? - zdziwił się Rafał. - Może to nawet i logiczne. - Zastanawiał się chwilę. - No a potem zaczęła dumać, jak by z tej fortuny skorzystać - podjął przerwany wątek, zaglądając od czasu do czasu w papiery. - Obawiała się, że wieść o jej bogactwie prędko się rozniesie, że nagle cała wieś zwali się jej na głowę, by prośbą, groźbą bądź też zwykłym rozbojem uszczknąć coś dla siebie. Wkońcu ludzie mieli ją za ostatnią niedorajdę, więc chyba rzeczywiście do czegoś takiego mogłoby dojść.

Alicja zatem całkiem sprytnie ogłosiła wszem wobec, że za ten „skarb” wybuduje dla wsi kościół. A takich „świętych” pieniędzy nikt już nie ośmielił się tknąć...

Rafał znowu zerknął w papiery i przewertował parę stron.

- Być może trochę żal jej się później zrobiło, w każdym razie stanęło na tym, że ufundowała nie kościół, ale kaplicę. Jednocześnie zaczęła rozpowiadać, że resztę środków ofiaruje przyjacielce, której bardzo dużo zawdzięcza, a która popadła w jeszcze większą nędzę niż ona. Ludzie, przekonani z grubsza co do jej charytatywnych zapędów, nie bardzo się temu dziwowali. Alicja, już pod nazwiskiem Firejko, załatwiła wszystkie formalności potrzebne do budowy domu i tak zaczęła powoli wzrastać willa, którą mieliśmy okazję obejrzeć.

- No... ale jak? Przecież to były całkiem inne czasy, domu nie budo- wało się chyba tak na hop-siup, o materiały pewnie też nie było łatwo, a pieniądze? Czy nikt nie spytał, skąd taka wsiowa babina ma tyle kasy?

- No właśnie, kasy - roześmiał się Rafał. - A to mnie akurat nie dziwi. Odpowiedź na takie ewentualne pytanie ze strony jakiegoś upraw-

nionego organu wystarczyłoby umieścić w odpowiednio grubej kopercie...

- Dobra, niech będzie, a à propos nieciekawej, wiejskiej babiny...

- Wiem, do czego zmierzasz, i już ci mówię! - Rafał przerzucił kilka kolejnych kartek. - Nie zapominaj, że Alicja była niezwykle piękną kobietą! Potwierdzał to i ojciec Bernadki, z czasów, kiedy była żoną Zajączkowskiego, i mój ojciec, i wreszcie zdjęcie, które trzymasz w kufrze. Na przestrzeni tych bez mała dwudziestu lat, kiedy los obchodził się z nią niezbyt łaskawie, nieco na tej urodzie straciła. Chuda, zgarbiona, z ogorzałą twarzą, zniszczonymi rękami i ubytkami w uzębieniu musiała rzeczywiście wyglądać nieciekawie. Jakby do tego dodać tę jej wieczną chuścinę i biedne wiejskie łąchy, zyskasz dokładnie taką całość, którą malowniczo opisał nam August Dziejko: wsiowego tłuka, co to do trzech zliczyć nie potrafi. A ona... - ponownie zaszeleścił papierami - w tym czasie, kiedy budował się dom, solidnie wzięła się za siebie. Tutaj właśnie opowiada - postukał palcem w odnośne miejsce - jak jeździła do miasta, przebierała się w toalecie na dworcu, chodziła do dentysty, fryzjera, kupowała drogie kosmetyki i stopniowo kompletowała garderobę... Wkażdym razie, gdy już wszystko było pod klucz, do Soliszki zajęchała taksówką piękna, elegancka i wytworna kobieta. Miała wówczas dokładnie czterdzieści lat. Posłuchaj:

Serce biło mi jak oszalałe, kiedy wysiadałam z tego samochodu. Wzdłuż ulicy stał tłumek ludzi gapiących się na mnie bez najmniejszego skrępowania. Bałam się okropnie, że ktoś mnie rozpozna, skojarzy, ale nic takiego się nie stało. Do swojej nowej roli przywykłam dość szybko, szczególnie że na początku bardzo rzadko wychodziłam z domu...

- Boże jedyny! - jęknęłam ze zgrozą. - Przeczytaj coś jeszcze! Rafał poszperał pomiędzy kartkami i wyłuskał spomiędzy nich wybrany przez siebie fragment.

Przez ten cały czas, kiedy przygotowywałam się do mojego nowego życia, ani na chwilę nie przyszło mi na myśl, co stanie się później z Trusiową. Uświadomiłam sobie ten problem dopiero w pierwszą noc w nowym domu. Nie umiejąc wymyślić nic lepszego, zaczęłam grać podwójną rolę. To akurat nie było wca-

le trudne, byłam nią w końcu ponad szesnaście lat! Zostałam zatem swoją własną gosposią i powiernicą. Pod taką postacią robiłam zakupy, chodziłam po wsi, nagabywana o Kler odpowiadałam na pytania, zbierałam też na jej temat rozmaite domysły i opinie. Było to dla mnie nawet całkiem wygodne, ponieważ kreowałam swój wizerunek tak jak chciałam, a kiedy ktoś przybiegał do „Trusiowej” z jakimiś wątpliwościami, mogłam dzięki temu natychmiast korygować wszystko, co mogłoby być podejrzanym. Ten stan rzeczy zaczął mi jednak z czasem doskwierać...

- Ej, co było dalej? - ponagliłam, widząc, że Rafał zamyślił się na chwilę.

- Teraz będzie to, o czym już wyczytałaś w jej pamiętniku.

- Dawaj! - ponagliłam z wypiekami na twarzy.

...a już szczególnie wówczas, kiedy kogoś poznałam. Na początku była to jedynie luźna znajomość, nie sądziłam, że przerozdzę się w coś więcej, bo ten mężczyzna, jak by to ująć, pod pewnymi względami do mnie nie pasował. Ale stało się, zakochaliśmy się w sobie i postanowiliśmy się na stałe związać. We wsi powstało ogromne larum, odsądzano mnie od czci i wiary, zrobiono ze mnie ladacznicę, diabolicę, demona z piekła rodem. Być może, gdybym nie znała tych pomówień, obelg, wulgaryzmów i kpin, żyłabym w swoim świecie, szczęśliwa i niczego nieświadoma. Mnie przecież nikt by czegoś podobnego w oczy nie powiedział. Bo na wsi, proszę pana, jest tak, że ludzie są mądrzy w kupie i najlepiej z daleka. Ale ja miałam swoją Trusiową, która co dnia wysłuchiwała tego wszystkiego. Nikt nie wie, ile nerwów, ile łez i nieprzespanych nocy mnie to kosztowało. Ale kiedy się okazało, że jestem w ciąży, powiedziałam: dość. Musiałam się jej jakoś pozbyć, ułożyłam bardzo szczegółowy plan. Jej wyjazd nie wchodził w grę, bo nikt we wsi by w niego nie uwierzył. Sama też nie mogłam się wyprowadzić, bo przecież wówczas zniknęłaby i ona. Mogła więc zostać tylko jedna z nas, która, nie ulegało wątpliwości. Trusiowa miała utonąć w jeziorze, oczywiście przypadkiem. Poszłam wczesnym wieczorem na most, pod jej łachami miałam swoją zwykłą sukienkę. Miała po-

śliznąć się i wpaść do wody, ja zaś miałam ratować ją do utraty sił. Na początku wszystko mi sprzyjało, przy brzegu nikt się nie kręcił, zrzuciłam jej ciuchy, okręciłam nimi kamień i utopiłam, a chustkę puściłam luzem na wodę. Pomoczyłam sukienkę, portagałam włosy i uwalniałam się trawą. Co tchu pobiegłam do domu, ale później już nie tak miało być. Męża spotkałam w ogrodzie, wystraszył się moim stanem, pytał, co się stało. Prosiłam go, żebyśmy weszli do domu, ale on trzymał mnie za ramiona i wciąż się dopytywał. Zaczęłam opowiadać, płakać, coś tam odgrywałam, a potem nagle przyjechała milicja i mnie zabrali. Postawiono mi zarzut morderstwa. Pytano o motyw, o zwłoki, byłam przesłuchiwana wciąż na nowo i na nowo. Nie pozwolono mi z nikim się widzieć. Źle się czułam, miałam mdłości, słabłam, do tego przyplątała się gorączka. Przez cały czas usiłowałam powiedzieć prawdę, ale nikt mi nie wierzył. Pytano tylko w koło: gdzie zwłoki, gdzie narzędzie zbrodni, dlaczego pani zabiła? Dopiero kiedy mój stan pogorszył się do tego stopnia, że zaczęłam bredzić w malignie, tracić przytomność i znowu bredzić, wezwano do mnie lekarza. I w ten sposób trafiłam tutaj.

- I tyle, Klaro - powiedział Rafał, rozkładając szeroko ręce. - Co ty na to?

- Niewiarygodne - wydusiłam z siebie po dłuższej chwili.

- Owszem, niewiarygodne. Ale masz teraz, zamiast morderczyni, biedną, nieszczęśliwą i zagubioną kobietę, a wszystko przez to, że nie miała odwagi żyć w zgodzie z sobą... - rzucił ewidentną aluzją pod moim adresem.

W tym świetle ostatnie słowa babci zaczęły nabierać dla mnie całym innym znaczenia.

- Plotło się życie moje bez tołku, kto chciał, ten czmuchał, ot, i sypało się, jak chatynka z kart! - westchnęłam ze smutkiem.

- Słucham? - Rafał uniósł ze zdziwienia brwi.

- Nic... Cytowałam Alicję. Ona tak właśnie o sobie mawiała... A właśnie, czemu ty mnie pytałeś o Romana Piechotkę?

- Bo tak nazywał się lekarz, który przeprowadzał z Alicją ten pierwszy wywiad - odparł.

14. Goła, bosa i o głodzie

Ranek powitał nas promieniami słońca, wdzierającymi się przez okno sypialni.

- Mógłbyś zaciągnąć szczelniej zasłony? - poprosiłam sennie, przeciągając się.

Rafał wysunął ostrożnie ramię spod moich pleców i wyskoczył z łóżka.

- A skoro już jestem na nogach: kawka, śniadanko czy pełny zestaw? - rzucił swoim stałym porannym tekstem, uśmiechając się szeroko.

- Kawa. Jeśli już jesteś taki łaskawy - dodałam.

- Owszem, jestem łaskawy - odparł z powagą. - A jak bardzo jestem łaskawy, cierpliwy, wyrozumiały, zdążyłaś się już chyba przekonać!

- I skromny... - zamknęłam listę tych autokomplementów.

- A co, nie? - spytał z przerysowanym zdziwieniem, wkładając spodnie.

- Nie, no tak! - zgodziłam się bez zastanowienia.

- Hej, lepiej ci trochę? - Przysiadł na brzegu łóżka.

- Nie wiem... - Uniosłam się na łokciu. - Ale jest mi teraz jakoś inaczej... Tak bardzo inaczej, że właściwie sama nie wiem jeszcze jak...

Rafał musnął ustami moje czoło i zbiegł na dół. Wyskoczyłam szybko z pościeli i pobiegłam pod prysznic. Umalowałam rzęsy, przypudrowałam nos i związałam włosy w luźną kitkę. Przez chwilę wahałam się nad wyborem stroju, po czym wskoczyłam w dżinsy i czarną, bawełnianą bluzkę.

- No proszę, proszę! - powitał mnie na progu. - Pierwszy raz w życiu widzę tak błyskawiczną toaletę! W przypadku kobiety, oczywiście.

- Dzięki - prychnęłam. - A zatem jestem ewenementem na skalę... jaką? Jeśli można wiedzieć?

- Uuuu. - Rafał stanął nade mną z dzbankiem w dłoni.

- Wygląda na to, że wreszcie coś się między nami zaczyna normalizować!

- I z czego się cieszysz? Tak właściwie? - Zabrałam mu dzbanek z udawaną obrazą i sama się obsłużyłam.

- Już ja wiem z czego. - Musnął szorstkim policzkiem moją szyję. - Późno już. Muszę się niestety zbierać do pracy. Pojedziesz ze mną?

- No co ty? A cóż ja bym tam robiła?

- Tam nic, ale mogłabyś posiedzieć sobie w moim mieszkaniu, poczytać, pooglądać telewizję, a ja wpadłbym do ciebie na godzinę, w porze lanczu...

- Nie... Raczej nie. - Zawahałam się przez moment wobec tej, chyba niegłupiej perspektywy. Miałam już jednak inne plany na przedpołudnie.

- Pomyśl nad tym! - kuśił.

Skinęłam głową. W czasie, kiedy Rafał brał kąpiel, myślałam jednak nad czymś zupełnie innym. Zszedł na dół już gotowy do wyjścia.

- To jak, idziemy? - spytał, spoglądając na zegarek. - No, decyduj się szybko, moja śliczna, bo muszę jeszcze wpaść do siebie i się przebrać.

- Nie, Rafale, nie pojedę z tobą. Mam jeszcze coś... do załatwienia. Ale jak chcesz, wpadnę później. O której masz ten lancz?

Rafał spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi.

- Klaro... - odezwał się po chwili. - Czy ty znów czegoś nie kombinujesz? Ja się już ciebie zwyczajnie boję zostawiać samą, choćby na minutę, wiesz?

- Nie, przysięgam, niczego nie kombinuję! - Walnęłam się w pierś. - Wybieram się tylko... do babci. Na cmentarz. Zobaczymy się trochę później. Jeśli chcesz, oczywiście.

- Dobrze. - Odetchnął z wyraźną ulgą. - Przyjdź wobec tego o trzynastej. Okej?

- Jasne! - odparłam i dla uwiarygodnienia swoich słów zawisłam mu ochoczo na szyi.

•

To, że wybierałam się na grób Alicji, było jak najszczęśliwszą prawdą. Ale poza tym zamierzałam pójść dokądś jeszcze...

Kwiaty i znicze kupiłam na straganie przy cmentarzu. Było tego dość sporo, żeby choć trochę zrekompensować babci mój dotychczasowy brak odwiedzin. Babci... Uznałam, że nie będę się zmuszała do żadnych zmian w swoich relacjach rodzinnych i skoro moja mama Anna nadal pozostaje mamą, Alicja musi pozostać babcią. Tak będzie prościej.

Objuczona wiązanekami i lampionami piętłam się wolno cmentarną alejką pod górę, rozglądając się na boki. Grób Alicji, z tego, co zapamiętałam z pogrzebu, miał być po prawej stronie, nieco w głębi, w okolicy wielkiego świerka. Odnalazłam go bez większego trudu. Nagrobek, którego postawieniem miał zająć się Piechotko, był bardziej niż imponujący: je go podstawę albo raczej coś w rodzaju dość wysokiego cokołu stanowił gładki jak szkło rdzawy marmur. Płyta nagrobna była o ton jaśniejsza, podobnie jak tablica z imieniem i nazwiskiem. Zamiast zdjęcia w marmurze wyryte było sporych rozmiarów popiersie Alicji.

Najwidoczniej ktoś często ją odwiedzał, w wazonie były bowiem świeże kwiaty, a jeden z kilku otaczających go zniczy tlił się jeszcze słabym ogniem. Wyjęłam z siatki przyniesione z sobą znicze i rozstawiłam je symetrycznie względem tych, które już zastałam. Wiązanekę z jedliny i sztucznego kwiecica umieściłam pod wizerunkiem Alicji, prawdziwe kwiaty natomiast wkomponowałam zgrabnie w zastany bukiet. Zapaliłam znicze, te swoje i te nie swoje, uklękłam i zatopiłam się w modlitwie. Bardzo chciałam poczuć jej obecność przy sobie, poznać jej terazniejszy nastrój... Czy wreszcie jest szczęśliwa? Spokojna? Czy spotkała tam, po drugiej stronie, Ernesta, dla którego tak bardzo chciała zabrać skromny gościniec?

Przypominałam sobie teraz kolejno spędzone z nią chwile, od moich najmłodszych lat. Kiedy odwiedzałam ją jako mała dziewczynka, później już jako podłotek, aż po moje małżeństwo z Piotrkim... Jej czułość, dobroć, troskę, wyrozumiałość. Przez pierwszy rok moich studiów, gdy mieszkaliśmy przez jakiś czas z nią i z dziadkiem, codziennie przynosiła mi śniadanie do łóżka, kładła dłoń na moim czole i pytała: jak się dziś czujemy, moje dziecko? Kiedy przyszło mi podejmować pierwsze samodzielne decyzje, pytała po wielokroć: czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Dawniej mnie te jej pytania irytowały, ale dzisiaj już rozumiałam... Jej niepokój na twarzy, gdy usłyszała po raz pierwszy, jaki kierunek studiów wybrał dla mnie ojciec, i to odwieczne: czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Głęboki i niepojęty smutek, gdy przedstawiłam

jej Piotrka jako mojego przyszłego męża, i sakramentalne: czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Odpowiadałam, że tak, bo cóż innego mogłam uczynić? Wówczas uważałam, że tak właśnie musi być i jakies tam moje chcesz czy nie chcesz są zdecydowanie kwestią dalszego planu...

Słońce grzało mnie w plecy, potęgując uczucie coraz większej błogości i spokoju. Chciałam wierzyć, że ona jest tu teraz ze mną, i że ten mój spokój zawdzięczam temu, że i ona jest spokojna i zadowolona...

- Witam! - Ktoś zniecka energicznie położył mi rękę na ramieniu.

Odwrociłam się, nieprzyjemnie wyrwana z transu. Tuż za mną stał pan Piechotko z ogromną wiązanką czerwonych róż.

- Dzisiaj ma urodziny - skinął głową w stronę marmurowego oblicza Alicji. - Dobrze, że chociaż o tym pani pamiętała - dodał z wyrzutem.

Na te słowa oblałam się (niezauważalnym, mam nadzieję) pąsem. Oczywiście, że nie pamiętałam!

- Jak do tej pory tylko ja tu chyba nieboraczkę odwiedzam! - ciągnął dalej z pretensją. - Dosłownie, jakby już nikogo poza mną nie miała!

Wtym momencie uznałam, że Piechotko co nieco przegiął.

- A ma? - spytałam, wstając. - Może pan mi powie. Jeśli ma, to kogo? Co? Ale tak... konkretnie, nazywając rzecz po imieniu!

Tym razem Piechotko spiekł subtelnego raka.

- No to ja może coś zaproponuję, a pan tylko wybierze właściwe odpowiedzi! Syn, wnuczka, córka, małżonek! Podpowiem jeszcze, że na cztery tylko dwie są prawidłowe!

Skulił się w sobie i zaczął automatycznie wtykać róże do wazonu.

- No to jak? - nie odpuszczałam. - Zresztą, bardzo dobrze, że się tu spotykamy, bo wybierałam się do pana!

- Chodź, kochanieńka - pociągnął mnie na pobliską ławeczkę. - Pogadamy! Wygląda mi na to, że będziemy mogli już otworzyć testament, prawda?

- Jak to? Ale przecież jeszcze nie minął rok?!

- Pół roku minęło, więc formalnie można. A ja mam wrażenie, że więcej czasu do namysłu pani nie będzie potrzeba.

- Ma pan rację. Nie trzeba. To... pan zaprosił te wszystkie gangreny na jej pogrzeb? - przypomniało mi się nagle.

- Ja - przyznał. - Ale według jej woli. Alicja chciała, żeby pani poznała wszystkich ewentualnych pretendentów do spadku. Fakt, wszystko zapisała pani, ale gdyby pani uznała, że należy się z kimś podzielić - wolna droga! Ona nie chciała nikogo skrzywdzić, ale też i nie chciała działać pod wpływem jakichś subiektywnych niechęci czy innych osobistych uprzedzeń. Miała pod koniec życia takie różne dylematy... czy aby nie jest komuś czegoś winna. Chodziło wie pani, o ten niby skarb... Dlatego decyzję pozostawiła pani.

- I o to jej chodziło?!

- No tak, o to. - Piechotko spojrzał na mnie zdziwiony.

- Tylko... o to?

- Tak, o to!

- A czy pan zdaje sobie sprawę - syknęłam przez zęby - jak dużo mnie ta wasza łamigłówka kosztowała? Chollllernie dużo! Ale dziś wiem już wszystko. Prawie wszystko...

- Przykro mi - westchnął Piechotko z niekłamanym współczuciem. - Ja się domyślałem, przewidywałem, że z tego pomysłu Alicji może zrobić się jakaś grubsza afera, w końcu, jakby nie było, przez całe życie siedziała pani na dynamicie z odpalonym lontem...

- O?! Śliczna metafora! - pochwaliłam z ironią. - A jaka trafna!

- Niech pani nie dowcipkuje, pani Klaro. - Piechotko chwycił mnie za rękę. - To... niesmaczne. Można wiedzieć, w jakiej sprawie pani się do mnie wybierała?

- Właśnie... - Na chwilę straciłam wątek i nie bardzo wiedziałam, jak ugryźć temat. - No właśnie... bo dręczy mnie tylko jeszcze jedno proste pytanko: dlaczego Alicja zdecydowała się wyjechać z Ernestem, mając męża i maleńkie dziecko? - spytałam w końcu. - Jak mogła ich zostawić? Dlaczego? Powinien pan wiedzieć, bo przecież pan również tam był!

Piechotko westchnął głęboko i pogłaskał się po łysinie.

- Tak wyszło - rozłożył szeroko ręce.

- Wyszło? Samo wyszło? - Podniosłam głos, nie bacząc na miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

- Ernest już od dłuższego czasu planował przeprowadzkę do Krakowa, a kiedy poznał Alicję i się w niej zakochał, zaproponował jej wspólny wyjazd. Miała czterdzieści osiem godzin na zastanowienie. Wobec

perspektywy utkwienia na całe lata w jakimś zakładzie dla obłąkanych to było chyba jedyne wyjście. W sensie dosłownym i w przenośni...

- No dobra, a gdyby nie zechciała? To co?

- Moje dziecko... - zasepił się Piechotko. - Jeśli się w tamtych czasach raz trafiło za drzwi bez klamek, odwrotu już najczęściej nie było. Te diagnozy, procedury, wszelakie formy leczenia były tak zawiłe i długotrwałe, że w czasie, kiedy pacjent teoretycznie mógłby opuścić taki szpital, z reguły naprawdę był już wariatem...

- No, ale Ernest przecież dobrze wiedział, co jej było, a ściślej: co jej nie było, i mógł ją stamtąd swobodnie wyciągnąć! Bo tak przecież zrobił!

- Oooowszem - westchnął Piechotko, prostując nogi. - Tyle że mój kolega po fachu był osobnikiem, jak by to delikatnie ująć, dosyć bezwzględny. Kochał Alicję i zaproponował jej siebie jako alternatywę sytuacji, w której się znalazła. Gdy by go nie przyjęła, on nie miałby żadnej motywacji, aby jej pomóc...

- A to... Ożesz, a to skuuuuurr...

- Ciiiiii.... - Pan Roman położył mi palec na ustach. - Nie mówmy źle o zmarłych! Szczególnie na cmentarzu. Zresztą, i tak miała to, na czym najbardziej jej zależało: panią. Panią jedną kochała nad życie, i założy się, że gdybym kiedyś ją spytał, czy żałuje swojej decyzji, z pewnością odpowiedziałaby, że nie. Ernest owszem, był nieco apodyktyczny, ale ona z czasem nauczyła się z nim obchodzić. Moim zdaniem, gdyby mu się wówczas postawiła okoniem, nikt by na tym nie zyskał...

- Ale dlaczego nie powiedziała całej prawdy ojcu? Czemu pozwoliła mu żyć z przekonaniem, że jest morderczynią?

- Ponieważ... - Pan Roman spojrzał na mnie smutno - uznała, że tak łatwiej mu będzie żyć... Że szybciej pogodzi się z jej utratą... Alicja wpakowała się w sytuację bez wyjścia, ale on był jeszcze bardzo młody, mógł zacząć wszystko od nowa...

- A pan? - spytałam, jak tylko ustąpił dławiący ucisk w gardle. - Pan skąd się tu wziął? Przyjechał pan z nimi czy jak?

- Skądże! - Piechotko roześmiał się serdecznie. - To był akurat czysty przypadek. Kiedy odszedłem na emeryturę, przeprowadziłem się tutaj. Jako zdeklarowany stary kawaler postanowiłem zadbać o swoją starość. W Krakowie mam siostrę z synem. Kupiłem więc mieszkanie, żeby

być bliżej swoich, i w razie kompletnego zniedołężnienia zapewnić sobie jakąś opiekę. A jak nadejdzie czas, będzie komu oddać, co po mnie zostanie.

Zadumał się przez chwilę.

- Alicję spotkałem u znajomych, na pokerku. Przyznam, że mocno mnie zaskoczyło, a jeszcze mocniej ucieszyło to spotkanie. Bo i ja niegdyś... że tak to nazwę... strzelałem za nią oczyma. A wówczas była już, w pewnym sensie oczywiście, wdową po Erneście... Więc sama pani rozumie...

- Smalił pan do niej cholewki? - spytałam dość obcesowo.

- Jasne! Do samego końca - przyznał bez żenady. - Ale ona tylko naśmiewała się ze mnie. Tak czy owak, wspierałem ją, jak mogłem, pomagałem, w czym się dało, i powiem pani, że cieszę się z tego...

Spojrzałam na niego, nie bardzo rozumiejąc to ostatnie stwierdzenie.

- Cieszę się, i już! - uciał Piechotko, nie fatygując się, by jakoś je rozwinąć.

•

Uparłam się, żeby zjeść kolację na szerokim balkonie nowoczesnego mieszkania Rafała. Był to niewątpliwie pierwszy tak ciepły wieczór w tym roku. Właściwie nie musiałam się nawet zbyt mocno upierać, bo jak dotychczas on zazwyczaj przychyłał się do moich rozmaitych fanaberii. Wspólnymi siłami zastawiliśmy niewielki stół, Rafał przytaskał butelkę wina, a ja świece, na które natknęłam się zupełnie przypadkowo w jednej z szafek.

- Ma być romantycznie, czy tak? - spytał, sadowiąc się trochę zbyt blisko mnie.

- Nie, ma być rzeško i przewiewnie! - uśmiechnęłam się z przekorą.

- Aha... - stwierdził krótko, mocując się z butelką. - Niech więc będzie - krzyknął, strzelając z korka i obryzgując mnie obficie zawartością flaszki, jako że była ona musująca.

- Ty... Przewrotna gadzino! - wrzasnęłam, nie namyślając się nad właściwszym doбором słów.

- O co chodzi? - spytał z niewinną miną. - Ja tylko spełniam twoje życzenia! Właśnie było rzeško, a jak zdejmiesz teraz tę mokrą bluzkę, bę-

dzie przewiewnie!

- No, chyba niedoczekanie twoje - odparłam, demonstracyjnie otulając się swetrem.

- Okej. Ale skoro jeszcze trochę zostało, użyjmy tegoż napoju w sposób bardziej prostacki. - Rozlał wino do kieliszków.

- I wymyśl, za co wypijemy.

- Sam wymyśl! - Wzięłam swoją lampkę.

- Ja już wymyśliłem, ale trochę się boję...

- Ty się boisz? - Wykrzyknęłam z udawanym oburzeniem.

- Ty? Który w ostatnim czasie używałeś wobec mnie wyłącznie naci-sków, szantażu, a nawet fizycznej przemocy?

- No, skoro uważasz mnie za takiego supermena - krygował się Rafał - to powiem: ożeniłbym się z tobą. Gdybyś chciała.

Akurat pociągnęłam łyk wina i tym razem to ja sama zafundowałam sobie orzeźwiający prysznic...

- Tak już? Od razu?

- A o co mam cię zapytać? Czy zechcesz ze mną chodzić? - spytał z dość głupią miną.

Ubawił mnie tym tak bardzo, że dla odmiany dostałam napadu śmiechu.

- No właśnie. Śmieszne, nie? - poparł gorliwie moją reakcję. - Chyba że wolisz, abyśmy sobie żyli, jak to się mawia, na kartę rowerową? Śmiem bowiem przypuszczać, że zaakceptowałaś już moją osobę przy swoim boku?

- Szczerze mówiąc - zaczęłam całkiem poważnie - to i ja chciałabym poczynić jakieś ustalenia. Przyznam, że nie posunęłam się w swoich rozważaniach tak daleko jak ty i może trochę... nie w tym kierunku. Chodziło mi głównie o to, co zrobić z domem Alicji. Jedno jest pewne: ja nie chcę tam mieszkać.

- No, ja myślę! - zapalił się Rafał. - Mieszkać będziemy u mnie. Przy najmniej do czasu, aż dorobimy się własnego domu.

- I co dalej?

- Dalej? Pobierzemy się. Jak zechcesz, oczywiście.

- A dalej? - drążyłam temat, chcąc maksymalnie uszczegółowić owo mgliste: „żyli długo i szczęśliwie”.

- No, jak to? Fajnie będzie! Nie sądzisz?

- Nie.

- Ej, Klara, o co ci chodzi? - zaniepokoił się z lekka.

- O konkrety. Ty masz swoją pracę, cele, dochody... A ja?

- A... Rozumiem. - Rafał spojrział na mnie z powagą. - Nie wiem, tutaj akurat moje rozważania nie dosięgły... - Ale to, co zrobisz ze swoim czasem, będzie zależało od ciebie! Może wykorzystasz jakoś te środki, które zostawiła ci babcia, rozkręcisz jakąś działalność? O! Może zorganizujemy przedszkole na godziny? To dzisiaj bardzo na topie interes, pożyteczny i ma niemały popyt!

- Nie wiem, może. - Odwróciłam wzrok pod pretekstem sięgnięcia po chipsa. - Mam pewne postanowienia, ale nie wiem, jak ci się spodobać...

- Obiecuję, że odniosę się do twoich decyzji z całym szacunkiem, jakiegokolwiek by były! - oznajmił z zapałem.

- Wobec tego mogę cię z czystym sumieniem postawić przed faktem dokonanym? - spytałam, patrząc mu prosto w oczy.

- Możesz - odparł, jak na mój słuch, bez stuprocentowego przekonania.

- W takim razie jutro w czasie przerwy na lancz porywam cię dokądś na chwilę.

- Nie ma sprawy. A teraz chodźmy stąd, chłodno się robi.

- Już???

- Już. Przeziębisz się w tym mokrym ubraniu. Ale - zatrzymał mnie jeszcze w progu - nie odpowiedziałas, jak się zapatrujesz na moje oświadczenia?

- A były jakieś oświadczenia? - próbowałam wyłgać się półzartem.

- Były. Wstępne oczywiście, na wypadek kategorycznej odmowy, ale jeśli się okaże, że jesteś skłonna, oświadczę ci się wówczas, że ho, ho!

- Spytaj mnie jeszcze raz, jutro. Jeśli tylko zapytasz, z pewnością odpowiem.

Rafał nie wrócił już do tematu. W milczeniu uprzętaaliśmy resztki naszej uczy, przenosząc to, co zostało, na stolik do salonu. Przypuszczam, że moje mętne niedomówienia zasiały w jego duszy lekki niepokój, jednak dzielnie nie dawał po sobie niczego poznać.

- Hej! Zdejmijże wreszcie tę mokrą bluzkę, bo naprawdę się rozcho-
rujesz - ponaglił i natychmiast zamienił swoją troskę w czyn.

- Sama dam radę! - Wyśliznęłam się z jego wszechobecnych dłoni.
- I bądź tu, człowieku, uczynny! - jęknął dramatycznie.
- No właśnie. Możesz pozmywać, jak chcesz, a ja w tym czasie wezmę prysznic. Albo odwrotnie. Jeśli wolisz...

Jeszcze długo przed zaśnięciem myślałam o swoich jutrzejszych planach, starając się już teraz dopiąć je na ostatni guzik.

- Czy jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz? - Już na pograniczu snu i jawy zagadnęłam samą siebie słowami babci.

- Tak, naprawdę tego chcę! - odpowiedziałam sobie z całym przekonaniem.

•

Poranek nie zwiastował już dzisiaj tak pięknego dnia. Niebo zasnuwane było szarymi chmurami, w powietrzu było czuć zapach rychłego deszczu. Jak tylko zostałam w mieszkaniu sama, natychmiast wykonałam dwa ostatnie telefony. Wszystko poszło jak z płatka. Dla zabicia czasu wzięłam się do sprzątania, chociaż przy pedantycznym charakterze Rafała nie miałam zbyt wiele do roboty. Spróbowałam oglądać telewizję, potem znalazłam coś do czytania, ale im bliżej pierwszej, tym bardziej nie mogłam się na niczym skupić. Wyrzuciłam z szafy parę ciuchów, zastanawiając się, co też będzie dla mnie dzisiaj najodpowiedniejsze. Wybrałam klasyczny garnitur w kolorze ciemnej śliwki, skrojony tak, że nie trzeba było wkładać pod niego bluzki. Po raz setny chyba poprawiłam fryzurę i makijaż, by, gdy wreszcie pojawił się Rafał, o mały włos nie wyjść z domu w kapciach.

- No więc? Dokąd mnie porywasz? - spytał, z uznaniem szacując mnie wzrokiem.

- Niedaleko, ale na wszelki wypadek zabierz samochód.

Żebyś się nie spóźnił z tego lanczu do pracy... A właśnie, mam nadzieję, że nie jesteś bardzo głodny?

- Że nie jestem? - zdziwił się. - Myślałem, że pójdziemy coś zjeść?

- Wiesz co? - Zakręciłam się bezładnie po kuchni. - To może ja ci zrobię jakąś szybką kanapkę? Co?

Rafał przyglądał mi się z coraz większym zdumieniem na twarzy.

- Ale... dlaczego? - wyjąkał.

- Bo jak czegoś teraz nie zjesz, to potem też możesz nie zjeść i będzie mnie sumienie gryzło...

- Spokojnie, dam radę - westchnął, nie pytając już o nic. Otworzył tylko drzwi i puścił mnie przodem.

- Dokąd wobec tego? - spytał już w samochodzie.

- Na Kościuszki. A potem cię popilotuję.

W pobliżu wskazanego przeze mnie miejsca Rafał zaparkował auto i pomógł mi wysiąść.

- O?! Tata, a co ty tu robisz? - wykrzyknął zdziwiony na widok Jana Sochowicza, tkwiącego w pobliskiej bramie.

- To samo co i ty, jak przypuszczam - odparł senior kwaśno. - Witam panią - skłonił się lekko w moją stronę.

- A zatem, chodźmy! - zaproponowałam, występując na czoło. - Pan Piechotko jest już pewnie na miejscu.

Jeden rzut oka na umieszczoną przy bramie tabliczkę powiedział chyba Rafałowi wszystko. W jego mniemaniu, oczywiście. Tak jak przypuszczałam, Piechotko był już w kancelarii notarialnej. Wszyscy panowie: notariusz, pan Roman i obaj Sochowiczowie uścisnęli sobie kolejno dłonie, mnie zaś z mniejszym bądź większym zapałem cmoknęli w mankiety. Pierwszy zabrał głos Roman Piechotko.

- Otóż, zebraliśmy się tu dzisiaj wszyscy na wniosek pani Klary Ledwień, celem zapoznania się z ostatnią wolą Alicji Ledwień.

Stary Sochowicz prychnął cicho pod nosem i spojrzał na mnie pogardliwie.

- To może ja... odczytam... - zaproponował szybko Piechotko.

- A ja pozwolę sobie nadmienić - notariusz stanął obok niego - że rzeczony dokument spełnia wszelkie wymogi prawne oraz formalne.

Jan Sochowicz prychnął powtórnie, po czym skarcony wzrokiem przez Rafała usiadł prosto, z kamienną twarzą.

- No więc... czytam. - Piechotko włożył okulary, odebrał z ręki prawnika „rzeczony dokument” i zaczął czytać.

Nie było tego dużo. Z nieruchomości wymieniony został tylko dom, potem było jego wyposażenie, w większości zabytkowe, oraz środki finansowe, w dość szokującej kwocie, wyłącznie złotych polskich. Była też biżuteria, której równowartość na tle wymienionych dóbr przedsta-

wiała się raczej mizernie. Po odczytaniu dokumentu Piechotko usiadł razem ze wszystkimi.

- Czy obecna tutaj pani Klara Ledwień, z domu Ledwień, decyduje się na przyjęcie powyższego? - spytał uroczyście notariusz.

Wystąpiłam naprzód, czując na plecach pałący oddech wszystkich tu obecnych.

- Decyduję się - oznajmiłam lekko drżącym głosem - na przyjęcie biżuterii, jako wartościowej dla mnie emocjonalnie, jeśli zaś chodzi o wszystkie pozostałe dobra, ruchome, nieruchome i jakie tam jeszcze, zrzekam się ich na rzecz obecnego tutaj Jana Sochowicza.

Za moimi plecami rozległ się szmer, godny co najmniej potrojonej liczby obecnych.

- Pragnę jednak dodać - chrząknęłam nieznacznie - iż wymieniona w testamencie kwota... została uszczuplona przeze mnie w czasie siedmiu miesięcy od śmierci Alicji Ledwień o szesnaście tysięcy siedemset czterdzieści złotych i... uszczuplona niejako... zgodnie z wolą nieboszczki, nie będzie podlegała zwrotowi. To tyle.

Po zakończeniu swojej mowy usiadłam obok Piechotki, nie bardzo wiedząc, co dalej.

- Wobec takiego obrotu sprawy - zabrał głos notariusz - trzeba będzie podjąć kolejne kroki prawnoformalne. - Ponieważ, aby zrzec się spadku na rzecz wskazanej osoby, należy go najpierw przyjąć, co umożliwi zbycie spadku, w całości lub jego części.

- Proszę zatem sporządzić odpowiednie dokumenty, a ja je podpiszę - odparłam ze spokojem i godnością.

- Wobec powyższego będę zmuszony pofatygować państwa do siebie jeszcze raz, w ustalonym terminie. Ale może, zanim podejmę jakieś działania, pozwolę sobie spytać szanownego pana - tu skłonił się w stronę Sochowicza-seniora - czy pan wyraża zgodę na tę darowiznę?

Stary Sochowicz, od dłuższej już chwili dość mocno zbaraniały, najwyraźniej nadal nie mógł odzyskać głosu. I znowu z odsieczą przyszedł Rafał, dźgając go solidnie z łokcia w bok.

- Drogi panie! - Pan Jan natychmiast wyprężył pierś, całkowicie wracając do siebie. - Czy ja się zgadzam? To pytanie jest całkowicie bezzasadne! Wszystko, co wymienione zostało w odczytanym dokumencie,

jest i zawsze należało do mnie, jakąż więc może być tu mowa o darowiźnie?

- Pan wybaczy - rzekł z ukłonem prawnik - ale ja muszę uzyskać odpowiedź na to pytanie.

- Odpowiedź, mój drogi, jest tutaj czystą retoryką! Albo... milczeniem!!! - zakrzyknął z patosem Sochowicz.

Notariusz nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Bardzo pana proszę... Czy pan się zgadza?

Po kolejnej dość radykalnej interwencji Rafała stary Sochowicz najpierw stęknął głucho, po czym wyrzęził:

- Zgadzam... się...

- Mogę już iść? - szepnęłam do Piechotki.

- Niech pani idzie - odparł. - Ja dogram to wszystko do końca i jakby co, zadzwonię.

Naskrobałam na kartce numer mojej komórki i oddaliłam się jak najśpieszniej, spoglądając dyskretnie przez ramię, czy Rafał udał się za mną, czy też został przy ojcu. Dogonił mnie jednak na samym dole.

- Chryste, Klara - szepnęła. - Ależ ty jesteś... desperatka!

- A jestem - odparłam z wysoko uniesioną głową. - I co? Chcesz mnie nadal? Gołą, bosą i o głodzie? Nie odpowiadaj!!! - powstrzymałam go gestem. - To ty masz mnie o to zapytać. A ja zaczekam, do wieczora.

Rafał ogarnął mnie nieodgadnionym spojrzeniem, po czym zamaszyscie otworzył samochód i gestem zaprosił mnie do środka.

- Słuchaj... - zaczęłam niepewnie. - Ja jeszcze muszę dokądś się wybrać... Pojedź sam, dobrze?

Obawiałam się trochę, czy aby sobie nie pomyśli, że moje rozchwianie emocjonalne nabrało nowej mocy. Ale on tylko westchnął, bez słowa przytulił mnie do siebie, wsiadł do samochodu i odjechał.

Maszerowałam rażno, wyprostowana i lekka. - Niech się dzieje, co chce - myślałam. - Wreszcie robię to, o czym naprawdę, w głębi ducha jestem przekonana. I choćby mi się nawet przy tym noga powinęła, winie mi się w ramach słusznej idei!

W autobusie był spory tłok. Dopchnęłam się do jakiejś mniej obłożonej rurki, zakotwiczyłam w miarę solidnie i zagapiłam się na mijany krajobraz. Poranna szaruga wolno ustępowała przed pojawiającymi się coraz częściej promieniami słońca. Robiła się wiosna i nie było co do te-

go żadnych wątpliwości. Jeszcze chwila, a wszystko dokoła buchnie zielonością, rozkwitną krzewy, a ja pewnie jak co roku znów przegapię ten moment... W mojej świadomości nadejście wiosny było jednoznaczne z pierwszym ciepłkiem nad szarą jeszcze, błotnistą ziemią, a zaraz potem już wszystko dokoła kipiało listowiem i kwieciem. Notorycznie umykał mi moment strzelania roślin pączkami, pierwsze anemiczne listki, pierwsze wątle źdźbła trawy. I znów jak co roku przyrzekłam sobie, że przyczaję się na tę chwilę i będę z uwagą obserwować odradzanie się przyrody...

- Ej, laseczka - usłyszałam za sobą młodzieńczy męski głos i jednocześnie poczułam klepnięcie w ramię.

Odwróciłam się wolno, by dać temu komuś szansę skorygowania swojej pomyłki.

- Nie chcesz usiąść? Wolne jest. - Jakiś chłopak w wieku okołostudenckim wskazywał dłonią na puste krzesło.

Zdębiałam. Na wszelki wypadek rozejrzałam się na boki, ale nie ulegało wątpliwości, że mówił do mnie. Usiadłam, by nie przedłużyć tej żenującej dla mnie sytuacji, i ponownie zagapiłam się w okno.

- Można spytać, na którym przystanku wysiadasz? - zagaił mimo to po chwili.

- Za wiaduktem - odparłam niechętnie.

- Fajnie! - ucieszył się. - To tam, gdzie ja.

Kiedy nadszedł moment wysiadania, ruszyłam jak taran ku drzwiom. Wskoczyłam z autobusu, przeszłam na drugą stronę ulicy i ruszyłam szybkim krokiem przed siebie. Miałam ogromną nadzieję, że mój współpasażer sobie odpuścił.

- Hej! Zaczekaj! - usłyszałam tuż za sobą. Postanowiłam coś z tym zrobić.

- Czy my się znamy? - spytałam z półobrotu.

- Nie - roześmiał się chłopak. - Ale nic straconego. Marcin jestem! - Wyciągnął do mnie rękę.

- Klara. - Podałam mu dłoń, drugą jednocześnie zdejmując duże przyciemnione okulary.

Na wszelki wypadek ustawiłam się na wprost całkiem solidnie jarzącego już w tej chwili słońca.

- Prze... eee... praszam panią - wydukał zmieszany. - Najmocniej przepraszam - zrobił gwałtowny w tył zwrot i oddalił się pospiesznie.

- Boże jedyny, świat staje na głowie! - roześmiałam się szczerze ubawiona.

Grażynka miotła się jak w ukropie, obsługując tabuny pacjentów. Stałam z boku, czekając cierpliwie na wyludnienie. Doskonale pamiętałam ten wczesnowiosenny boom, gdy wraz z ostatnimi roztopami spadały na ludzkość pobudzone do życia wirusy i bakterie. Obejrzałam szczegółowo wszystkie leżące na stoliku ulotki i gazetki, a kiedy przy okienku Grażyny zostały już tylko trzy osoby, ustawiłam się uczciwie w kolejce.

- Ja do doktora Skisławskiego - oznajmiłam, gdy przyszła moja kolej.

- Dyskietkę poproszę! - Grażyna przelotnie rzuciła na mnie okiem.

Uśmiechnęłam się do niej szeroko.

- Dyskietkę poproszę!!! - powtórzyła głośniej.

- Faj! Jaka pani rejestratorka niemiła! - Spojrzałam na nią krytycznie. - A czy nie można by łagodniej, z uśmiechem, frontem do pacjenta?

- Droga pani... - Grażynie zadrgały nerwowo powieki.

- Tutaj jest napisane - puknęła palcem w szybę - że dla usprawnienia pracy przychodni pacjent powinien przyy... ygoto... wać... Klara??!! - wrzasnęła. - Klara!!!

- A któż by inny miał czelność wygłosić podobną uwagę? - roześmiałam się w głos. - Stawiaj wodę na jakąś kawę, zanim znowu się zwałą!

- Nie, czekaj! Zrobimy inaczej. - Grażynka pobiegła na zaplecze, pojawiając się za moment w płaszczu i z torebką.

- Beatka mnie zastąpi - oznajmiła. - Wisi mi kilka godzin, więc zostanie dziś trochę dłużej. Idziemy na kawę do knajpy!

- No ale ten... Tak nagle jej to na głowę zwałiłaś, a może jej dziś nie pasuje? - dopadły mnie skrupuły.

- Nie martw się. - Grażynka wzruszyła ramionami. - Ostatnio ja prawie cały czas za nią dupkuję, bo ona jest teraz mocno zajęta. Wychodzi za mąż - wycedziła z ironią.

- I co? Źle ci z tego powodu? - zdziwiłam się. - Przecież ty zawsze byłaś za życiem w stadzie.

- Owszem. Ale wiesz, młode to-to, głupie i nierozważne. Za mąż powinno się wychodzić dopiero po trzydziestce! W przypadku kobiety,

oczywiście.

- A ciebie co znowu napadło? Spojrzałam na nią z ukosa.

- Autopsja, moja droga, autopsja... Włóż! - Popchnęła drzwi naszej ulubionej kawiarenki.

Kiedy kelnerka uwijała się z realizacją zamówienia, Grażyna lustrowała mnie obcesowo.

- No, widzę, że wreszcie mnie posłuchałaś! - stwierdziła w końcu z satysfakcją. - Wyglądasz świetnie!

- Dzięki - zaśmiałam się, przypominając sobie dzisiejsze zajście w autobusie. - A co tam u ciebie? Bo ja tylko wciąż o sobie i o sobie...

- Normalka - odparła krótko. - Nie zamydlaj mi tu oczu, tylko wal, z czym przychodzisz!

- A może być od początku? - spytałam skromnie.

- No, ja na myślę, że od początku...

•

Powlokłam się do domu tuż przed powrotem Rafała, gdyż tak już w myślach zaczęłam nazywać jego mieszkanie. To znaczy, tak mi się zdawało, że przed jego powrotem, ale kiedy usiłowałam otworzyć drzwi, okazało się, że już są otwarte... Z gulą w gardle weszłam cicho do środka i stanęłam niepewnie w przedpokoju. Od strony salonu biła jakaś dziwna aura, coś, jakby przytłumione, bardzo niekonkretne światło.

- Klara? - usłyszałam jego głos z głębi mieszkania.

- No - odparłam cicho.

- Zaczekaj chwileczkę, dobrze?

Ze wzrastającym uczuciem duszności oparłam się o ścianę.

- No tak - szepnęłam do siebie. - Wyczyniasz bez uprzedzenia rozmaite ekscesy, włączysz się nie wiadomo gdzie, przygotuj się więc teraz na doraźne kazanko...

- Musimy... chyba raczej... e... pójść jeszcze z wizytą! - oznajmił Rafał, pojawiając się znienacka w drzwiach.

- Z wizytą? - Spojrzałam na niego podejrzliwie. - A, tak! Nagle wszystko stało się jasne. Będziemy odkręcać! Odkręcać mój samowolny występ u notariusza, bezmyślne szastanie majątkiem i wszelkimi dobrami, które, gdyby nie moja lekka ręka oraz prędki ozór, mogłyby stać się solidną podwaliną mojej niejasnej przyszłości...

- Dobra, oczywiście, jak sobie życzysz - odparłam wyniośle i odwróciłam się na pięcie. A swoją drogą - dodałam w myślach - nie przypuszczałam, że tak niedaleko padłeś od jabłoni, Sochowiczu juniorze...

Rafał jakby nie zauważył mojego niechętnego nastawienia, zresztą, w ogóle jakby nieco ogłuchł i przyśleplł. I stępieł na umyśle... Podążał za mną dość automatycznie, co jakiś czas macając się po kieszeniach. Trzymał w nich zapewne nieodzowne papiery, które zdołał sporządzić pod moją nieobecność...

- No więc? Dokąd jedziemy? - spytałam już w samochodzie.

- Ciemno się robi, kurczę - mruknął w odpowiedzi.

- Ano, ciemno. A w czym ci to przeszkadza, jeśli można wiedzieć?

- Mnie? W niczym!

Westchnęłam ciężko i osunęłam się w fotelu, na tyle, na ile pozwalały mi zapięte pasy. Postanowiłam zmilczeć wszystko, z czymkolwiek przyszłoby mi się zmierzyć. Zmierzch, zaiste, gęstniał w oczach, ale przeszywająca na wskroś powietrze wiosna przydawała mu posmaku niepokojącego romantyzmu... Wszystko to sprawiło, że zamiast majestatycznej urazy odczułam nagle w duszy bezmyślną błogość i niczym nieuzasadnione zadowolenie...

Rafał kluczył coraz ciasniejszymi uliczkami, by wreszcie zatrzymać samochód tuż przy... cmentarnej bramie!

- Pani pozwoli - skłonił się, otwierając mi drzwi. - Koniec wycieczki!

- Po co mnie tutaj przywiozłeś? Po nocy? - wydukałam zaskoczona.

Rafał lekko objął mnie w talii i poprowadził w brukowaną alejkę.

- No cóż, tu chyba nigdy nie jest za późno na gości - odparł z nagłą bez troską.

- To oni wszyscy są tutaj? Twój ojciec, Piechotko, notariusz...

- E, chyba jeszcze nie. - Spojrzał na mnie rozbawiony lekko. - Raczej by nie zdążyli, od popołudnia...

- Ale będą, tak? - Zatrzymałam się w pół kroku.

- Oooo! Pewnie! Pewnie, że będą!

- Przynajmniej bym znicz jakiś wzięła dla Alicji, gdybyś raczył mnie uprzedzić, dokąd jedziemy - burknęłam rozdrażniona tą jego dziwną i nieadekwatną do miejsca oraz sytuacji wesołością.

- Ja mam - odparł Rafał. - I mam też kwiatki.

Nie miał, to oczywiste. Nie niósł niczego w rękach, a to, co kitrał po kieszeniach, było z pewnością znacznie mniejsze. I z pewnością bardziej płaskie.

- A, i proszę! - wskazał na wyłaniający się zza sporego bukszpanu nagrobek Alicji. - Widzisz?

Istotnie, na jasnej marmurowej płycie skrzyła się cała masa zniczy i świec. Kwiaty też były. Mnóstwo kwiatów!

- Ach... To ty... tak... e... tego? - niemal zatchnęło mnie z wrażenia. - Z jakiej niby okazji?

- Droga Alicjo! - przemówił uroczyście Rafał, popychając mnie jednocześnie delikatnie w stronę marmurowej tablicy z fotografią nieboszczki. - Przyprowadziłem do ciebie tę oto damę, twoją córkę zresztą, ponieważ... Ponieważ zamierzam się z nią ożenić! Nie wiem, jak ona to przyjmie, i powiem ci, tak między nami, że mam nawet pewne obawy... Ale liczę na twoje wsparcie i pomoc! I tak sobie myślę, że jeśli ty nie będziesz miała nic przeciw naszemu małżeństwu, to może i ona...

Wtym momencie, czy to za sprawą mocniejszego powiewu wiatru, czy też innych, przyrodzonych bądź nadprzyrodzonych sił, palące się na grobie znicze wystrzeliły w górę jasnymi płomieniami, łącząc się w jedną, gorejącą lunę. Poczułam, że nogi uginają się pode mną. Z na wpół zamarłym sercem zawisłam na ramieniu Rafała.

- Rozumiem, że twoje milczenie oznacza zgodę - spuwentował szybko swoją orację skierowaną do Alicji, po czym złapał mnie na rękę, posadził na cokole i ukląkł, kładąc mi głowę na kolanach.

- Ty chyba jesteś... wariat jakiś. Oszołom - wyszeptałam niemal bez tchu.

- Jestem - przyznał bez cienia sprzeciwu. - I wiesz co? Ułożyłem to sobie z detalami, z całą długą przemową - wyszeptał - ale już ani słowa więcej nie pamiętam. - Wcisnął mi w rękę małe, chłodne w dotyku pudełeczko.

Ale ja rozumiałam doskonale, dlaczego przyprowadził mnie właśnie tu. Na grób kobiety, której wszystkie wybory i decyzje były już poza nią i której los, tymi wyborami zdeterminowany, dokonał się nieodwracalnie. Mój wybór był ciągle jeszcze przede mną, choć właściwie uczyniłam go już wcześniej. Tylko Rafał jeszcze o tym nie wiedział...

Otworzyłam pudełeczko i zajrzałam do środka. Nie dostrzegłam w tym półmroku szczegółów, ale to, co było wewnątrz, skrzyło się w blasku zniczy tęczowymi kolorami. W okolicy prawego kolana czułam bicie serca Rafała.

- Kocham cię, Klaro! - wyszeptał. - Masz rację, zwariowałem. Oszałałem czy jak tam sobie chcesz! A po tym, co dzisiaj zrobiłaś... z tą swoją schedą... - mamrotał stłumionym głosem - jesteś najwspanialszą kobietą na świecie, wiesz?

Użyłam całej swojej siły, by wywlec jego głowę spomiędzy połów swojej marynarki, i ustawiłam go do pozycji kucznej. Oczy wilgotniały mi z sekundy na sekundę, nos szczypał niemiłosiernie. Prędko, zanim i z niego zaczęło mi kapać, wyłuskałam z torebki chusteczkę.

- Ja myślałam - chlipnęłam cicho - że mnie za to skrytykujesz... Że jedziemy do twojego ojca i do notariusza, żeby to wszystko odkręcić!

- Ależ broń Boże! - uniósł się oburzeniem Rafał. - To była najpiękniejsza akcja, jaką kiedykolwiek widziałem!

- Nie będzie już prywatnego przedszkola. Wiesz?

- Wiem.

- Ani innego małego biznesiku...

- Nie szkodzi.

- Ale za to... Ale za to... załatwiłam sobie z powrotem pracę... w przy... w przy... - w tym miejscu rozryczałam się na cały regulator.

- W przychodni - dokończył za mnie Rafał, wycierając mi nos. - No więc jak? Wyjdiesz za mnie? - spytał.

- A mam jakieś inne wyjście? - odpowiedziałam pytaniem.

- Goła, bosa, bez dachu nad głową...

- I o głodzie - dorzucił Rafał, pomagając mi wstać. - Ten ostatni problem załatwimy natychmiast - zapraszam cię na zasłużoną narzeczeńską kolację.

Epilog

Powiesz mi wreszcie, dlaczego chciałaś przyjechać akurat tutaj? – spytał Rafał, stawiając torby na podłodze hotelowego pokoju. – W moim wyobrażeniu miodowy miesiąc powinno się spędzić co najmniej w Wenecji! Zwłaszcza po tylu latach zabiegów o damę swego serca.

– Przesadzasz – jęknęłam, siadając na brzegu łóżka i z ulgą pozbywając się wreszcie pantofli z obolałych stóp. – Miodowy miesiąc, jeśli naprawdę ma być miodowy, to chyba wszystko jedno, w jakim ulu...

Rafał nagle rzucił się na mnie, przygniatając całym swoim ciężarem.

– No tak! Ale ty się uparłaś akurat na Zieloną Górę, a ja nie mam pojęcia dlaczego!

– Po pierwsze – odparłam, usiłując wypełznąć spod niego – spędzimy tu jedynie najbliższy weekend, a po drugie – teraz już ja byłam na wierzchu, dosłownie i przenośni – nie będę... jak to ty mawiasz? Nie będę wygłaszała niesprawdzonych hipotez! Jutro się wszystko wyjaśni.

Rafał ułożył się obok mnie i splótł prawą rękę z moją, po raz kolejny jakby z niedowierzaniem oglądając nasze obrączki.

– Kocham cię – szepnął.

– Ja też cię kocham – wtuliłam się w niego.

Pomyślałam sobie teraz, co by było z nami, gdyby nie pomysł Alicji ze sprowadzeniem na swój pogrzeb tych wszystkich pazernych żałobników? Gdyby nie połączyła nas ta uparta wędrownica śladami jej przeszłości, czy bylibyśmy ze sobą? Zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się do niej z czułością. Być może ona tak tym wszystkim pokierowała, że jestem teraz tak strasznie, tak cholernie szczęśliwa! Tak czułam i tak chciałam czuć. Dlatego, aby ostatecznie zamknąć ten rozdział, przypieczętować tę jej wolę i rzucić wyzwanie przesądom, poprosiłam tatę, aby dał nam ich obrączki. Nie szkodzi, że wewnątrz były inicjały A.B., że był wygrawerowany 1969 rok. Ważne, że i Rafała zauroczył mój pomysł, i w ten sposób zostaliśmy sobie poślubieni jakby podwójnie.

- Czemu płaczesz? - spytał, dotykając mojego policzka.
- Nie wiem... Jakoś mi tak... wodniście się zrobiło...
- To wydal z siebie jak najprędzej ten nadmiar i zejdziemy na kolację
- szepnął Rafał, całując moje powieki. - Pomogę ci i wysşam troszeczkę...

- Ej! Zlizujesz mi tusz! - zaprotestowałam. - Sama sobie poradzę. -
Usiadłam na łóżku, ocierając delikatnie opuszkami palców załzawione
oczy. - Dobra, podretuszuję się trochę i możemy iść.

Poprawiłam makijaż i fryzurę, włożyłam nawet dla Rafała sukienkę,
a do niej biżuterię Alicji: misterny naszyjnik i kolczyki. W hotelowej re-
stauracji nie było zbyt wielu gości. Usiedliśmy w kącie, z dala od drzwi.
Z głośnika leciała jakaś muzyczka, a poruszający się bezszelestnie kel-
ner na dobry wieczór zapalił na naszym stoliku świeczki. Nastrój sprzy-
jał raczej kontemplacji niż rozmowie. I to właśnie między innymi tak
bardzo w Rafale lubiłam: że ani prowadzone przez nas rozmowy, ani za-
padająca niekiedy cisza nie wymagała żadnego wysiłku. Wszystko było
naturalne, proste i oczywiste. Kiedy jeszcze byłam z Piotrkim, nieraz
wrzałam dosłownie od środka, zasypywana durnymi tematami, płytkimi
problemami czy w przyływie jego dobrego humoru wulgarnymi kawa-
łami. Ciszy natomiast nie pamiętam w ogóle. Akustycznym tłem wszyst-
kich innych odgłosów był bowiem ryczący notorycznie telewizor. Poza
tym wciąż słyszałam jego głośny śmiech bądź przekleństwa, w zależno-
ści od tego, co oglądał, nocą zaś dochodziło z kuchni grzmocenie gara-
mi, chrzęst sztućców, skwierczenie patelni, a wreszcie lube ciamkanie
i siorbanie... Jak to dobrze - pomyślałam - że on z tą Pietraszkową...
I że ich razem przyłapałam!

Dreszcz przebiegł mi po plecach na myśl, że oto w tej chwili, zamiast
siedzieć naprzeciw mojego kochanego, cudownego Rafała, mogłabym
siedzieć z Bylcem w babcinej kuchni, nakładając na chleb plastry tłu-
stego salcesonu...

- Jakie chcesz wino? - Rafał delikatnie musnął moją dłoń.
- Nie wiem... - ocknęłam się z zamyślenia. - Jakiegokolwiek... białe wy-
trawne.

Kelner skłonił się w moją stronę i odpłynął cicho od stolika. Spojrza-
łam na Rafała z uśmiechem.

- I jak ci? - spytał, również z uśmiechem.

- Miodowo - szepnęłam i utonęłam w jego pięknych oczach...

W tym momencie przy stoliku naprzeciw rozegrała się jakaś niepojęta, mocno dramatyczna scena. Starszy, dość elegancki jegomość, który przyglądał mi się bacznie od dłuższej chwili, nagle trzasnął swoim talerzem o stół, wyrznął krzesłem o podłogę i pędem ruszył ku wyjściu. W drodze zatrzymał go kelner, próbując chyba dociec przyczyny jego zachowania, ale jegomość coraz bardziej się rozsierdzał, gestykulując żwawo i od czasu do czasu... wskazując palcem na mnie! Spojrzałam skonsternowana na Rafała. Ten gestem przywołał kelnera i chłodnym tonem zapytał, o co chodzi.

- Przepraszam panią najmocniej - sumitował się kelner, ale z tamtym panem chyba coś jest nie tak... - Proszę wybaczyć, postaram się, żeby przestał się u nas stołować...

- No dobrze, ale co go tak nagle zbulwersowało? - spytałam ciekawą.

Kelner zmieszany ociągał się z odpowiedzią.

- Proszę mówić! - zażądałam.

- Nie chciałym pani obrazić, ale...

- Ale? - Nie dawałam za wygraną.

Facet pochylił się ku mnie i wyszeptał z przejęciem:

- Tamten pan mówił... On mówił, że... - Sprawa najwyraźniej nie chciała mu przejść przez usta.

- Że? - wspomógł mnie Rafał.

- Że... Pani tutaj straszy! Podobno będąc jeszcze dzieckiem, widywał panią w jakiejś okolicznej wsi i już wówczas pani tam straszyła! - wykrztusił wreszcie, spoglądając na mnie głupawo. - I że z początku nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale kiedy dostrzegł tę biżuterię - kelner z nabożnym szacunkiem wskazał na mój naszyjnik i kolczyki - upewnił się i zwiął!

Spojrzałam na Rafała. Kąciki ust drżały mu niebezpiecznie... Nie wytrzymałam i roześmiałam się na całe gardło.

- Niech pan... - wyłkałam do kelnera przez łyżę - bardzo proszę, niech pan nie robi tamtemu gościowi przykrości. Bo ja... - zapiszczałam radośnie - bo ja tam... straszę do dziś!!!

- Po co ci te noże? - zdziwił się Rafał, kiedy tuż przed wyjściem z hotelu wpakowałam do torebki dwa noże do smarowania pieczywa.

Dlatego właśnie uparłam się, by zjeść śniadanie w pokoju, żeby mieć swobodny dostęp do ostrych narzędzi. Jeszcze raz zajrzałam do torebki. Po chwili wahania dorzuciłam jeszcze dwa widelce.

- Chodź, nie marudź! - Pociągnęłam go za rękaw.

Rafał wzruszył nieznacznie ramionami i udał się za mną.

- Niezły z ciebie numer, wiesz? - odezwał się dopiero w windzie. - Ja rozumiem, że tamten staruszek mógł się ciebie wystraszyć sam z siebie, ale kelnera mogłaś już sobie darować.

- Kiedy nie mogłam właśnie. - Roześmiałam się znowu na wspomnienie jego miny. - Ale jak widzisz, dla dobra ogółu dzisiaj wyglądam nieco inaczej... Zastanawiam się tylko, dlaczego wcześniej nikt mnie nie skojarzył z frau Kler?

- Bo, jak sądzę, nikt nie skojarzyłby frau Kler z trampkami i dzinsami. Twoja wczorajsza elegancja cię zgubiła - uśmiechnął się z przekąsem. - Powiesz mi wreszcie, dokąd się wybieramy?

- Do kościoła - szepnęłam tajemniczo.

- Z nożami i widelcami?

- Dokładnie - odparłam ze swobodą. - Aha, ale do Soliszki - dodałam gwoli uzupełnienia.

W czasie jazdy Rafał spoglądał na mnie w milczeniu, nie próbując jednak o nic pytać. Kontemplowałam z uwagą mijany krajobraz, rozpoznając już trochę niektóre miejsca. Słonko, jak w ciągu kilku ostatnich dni, przebijało się zza chmur. Trochę nieśmiało, aczkolwiek obiecująco...

Kościół w Soliszce nie był zbyt wielki, a jego różnorodność architektoniczna świadczyła o tym, że rozrastał się stopniowo.

- Zobacz - wskazałam na część świątyni stylizowaną na późny barok.

- To będzie chyba ten kawałek, który ufundowała Trusiowa! Wygląda, jakby stanowił niegdyś odrębną całość.

- Aha - przyznał z zadumą Rafał. - Chcesz wejść do środka?

- No pewnie!

- Ale nie ma teraz żadnej mszy - spojrzał na rozkład nabożeństw umieszczony w wolno stojącej gablocie.

- Nie szkodzi. Oby tylko był otwarty!

Podeszliśmy do ciężkich, dwuskrzydłowych drzwi. Napałam na klamkę, która ustąpiła bez większego oporu. Przyklekłam na jedno kolano przed głównym ołtarzem i od razu udałam się na lewo. Kościół wyglądał na zupełnie opustoszały. Po chwili jednak od strony chóru dał się słyszeć cienki pisk organów.

- Chyba sobie organista ćwiczy - szepnął Rafał.

- Świetnie, niech sobie piszczy... to znaczy, niech sobie ćwiczy, jak najgłośniej! - odszepnęłam.

Tablicę pamiątkową na cześć Trusiowej znalazłam od razu. Umieszczona była na wewnętrznej krawędzi łuku, stanowiącego wejście do kaplicy. Okazało się bowiem, że kaplica nadal pozostała kaplicą, w stanie raczej niezmiennym. Wryty na niej napis brzmiał:

„Kaplica ufundowana przez Świętej Pamięci Alicję Trusiową *1926 †1969. Cześć jej pamięci”.

- To musiała być ona, na bank! - szepnęłam. - Każdy inny napisałby po prostu: Trusiową? Bo kto by u licha pamiętał, jak ona miała na imię, nie sądzisz?

Rafał, zgodnie z moim przewidywaniem, nie zaprzeczył ani nie potwierdził, gdyż najwyraźniej nadal nie jarzył, o co mi chodzi. Wyciągnęłam rękę, by się przekonać, czy jestem w stanie jej dosięgnąć. Byłam, bez najmniejszego problemu. Organista wycinał coraz bardziej finezyjne kawałki i ogółem wszystko mi sprzyjało.

- Stań na czujce, bardzo cię proszę! - zwróciłam się do Rafała półgłosem.

- Klara, co ty chcesz zrobić? - Po raz pierwszy dostrzegłam w jego oczach cień niepokoju.

- Zamierzam to wydłubać - oznajmiłam hardo.

- Chryste Panie, ale po co?

- Nie rzucam niesprawdzonymi hipotezami!!! - syknęłam mu wprost do ucha, na skutek czego Rafał wymiękł i udał się pod chór.

Wyjęłam z torebki nóż i spróbowałam wetknąć go od każdej strony po kolei, centymetr po centymetrze. Nawet jak znajdę odpowiednią szczelinę - myślałam - trudno mi będzie podważyć tym badziewiem taki kawał granitu... W pewnym momencie jednak, ku mojemu radosnemu zdumieniu, cały prawy bok tablicy wysunął się sam z siebie, i okazało się, że to po prostu normalne drzwiczki!!! Stałam na palcach i zajrza-

łam do środka. Wewnątrz bez najmniejszych wątpliwości spoczywała jakaś skrzynia. Albo skrzynka raczej... Rozejrzałam się na boki i wsadziłam do schowka obie ręce. Jak na moje możliwości, skrzynka nie była ani zbyt duża, ani zbyt ciężka. Wyjęłam ją szybko i postawiłam na podłodze. Z całej siły dopchnęłam z powrotem drzwiczki do ściany, ukryłam skrzynkę pod swetrem i ruszyłam ku wyjściu.

- Idziemy - szepnęłam, przechodząc obok Rafała.

- Co cię tak... wybrzuszyło? - spytał, ledwie za mną nadążając.

- Skarb!

Wobec takiej odpowiedzi Rafał wyprzedził mnie błyskawicznie i otworzył samochód. Szybko wsiedliśmy i Rafał odpalił samochód.

- Skąd wiedziałaś? - spytał z mieszaniną zgrozy i podziwu w oczach.

- Tak mi kiedyś zwyczajnie przyszło do głowy - odparłam skromnie. - Pamiętasz tę babę z krową?

Rafał bez słowa skinął głową.

- Ona nam przecież o tej tablicy powiedziała. Przyznam, że od czasu do czasu zastanawiałam się nad tym, bo po jakiego grzyba nie dalej jak cztery lata temu ktoś miałby ją wmurować, jeśli ani po wybudowaniu kaplicy, ani po jej rozbudowie nikt nie odczuł takiej potrzeby? Myślałam sobie kiedyś o ostatnich latach życia babci i przypomniało mi się, że przed czterema laty, kiedy była jeszcze na chodzie, udała się w bardzo tajemniczą kilkudniową podróż. No więc, powiązałam sobie jedno z drugim... Nie mogłam tylko dojść do tego, co się za tym kryje, dopiero kiedy Piechotko mi powiedział, że Alicja pod koniec swojego życia postanowiła pozwracać wszystkie długi, zaczęła mi się roić w głowie bardziej konkretna myśl... Oczywiście nie byłam pewna, ale musiałam sprawdzić.

Rafał uśmiechnął się szeroko.

- A mówiłaś, że nie chcesz żadnego skarbu. Oprócz mnie, oczywiście...

- Bo nie chcę. - Zignorowałam ten jego żarcik. - Cokolwiek to jest, oddam go Dziejkom!

- Żartujesz? - Rafał zmarszczył brwi. - Tym sępom? Ja bym go oddał na jakiś bardziej ludzki cel, na przykład na jakiś dom opieki społecznej. Dla nieszczęśników, którzy pozostają na łasce takich krewnych, jak Dziejkowie...

- Nie! To należy do nich i chcę im to oddać! Reszta mnie nie obchodzi!

- Nie zajrzysz nawet, co jest w środku?

- Nie!

- Ja bym zajrzał...

- Po co? Ja już postanowiłam.

- Okej, szanuję wobec tego twoje postanowienie i nie zamierzam więcej cię od niego odwozić - zapewnił gorliwie Rafał. - Ciekaw jestem, po prostu.

Po chwili namysłu obejrzałam uważnie skrzynkę, sprawdzając, jak też ona może się otwierać. Nie było żadnego zamka, kłódki ani niczego takiego.

- Spróbuj swoich wytrychów - poradził Rafał, puszczając do mnie oko.

Wyjęłam z torebki nóż i podważyłam wieczko. Ustąpiło bez najmniejszego oporu. Wyjęłam ostrożnie jedną z wielu starannie zawiniętych w papier foremnych paczek.

- Forsa - oszacowałam wedle ciężaru i kształtu. - Najprawdopodobniej cała masa forsy!

- Pokaż! - Rafał zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Wziął ode mnie pakunek i delikatnie rozwinął papier.

- Cha, cha! - roześmiał się znienacka. - Pokaż następną! Zaglądał kolejno do każdej, coraz głośniej zanosząc się śmiechem.

- Ejże! - zniecierpliwiałam się wreszcie. - Pokaż i mnie! Rafał, wyraźnie celebrując doniosłość chwili, podsunął mi pod nos gruby plik... niemieckich reichsmarek! W dodatku o całkiem sporych nominałach...

- Wygląda na to, że Alicja wydała wszystko, co tylko dało się wydać. Została jedynie kupa bezwartościowego papieru! - stwierdziłam, oglądając uważnie banknoty.

- Właściwie można się było tego spodziewać - uśmiechnął się Rafał. - Nawet gdyby wziąć pod uwagę samą kaplicę, a potem jeszcze tę niešťczęsną willę, musiał pójść na to niemały grosz! Ale sama Alicja raczej skorzystała niewiele...

- Wiem. Wiem, kochanie - westchnęłam smętnie. - A może to rzeczywiście jakaś przeklęta scheda była?

- Jakakolwiek by była - Rafał przekręcił kluczyk w stacyjce - pora z nią skończyć. Jednym słowem, każdemu według zasług jego. I teraz, zgodnie z twoim życzeniem, jedziemy do Dziejków! - oznajmił i ruszył z kopyta.

- Uważasz? - zawahałam się przez chwilę.

- Uważam - odparł Rafał zdecydowanie. - Sama powiedziałaś, że skarb należy do nich. A ja jestem teraz dokładnie takiego samego zdania!

Augusta Dziejkę wraz z żoną Władysławą zastaliśmy jak poprzednio w obejściu. Ona dziabła kopaczką w ziemi, on zaś nosił do obory wiadra z wodą. Na nasz widok postawił je prędko i zakrzyknął na żonę.

- Władzia! A pójdź tutaj, państwo z Krakowa do nas przyjechało!

Władzia wytarła uwalane ręce w fartuch i drobnym kroczeniem udała się w naszą stronę.

- Państwo zajdo w nasze skromne progi! - August rozwarł przed nami furtkę na całą szerokość.

- Nie, dziękujemy, my tylko na momencik. - Spojrzałam niepewnie na Rafała.

- No właśnie - poparł mnie energicznie. - My dosłownie na minutę!

- A co, że tak bez ogródków zapytam, państwo do nas sprowadza? - spytał August.

- Proszę sobie wyobrazić, że skarb się znalazł! - wyręczył mnie Rafał. - Był ukryty w kaplicy, [www...](#) - wyhamował nieco pod wpływem mojego spojrzenia. - W kaplicy.

- Słyszysz ty, Władzia? Nasz skarb się znalazł!!! - rozradował się August. - W kaplicy był, popatrz, popatrz, jakie to sprytne...

Podeszłam do samochodu, zabrałam skrzynkę i drżącą dłonią wręczyłam ją Dziejce.

- Co tam w środku znajduje się? - spytał.

- Nie wiemy - odparł Rafał bez mrugnięcia okiem. - Nie zaglądaliśmy, rozumie pan, żeby nie kusilo... Ale teraz już może pan otworzyć!

- A, nie... To może później. - August łypnął wzrokiem na skrzynkę, a potem na nas. - Tak czy inaczej, wdzięczne państwu jesteście ogromnie! Patrzaj, Władzia, jakie to uczciwe państwo w dzisiejszych czasach jeszcze spotkać można!

Dyskretnie pociągnęłam Rafała za rękaw, w przeciwieństwie do niego z lekka zażenowana całą tą scenką.

- Ależ ty jesteś - podsumowałam go w drodze. - Ty wiesz, jak oni tam sobie teraz w brodzie pluja?

- Niech pluja - odrzekł spokojnie. - Przecież ten skarb mógł być już dawno ich, cały i nietknięty! Wystarczyła tylko odrobina zwyczajnych ludzkich uczuć! Już zapomniałaś, jak umierającego dziadka zostawili na pastwę losu?!

- Nie, nie zapomniałam... No więc, niech ci będzie, że los tak zrzędził. W każdym razie mają, czego chcieli.

- I w tym miejscu bym się z tobą nie zgodził. - Rafał spojrzał na mnie z radosnym błyskiem w oku.

- Mam na myśli skarb, jakikolwiek był - sprostowałam.

- Wiem, miła moja, wiem... - przyznał z nagłą powagą.

- Tak czy owak, chociaż jeden, jedyny człowiek powinien być zadowolony ze spadku po Alicji - westchnęłam pod nosem.

- Masz na myśli mojego ojca?

- No.

- Coś ty!

- Nie jest? - zdziwiłam się niezmiernie. - Ale przecież on jedną trzecią życia strawił na bojach o ten majątek!

- No tak - chrząknął Rafał. - Nie chciałbym ci robić przykrości, ale wygląda na to, że odebrałaś mu niechcący... cały sens życia.

- Jak to?! - zdumiałam się jeszcze bardziej. - Przecież oddałam mu wszystko! I na szczęście nie mam już niczego, o co mógłby się upomnieć.

- Jesteś pewna? - uśmiechnął się kokieteryjnie.

- Oż ty! - pacnęłam go w ramię. - Zarozumialcu!

- Ale nie sądzę, żeby chciał - zmitygował się prędko.

- Powiedz mi, dlaczego ludzie tacy są? Jak Ernest, jak

Dziejko, jak... twój ojciec? Lepiej im tak czy co?

- Nie wiem dlaczego, Klaro - odparł w zamyśleniu. - Ale skoro już są i spotykamy ich na swojej drodze, oni również w jakiś sposób budują nas samych. Naszą samoświadomość, kształtują nasz punkt odniesienia do świata, do innych ludzi... Od nich również należy się uczyć. Każdy

napotkany w życiu człowiek nas w jakiś sposób wzbogaca, i jeżeli umiemy ze swoich doświadczeń czerpać właściwie, zyskujemy wiele...

Po tym, co usłyszałam, nie miałam już żadnych pytań. Milczałam więc, rozpamiętując każde wypowiedziane przez niego słowo.

- Zatrzymajmy się tutaj na momencik, dobrze? - spytał po chwili, przerywając mi filozoficzne rozmyślenia.

- Tu? - Rozejrzałam się wokoło. - A po co?

Rafał zatrzymał samochód bez dalszych wyjaśnień i otworzył drzwi. - Chodź. - Wyciągnął do mnie rękę. - Pamiętasz? Już tu kiedyś staliśmy...

- No tak - przypomniałam sobie niechętnie perypetie z pełnym pęcherzem. - I co z tego?

- To, że wtedy... - Rafał zbliżał się do mnie niebezpiecznie

- miałem wielką ochotę... brrrrrdzo wielką ochotę... cię pocałować!
I teraz sobie tego nie odmówię!

- Wiesz co? - spytałam po jakichś kilku minutach, stopniowo odzyskując oddech. - Wracajmy do domu... Dopiero co minęło południe, jak się szybko zbierzemy, jeszcze przed wieczorem będziemy na miejscu.

- Okej. - Rafał jeszcze raz bardzo mocno mnie przytulił.

- Wracajmy do domu!